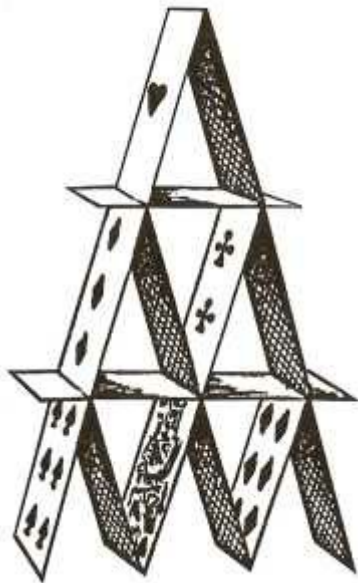


Waldemar  
**Łysiak**

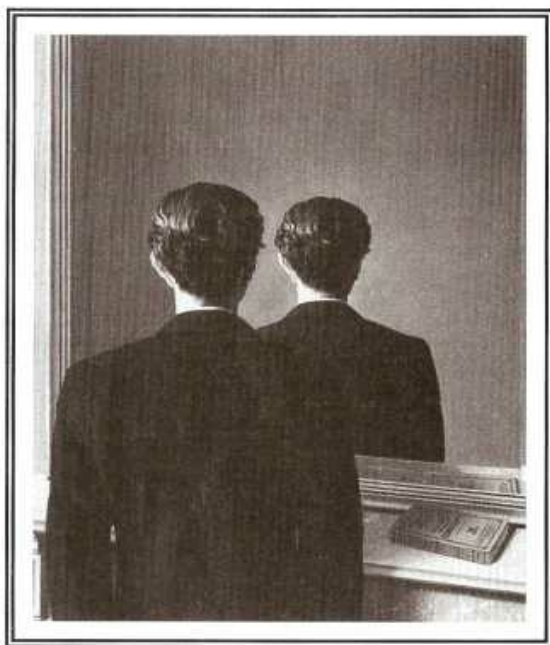


**SATYNOWY  
MAGIK**

Wydawnictwo *Nobilis*



Waldemar  
**Łysiak**



**SATYNOWY  
MAGIK**

© Copyright by Waldemar Łysiak 2011

Wydanie I  
Warszawa 2011

Opracowanie typograficzne i graficzne:  
Waldemar Łysiak i Adam Wojtasik

Redakcja techniczna:  
Adam Wojtasik

Na okładkach, wyklejkach i karcie tytułowej wykorzystano obrazy  
René Magritte'a.

WYDAWNICTWO NOBILIS — Krzysztof Sobieraj  
ul. Królowej Marysieńki 19/95,  
02-954 Warszawa,  
tel./fax: 0-22 632-83-74.  
e-mail: nobilis\_l@wp.pl

ISBN 978-83-60297-52-0



## 1. Prolog

Możliwe. Ale nikt nie miał pewności, i nikomu nie udało się tego dowieść.

Mówię o moim młodszym bracie, który popłynął ku jedynej krainie, jaka chciała go utulić — ku enklawie moich wspomnień. Rozciąga się ona wokół wzgórza wieńczonego przez zwaliska zamku. Zwano ów zamek „szaleństwem kasztelana”, bo został zbudowany na skałach łatwo pękających. Moja pamięć często kroczy tam ścieżką, którą ja i Romek wydeptywaliśmy w dzieciństwie. I wszystko jest identyczne jak wówczas. Senny spokój. Trawa do kolan. Rośliny wyciskają się spomiędzy gruzów. Dawno już bujna roślinność narzuciła na te ruiny swą zieloną zasłonę, i romantyzm pogruchotanych budowli ustąpił czarowi dzikiej przyrody, a ptactwo wybudowało tu swój matecznik — królestwo śpiewu. Lekki, łagodny wiatr porywa pyłki kwiatów, które, wirując w powietrzu, omiatają wzgórze. Bardzo trudno przewidzieć ten południowy wiatr. Co pewien czas — ni stąd, ni zowąd — przychodzi od strony dalekich gór i czesze korony lasu, niosąc zapachy łąk, sadów i ogrodów leżących na równinach między górami a gęstwą drzew. Rozprasza on parną wilgoć wiosennych i wczesnojesiennych dni, ale nie ujmuje ciepła, więc gdy smaga policzki lub skronie, czujesz jakby łagodny chuch gdzieś daleko otwartego pieca bądź kominka, co razem z woniami kwiatów i wrzosów, bądź z kolorami złotych i czerwonych liści, daje zmysłową przyjemność.

Lato też jest tutaj piękne. Ze szczytu wzgórza można przez biforialne okienko spoglądać do góry albo do dołu. Na szafirowym tle nieba widać nikiłe chmurki, wątle jak pasemka babiego lata,

niesione siłą grawitacji ku horyzontom. Gorące promienie słońca grzeją i złocą nurt rzeki, cichy i gładki, jakby jeziorem był, a nie płynął w nieznanne. Z tej wysokości przypomina śpiącego węża. Po obu jego stronach leżą gigantyczne łąki, sięgające lasu pełniącego rolę widnokregu. Dzisiaj ryją je krety; dawniej — za I Wojny — były poryte kilometrami okopów, z których tysiące młodych ludzi strzelały do swych równie młodych bliźnich; w Europie padły wówczas miliony młodzieńców. Kosmiczna głupota tej hekatombi nie nauczyła polityków niczego. Brakuje tu pomnika czy choćby krzyża — nic nie upamiętnia tamtej daniny krwi, była bowiem bez sensu. Jej heroizm i patriotyzm, jej wzniosłość i przyziemność — uleciały z dymem pogrzebowego stosu.

Wszystko co robimy jest ulotne. Banał vel truizm — czyli sama prawda, oczywistość. Wszystkie nasze działania to pasemka dymu. Piszemy na piasku, gdy wieje samum, który rzeźbi wydmy pustyni; lepimy mgłę; żyjemy ułudą. Lecz coś trzeba robić, by się nie głodzić lub nie nudzić, więc jedni harują, drudzy się bawią, a trzeci ścigają cel. Dla żądzy lub dla pieniędzy — gwoli rozpierającej pasji lub oczekiwanego zysku. To kwestia wyboru drogi, którą wszelako częściej wybierają nie geny, tylko drzwi, mosty czy bramy (vulgo: okoliczności), częściej przypadek aniżeli człowiek świadomie i planowo. Dla nas (dla mnie i dla Romka) już prababcia zaplanowała, haftując makatkę, gdzie figurowały wyszyte przez nią strofy Walentego Goreckiego, który wojował w Powstaniu Kościuszkowskim:

*„Znaj Stwórcę, czynź dzięki,  
Żyj z pracy twej ręki,  
Nie szperaj co w Niebie,  
A ucz się znać siebie.  
Czynź dobrze każdemu*

*Jak sobie samemu,  
Tknięta własność cudza  
Niech twój gniew obudzą.  
Mów prawdę i kochaj,  
W nieszczęściu nie szlochaj,  
Wszech zbytków się lękaj,  
Że umrzesz nie stękaj".*

Te strofy, które według moich szacownych pradziadków powinny stanowić credo każdego przyzwoitego człowieka, wisiały niby familijny dekalog na ścianie przedsionka w moim rodzinnym domu. Górę makatki wieńczył haft z trój symbolem Powstania Styczniowego (splcione: krzyż, serce i kotwica, czyli wiara, miłość i nadzieja, pod którymi krzyżowały się dwie szable), a u spodu makatki prababcia wyhaftowała gołębia z trzymaną dzióbkiem gałązką lauru, jako symbol pokoju, który nastąpi, gdy szablami wyrąbiemy sobie suwerenność. Było to antycypowanie Pabla Picasso i jego „gołąbka pokoju”, co zrobił karierę globalną, aczkolwiek sam mistrz lepiej znał gołębie niż czerwoni propagandyści i moja prababka (choć widywała je regularnie, bo pradziadkowie mieli ekonoma hodującego te ptaki), więc się wzbraniał kiedy zlecano mu ów motyw, a później wyśmiewał go, tłumacząc: „ — Łagodność gołębiczy to bzdura! Nie ma okrutniej szych zwierząt. Trzymałem u siebie gołębicę, które zadziobały na śmierć inną gołąbkę. Wydłubały jej oczy, rozszarpały na kawałki. Ładny mi symbol pokoju!”. Każdy dorosłejący człowiek zauważa — prędzej czy później — iż życie trochę się różni od symboli cnót, tudzież od makatek z haftowaną etyką i poczciwością.

Wszystko lub przynajmniej dużo byłoby sensownie przewidywalne/ projektowalne/ rozwiązywalne/ realizowalne, czyli dobre, gdyby wszystko lub przynajmniej dużo zależało od rozumu,



logiki, racjonalności, solidności, skrupulatności, pedantyczności, od dobrej woli człowieka, której na świecie nie brakuje, jest jej w bród. Czemuż więc tak często wszystko się wali, zawodzi, degeneruje, psuje? Bo zbyt często karty rozdał pech, głupota, potoczne zapomnienie, niechlujstwo albo niedbalstwo, normalna ludzka niesumienność. Dwa pasażerskie samoloty zderzyły się w powietrzu (śmierć prawie 300 osób), gdyż kolumna sterowa jednego z pilotów była zablokowana aluminiowym bolcem włożonym dla chwilowego unieruchomienia na lotnisku przez obsługę techniczną, która zapomniała blokadę usunąć. Prawie 100 osób zginęło, gdy ekipa myjąca samoloty na lotnisku zakleiła taśmą elektroniczne czujniki boeinga 757 (czujnik ciśnienia, temperatury i szybkości), by nie przemokły, a później zapomniała taśmę zdjąć i pilot w powietrzu „oślepnął”. Iluż takich „oślepień” doświadcza ludzka działalność polityczna i ekonomiczna, której efektem są lokalne i globalne katastrofy? Ilu Bogu ducha winnych ludzi traci dobytek, działkę albo i życie przez głupotę bądź nikczemność bliźniego swego? Miliony. Czymże jest wobec tych tragedii moja prywatna katastrofa w Germanshaven? Zaiste, pyłkiem kosmicznym, kichnięciem losu.

Nie wiem nawet czy mam prawo oskarżać drugiego człowieka (tego, który mi tam towarzyszył), czy winienem kierować pretensje wyłącznie ku sobie. Był oczajduszą, biegłym łowcą, mistrzem reżyserii zdarzeń. Wirtuozowska kombinacja kurtuazji, sofistyki, sarkazmu i grzechu. Kochałem go. Dzisiaj te słowa wydają mi się tak dziwne, że wprost śmieszne, ale wypierając się faktów, uchybiałbym prawdzie tamtych lat. Imponował mi, fascynował mnie, stałem się jego zdobyczą, i musiało upłynąć trochę czasu, przyjść trochę cierpkich refleksji wskutek kilku gorzkich zdarzeń, bym zaczął trzeźwieć — a dopiero tragedia sprawiła, że wyzdrowiał. Czy jednak kiedykolwiek zdrowiejemy całkowicie? Czy raczej przez cały żywot nasz umysł cierpi na dolegliwość obcości pośród stada,

dziwaczności i chwilowości? Niekompatybilność i przemijalność, którą uzmysławia ze schyłkiem życia bolesna zużywalność części składowych. Gdy idzie o to —nikt nie jest hipochondrykiem.

W Bełżycach koło Lublina był na nagrobku wyryty napis:

*„Wieczność za nami, wieczność przed nami,  
Bóg dał nam chwilkę między wiecznościami”.*

Ta chwilka składa się z chwil pomniejszych, których łańcuch tworzy całość. U jednych są one podobne do siebie niczym krople łez lub ziarna grochu, formując monotonne pasmo egzystencji, u innych zaś są bardzo różne, odmieniają się jak księżycowe i słoneczne pory dnia, lub jak barwy wrogich sobie pór roku. Stereoskop lub kalejdoskop, jednak w obu przypadkach — czy to bierna wegetacja, czy ekstatyczna fluktuacja — istnieją pewne stałe, identyczne, нефизjologiczne uwarunkowania tudzież uzależnienia, bękarty jaźni ludzkiej zwanej psychiką: wszyscy marzymy o szczęściu. Dlatego gotowi jesteśmy nazwać szczęściem, spełnieniem, rajem każdą doraźną satysfakcję lub przyjemność, która winduje poziom adrenaliny i niby sacharyna (sztuczny cukier, pięćset razy słodszy od cukru) karmi nas rozkoszą. Ale to tylko ułudy, majaki, widma szczęścia, ersatze błogostanu. Mijają, i wtedy chłonimy, stygniemy, przytomniejemy —nie gubiąc wszelako żądz, czekając na kolejną euforię. Od tysięcy lat, od jaskiń, ten sam nieśmiertelny cykl u każdego spośród „homines sapientes”: gonimy za pragnieniami, lecz miast spełnień chwytny tęsknotę jeszcze dotkliwszą. A nieubłagany młyn życia przemienia to wszystko w biały pył stanowiący budulec przyszłych pokoleń. Właściwie po co? Jaki jest cel owej sztuki granej miliony lat bez żadnego antraktu? Nieobecność w niej kogokolwiek niczego nie zmienia. Wszyscy jesteśmy zbędni?

Wiem tylko, że wszyscy jesteśmy grzeszni, nikt nie jest bez grzechu. Winienem był respektować babciny i ojcowski nakaz: „pewnych rzeczy się nie robi”, lecz nie umiałem powstrzymać się od zabijania. Mam jedno usprawiedliwienie: puste błękitne oczy...

## 2.

### O żeńskich zagadkach w pożyczonym i w mielonym.

Moi rodzice bardzo się kochali. On był urzędnikiem magistrackim, ona była „panią domu”. On był sumienny i prostolinijny, ona była cicha i skromna. To był raj. Póki jej ojciec, który miał fabryczkę lizaków i cukierków, nie zderzył się z recesją. Zagrożony plajtą, chciał wziąć kredyt dla ratowania firmy, ale banki odmówiły mu. Zwrócił się więc z prośbą o pożyczkę do zięcia, który właśnie dostał piątą część majątku bezdzietnej cioci (taką samą część dostał też brat mego ojca; resztę spadku zainkasowały dwa kudłate pudle i dwa koty syjamskie).

—Ile ci trzeba, Hieronimie? —spytał mój „stary”.

—Nie tak dużo...

—Mów konkretnie, jak dużo?

—Czterdzieści tysięcy, tylko na pół roku. Bądź pewien, że oddam terminowo.

—Czterdzieści tysięcy?!... —przeraził się zięć.

—Czterdzieści.

—Lecz my...

—Macie przecież ze spadku.

—Ze spadku mamy trzydzieści tysięcy.

—A oszczędności? Nie macie żadnych oszczędności?

—Mamy jeszcze dwanaście tysięcy, od dłuższego czasu zbieramy

na studia dla chłopców. Spadek chcieliśmy przeznaczyć na coś innego — na wyniesienie się stąd, na kupno ogródka, zawsze marzyliśmy o domku...

—Kupicie kilka miesięcy później. W tym lokalu gnieździecie się już tyle lat, więc kilka miesięcy dłużej nie zrobi wam różnicy.

—No tak, ale... —wystraszony ojciec zawiesił głos.

To wkurzyło dziadka:

—Nie chcesz dać, nie dawaj, obejdzcie się! —warknął, robiąc minę człowieka niesprawiedliwie potraktowanego.

Wówczas wtrąciła się mama. Zapytała swoim anielskim głosem:

—Tato, czy te pieniądze na pewno uratują twój zakład, wydobędziesz się z kryzysu?

—Jasne, moja droga, inaczej nie szukałbym gotówki.

Mama spojrzała na swego męża i powiedziała krótko:

—Proszę cię.

Milczał przez kilka sekund, kierując wzrok ku ziemi, i odparł równie krótko:

—Dobrze, moja droga.

Parę dni później, przy kolacji, mruknął:

—Dan zapytał swego szwagra o firmę twego ojca...

—Czemu?

—Bo go o to poprosiłem, kochanie.

—Ale czemu Daniel zapytał swego szwagra?

—Bo ten szwagier pracuje w banku.

—Żeby sprawdzili?

—Tak.

—I co?

—Sprawdzili.

—I co?

—Mówią, że to nic nie da, kochanie...

—Jak to nic nie da?

—Mówią, że nawet sto czy sto pięćdziesiąt tysięcy nie uratowałyby firmy ojca, każde pieniądze poniżej dwustu tysięcy będą wyrzucone w błoto. A i dwieście tysięcy nie dałoby gwarancji ratunku, jedynie szansę, którą obliczają pół na pół.

—Więc nasze czterdzieści tysięcy nie wystarczy...

—W żadnym razie.

—Ale może on ma fundusze skądinąd, jakieś inne pożyczki, i brakuje mu tylko naszych czterdziestu tysięcy do tych dwustu tysięcy, o których mówisz...

—Już ci tłumaczyłem, kochanie, iż może nie wystarczy nawet dwieście tysięcy.

Zapadła cisza. Mama przestała jeść, ja również, i mój brat, panowało ciężkie milczenie. Wreszcie ona spytała szeptem, jakby rozboleła ją gardło:

—Dlaczego mi to mówisz?

—Żebyś miała świadomość tego co nam grozi, kochanie. Kiedy ci już powiedziałem, ty mi powiedz jeszcze raz.

—Co?

—Czy mam mu dać nasze oszczędności.

—Nie dać, tylko pożyczyć!

—Mam je pożyczyć?

—Proszę cię o to.

—Dobrze, kochanie.

Następnego dnia wręczył teściowi czterdzieści tysięcy, i zostaliśmy nieomal goli, bo tamte pieniądze przepadły, co było zupełnie jasne od początku dla każdego prócz mamy, jasne również dla dziadka. Nie wiem czy kobiety lubią, gdy się mówi do nich: „kochanie”. Ale od tej pory małżeństwo moich rodziców zaczęło się psuć, bo mama przestała lubić swego męża, którego wcześniej miłowała gorąco. Kompletnie nie umiałem tego zrozumieć, byłem za młody.

Tym bardziej nie mógł tego pojąć Romek, mój młodszy o dwa lata

brat. Bał się pytać „starego”, więc pytał mnie. I ja mu wyjaśniałem sytuację, plotąc bezbrzeżne bzdury, wszystko co mi akurat przynosiła na język ślina cudzej pamięć o dialogach z czytanej przeze mnie beletrystyki pióra podróżników. Dzisiaj rozumiem, że obaj byliśmy wtedy embrionami-bezmózgowcami, człowiek bowiem musi się wiele nauczyć, aby nie tylko patrzeć, lecz i widzieć. Wszelako gadać umie każdy głupi, dlatego zamulałem świadomość brata pustostowiem, mniej więcej tak, jak nędzarz zatyka dziób głodnego bachora chlebem ze śmietników. Romek mrugał nerwowo oczami, próbując coś pojąć, i udawał, że coś pojmuje, choć nic nie pojmował. Dzięki Bogu się nie domyślił, że ja też nic nie pojmuję.

Jedno co wówczas zrozumiałem — że zniknęły pieniądze na wyższe kształcenie moje i mojego brata — jakoś niezbyt mnie obchodziło. Może dlatego, iż kończąc gimnazjum zadurzyłem się „ bez pamięci”. Siła dorastających hormonów. „ Wyrwałem” Klarysę podczas balu przedmaturalnego („studniówka”). Kumpel prosił ją do tańca. Odmówiła. Kwadrans później próbował ponownie. Znowu odmówiła. Próbował jeszcze kilka razy, jak durny, licząc chyba na to, że jego upór zmiękczy dziewczynę, bo nie rozumiał, że kiedy kobieta cię odtrąca, trzeba już po pierwszej tanecznej rekuzie dać sobie spokój. Mnie nie odmówiła — zatańczyliśmy. Umówiła się na spacer, i na kino, i na randkowanie, tyle samo regularne co sekretne, gdyż to nie były dzisiejsze czasy, kiedy gówniarstwo obściskuje się publicznie bez hamulców. Rozmowy nie kleiły się nam tak, jakbym tego pragnął. Klarysa lubiła grać pannę inteligentną, ale nie była bystrzejsza niż większość pensjonarek (twierdziła, że jest wielbicielką lorda Byrona, lecz kiedy poprosiłem ją o coś Byrona, usłyszałem, że zgubiła „książkę lorda Byrona”). Za to całusy cudzej macanki szły nam wybornie. Kulminacją tego mistrzostwa stała się defloracja, a Klarysa okazała się wulkanem libido. Uprawiając seks wydzielala tyle energii, tak się rozgrzewala, iż gdybym dzisiaj

zobaczył „au naturel” równie gorącą chuć — wiedziałbym kto spowodował globalne ocieplenie.

Nasz romans trwał tylko pół roku, później musiałem wyjechać do mieszkającego w Wiedniu stryja. Wyjeżdżałem bez żalu, mając zmęczeniowo-znudzeniowy przesyty temperamentem Klarysy. Stryj Gabriel, bogaty producent cygar, deklarował, że zajmie się moją dalszą edukacją. Ojcu było to na rękę. Został wprawdzie burmistrzem naszej miejsciny (dwa miesiące po utracie całej gotówki za sprawą nikczemnego teścia, jakby los chciał mu zrekompensować tę klęskę), co oznaczało wyższą pensję urzędniczą, jednak nie taką, by mógł finansować studia uniwersyteckie trwające dziesięć semestrów. Nie prosił swego brata o pomoc, to Gabriel wyraził chęć finansowania mojej akademickiej edukacji. Ta łaskawość, w ogóle cała ta sytuacja, musiała gnębić ojca psychicznie, gdyż on i Gabriel, synowie bogacza, dziedziczyli kiedyś po równo. Dziadek Feliks był „obszarnikiem”, miał kilkadziesiąt tysięcy hektarów i lekką rękę, ale tylko do łożenia na cel szlachetny (budował wiejskie szkoły, fundował ochronki, ratował szpitale przed plajtą), nigdy dla siebie. Żył spartańsko, traktował swą osobę jak sknera. Pewnego razu znajomy zobaczył go na dworcu w wagonie trzeciej klasy. Zaszokowany krzyknął:

—Pan, łaskawco, w trzeciej klasie! Z jakiego powodu?!

—Bo czwartej nie ma —odparł zimno dziadek Feliks.

Mój ojciec prawie całą swoją część spadku utracił kupując polecane mu przez „fachowców” akcje Kanału Panamskiego.

Odjeżdżałem do Wiednia (via Lwów i Kraków) w bardzo brzydki dzień. Mżyło, wiatr potęgował przenikliwość chłodu, świat gubił paletę barw. Na dworcu było pusto —prócz mnie i ojca tylko dwóch komiwojażerów. Milczeliśmy, nie wiedząc o czym mówić. Pociąg zajechał punktualnie, ani minuty spóźnienia. Gwizd z lokomotywy przewiercił kłęby pary i poszybował ku brudnemu niczym wilgotna

ścierka niebu. Ojciec przytulił mnie, uściśnął i gwoli tradycji (kulturowej, regionalnej, rodzinnej?) wygłosił radę życiową. Gdy wszedłem do wagonu, podał mi walizki. Stał na peronie póki tumany mgły nie wchłonęły latarni zamykającej skład. Rada życiowa mało mnie wtedy obeszła, ale wciąż pamiętam każdą sylabę i nawet tembr jego głosu:

—Zawsze dotrzymuj słowa, nie kupuj rzeczy mielonych, bo pakują do nich również śmiecie, i nie oglądaj genitalnej pornografii, bo nabierzesz wzdury wobec wszystkich kobiet, także wobec dam.

### 3.

### Cygaro dymiące Secesją

Wiedeń 1936 roku był pięknym miastem, wciąż oddychającym klimatem Secesji i puszącym się secesyjną estetyką, mimo iż na Starym Kontynencie (zwłaszcza na obszarze niemieckojęzycznym) pojawiło się już kilka nowych prądów. Rezydencja stryja Gabriela miała właśnie formę secesyjną i smaczne dekorum secesyjne, pełne dekadencjonalnych zawijasów plus wielobarwnych witraży o florystycznych „ramach” i pikantnych figuralnych motywach elipsy centralnej. Same niedopowiedzenia: pasterz schylający się nad owieczką głaskał ją tylko, ale sprawiał wrażenie, iż zaraz przystąpi do penetracji. Lub nimfa rozchylająca wargi, by włożyć sobie piszczałkę. Stryjenka Margot też rozchyłała usta, gdy się śmiała...

Stryj Gabriel rzadko się uśmiechał, a wargi miał stworzone głównie dla cygar, które palił bez przerwy, nałogowo. Oczywiście cygar produkcji własnej, pewnie wyśmienitych, bo przynosiły mu solidny dochód. Palił je tylko w dużym (można rzec: majestatycznym) gabinecie, gdzie welony dymu snuły się niczym secesyjne esy-floresy



między ciężkimi kotarami a hebanową boazerią, i w różnych zakątkach ogrodu (taras, altana, wiata basenowa), gdzie smugi spalonej rozkoszy, którą dawał aromatyczny, suszony, zwijany liść, unosiły się ku niebu, jakby chcąc nakłonić Pana Boga do sięgnięcia po cygaro. Reszta wewnątrz była objęta zakazem palenia tytoniu, gwoli bezpieczeństwa cennych malowideł, które wisiały gęsto niby w antykwariacie, świadcząc o kulturze i smaku gospodarza willi. Gabriel nie musiał rozumieć malarstwa, nie musiał nawet zatrudniać eksperta konesera — starczyło, że rozumiał mowę pieniądza: kupował dzieła rekordowo drogie, wiedząc, iż są najdroższe nie bez powodu.

Tak jak o nobilności Gabriela świadczyli Tycjan czy Velazquez, a o jurności pana domu żona, która mogłaby być jego córką (Margot ledwie ukończyła 35 lat) — tak o jego przekonaniach politycznych świadczył biust z brązu stojący na parapecie kominka gabinetowego. Ukazywał twarz przystojnego mężczyzny w wieku średnim, z oczami fanatyka (trochę żandarma, trochę myśliwca, trochę hazardzisty) i z wąsikiem mającym kształt prostokąta, a szerokość nosa.

—Kto to jest, stryju? —zapytałem.

—To wielki człowiek, kanclerz Niemiec, Adolf Hitler, jak mogłeś nie poznać?! —odparł zbulwersowany lekko.

—Skąd mógłbym poznać? Rzeźbionego nie widziałem nigdy.

—Nie bierzesz do ręki gazet?

—Czasami, kiedy jest coś o katastrofach morskich, lub o podróżach, lub o dzikich krajach. Chyba raz albo dwa widziałem jego zdjęcie, lecz nie wyglądał tak samo.

—Cóż, zdjęcia trzaskane na żywo są rozmaite, niektóre lepsze, inne gorsze, bywa, że deformują fizys —mruknął, puszczając kłęb dymu ku kryształom żyrandola. — A twórcy portretów, rzeźbiarze oraz malarze, chwytają raczej tę dobrą stronę tożsamości twarzy, plus

cząstkę wnętrza, fragment ducha, istotę charakteru. W tym tkwi sens sztuki, mój drogi. Spójrz jaki to mocny człowiek. Geniusz i granitowa wola, Niemcy mogą być dumni!

—Ale ty nie jesteś Niemcem, stryju...

—Pytasz: czemu trzymam popiersie Hitlera? Hitler to Austriak, urodził się w Austrii, jako obywatel cesarstwa habsburskiego, i dopiero gdy...

Przerwałem mu:

—Czy ty jesteś Austriakiem?

—Już od dawna!

—Mój ojciec jest Polakiem, a to twój rodzony brat, stryju...

—Mój rodzony brat nie przestał być Polakiem, ja zaś stałem się Austriakiem. Ściślej: Wiedeńczykiem. Tak zdecydowała Opatrzność, Mateuszu. Mnie losy rzuciły tutaj, jego gdzie indziej. Nasza matka, twoja babcia, była Wiedenką. A twoja matka jest półkrwi Niemką. Masz w żyłach dużo germańskiej krwi. I niemieckim władasz bez trudu.

—Dzięki szkolnym lekcjom niemieckiego.

—To ci się tutaj przyda. Wkrótce będziemy obywatelami Rzeszy niemieckiej.

—My, stryju?!

—Ja zostanę podwładnym Hitlera gdy Austria wejdzie do Rzeszy, czyli bardzo szybko.

—Kiedy?

—Za rok, może za półtora roku.

—Austriacy chcą utraty niepodległości?! —krzyknąłem.

—Chcą dumy, chcą siły, chcą wzmocnienia. Spójrz co się dzieje w całej Europie, jak się w niej pleni bezbrzeżna głupota i haniebna słabość klas rządzących. Ci wszyscy wielcy „mężowie stanu” to nierozgarnięte pajace, nadrabiające miną i pustą retoryką. A Hitler wziął Niemcy jako ruinę i przez zaledwie trzy lata, trzy krótkie lata,

wydobył ten śmietnik z głębokiego kryzysu! Przyznasz, że tylko geniusz mógł to zrobić. Ma silną rękę, nie cacka się ze zgnilizną. Zobacz jak załatwił tych pedałów z SA! Röhm po cichu lansował homoseksualizm, chwalać starogrecki zwyczaj wysyłania do boju par pederastów, bo rzekomo ludzie Antyku uważali, iż pedalskie pary walczą najzacieklej, czego ilustracją mają być Termopile, których broniło 150 par pederastów, legendarnych 300 Spartan. Ja nie wiem ile w tym prawdy, ale wiem, że Hitler wypalił tę dżumę ogniem, załatwił Röhma i SA metodą radykalną.

Popatrzył na mnie uważnie, badając wzrokiem czy rozumiem co mówi. Spytał:

—Rozumiesz, Mateuszu?

—Tak, o Termopilach uczyłem się w szkole...

—No!... Ale o pederastach pod Termopilami chyba nie gadali wam?

—Nie, stryju. Tylko o tym, że to była jakaś wojna grecka...

—Wojna Peloponeska, chłopcze! —popisał się tubalnie ignorancją.

Grał erudyte, lecz nieudolnie (rzecz charakterystyczna dla półinteligentów), bo Termopile to nie była Wojna Peloponeska, tylko wojna Greków z Persami. Tukidydes, który opisał Peloponeską, twierdził, że „Pierwszą ofiarą wojny jest prawda” (później Churchill lubił to głosić, nie przyznając się, że cytuje). Moim zdaniem: prawda jest pierwszą ofiarą nie wojny, tylko ignorancji, dyletantyzmu, pustego popisywactwa, czyli wojny tupetu o przydanie sobie herbu, o nobilitację. Stryj Gabriel, choć nie należał do głupców — należał właśnie do takich buńczucznych półdurniów. Zakończył wtedy apologię Hitlera melodią austriacką:

—Rozumiesz już czemu go chcemy? Niszcząc Röhma i SA, zdał ważny egzamin, Mateuszu. Pokazał, że jest silny. Austriacy chcą, by kierował nimi ktoś silny, więc co się dziwić, że przywołują Hitlera. Przywołują jeszcze cicho, lecz wkrótce będą wołać pełnym głosem. Usłyszy ten głos cała Europa, dotrze on również do miejsca twoich

studiów.

—Gdzie będę studiował?

—W Germanshaven, daleko na północy, to Rzesza. Portowe, hanzeatyckie miasteczko, kilkadziesiąt mil od Hamburga, uniwersytet świetny, dla elity, dużo lepszy aniżeli ten w Hamburgu. I dużo starszy. Hamburgski nie ma dwudziestu lat, ten ma sto osiem. Podobno Goethe był wśród założycieli, synku.

Goethe nie zrobił na mnie wrażenia, byłem wciąż zszokowany faktem, iż stryj wysłał mnie tak daleko.

—Stryju, ojciec mi mówił, że to będzie jakiś austriacki uniwersytet, bliżej domu...

—Zmieniłem decyzję. Wiem, że twojemu ojcu to się nie spodoba, dla niego Rzesza to kraj wyklęty, gdzie zamiast — „Dzień dobry” mówi się — „Heil, Hitler”. Lecz mam w nosie jego anty-niemieckość.

—Czemu nie mogę studiować w Wiedniu? Tutaj jest tyle świetnych uczelni...

Pociągnął dym kilkakrotnie, raz za razem, jakby chciał na nowo rozżarzyć gasnące cygaro, i wypuścił cały kłęb z ust, stawiając kurtynę mgielną między nami. Spoza tego oparu usłyszałem:

—Cóż, gdybym chciał mydlić ci oczy, rzekłbym, synku, iż kochasz morskie awantury, porty, statki, rejsy, więc wybrałem miasto portowe, by sprawić ci przyjemność...

—A nie mydląc mi oczu?

—Prawdę mówiąc, inaczej to wygląda. Niczego w życiu nie robię z dobrego serca, chłopcze, niczego! Proponuję ci nie łaskę, nie prezent, nie dobroć, nie familijną solidarność, tylko pakt.

—Jaki pakt?

—Opłacę twoje studia, a ty mi się zrewanżujesz w Germanshaven. Poznasz tam kogoś, z kim nawiążesz pewien rodzaj współpracy. Nic trudnego. Raczej przyjemnego. Nie będziesz kłął, ręcę ci, Mateuszu.

—A konkretnie?

—A konkretnie to ten ktoś ci wytłumaczy.

—Będę musiał zrobić wszystko co mi rozkaże ten gość?

—Tak.

—„Pewnych rzeczy się nie robi” — zacytowałem dewizę ojca, spokojnie, starając się nie pokazywać gniewu.

—Mój szanowny braciszek się kłania, to jego autorskie streszczenie Dekalogu, jego kondensat Dziesięciu Przykazań, mam słusność?...

—zakpił Gabriel.

—Tak, ojciec mnie tego nauczył. Nie będę kradł, nie będę zabijał...

—Nie będziesz, mój bogobojny bratanku! — przerwał mi, gasząc cygaro. —Żadnych zbrodni, żadnych kryminalnych łajdactw. Ale już okłamać chyba możesz, na przykład dziewczynę?... Pewne rzeczy się robi!

Przymknął powiekę, puszczając „perskie oko”. Jego brutalna bezpośredniość i ton patrona-hegemonia wlepiły mi dotkliwy niepokój — coś między strachem a wstydem. Gabriel to wyczuwał i był tym ukontentowany, bo właśnie o to mu chodziło.

#### 4.

### Koniak pachnący przyszłą wojną

Obok gabinetu stryja, przedzielona małym westybulem, znajdowała się biblioteka godna książęcej rezydencji. Pułap dostojności tego miejsca wyznaczały lśniące złoceniami grzbiety dzieł Homerów, Plutarchów i Wergiliuszów. W „cokołowych” partiach, gdzie można było zerknąć uchylając nieoszkłone drzwiczki, znalazłem jednak coś dla siebie: parę tomików Maya, Verne'a i Mayne Reida, „Wyspę szczęśliwą” Coopera i „Podróż

mimowolną" Biarta, piękne wydanie ze sztychami Barbanta i Meyera, które rozgrzały moją globtroterską chuć. Prawem zrządzenia losu (fatum!) odbyłem wkrótce mimowolną podróż do Francji. Gabriel mi ją zaproponował:

—Jadę na kilka dni do Francuzów, w interesach, możesz jechać ze mną.

—Chętnie, stryju.

—Nim zaczniesz podróżować wokół globu, czas poznać rodzimy kontynent.

—Zobaczę Paryż?

—Nie tym razem. Zobaczysz rejon Cognac. Jest tam dużo pięknych starych zamków i są winnice, które płodzą najszlachetniejszy trunek Ziemi.

Koniak!... Jedziemy do owej krainy właśnie dla tego nektaru, tłoczonego z białych winogron, a później destylowanego, mieszanego, leżakowanego, butelkowanego i upajającego.

—W Wiedniu nie brak chyba żadnego koniaku... — zauważyłem naiwnie.

—W Wiedniu nie produkuje się koniaków, Matt. Mówiłem ci: interesy. Cygara już mnie nudzą, chętnie bym się zajął produkcją koniaku, to wyprawa sondażowa. Wojskowi mówią: rekognoskować, czyli przewąchiwać, penetrować teren.

Nie zwróciłem wówczas uwagi na militarną terminologię, którą stosował wciąż, a była ona nie bez znaczenia — można rzec: była kluczowa.

Po drodze tłumaczył mi, iż trzeba sześciu kilogramów winogron, by uzyskać jedną butelkę dobrego koniaku. Gdy zakończy się proces fermentacji, białe wino jest destylowane w tzw. „wodę życia" („eau de vie"), ale sekret koniaku stanowi druga destylacja, z której bierze się tylko część środkową zwaną „sercem" lub „grzałką" („bonne chauffe"). Destylacja musi być zakończona przed 31 marca, a

określone gatunki koniaku to mieszaniny różnych destylatów (nawet kilkudziesięciu!) z rozmaitych sezonów. Te mieszaniny dojrzewają latami w dębowych beczkach (dębina koniecznie z rejonu Limousine), przy czym pewien procent dojrzewającego trunku utlenia się i ulatnia jako „porcja dla aniołów”, „łup anielski”. Dwa gatunki koniaku nigdy nie są identyczne, choć mogą być bliskie sobie i tylko pierwszorzędny kiper rozróżni je wówczas.

—Czym pracuje kiper? —zapytał raptownie stryj.

—Smakiem, węchem i... nie wiem czym jeszcze... —wzruszyłem ramionami. —Może ma jakieś przyrządy, papierek lakmusowy, czy coś takiego.

—Ma jeszcze wzrok, synku. Bada smakiem, węchem i wzrokiem. Gama smaków, od gorzkawego do słodkawego, jest bogata. Paleta węchowa również: zapach kwiatowy, orzechowy, owocowy i mnóstwo innych. Ale kolor też się liczy, Mateuszu, kolor! Od jasnobursztynowego do ciemnobrazowego. Tyle niuansów, a przecież mistrzowie wśród kiperów wskażą ci producenta danego koniaku, mimo iż producentów jest kilkuset!

—Ty się na koniaku znasz? — zapytałem dla podtrzymania rozmowy.

—Nie, ale znam się na pieniądzach, synku.

—Kupujesz najdroższy, bo wiesz, że najlepszy musi być najdroższy?

—Wiem i to, że koniaki najwyższej klasy są oznaczane na etykietach literami XO, co znaczy: Extra Old. Najmłodsza „woda życia” takiego koniaku musi leżakować minimum sześć i pół roku, a u lepszych producentów leżakuje dwanaście lat. Niższe oznaczenie etykietowe, Y.S.O.P., czyli Yery Superior Old Pale, zwany też Reserve, to koniak leżakowany cztery i pół do sześciu lat. Oznaczenie V.S., czyli Very Special, to leżakowanie poniżej czterech i pół, nie mniej niż dwa lata i pół. Tylko w dębinie! Koniak wlany do szklanych butli lub gąsiorów przestaje dojrzewać.

—Skąd wiesz to wszystko?

—Z książki. Ale tego, że pieniądze są ważniejsze niżli wiedza, nauczyły mnie nie lektury, ino życie, Mateuszu. Moja wiedza o produkcji koniaku jest dużo mniejsza niż o degustacji koniaku, lecz to , głupstwo, bo nie brakuje mi wpływów i pieniędzy. Z moimi kontaktami i koneksjami nie muszę na niczym się znać. Zatrudnię w mojej wytwórni profesjonalistów, lub przejmę jakąś wytwórnię razem z całą ekipą fachowców, od króla-kipera do portiera!

—Trzeba byłoby na to chyba całej fortuny...

—Fortuny z pewnością, choć niekoniecznie finansowej, może militarnej, synku... Ale dość tego gadania, chodźmy do restauracyjnego, bo inaczej kiszki zagrają nam parę marszów wojennych.

Nie był głupi. Był tylko amoralny. I nie w sensie stosunku wobec bliźniego, lecz jako przewrotny manipulator. Jego główną ambicją nie były luksusowe cygara czy szlachetne trunki —była nią polityka, głównie ta zakulisowa, ta rozgrywana w półmroku, w cieniu, gdzie wytycza się kierunki i cele realizowane później przez ministrów, dyplomatów i generałów. Na początku nie zauważałem, nie kojarzyłem tego; widzę to jasno dzisiaj, gdy przeszłość miga mi pod czaszką niby stary film wyświetlany dla jednego widza wewnątrz gabinetu. Stryj był zimnym sukinsynem, a ci, z którymi się związał, byli mefistofelesami różnych kategorii, od zbrodniczych wodzów, demonicznych dyrygentów, po służących im ekonomów, ciurów i lokajów bez sumienia. Wtedy — w 1936 roku — świat ciągle nie dostrzegał, iż zbierają się już nad nim czarne chmury, które luną krwawym deszczem. Nie będąc osobą jasnowidzącą — również nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Za oknami pociągu śmigały widoczki krajobrazowe sielskie niczym Landschaftmalerei. Bawaria jest baśniowa o każdej porze roku, a większość francuskich departamentów skutecznie ściga tę



bukoliczną cudowność — pasłem oczy do znudzenia. Później do znudzenia wizytowaliśmy producentów koniaku, chwając rozległe winnice i walory trunków, które wszędzie trzeba było degustować, żeby nie urazić gospodarzy. Wiedeński finansista z pełnymi kieszeniami, pragnący wyłożyć gotówkę, podniecał ich jak podnieca samców młoda dziewczka z pełnymi piersiami, pragnąca wypinać obnażoną pupę — czysta rozkosz. Nie zawarł jednak kontraktów, kupił tylko kilkaset butelek, które miano mu przesać do Wiednia.

We wszystkich winnicach byliśmy goszczeni i żegnani serdecznie, prócz jednej, której właściciel, usłyszawszy, iż stryj jest Austriakiem, palnął:

—Hitler jako rodak! Współczuję panu.

—Czemu mi pan współczuje?! —najeżył się stryj.

—Bo musi się pan chyba wstydzic, że Hitler też jest Austriakiem...

—Czego, psia krew, miałbym się wstydzic, Hitler to wielki mąż stanu! Z jakiej przyczyny nie podoba się wam, Francuzom?!

Tamten zdjął słomkowy kapelusz i zaczął się nim wachlować, odpowiadając:

—Co mamy do kanclerza Hitlera? Powiem panu. Kiedy słyszę przez radio jego głos, przypomina mi się kapitan Troubridge z floty admirała Nelsona, która terroryzowała Morze Śródziemne. Kapitan Troubridge mawiał: „ — Ilekroć widzę, iż jakiś facet wygląda na to, że myśli, uznaję to za bunt”.

W drodze powrotnej stryj co pewien czas przypominał sobie ten kapitański cytat i warczał:

—Cholerne Żabojady!!

Poza tym droga między Charente a Dunajem upłynęła nam raczej nudnawo. Nie rozmawialiśmy już o koniaku, wyjąwszy kilka zdań pierwszego dnia, gdy zapytałem:

—I który spośród nich będzie twoim łupem, stryju?

—Wszyscy będą naszym łupem, gdy Francja padnie na kolana, już

niedługo. Lecz jeśli pytasz, którą markę będę chciał reprezentować jako producent, to odpowiedź nie sprawia trudności: którąś z czterech głównych, synku. Hennessy, Martell, Remy Martin lub Courvoisier. To właśnie wielka czwórka, koniakowa „kareta asów”, czyli moja liga, gówniarstwo zostawiam gówniarzom. Niech się masturbują, gdy my będziemy dymać cały świat! Ganze Welt!... A propos, młodzianku, walisz sobie konia kiedy akurat brak jakiejś chętnej cipki?

—Nie! —skłamałem, purpurowiejąc.

—Więc jesteś głupi... Mój przyjaciel Franz, lekarz dermatolog, uważa, iż dzisiejsza młodzież zatraciła biegłość dostarczania sobie przyjemności własnymi rękami. To jest pokoleniowe kalectwo, Mateuszu!

Rozpędzał się coraz paskudniej, póki nie zasnął wskutek zbyt dużej ilości koniaku degustowanego na pożegnanie u ostatnich wizytowanych producentów. Mimo tego alibi, nie darowałem mu, i jak tylko wróciliśmy do Wiednia, przestałem wymykać się sidłom, które zastawiała Margot, molestując mnie wzrokiem, gestem i sekretnym dotykiem. Zadowolilem ją po bożemu i po bezbożnemu, na wszystkie znane jej sposoby.

## 5.

### **Marzenia budzą się do życia**

Najsłodsza radości, najjaśniejsza światłości moja, przewodniczko zbłąkanych, ucieczko strapionych, ochrono zalewających pałę między debiutem wieczoru a kurtyną świtu w barze „Cygana”...

Ta knajpa miała szyld „Pod wesołym trampem”. Szyld z napisem był prostokątny, a prostokąt flankowały dwa blaszane koła. Jeden

kolisty malunek ukazywał pasiasty tors i rumiany dziób marynarza dymiącego zagiętą fajkę; drugi talerz wypełniała sylwetka trójkominowego statku. Każde znaczenie terminu „tramp” otrzymało tu więc swoje godło, „tramp” bowiem to włóczęga, wędrowiec, obieżyświat, ale „trampem” zwano również (fachowo) towarowca nie pływającego na stałej linii żeglugowej, tylko zawijającego nieregularnie do rozmaitych portów, w miarę potrzeb transportowych.

Niby zwykła marynarska knajpa, jedna spośród wielu portowych knajp przy nadbrzeżach i przy mniejszych uliczkach dzielnicy portowej. Lecz Bogiem a prawdą —wcale nie była zwykła, różniła się od reszty.

Ja także różniłem się od reszty koleżanek i kolegów. Wcale nie chciałem studiować historii sztuki, jednak musiałem ulec kapryswi Margot, drugiej żony stryja Gabriela (pacykarki, amatorskiej malarki cukierkowych krajobrazów i kwiecistych bukietów). Była dużo młodsza od stryja, dosyć pokaźna (cienka talia, jędrna pupa, duża mleczarnia), tylko mdła intelektualnie. Zakładając, iż Yeats miał słuszną rację gdy twierdził, że najgorsi z nas są pełni pasji, a najlepszym brakuje przekonania — to gdzieś pośrodku między jednym a drugim lewito wała Margot. Szczęśliwie dla mnie — nie była żmiją mężowskiej kieszeni. Stryj regulował terminowo moje czesne i czynsz za stancję w pensjonacie, opłacał wyżywienie w tymże pensjonacie, pokrywał też wszelkie konieczne ekspensy (leczenie zębów, bilety kolejowe, książki, składki korporacyjne, itp.), a nadto dawał mi sute „kieszonkowe”, żeby nie świecił dziadowsko oczami przed gronem studiujących tu bachorów arystokracji i finansjery z całej Europy. Ci ekskluzywni gówniarze mieli do dyspozycji luksusowe restauracyjki, kawiarenki i herbaciarnie wokół uniwersytetu, które mnie odpychały swoją wielogwiazdkową elegancją, nudą sterylnej czystości i fałszywą melodią „bon tonu”

elit, małpującego prehistoryczną dworską etykietę Burbonów i Habsburgów. Człowiek, który miał duszę podróżnika (mówię o sobie), czuł się tam lokajem przymusu, sui generis niewolnikiem, intruzem, innowiercą, apostatą. Dałbym wiele za fach globtrotera, komiwojażera, żeglarza; akademia czy pracownia konserwatorska, zatrudniająca historyków sztuki, nie wydawały mi się lepsze od myjni samochodowej, gdzie robole ze ścierkami i kubłami pucują pośród czterech zawsze tych samych ścian ubłocone „gabloty”, często bardzo ładne, lecz cudze, a za oknem nie widać horyzontu.

Nudę tamtych wiosen rozpraszało się trochę inaczej niż dzisiaj. Były burdele i łaźnie, dansingi i kabarety, teatry i kinematografy, był sport, wyścigi, pikniki, było już radio i był telefon, lecz nie było internetu, telewizji, łatwych wakacji dla mas i komunikacji międzynarodowej dla każdego. Kilka lat później przeorała kontynent wojna panów Hitlera, Stalina, Churchilla i Roosevelta, a jeszcze później (kilka dekad później) młodzieżowe libertyńskie bunty po obu stronach Atlantyku wywróciły do góry nogami formalną obyczajowość. Seks utracił dziewictwo, gdyż intymność zdechła kiedy wypchnięto ją spod kołdry niczym rybę na piach, zaś kusząca tajemniczość egzotycznych krain i lądów uwiędła, bo telewizja każdego dnia puszcza relacje z każdego kąta każdej dżungli. Ale za moich szczeniackich czasów lektury awanturnicze i podróżnicze rozpałały wyobraźnię — świat męskiej młodzieży dzielił się na „Indian”, „kowbojów”, „piratów” i „podróżników”. Ja wstąpiłem do „podróżników” — chciałem być wiecznym tułaczem, globtroterem, wnukiem Magellana. A kazano mi wkuwać „technikę pędzla” Leonarda, Buonarrotiego i innych homodewiantów!

Kiedy nuda codzienności (akademickiej lub jakiegokolwiek innej) żre ci serce niby czerw gnieźdzący się w owocu — możesz przynajmniej marzyć. Jeśli nie potrafisz marzyć —miej pretensje do siebie samego. Na ile znam życie —prawie wszyscy śnią o ludziach,

rzeczach bądź terytoriach, których los nie dał im. Człowiek bowiem to istota wiecznie nieukontentowana albo nie w pełni ukontentowana, chroniczny malkontent. Zawsze najlepiej czuje się tam, gdzie go fatum akurat nie przywiodło. Dlatego zawsze będą istnieć marzyciele ścigający chimery, karmiący się snami, łowcy rojeń, gotowi przezwycięzać fatum gwoli gorączkowego złudzenia, wierząc, iż miraż da się kiedyś zmienić w rzeczywistość, siłą woli albo charakteru. U takich, jak ja, to jest tęsknota do egzotycznych wysp. Korale laguny, które złości błękitna fala. Biały piasek plaż i waginalność rokokowych muszli. Krzykliwe papugi o jaskrawym upierzeniu, gryzące dzikie jagody wśród mirtowych drzew. Et cetera, właśnie to.

I to się zaczynało wtedy niekoniecznie dopiero z nałogiem smakowania książek przygodowych czy podróżniczych. U mnie zaczęło się trochę wcześniej. Mieszkaliśmy bowiem w niewielkim prowincjonalnym miasteczku, którego burmistrzem został mój „stary”. Przybywali tam regularnie cyrkowcy i komedianti, wędrowni muzycy, magicy i handlarze — wodzireje jarmarków. Rozkochiwali najładniejsze dziewczyny, rozdziewiczali je, i odfruwali. Mężom zasiewali poroża, i znikali. Na krótką chwilę burzyli gnuśny, patynowany ład, i ulatywali niby przelotne ptactwo. Zostawiali (prócz bękartów) wspomnienia loterii fantowej, waty cukrowej, strzelnicy, karuzeli, trąbek, piszczałek i bębenków, rym monologu szekspirowskiego i rytm wahadła rozbujanego trapezu, oraz zapach dalekich dróg i światów, nieporównanie bardziej kolorowych niż pieniąca się wokół szarzyzna. Ja i moi szkolni kumple marzyliśmy, by odjechać razem z taborem lub trupą teatralną.

A jeszcze wcześniej? Najwcześniejsze marzenie o dalekich wyprawach poza dom to była chęć wojazowania rowerem. Ojciec długo nie chciał mi roweru kupić, bo kiedy wyrastałem z krótkich

szelkowych spodenek, zdarzyła się tragedia u sąsiadów: ich syn staranował rowerem drzewo, pękła mu czaszka i konał kilka tygodni. Po latach mój uniwersytecki kumpel —człowiek, o którym będę dużo mówił na tych stronicach —widząc, że czasami wstępuję do kościoła (w niemieckim miasteczku, gdzie studiowaliśmy), zapytał:

—O co modliłeś się, gdy byłeś małym dzieckiem?

—Nie pamiętam.

—A gdy byłeś dzieckiem bardziej wyrośniętym?

—O rower.

—Żeby Pan Bóg sprawił... i tak dalej?

—Uhhh.

—Błąd. Nikt ci nie powiedział, że to nie funkcjonuje w ten sposób?... Bóg nie jest od załatwiania rowerów, tylko od wybaczenia. Trzeba było ukraść rower i prosić Boga o przebaczenie.

Pierwszą moją podróżą była wycieczka szkolna, autokarem udostępnionym szkole przez lwowski magistrat. Pojechaliśmy do puszczy chlubiącej się dębami, które pamiętały prastarych królów. Gdy wychowawców nie było obok, różniliśmy korę tych dębów scyzorykami, ryjąc swe inicjały lub pirackie godła. Wolałbym, rzecz prosta, upuszczać krew kauczukowcom, zbierając lateks wewnątrz egzotycznej dżungli, lecz i te rodzime knieje były czymś sympatycznym, stanowiły —jako dzicz — ożywczy kontrast wobec miejskich murów. Były namiastką, lub raczej swojską zapowiedzią dalekich gorących łądów. Niczym mój niespełniony akt rozprawiczenia pośród tej głuszy. Nie ze szkolną koleżanką, bo wtedy koedukacja nie istniała, uczęszczałem do męskiego gimnazjum. Ale towarzyszyły nam trzy kobiety (małżonka profesora gimnazjalnego, siostra kierowcy autokaru i jej córka), które m.in. przygotowywały wszystkim tzw. „suchy prowiant" dla plenerowych wędrowek. Wspomniana córka i ja badaliśmy ściółkę i mech lasu;

zdjęła już majtki, gdy raptowny trzask gałęzi na pobliskiej ścieżce spłoszył ją. Przez głupiego pecha, czyli przez kretynów, którzy właśnie deptali ścieżkę wiekowego boru, pierwszej konsumpcji dziewczęcia (innego dziewczęcia) zaznałem dopiero dwa lata później!

Między moją ojczyzną (wokołowlowską Galicją) a siedzibą uniwersytetu rozciągał się cały kontynent, szmat ziemi. Kilkudniowa (z przerwą na Wiedeń) wędrówka pociągiem stanowiła dla mnie misterium. Lecz kompleks uniwersyteckich gmachów i dzielnica uniwersytecka szybko obdarowały mnie nudą. Dalej leżało śródmieście ze starówką o rodowodzie typowo hanzeatyckim. A jeszcze dalej, przy drugim brzegu zatoki, była dzielnica portowa. Ona mnie ciągnęła niby magnes.

Ruszyłem tam któregoś wieczoru i postanowiłem przehulać całą tę noc. Płyn barko moja! Łaziłem euforycznie uliczkami, zaułkami, dziedzińcami. Przyglądałem się wysokim burtom handlowych statków cumujących wzdłuż nadbrzeża (wojenne zawijały do Germanshaven tylko raz w roku, na jakąś tromtadracką rewię z okazji święta państwowego), pieściłem wzrokiem sylwetki kilku żaglowców szkolnych, które księżyc malował romantyczną poświatą jak reflektorami kierowanymi przez aniołów lub demonów, liczyłem sekundy dzielące błyski latarni morskiej na dalekim cyplu u krańca redy-Morską woń portu wdychałem niczym Arab dym fajki wodnej. Miałem szczęście, oprychy tej dzielnicy rozmijały się ze mną, myszkując nie tam gdzie mogły mnie zdybać i nie wtedy kiedy mogły poświecić mi „kosą”. Czytałem szyldy różnych spelunek i zaglądałem przez okna tych knajp. Aż wreszcie ujrzałem szyld: „Pod wesołym trampem”. Moje marzenia zbudziły się ze snu...

## 6.

### Sen nocy wiecznej

Oto noc. Pachnie jak kobieta. Intymnością, tajemnicą i kuszącym niebezpieczeństwem mroku. Rządzi majak — próżnia reguł racjonalnych i logiki. Wtedy ludzie wizytują halucynacyjne światy, tkane ze wspomnień bądź z dziwnych przewidywań czegoś przyszłego albo równoległego. Zawsze wołałem to pierwsze —senne wspomnienia —gdyż z reguły przywołują egzotyczne podróże, które odbyłem w moim globtroterskim życiu. Musiała się zakończyć wielka wojna numer 2, bijatyka totalitaryzmów i demokratyzmów, bym ruszył do Afryki Subsaharyjskiej, do Ameryki Łacińskiej, do dzikiej Azji, et cetera. Miałem prywatny szkuner, więc oceany też dały mi radość, a kiedy rozbił się u koralowych brzegów Australii — spędziłem tydzień jako głodujący Crusoe, władca wysepki bezludnej. Przerobiłem tedy całego Verne'a i paru jego kolegów. Przerobiłem nawet dziki rejs Artura Gordona Pyma, bohatera noweli Poego. To był już ostatni moment na takie delicje — ostatnie dwie dekady. Przed końcem lat 70-ych XX wieku kolumbijski myśliciel Nicolas Gómez Davila napisze z właściwą mu celnością: „Świat, po którym warto było podróżować, istnieje już tylko w starych książkach podróżniczych". Ja jeszcze zdążyłem autopsyjnie zakosztować tego świata ze starych książek: dotknąłem wielu jego gasnących cudów. Morfeusz ma duży wybór, kiedy chce wyświetlić wędrówkowy film retro pod czaszką śpiącego starca.

Przemierzam pustynię arktyczną. Skamieniały śnieg trzeszczy deptany futrzanymi buciorami Eskimosów. Linki sań wrzynają się w ramiona mimo grubych warstw skafandrowej kurtki. Mróz ścina oddech. Marznące kłęby pary upstrzone są drobinkami kryształków. Tubylcy zwą je „szepciem gwiazd". Świat wokół nabiera koloru



błękitnawo-fioletowego, przypominając klimaty bajek Andersena, które ojciec mi czytywał kiedy byłem mały. Gdzie zniknęła ta oślepiająca biel z awanturnicznych ksiązek polarników?

Pławię się w przybrzeżnych falach karaibskiego oceanu. Daleko majaczy lazurowy horyzont, bliżej lśni złoty piach plaży. Kokosowce, wydmy, tudzież bungalowy o barwie trzciny cukrowej, kryte schnącymi liśćmi palm. Przede mną rogal mierzei, za mną falochron z czerwoną budką strażników u krańca traktu spacerowego. Pusto na plaży, pusto na wodzie, na deptaku i na widnokręgu — smakuję nieskończoność. I samotność. Nie tę, którą Anglicy zwą „loneliness”, a która jest przymusową izolacją, chorobliwym eremityzmem, lecz tę, która nosi miano „solitude”, a oznacza indywidualizm, siłę ducha, suwerenność, samodzielność, pełną kontrolę nad ścieżkami swego losu. Wypluwam drobiny słonej wody. Skąd się tam raptem wzięły wielkie białe ptaki, pikujące niby bojowe samoloty i nurkujące niby stada drapieżnych fok?

Mozolnie forsuję górską przełęcz. Każdy krok boli, każde kilkadziesiąt kroków zwiększa o kilkanaście deko ciężar plecaka. Ścieżka wiję się serpentyną wzdłuż turni porytych żlebami i porośniętych burozielonym mchem. Tężeje zimny wiatr, krople ulewy chłoszczą mi wzrok, drobne kamyki lecą z góry, objijając czapkę i ramiona. Ekscytujące piekło. Wtem przestaje padać, niebo rozjaśnia się i promyk słońca figluje na złomie granitu. Mrużę oczy, czuję gorący pot, który zlewa mi ciało, i który tylko temperaturą różni się od strumyków wody, co ściekają po nagich skałach. Odwracam się. Daleko, u stóp gór, widnieje cała kotlina, rzeka przecinająca tubylczą wioskę wzorem „main street”, stada była mniejszego aniżeli mrówki, ptaki latają pode mną! Zapiera dech.

Idę brzegiem wiosennej puszczy. Żywiczny aromat igliwia zdaje się wypierać tlen — bucha niby ciężki obłok spomiędzy drzew ku łąkom pełnym niskich pagórków. Ptactwo szaleje, wrzeszcząc

wszelkimi językami lasu, a pagórki goreją, płonąć wszelkimi barwami tropikalnego kwiecia. Majestatyczne dwumetrowe dziewanny bohatercko znoszą żar upału. Owady upajają się wonią olejków i harfą traw, brzęcząc beztrósko kakofoniczny koncert gorączkującej erotycznie przyrody. Refleksy młodego słońca rażą jak reflektory, niebo bez jednej chmurki, duchota i tęsknota za podmuchem wiatru. Zmierzch przyniesie ukojenie, lecz to jeszcze całe pół dnia...

Siedzę na wiklinowym krzeselku przed knajpką w Sines. Leniuchuję, odpoczywam. W tym małym portugalskim porcie urodził się Vasco da Gama, mój idol. Sączę wino i słucham gitary, która akompaniuje jęczącej piosenkarce wewnątrz lokalu. Fado i porto — czegoż trzeba więcej? Przede mną widok zielonych fal oceanu, mijają mój stolik kobiety poruszające się tanecznym krokiem na chodniku, za mną melodia fado niby nektarowy zefirek głaszcząca uszy. Lekki skwar, lekka otępiałość, błogostan. O czym ta wokalistka zawodzi tak nostalgicznie? Pewnie o miłości, i o śmierci, i o zdradzie, o kobietach i mężczyznach, których serca i krocza nieustannie goreją. Skąd te ballady wyszły? Z Afryki, z Wysp Zielonego Przylądka? Może z Sao Vicente? Wszystkie te „morny”, „coladery” i „sodade”, niektóre pełne ognia, lecz większość pełna melancholii i smutku. Przymknę wzrok i nie ruszę się stąd do końca świata...

Jadę główną drogą autonomicznej nepalskiej prowincji Mustang, mijając biedne wioski, gdzie głównym problemem jest opał, kiedy panuje ciągle zimno. Tnie się tu na rozpałkę iglaste lasy i wszechobecne kolczaste krzewy, a nie tyka rzadkich topoli i wierzb, które trzeba chronić niczym buddyjskie pomniki świątków. Otaczają je kamiennymi murkami, by nie zaszkodził im dojmujący wiatr, co spada od masywu górskiego niby wściekły agresor. Ścinają je rzadko, tylko jako budulec, gdy budowla będzie konieczna.

Króluje ugór, trudno zasiać coś prócz jęczmienia i gryki, które wymagają mało wody. Autochtoni mówią, że ich ziemia jest „bezpłodna jak martwa lania”. Ale tęcza nad przedgórzem zwała z nóg swą cudownością, dla niej jednej warto tu być.

Dopływam do wschodnioafrykańskiej wyspy Pemba Sera, krainy geofagów. Tam ziemia nie jest martwa, jest smaczna — geofadzy to ludzie, którzy ziemię jedzą. Ów obyczaj, znany już w czasach prehistorycznych, przetrwał na kilku kontynentach, a praktykują go głównie mieszkańcy Czarnego Łądu. Nie tylko ludzie; jedzą ziemię także słonie, szczury, szympansy, papugi czy bydło. I nie pierwszą lepszą ziemię, ale starannie wyszukiwane, pełne minerałów glinki, które posiadają moc krzepiącą bądź leczniczą, co wielki niemiecki badacz, Aleksander von Humboldt, zauważył już 200 lat temu u Indian Ameryki Łacińskiej. Zwiedzając Pembę dostrzegłem, iż szczególnie objadają się ziemią ciężarne kobiety, wedle rytuału „vileo”. Skosztowałem również, absorbując dawkę sodu, magnezu, potasu, wapnia i żelaza. Do dzisiaj czuję smak tej gleby...

I „smak” ludzi. Moje senne rojenia wskrzeszają fizjonomie ludzi, których napotykałem wędrując po ścieżkach globu. Są to obrazki barwne lub szare. Barwne wówczas, gdy dopada mnie sen erotyczny lub katastroficzny, nie ma bowiem nic bardziej fotogenicznego od gołych kobiet i katastrof. A szare wtedy, kiedy widzę twarze ludzi skrzywdzonych przez wyzucie z trybów tradycjonalizmu — ten milczący wzrok pełen niezrozumienia czemu życie jest tak okrutne i złośliwe, bogowie zaś tacy obojętni. Wiele razy widziałem nowoczesność wdzierającą się w strefy tradycyjne niby fala sztormowa, i burzącą pamiątki, koleiny, kanony. To był „postęp”. Tubylcy dotknięci ową epidemią czepiali się rozpaczliwie kulturowych i obyczajowych reguł swych dziadów, przegrywając. Ten nestoriański kapłan bez parafian, którego spotkałem w dalekiej Azji u wrót kościółka obmywanego wodami zalewu, gdyż

wybudowano tamę dla elektrowni. Ci amazońscy Indianie, którym wycięto dżunglę niby zboże kosą. Ci czarni, których popędzono do harówki w odkrywkowych kopalniach diamentów, a później ucinano im ręce za chowanie kamyków wewnątrz odbytu lub pod językiem. Ci Papuasi, którym wytrzebiono zwierzęta i zostawiono puszkowane konserwy. Tak musieli się czuć już mieszkańcy Karaibów oraz Meksyku, kiedy Kolumb, Vespucci i Cortez przywiekli europejskie choroby zakaźne...

Patrząc na tych cierpiących, nigdy, ani przez chwilę, nie wątpiłem w istnienie Boga —dalej zakładałem Jego niezbędną. Nękała mnie wszelako myśl, że to oni są zbędni. I może nie tylko oni. Czy wszyscy jesteście zbędni?...

Te szare sny z cierpiącymi tubylcami, których spotkałem żeglując i wędrując, przyprawiają mnie każdorazowo o ból serca. A jednak nie są to najgorsze wśród moich nocnych upiorów. Najgorszy jest pewien majak, który zostałby przez każdego neurologa lub psychiatrę zdiagnozowany jako koszmar klasyczny. To już u mnie tradycja. Za młodu, podczas studiów w Germanshaven, męczył mnie sen z fortepianem stojącym na kamiennej estradzie koło tympanonu antycznego i ruin helleńskiej świątyni, które dekorowały bezludny pejzaż. Teraz męczy mnie inny sen. Zawsze ten sam. Stoję przy furtce żelaznego płotu i widzę przez jej metalowe pręty zieleń bez kresu, łąkę nieskończoną. Gdzieś u horyzontu pojawia się czarny punkcik. Rośnie, co znaczy, że się zbliża. Widzę wreszcie mikroskopijną sylwetkę człowieka idącego w moim kierunku. Ogarnia mnie strach, że to Satin... Wybiegam mu naprzeciwko. Wtem słońce gaśnie i półmrok okrywa całą przestrzeń łąki. Chmury wron nadlatują z różnych kierunków, dziobami jak młotami kując moją głowę. Czuję fizyczny ból. Oślepia mnie twarz nieznanego, błyszcząca niby fosforowa maska. Białe szaty, puste oczodoły, trzyma długi nóż. Nie pytam, lecz on słyszy i udziela odpowiedzi:

—Mieścisz się w średniej statystycznej.

—Że co?

— Statystycznie wypada jedna śmierć na jednego człowieka, przyjacielu.

## 7.

### **Pierwsza prezentacja knajpy „Pod wesołym trampem”**

Gdym pierwszy raz zawitał do wnętrza baru „Pod wesołym trampem” —otworzyło się przede mną Niebo. Wszystko było tak, jak miało być. Szynekwas lśnił przetartymi pasmami mosiądzu. Za nim piętrzyły się półki wypełnione butelkami całego świata, niby szeregami żołnierzy czekających karnie na komendę głównodowodzącego. Niżej dwie beczki puchnące od dwóch rodzajów piwa — z piwem jasnym i z piwem ciemnym. Kuchnia po prawej stronie, długa i dziurawa jak sito; kłęby dymu unosiły się stamtąd do belek stropu, wędząc ten sufit i rysując arabeski wokół krągłych lamp. Po lewej pręty z suszonymi rybami i sznury z przepraną bielizną „morskich wilków” (prócz koszul i gaci wisiał też jeden biały biustonosz), a niżej kamienna rynna dla skapującej wody. We wnęce za drzwiami skrzynia pełna pustych butelek, puszek, słoików i skorup kokosa. Szorstkie deski podłogi skrzypiały niczym pokład łajby dręczonej przez sztorm. Dwa okrętowe maszty jako filary sali głównej, z resztkami takielunku. Bocianie gniazdo jako stanowisko strzeleckie rzucających lotkami do tarcz. Dzwon okrętowy, trzy koła sterowe i dwie kotwice. Stoliki i krzesła robione nie przez meblarzy, lecz przez cieśli — nie heblem, lecz siekierą. Palmy tudzież kaktusy wymalowane na ścianach. I przy całym tym kiczu, bałaganie oraz brudzie — pewien rys dostojeństwa, swoista

paradoksalna szlacheckość. Jak gdyby to knajackie wnętrze strugało wielkiego bankruta, który nie tak dawno utracił herb i zdjął smoking, bo go przegrał rzutem kości, z głodu, grając o miskę ryżu. Poczulem się u siebie, chociaż nigdy dotąd w takim miejscu nie byłem. Ale mój trampowski zew był tu stałym klientem od bardzo dawna.

Kilka tygodni zabrało mi poznawanie stałych klientów i personelu knajpy. Rządził szef — „Cygan”, Niski, krępy Bawarczyk, którego matka była pono Hiszpanką. Łysiał u czubka głowy, lecz wokół tego lśniącego placka miał jeszcze gęstwinę czarnych kudłów kręconych samorodnie w spiralne loki, a łysiny nie było widać, bo zawsze nosił białą czapkę marynarską, którą zdejmował tylko na chwilę, dla wytarcia potu. Czasami stawał za barem, kiedy ogarniał go taki kaprys. Barmanów było dwóch, zmieniali się. „Filozof” alias „Herr Doktor”, Józef, który rzekomo posiadał doktorat z filozofii, i „Wygibus”, Arnold, który był niegdyś tancerzem we francuskim balecie, lecz się zestarzał. Józef, inteligentniejszy, lubił uprawiać subtelne pogaduszki, będące terapią dla niektórych klientów, tych pragnących duchowego wsparcia, ale pewnego dnia „Cygan” przywołał go do porządku:

— Amerykańcy uważają, że barman to psychiatra. Ja tak nie uważam, „Filozof”, zrozumiano?!...

Moresu, spelunkowego savoir-vivre'u, pilnował olbrzym Czuga, Rumun, dwumetrowy były zapaśnik, który samym swym wyglądem Tarzana i śniadym krogulczym pyskiem wkurzonego Azteka budził respekt, a jak to nie starczało, wyciągał zza pasa nóż wielkości minimaczety, bez słowa i bez używania pacyfikując awanturników. Lubiał tym nożem dłubać sobie w zębach i czyścić paznokcie. Tylko raz widziałem krew na jego ostrzu, gdy Czuga ze świstem uciął w nadgarstku dłoń pijanego rosyjskiego bosmana, ciągnącego za włosy, po podłodze, kelnerkę Sonię, a później trzeba było siłą

rozginać paluchy tej odciętej łapy, bo się wbiły we fryzurę dziewczyny niby kurczowo zaciśnięte palce trupa.

Knajpę „Cygana” obsługiwały dwie kelnerki — Sonia, blondynka z Hamburga, i Kwasime, rodezyjska Murzynka, którą przywiózł do Europy jakiś Angol i rzucił. Pierwszą zwano: „Pyza”, drugą zwano: „Nesca”. Ich wspólne cechy konsumpcyjne były przypadkościami niebezpiecznymi dla bab (tak dla białogłów, jak i dla czarnogłów), gdyż regularne łykanie wieloźródłowego seksu groziło zarażeniem od przygodnego amanta, natomiast regularne pałaszowanie słodczy groziło zbyt wybujałą tuszą. Nie umiały się wszakże powstrzymywać, wchłaniały batony, lody, czekolady, cukierki i ciasta, bez wątpienia modląc się wieczorami: „—Boże, spraw, aby te wszystkie kalorie szły w cycki, a nie w tyłek!”.

Sonia była krągłej szta. Upinała wokół głowy lub rozpuszczała na gołe plecy złote warkocze, pełne jarmarcznych spinek i brosz, a jej dekolt burzył krew niejednemu. Dwa perłowe balony, zaś między nimi pokaźny wawóz pełen złota: splot kółeczek, krzyżyków, medalików, pierścionków wiszących u cieniutkich łańcuszków, które owijały szyję i wabiący delikatnym różem skóry kark. Kiedy chciała rozpalić samca, pochylała się nad siedzącym przy stoliku, podsuwała mu biust bliżutko nozdrzy, złote precjoza wylatywały ze szczeliny i bujając się uderzały o siebie, brzęczały niczym dzwony wzywające chuć do boju. Ze mną też próbowała tego. Chwyła wtedy moją dłoń, odwróciła i lustrując linie chiromantyczne pisnęła:

—Kobiety cię lubią... Bardzo cię lubią! Czują, że masz wielkie berło między nogami. Uuuch, jakie wielkie! Dasz mi potrzymać, studenciku?...

„Nesca”, stawiając przede mną piwo, zachowała się jeszcze bardziej bezwstydnie. Raptem chwyciła dłonią moje krocze, macając kilka sekund, więc doznałem gwałtownego wzwołu prącia. Policzki mi płonęły i ślepiłem wokoło czy nikt nie widzi. Wreszcie puściła i

szepnęła:

—„Pyza” ma rację. Białas, czemu ty nie chce, by moja zagrała na jego flet melodia życia? Bo tylko to jest życie, znasz ty co innego?

Jej niemiecki był śmieszny, łamany, kaleczony, bardzo erotyczny. Już jako masturbujący się gówniarz śniłem o Murzynkach, tusząc, że przelecę którąś kiedy tylko dotrę do Afryki, do Czarnego Łądu podróżników. Tymczasem Afryka dotarła do mnie, ale z negrorżnięcia nic nie wyszło, bo paraliżował mnie strach przed syfilisem. Na kiłę umarł mój kuzyn, malarz, który studiował w Monachium; nim umarł, cały ostatni rok wyglądał strasznie, gnił za życia. Nie chciałem tak skończyć, a „Pyza” i „Nesca” puszczały się z różnymi gośćmi knajpy „Cygana”, miały zero oporów. Czarnulka wskutek apetytu seksualnego przewyższającego normę europejskich samic, zaś biała dlatego, iż dokładnie wiedziała czego chce od życia. Chciała tylko trzech rzeczy: pieniędzy, forsy i szmalu. Lubilem obie, przynosiłem im czekoladki i drobne prezenty, ale nie dałem się rozebrać, kłamiąc, że mam narzeczoną i jako katolik muszę być wierny przysiędze zaręczynowej.

Każdego sobotniego wieczoru bywało dużo gości w „Pod wesołym trampem”, bo występował kumpel „Cygana”, prawdziwy hiszpański Cygan, z gitarą i ze swą żoną, która strzelając kastanietami tańczyła flamenco i śpiewała do wtóru gitarowych melodii. Nie miała szczególnie urodziwej twarzy, lecz miała cudowną anatomię, idealnie odwzorowującą kształt gitary jej męża. Stąd przezwisko tej kobiety pośród stałych bywalców knajpy — „Gitarra”. Całkowicie naturalne, w tradycji latynoskiej bowiem gitara to właśnie kobieta zbudowana prawidłowo, nosicielka wybujałych bioder i cyców, dlatego Kościół długo traktował ten instrument jako szatański. Jeszcze XIX-wieczni mnisi twierdzili ze zgrozą, iż geniusz, który ustalił definitywne kształty hiszpańskich gitar, rzemieślnik z Almerii, Antonio de Torres, wzorował proporcje i kontur na



cielesnych zaokrągleniach ladacznicy z Sewilli. Obrońcy gitar przeczyli temu, głosząc, że wzorował wszystko na swojej żonie. Ale wygrali mnisi, bo dowiedziono, iż swej wirtuozowskiej gitarze Antonio dał ksywkę dziwki, „la Leona”, to znaczy: „Lwica”. Równie ciekawa jest argentyńska klechda o przepięknej Kreolce Rosie, żonie gaucza Hilaria, którą porwał indiański wódz Amuray. Wskutek zaciętej walki między rywalami zginął Amuray, lecz zginęła także Rosa. Hilario ułożył się do snu, biorąc w ramiona zmarłą, a gdy się przebudził — trzymał w ramionach gitarę.

To, czym knajpa „Pod wesołym trampem” różniła się od reszty okolicznych knajp portowych, i co sprawiało, że stała się moją Mekką, to były dwie rzeczy: świetna kuchnia tradycyjna (niemiecko-żydowska), wszystkie te boskie kotlety „Mamy Klary” (siostry „Cygana”) i jej męża (ci dwoje władali kuchennym rewirem), oraz fakt, że „Cygana” nie tolerował u siebie „mewek” i alfonsów. Nawet „Pyza” i „Nesca”, chociaż dawały licznym gościom, rozmaitym marynarzom i obieżyświatom, musiały dbać o pozory, umawiać się gdzie indziej, udawać cnotki wystrzegające się kurewstwa. „Cygana” wiedział, że się puszczają, lecz nie chciał, by mu robiono burdel „na pokładzie”. Tak więc klientela, która tu przychodziła, składała się głównie z wyższych warstw żeglugowych i portowych — kapitanowie, oficerowie, bosmani, agenci portowych biur i magazynów, funkcjonariusze straży portowej, różni wagabundzi i „wilki morskie”, które lubiły pogawędzić, powspominać i pograć, bo na zapleczu była sala do gry w karty, dwa stoliki kryte obrusami z zielonego sukna i kredens pełen drogich trunków. Jako niespełniony globtroter — rekompensowałem sobie brak realizacji egzotycznych marzeń, słuchając opowieści tej trampowskiej ferajny.

Wskutek identycznego głodu zaglądało do szynku „Pod wesołym trampem” kilku dziennikarzy i artystów. Ci się zakładali o wiarygodność marynarskich gład. Uczynili z tego rodzaj hazardu:

namówiony kapitan, bosman czy zwykły majtek opowiadał historyjkę niekoniecznie fałszywą, lecz zawierającą fałszywe elementy, i trzeba było zgadnąć co jest nieprawdą w tym bajerunku. Kto pierwszy wskazał fałszywy element, zgarniał całą pulę zakładu, ale jeśli trafił kiepsko, płacił jako karę pięciokrotność stawki. Przykładowo: gdy opowieść tyczyła Nowej Zelandii i bajerant truł coś o misiu koala lub o dziobaku, należało krzyknąć: „ — Fałsz!”, bo koala żyje tylko w Australii, a dziobak w Australii i na Tasmanii. Lecz gdy się krzyknęło, że corridy nie ma w Meksyku, bo to hiszpańska monopolistyczna specjalność — płaciło się karę. Kilka razy zapłaciłem. Bez goryczy, pełen rozkoszy. To był przedsięwzięcie rajy.

## 8.

### **Dialog z misjonarzem „Bożej Foczki”**

Nad knajpą „Pod wesołym trampem”, na strychu, mieszkał pewien stale obecny w knajpie typ, którego nie dawało się jasno zaszeregować: wieczny klient, czy może raczej niezbyt formalny członek personelu? Bez wątpienia lokator. Był sinawy (od ilości alkoholu), wychudły niby wiór, długowłosy, pazurzasty (szponiaste paluchy i długie paznokcie), łącznie: derwiszowaty wedle mojego przekonania. Nosił habit mnicha i twierdził, że jest „duszpasterzem” (raz mówił, że jest diakonem, innym razem, że wikarym, a jeszcze innym, że prałatem), w co nie wątpiono, ponieważ „Zgaga” (miał ksywkę „Zgaga”, tylko kucharz „Rondel”, mąż „Mamy Klary”, warczał o nim: „Dupa biskupa”) upierdliwie cytował każdemu Pismo Święte gwoli napominania, piętnował zbiorowe grzechy ludzkości tudzież indywidualne grzechy każdego kogo dopadł, i nawet pijaniusieńki używał zwrotów biblijnych wypowiadając każdą

kwestię, również fizjologiczną:

—Zaprawdę, powiadam wam, że przyszedł mój czas, by się pozbyć uryny w tym przybytku nieprawości wszelakiej, bo ciało moje plugawe, marność nad marnościami, domaga się już tego!

Tak głądził, idąc ku drzwiom klopa, i kiedy stamtąd wracał, unosząc habit, by zapiąć spodnie, belkotał mową równie świątobliwą:

—Albowiem ciało nasze jest, drodzy bracia i siostry, jako ta trawa, a wszystka rozkosz cielesna niby ten kwiat w polu. Uschła trawa, opadł kwiat, bo nie ostał się podmuchowi wiatru Przedwiecznego. Zaprawdę, człowiek jest jako ta trawa!

Niejednemu gościowi dokuczył, wielu innych drażnił; sama obecność, sama ruchliwość „Zgagi” między stolikami, uwierała niektórych bardziej niż jego kleszy jazgot. Mnóstwo razy namawiano „Cygana”, by się pozbył „tego pasożyta”, „tego hycla”, „tego profanatora habitu”. Sam fakt, że zrzęda mieniący się „duszpasterzem” regularnie zalewał pałę, wygrażał gościom pięściami i nosił pod habitem frędzlaste dżinsy oraz szpiczaste kowbojskie buciory, zdawał się wystarczająco usprawiedliwiać monity jego wrogów. Ale „Cygana” go lubił, więc wszelkie dziamdziolenie przeciw „duszpasterzowi” było grochem walonym o ścianę — „Zgaga” miał w „Pod wesołym trampem” status niezatapialnego.

Mnie nie wadził. Szanowałem go już choćby tylko za to, że swego czasu wędrował po całym świecie (będąc kapelanem wypraw tropikalnych tudzież arktycznych), i że opowiadał swe dawne peregrynacje nie gorzej niż „wilki morskie”, a właściwie lepiej, bo solidniej, mniej koloryzując. Iluż pasjonujących rzeczy dowiedziałem się dzięki niemu! Czy wiecie, że Eskimosi nie modlili się kiedyś per „chleba naszego powszedniego”, jako że nie wiedzieli co to chleb? Kiedy misjonarz „Zgaga” ewangelizował wśród igloo

Grenlandii, „głosząc Słowo Boże”, musiał wymyślić coś innego dla tych fokożerców. Wymyślił bardzo prosto: „żarcia naszego powszedniego daj nam dzisiaj”. A „Baranka Bożego” zastąpił „Bożą Foczką”, ponieważ Eskimosi nigdy nie widzieli owiec. Dopiero kilkadziesiąt lat później zobaczyli wszystko w telewizorach, i wcale im to nie służy przyzwocie; dzisiaj eskimoskie nastolatki łązą imitując gibaniem i powłóceniem nogami sposób chodzenia alfonsów z Bronxu.

Kiedy „Zgaga” zainteresował się mną pierwszy raz, byłem lekko wystraszony. Zbliżył się do mojego stolika i spojrzał ciepło, czym wystraszył mnie jeszcze mocniej. Nie od razu usiadł, tylko sterczał pochylony, trzymając dłońmi krawędź blatu. Wreszcie westchnął, chrząknął (miało to chyba być przywitaniem) i skrzeknął:

—Co ty tu robisz, bracie mój?

Chciałem się przedstawić:

—Jestem...

—Wiem kim jesteś, Boża krówko. Jesteś „Student”, pomiot Adama i Ewy, jak my wszyscy, dzieci Boże, niechaj będzie błogosławiona glina Pana naszego. Czy raczej muł. Albowiem z mułu powstałeś i w muł się obrócisz.

Tu nie zabrakło mi refleksu:

—Słyszałem, że w proch...

—W proch też, jak muł wyschnie pod słońcem palącym niby gniew Przedwiecznego, który chłoscze grzeszników, a już pyskujących zuchwalców zwłaszcza. Rozumiesz, „Student”, umiłowany bracie mój?

„Pyza” i „Nesca” zwały mnie „Studencikiem”, lecz on „Studentem”, i ta bardziej męska ksywka została moją w knajpie „Cygana”, a tylko dziewczyny dalej „studencikowały” mi po swojemu.

—No więc, czemu się tu szwendasz, wśród bliźnich, którzy nie są przyrodzeni tobie? —zapytał jeszcze raz „Zgaga”.

—Bo... bo chciałem być podróżnikiem...

—Na jaką cholerę, synu?! Znaczący: czemu gniazdo swoje opuszczać chcesz, by się wałęsać i włóczyć, dziecińo?!  
Tu ponownie wykazałem przytomność umysłu (błysk refleksu):

—Pan Jezus też wędrował...

—Bo nauczał! Azali i ty chcesz być nauczycielem?

—Nie, chcę być globtroterem, proszę pana, trampem, a w Germanshaven jest tyle statków i tylu marynarzy...

—Do mnie się nie mówi „proszę pana”, tylko „proszę wielebny” lub „wielebny ojciec”, synu!

—Tak... rozumiem.

—Zaprawdę, gównie rozumiesz, gdyś nieszczęsny przy laź do tej nory, gdzie pleni się ziemski niegodziwość! Błogosławieni cisi i pokornego serca, co piją z krynicy Pana uległość i mądrość wieków.

Widac był już zmęczony staniem, bo przysiadł się i odwróciwszy łeb ku szynkwasowi, ryknął:

—„Pyza”

Nadbiegła „Pyza”:

—Czego, wielebny ochlapusie? Znalazłeś kolejnego frajera, by go doić?

Jej słowa wzburzyły „Zgagę”:

—Bądź przekłeta, niewiasto, albowiem rzecze Pan, iż jęzor niewieści

Sodomą jest i Gomorą tego padofu! Dawaj no butelkę whisky i dwie szklanki, a migiem, jeżeli nie chcesz, bym cię wyklął ze wspólnoty Bożej!

—On cię doi, „Studenciku”, nie widzisz tego?! — szepnęła mi w ucho, i lekko je przy tym liznęła.

—Dam sobie radę — mruknąłem. — Poproszę o dwie szklanki whisky, butelka to za dużo.

—Bez wody i lodu, wszeteczna córko Kaaneńczyków! — rozkazał

„Zgaga”.

—Dla mnie z sodą —poprosiłem.

Kiedy „duszpasterz” przepełukał już czeluść gardła — rozparł się, omiół salę wzrokiem i westchnął:

—Zaprawdę, ta pijacka mordownia nie jest właściwym miejscem dla młodzianków twojego sortu, bracie mój! Spójrz na nich! To są pozioimi ludzie. Ludzie, których mózgi kurczą się wolno w zbyt ciasnych głowach! Których serca są wyschłe niby pustynne źródła nomadów! Których krew jest zmieszana z wodą! Brudną. Niczym próchniejące mumie w sarkofagach...

—O mnie też to pieprzysz?!... — krzyknął doń „Filozof” zza szynkwasu.

—O wszystkich moich bliźnich powiadam te gorzkie prawdy, bracie! —wycedził „Zgaga”.

—Panie młody! — krzyknął barman, tym razem do mnie swoje słowa kierując. — Jak będzie pan chciał się pozbyć tego kleszcza, proszę dać mu zwyczajnie w pysk. Byle solidnie, wówczas menda sobie pójdzie. Nie ma lepszego sposobu.

—Apage! —pogroził mu ręką „wielebny”.

Spytałem obu:

—Dlaczego panuje między wami nienawiść?

Odparł mi „Filozof”:

—Bo według niego Bóg na swój obraz i podobieństwo stworzył człowieka, a ja uważam, iż było całkiem odwrotnie. Jeszcze raz panu mówię, Herr „Student”, gdyby co, proszę dać dupkowi w pysk.

„Filozof” miał pecha, bo akurat wszedł właściciel lokalu i usłyszawszy kłótnię, warknął:

—„Filozof”, bacz, żeby Czuga z mojego rozkazu tobie nie dał w pysk!

—Ja tylko tak, dla żartu, szefie... —spłoszył się barman.

Kilka minut później „Zgaga” zamówił drugą turę brązowej cieczy.

Obiecałem sobie wówczas, że na trzecie stawianie mu alkoholu nie dam się naciągnąć, co chyba wyczuł, bo kolejnej szklanki już nie zamawiał. Próbował jednak wyłudzić kilka marek, perorując:

—Nie myśl, synu, że potrzebuję tych pieniędzy gwoli dalszego lania trucizny we wnętrze zewłoka mego ziemskiego, który marnością czczą był, jest i będzie, gdyż tylko duch wzniosły jest i godzien wszelakich starań. Potrzebuję tej mamony na jałmużny dla biedaków. Azali odmówisz mi, krzywdząc tym bezecnym skąpstwem ubogich bliźnich twoich?

Skrzywdziłem jednego bliźniego, odmawiając mu. Patrzył z takim wyrzutem, jakbym mu podwędził kilkaset marek. Rozłożył ręce gestem istoty bezradnej, a dotkniętej głęboko, strzepnął jakiś paproch ze stołu, czknął i wstał:

—Teraz cię opuszczę, synu. Powinności duszpasterskie nie mogą czekać, ty zaś się módl, Pan jest łaskawy, wybaczy ci.

## 9.

### **Satin pojawia się pierwszy raz jako student**

Odkąd stanąłem w Germanshaven, czekałem pełen niepokoju, że zaczepi mnie ktoś, z kim będę musiał „nawiązać pewien rodzaj współpracy”, wedle słów stryja Gabriela. Dni mijały i nikt taki nie ujawnił się. Pojawił się tylko nowy kolega —Satin.

Wszedł do auli wykładowej tuż przed przyjściem profesora. Krótką chwilę stał obok drzwi, szukając wzrokiem właściwego miejsca pośród amfiteatralnie pnących się ław i pulpitów. Tę chwilę wykorzystali siedzący, by go zlustrować. Dziewczyny gwałtownie zaznały wzrodu hormonalnego. Chłopakom pogłębił kompleksy. Był wysoki, szczupły, luzacko-elegancko ubrany i przystojny jak

filmowy żigolak, lecz bez tej kelnerskiej gładkości płatnych hotelowych jeburków lub kulturystycznej tępoty plażowych ratowników, która czyni z nich pudle buduarowe bądź lwy kurortowe dla prezesek i emerytek. Fala kruczoczarnej fryzury opadała ku wielkiemu byronowskiemu kołnierzowi, co rozlewał się na ramiona niby śnieżne epolety poetów. Tylko w mundurze oficera marynarki wyglądałby jeszcze atrakcyjniej. Babcie pradawnego sortu mówiły o takich: „Chłopak jak malowanie!”, lub: „Chłopak jak z obrazka!”.

Wybrał sobie miejsce samotne, na skraju górnego rzędu, blisko uchylonego okna, które przepuszczało do audytorium lekki wiaterek, cherlawy wiosenny skwar, zapach rododendronów i śpiew ptaków. Z małej skórzanej teczki wyjął kajet i dwa ołówki, jeden czarnografitowy, drugi czerwonekredkowy, starannie zaostrzone w szpice. Potem uniósł wzrok i zobaczył, że wszystkie dziewczyny mają głowy obrócone ku niemu. Muskał je kolejno spojrzeniem, a wtedy każda płoszyła się, kierowała źrenice gdzieś w bok lub zaczynała coś paplać do sąsiada lub sąsiadki. Był tylko nowym kolegą, studentem jak wszyscy, ale gdy się tam zjawił pośród nich — w atmosferze zaczęły wibrować dziwne, pełne napięcia i niepokoju prądy, dla których nie było żadnego racjonalnego uzasadnienia. Tak jak czujniki elektroniczne wyłapują dym, a radary nadmierną prędkość — tak ludzkie zmysły sygnalizują cudzą dziwność. Był nie tyle nowy, co inny. Zwykły nowy to żadna atrakcja.

Na salę wszedł profesor Harlund. Właśnie skończył sześćdziesiąt lat, więc uważano go za weterana uczelni, podczas gdy on uważał się ciągle za człowieka dojrzałe młodego, nigdy bowiem nie chorował, nie tetryczał, nie łysiał i siwizna nie tykała jego fryzury z przedziałkiem. Owszem, podejrzewał, iż kiedyś zemrze jak każda ludzka małpa, ale była to wizja równie daleka co jego narodziny i nie zajmowała mu umysłu. Umysł miał owładnięty budowlami



przodków — wykladał historię architektury na kierunku Historia Sztuki. Tym razem miał mówić o francuskim Baroku ery Ludwików XIII tudzież XIV, i tak zaczął:

—Panie, panowie, kolumna!... Kolumna!... Ma coś z nazwiska Kolumba, który ponownie odkrył Amerykę dawno już odkrytą. Renesans odkrył znowu kolumnę odkrytą już w dalekiej Starożytności przez Egipcjan i Greków, a Barok uwznioślił ją do potęgi francuskiej. Francuscy architekci, jak również francuscy rzeźbiarze, którzy parali się stawianiem pomników, mawiali: „Rien n'est plus noble q'une colonne" — nic nie jest bardziej szlachetne od kolumny. Dlatego... Przepraszam bardzo, czy mógłby pan zamknąć to okno, panie... Jak pan się nazywa?

—Nazywam się Retea, Satin Retea, panie profesorze.

—Jest pan nowy?

—Tak, panie profesorze. Wskutek przyczyn rodzinnych nie mogłem dojechać na początek semestru. Uzupełnię te dwutygodniowe braki bardzo szybko.

—Cieszę się. Proszę z łaski swojej przymknąć tamto okno, bo ptaków jest więcej i skrzeczą głośniej niż ja, chór to zawsze chór. Dziękuję panu... A więc —kolumna! Kolumnady barokowego Rzymu miały istotny wpływ na Paryż odkąd...

Nowy, stojąc już przy parapecie, chwycił klamkę, lecz miast domknąć framugę, wpatrzył się w coś po drugiej stronie muru i znieruchomiał. Minęło kilkanaście kolumnowych zdań profesora Harlunda, nim ten urwał wywód, by spytać:

—Panie Retea, stało się coś?...

Nowy odwrócił głowę:

—Nic szczególnego, proszę pana.

—Zatem?

—Już domykam, panie profesorze.

—Wolno spytać co pana kusiło na zewnątrz, prócz, rzecz jasna,

chętki wyzwolenia się od nudy, którą usypiam pańskich kolegów?

—Pewna ptasia kwestia, panie profesorze. Czekałem aż ptak ją skończy.

—Rozumie pan mowę ptaków?

—Tylko wysokość dźwięków, znaczenia dźwięków mylą mi się.

—Być może więc winien pan studiować ornitologię, kolego Retea, a nie historię sztuki...

—Być może, proszę pana. Czy mogę już usiąść?

—Ależ tak... Wróćmy zatem do tematu, drodzy państwo. Francuzi twierdzą, że ich XVII-wieczna sztuka, z architekturą włącznie, była bardzo różna od sztuki pozostałych europejskich krajów, z Italią włącznie, i że prawidłowym dla niej terminem nie jest Barok, lecz Klasycyzm, bo nawiązuje ona dubeltowo do Antyku, tak treściowo, jak i po części formalnie. Mają dużo racji — ich XVII-wieczni przodkowie zdecydowanie woleli formy klasyczne alias klasycystyczne od czysto barokowych. Świadectwem, faktem, który stał się anegdotą, może być wyprawa króla barokowej rzeźby, Berniniego, do Paryża. Kiedy tam przybył, fetowano go jak monarchę, ale kiedy wziął tam udział w konkursie na elewację Luwru, poniósł klęskę...

Któraś dziewczyna przerwała Harlundowi wywód:

—Kto wygrał?

—Wygrał pan Perrault, ale nie to jest ważne kto wygrał, proszę państwa, lecz dlaczego Bernini przegrał. Przegrał, gdyż jego barokowy projekt był dla kochających klasycyzm Francuzów zbyt barokowy. Jednak sprawa wcale nie jest taka prosta. Pamiętajmy, że pierwsze monumentalne kolumnady...

Czterdzieści pięć minut wykładu i przerwa. Na przerwie zaczęła nowego Doris. Podeszła trzymając papierosa w warstwie wiśniowej szminki i wysunęła pyszczek gestem proszącym o ogień.

—Nie palę, nie mam ognia —mruknął.

Chwyciła papierosa lewą dłonią i uśmiechnęła się:

— Nie szkodzi, przystojniaku. Jestem Doris. A ty Satin, jak słyszałam.

—Tak, Satin.

Podawała mu prawą dłoń. Ujął tę dłoń swoją prawą dłonią i przez chwilę nie mógł swojej wyswobodzić.

—Myślałam, że jesteś mańkutem...

—Jestem mańkutem.

—Skąd przyjechałeś?

—Z rodzinnego domu. Puść już moją dłoń, dziewczyno, po co tak ją ściskasz?

—Badalam twoją skórę, Satin.

—W jakim celu?

—Myślałam, że masz skórę satynową, a masz szorstką jak papier ścierny, twoje imię kłamie.

—Twoje też, nie masz dłoni ze złota.

—Ale mam włosy ze złota. Umów się ze mną na randkę, Satin.

—Po co?

—Żeby zazdrościły mi wszystkie, no i... rozumiesz.

—Chyba nie rozumiem.

—Nie rozumiesz po co spotykają się chłopak i dziewczyna?

—Żeby się wspólnie uczyć?

—Nie! Spotykają się, żeby tańczyć, i jeść lody, i wirować na karuzeli, i w ogóle.

—Co w ogóle?

—Słuchaj, czy ty jesteś pederasta, czy tylko udajesz głupiego, bo ci się nie podobam, chłopczyku?! —fuknęła wściekle.

—Nigdy nie byłem pederastą. Dopiero teraz, kiedy zrobiłaś się namolna...

—Nie podobam ci się?

—Nie.

—Dlaczego?!

—Mamy różny gust.

Prychnęła i poszła sobie, zła jak osa, budząc tym radość koleżanek. A on zszedł do dziekanatu, by załatwić formalności.

Stałem kilka kroków dalej, przy filarze, udając, że nie podsłuchuję, tylko gapię się w okno wieńczące kraniec korytarza. Imponowało mi, że facet umie dyscyplinować swoje libido. „Cud! Taki młody, taki atrakcyjny, a nie zepsuty!” — pomyślałem pełen zdumienia i zachwytu.

## 10.

### **Pokerowe szczęście żółtodzioba**

Między salą knajpianą a zapleczem hazardowym, które barman „Wygibus” zwał szyderczo „kasynem”, była kotara, lecz rozsuwana często, więc jeśli w sali głównej nie panował rumor, dobiegały od zielonych stolików krzyki emocjonujących się graczy:

—Moje!

—Zobaczymy, jak pokażemy co Bozia dała...

—Króle!

—Na czym?

—Na dziwkach.

—Mało! Króle na asach!

„Herr Doktor” zapytał mnie kiedyś:

—Nie chcesz sobie pograć, „Student”!

—Nie chcę.

—Nie umiesz, czy się boisz, bratku?

—Umiem, ale... tu trzeba mieć fart, a ja w grze zawsze mam pecha.

—Chrzanisz androny! Pechowcem jest ten, kto idzie z babą do

łóżka i dopiero tam odkrywa, że ona ma penisa, i to penisa nie z gumy czy z wosku. Brak karcianego fartu kończy się kiedy przychodzi karta, która wygrywa.

—Ile razy przychodzi karta, która wygrywa, ile razy?... —spytałem.

—Na dłuższą metę to gra z góry przegrana, prędzej czy później ma się puste kieszenie, a ja nie lubię przegrywać, nie lubię głupio tracić.

—Życie też jest rozgrywką z góry przegraną, wiesz, że umrzesz, a jednak grasz w to ile się da...

Ogarnął mnie śmiech:

—Teraz rozumiem dlaczego dostałeś ksywkę „ Filozof”!

—Zagraj sobie dla przyjemności, nie dla zysku —poradził mi „Herr Doktor”, i ruszył pełnić obowiązki barmana.

Gadał słusznie, w końcu mogłem sobie pograć dla przyjemności, zwłaszcza że nie groziła mi bandycka perfekcja szulerów. Szulerzy, czyli wydrwigrosze, których kapitałem jest ludzka głupota, nie mieli tu wstępu, „Cygan” tępił karcianych zawodowców niczym robactwo. A więc mogłem, lecz gra z zupełnie obcymi klientami knajpy nie bardzo mi się uśmiechała.

Jednak ta sytuacja szybko uległa metamorfozie. Tego samego dnia kiedy Satin Retea pojawił się na wykładzie profesora Harlunda — pojawił się również w knajpie „Cygana” ! I to wcześniej, przede mną —gdy stawilem się o zmierzchu w „Pod wesołym trampem”, już tam był. Siedział przy zielonym stoliku i grał. Widząc mnie, machnął ręką jak do starego kumpla, zaś chwilę później podszedł.

—Cześć, jestem ten nowy, widzieliśmy się na sali u Harlunda.

—Zapamiętałeś wszystkie twarze z tej sali, panie Retea?

—Tak, zapamiętałem wszystkich.

—Żartujesz!

—Serio, mam pamięć wzrokową. Przy tobie siedział okularnik ciągle przecierający szkła, dalej brunetka o dużych wargach i...

—W porządku, zdałeś, panie...

—Jestem Satin, ale mów mi Sat.

—Więc ty mi mów Matt.

—Sehr gut! Matt to od Mateusz?

—Pewnie.

—Cieszę się, że będę miał tutaj wsparcie kumpla z uczelni.

—A potrzebujesz wsparcia?

—Jasne, do kart, kolego!

—Nie grywam.

—No to czas zacząć! Nauczę cię.

—Umiem grać, lecz...

—Nie lubisz?

—Nie lubię przegrywać.

—Jest na to sposób.

—Jaki?

—Wygrywaj.

—Bardzo dowcipnie!

—Bardzo proste. Przegrywasz, bo pewnie licytujesz tylko z silnymi kartami, a w pokerze to błąd. Często wygrywają ci, którym karta zupełnie nie idzie...

—Mistrzowie blefu?

—Jawohl, Herr Matthauss! Na tym właśnie polega geniusz tej cudownej gry. Wbrew salonowcom pierniczącym o intelektualnej wyższości brydża, gry elit, nad pokerem, grą mętów — poker jest rozrywką parnasową, bo ma strukturę psychologiczną o takiej głębi, jakiej żadna inna gra nie daje. To starcie systemów intelektualnych, nerwowych oraz mimicznych, bardziej szekspirowskie niż zręcznościowe. Prawdziwa psychodrama. Decyduje zmysł kombinacji, spostrzegawczość, siła charakteru, plus metafizyczna doza szczęścia lub pecha, jak w tragedii antycznej, zaś siła kart jest dopiero na piątym miejscu, kolego!

—Możliwe, ale...

—Chodź, usiądź do gry bardziej bojowo niż kiedykolwiek, a zobaczysz! Będziesz mógł się wycofać gdy tylko zechcesz, nie ma żadnego przymusu.

Wcześniej grywałem ze szkolnymi kumplami, kiedy kończyliśmy gimnazjum męskie we Lwowie. Wiedziałem, że teraz gra będzie inna, bardziej serio. Rozpocząłem tchórzliwie, byłem spięty. Ale dopisujące mi jak nigdy szczęście szybko mnie rozluźniło, i owładnęły mną emocje typowe dla nałogowych hazardzistów...

Graliśmy długo, przerwaliśmy godzinę po północy. Czasami, kiedy musiałem spasować i odczekać aż partnerzy rozegrają rundę beze mnie — przyglądałem się twarzy i gestom Satina. Sztuczne światło wyostrzało jego rysy jak na „nokturnowych” malowidłach Georgesa de La Toura lub na „piwnicznych” płótnach caravaggionistów. Gdy siedział, robił wrażenie człowieka wzrostu średniego, choć był wysoki. Stojąc, zdawał się być dużo wyższy niż był w istocie, dzięki proporcjom sylwetki, które —jeśli obok nie stał ktoś bardzo wysoki — sugerowały imponujący wzrost. Równie imponujący jak siła jego nosa, podbródka, oczu i warg. Zakrzywiony nos i mocno wycięty podbródek wojowników budziły skojarzenia z drapieżnymi pyskami hiszpańskich grandów, których malował Diego Velazquez, wnuków Corteza i bandy aztekobójców. W matowo bladej twarzy ślepia płonęły niczym żuźle, a gdy miękkie, perłowe powieki nie przysłaniały ich — jego spojrzenie zmuszało innych mężczyzn do opuszczania wzroku. Kiedy zaciskał sine wargi — wzbudzał strach mężczyzn; kiedy je rozchyłał dla śnieżnobiałego uśmiechu — podobał się kobietom.

Budził moją sympatię jakoś naturalnie, w sposób zwierzęcy — lubiłem ton jego głosu, bo ten głos zdawał się mnie komplementować; lubiłem jego spojrzenia, bo zdawały się adorować moją twarz; lubiłem styl jego dowcipów, bo sugerowały symbiozę dwóch ekskluzywnie inteligentnych kpiarzy. Obecność Satina

uszlachetniała mnie we własnych oczach. A przy stole gry lubiłem kiedy rozdawał, bo wtedy zazwyczaj szczęście się do mnie uśmiechało.

I wcześniej (jako gracz żółtodziób), i później (jako gracz weteran), wiedziałem, że hazardzista nie powinien zbyt ufać swemu szczęściu. Słowem: zawsze miałem świadomość, że uśmiechy życzliwej człowiekowi fortuny (choćby życzliwej bardzo długo) dają mu gwarancję równie pewną co przysięga pijaka bądź cnota dojrzewających dziewic. Jednak o tym się nie myśli, kiedy uporczywa wena robi z ciebie króla Midasa: nieomal wszystkie karty, które tkniesz, zamieniają się w złoto. Graliśmy z kapitanem frachtowca i z portowym spedytorem spółki handlowej. Po czterech godzinach, kilka minut przed północą, całkiem już „ogolonego” kapitana zastąpił księgowy biura lokalnej stoczni, ale też puściłem go „bez gaci” do domu. Zdziwiony „Cygan” dłuższy czas warował blisko stołu, bacząc pilnie, przyglądał się moim palcom i kartom, zmieniał nam talię dwa razy, lecz nie stwierdziwszy szulerki, pokiwał tylko głową nad fartem „Studenta”, tłumacząc sobie moją passę jako przysłowiowy „beginner's luck” —debiutanckie szczęście głupiego.

Zgarnąłem tego wieczoru sześć tysięcy marek. Nigdy nie trzymałem w ręku tylu banknotów, to był dla mnie stan prawdziwego bogactwa. „Pyza” chciała koniecznie odprowadzić zwycięzcę do jego pensjonatu (lub do swej nory), ale „Cygan” pogroził palcem i przegnał ją. Satin mnie uścisnął, gratulując sukcesu:

—Chłopie, jesteś wielki, świat przed tobą!

Wyszliśmy z knajpy, łykając zimne morskie powietrze. Przygarnęła nas jasna noc. Kropelki potu wokół mego czoła stygły. Świecił ogromny dysk księżycy. Lekki wiatr głaskał policzki, żądze i liście drzew.



## II.

### **Bez klęski nie byłoby perswazji terapeutycznej**

Podczas kolejnych trzech gier w knajpie „Cygana” straciłem aż połowę „urobku” z wieczoru triumfalnego, lecz podczas czwartej odrobiłem to całkowicie i jeszcze zaliczyłem spory zysk. Kosztem Satina. Rzucił do „banku” wszystko co miał, ja przebiłem to dwukrotnie, i nie mogłem „sprawdzić”, gdyż nie dysponował już gotówką. Cała „pula” winna była wtedy stać się moją bez odkrywania kart. Wtedy zapytał:

—Przyjmiesz weksel?

Zdziwiło mnie to:

—Jaki weksel?

— Wypiszę ci weksel dłużny, na sumę konieczną mi do „sprawdzenia”. Zobowiązanie spłaty całego długu w ciągu miesiąca, jeżeli będę miał teraz kartę słabszą. Dwóch świadków złoży swoje podpisy obok mojego podpisu. Nie musisz się zgadzać...

—Wiem, że nie muszę.

Jednak zgodziłem się, z paru przyczyn. Raz: by zademonstrować, iż jestem dżentelmenem, spadkobiercą rycerskich tradycji przodków; dwa: przez ciekawość jak się ta historia skończy; tertio: polubiłem Satina; no i wreszcie dlatego, że miałem bardzo wysoką kartę. Satin napisał zobowiązanie, podpisał i rzucił weksel do „puli”, co się równało „sprawdzeniu”. Miał „Julia”. Ale ja miałem wyższego „Julia”, więc stał się moim dłużnikiem.

Oddał dług nim minęło półtora tygodnia, a kiedy zapytałem skąd Wziął tak dużą sumę w tak krótkim czasie, mruknął:

—Kredyt.

—Kto ci dał tak szybko kredyt?

—Życzliwy kredytodawca. Wzbudzam duże zaufanie, przyjrzyj się moim oczom! Sama słodycz, szlachetność, prawość tudzież godność, czyli absolutna pewność, że mam honorowy nawyk spłacania długów.

Miesiąc później role się odwróciły: ja zostałem dłużnikiem, a Satin wierzycielem. Dostałem „karetę” dam i licytowałem wściekle, nie bojąc się, że przegram. Lecz „kareta” zderzyła się z „karetą” — Satin miał „karetę” asów. Mój weksel kontrasygnowali ci sami świadkowie co jego weksel — „Herr Doktor” i „Cygan”. Tylko że mój weksel opiewał na sumę dużo większą: jedenaście tysięcy marek! Katastrofa.

Kolejnego dnia, skacowany fizycznie (wysokoprocentowy alkohol) i psychicznie (karciany dług) — łamałem sobie głowę pytaniem: jak mogłeś zaryzykować taką sumę, idioto?! Nie wiedziałem skąd wziąć pieniądze dla spłacenia długu, nie znałem żadnego źródła dużej gotówki. Młot pecha, który rąbnął mój łeb, wyrwał mnie ze złudnego snu (snu kretyna rozzuchwalonego wcześniejszym powodzeniem), a kafar otrzeźwienia nie chciał wbić mi do łba żadnej koncepcji ratunkowej, tylko mnie spłaszczał. Było to frustrujące jak cholera, przeżywałem istne piekło. Cały tydzień opuszczałem seminaria i wykłady, leżąc, paląc, pijąc i klnąc rozmiar swego debilizmu. Aż rozległo się stukanie do drzwi i zobaczyłem Satina. Przeraził się:

—Jak ty wyglądasz! Umyj się i ogól, człowieku!

—Kto cię tu puścił na piętro?! —warknąłem.

—Właścicielka.

—Czego chcesz, swojej forsy?!... Termin jeszcze nie upłynął, a w ogóle to... to ja już...

—Stary, nie chrzań, usiądź, pogadamy!

—O czym?!

—O czym chcesz, ale na pewno nie o długach. Nie teraz.

Był bardzo serdeczny. Dzięki niemu doprowadziłem się do porządku. Później zafundował mi kawę i słodki deser w śródmiejskiej restauracji. Opuściwszy lokal, wędrowaliśmy starówką, gadając. Głównie to on gadał, ja więcej słuchałem niż mówiłem. Chciał mnie uzdrowić.

—Dobrze rozumiem twój dyskomfort. Tak się dojrzewa, staruszkule, sam to kiedyś zaliczałem, mam już te blizny, czyli rutynę skałeczonych entuzjastów.

—Tu nie chodzi o przegrywanie w karty, Sat...

—Jasne, że nie o to. Tu chodzi o dojrzewanie, czyli o kryzys świadomości. O nowe spojrzenie na siebie samego, bratku. Wcześniejsza faza to faza późnodziecięca, smarkateria, niedojrzałość. Życie jest nad wyraz piękne, wszystko jest wspaniałe, niektórzy kolesie są co prawda dupkami, ale mnie to nie tyczy, ja jestem lepszy, prawda?... Jest się zawsze w porządku, co? Póki życie nie da klapsa, który cię otrzeźwi.

—Klapsa?... Dla mnie to jest coś innego, mocny kop w głupi czerep!

—Nie dramatyzuj, stary! To się przechodzi jak grypę. Gorsze będzie zapalenie płuc.

—O czym ty mówisz?

—O drugim kryzysie, kolejnym kamieniu milowym dojrzewania. Kiedy wykiwa cię baba, chłopczyku. Nie zwykła baba, lecz ta jedyna, w której się zakochasz jak bałwan, sercem i duszą...

—Nie wszystkie...

—Wszystkie.

—Jesteś pewien?

—Tak. To kwestia psychobiologiczna, kłamią wszystkie baby. Zew krwi, mus.

—Dlaczego?

—Przyczyny są różne, to bunt płci uciśnionej, więc rozgoryczonej, a każda rebelia jest walką, walczy się, żeby wygrać. Lecz przyczyny są

drugorzędne, może ich wcale nie być. Nigdy nie wiadomo dlaczego kobieta kłamie. Facet zawsze musi mieć cel lub powód, a kobieta kłamie również bez powodu. Kłamie, by kłamać.

—Skąd ty jesteś taki mędrak, Sat, masz i te blizny?

—Nie, edukował mnie gość z wyższym stopniem wtajemniczenia, prawdziwy fachura, sui generis weneryczny mason, ekspert, licencjonowany doktor.

—Przyznaj się, Sat, nie lubisz kobiet!

— Tak wydedukowałeś, drogi Watsonie, bo widziałeś, że popędziłam koleżankę o imieniu Doris?

—Nie zagaduj, tylko się przyznaj! Nie lubisz kobiet?

—Pudło, stary! Uwielbiam damy, nie jestem „ciotą”. Damulki zaprowadzą nas prostą drogą do nieba, nas obu.

—Jak to nas obu?

—Obu, ale mieliśmy dzisiaj nie rozmawiać o długach, kolego.

—To ma coś wspólnego z moim długiem?

—Ma. Lecz dzisiaj nie będziemy o tym mówić.

—Nie mówić jest łatwo. Ale jak nie myśleć o tym? Łamię sobie tym baniak bez przerwy, przez to kombinowanie on mi już pęka! Chciałem napisać do stryja lub do „starego”, jednak boję się, że...

—Nie wciągaj w to rodziców czy krewniaków, idioto! — krzyknął Satin. —Pewnie masz fajnych rodziców...

Zawiesił głos i zdawało mi się, że westchnął, że dosłyszałem nutkę żalu, więc burknąłem:

—Ujdą. A twoi?

—Też ujdą. Gdzie twoi mieszkają?

—W Galicji, blisko Lwowa. A ty skąd pochodzisz?

—Ja?... Ja pochodzę z rasy olbrzymów —wycedził dziwnym głosem, nie patrząc na mnie, tylko wprost, jednak źrenicami ślepyimi, nie widzącymi niczego wokół.

—Kim jest twój „stary”! —zapytałem.

—Mój „stary” nie jest z tego świata.

—Co mówisz?

Drgnął, jakby się ocknął. Potarł dłonią czoło i uśmiechnął się, wyraźnie fałszywie:

—No... nie jest z tego świata uniwersyteckiego, nigdy nie studiował, nie ma fakultetów i dyplomów jak twój ojciec.

—Skąd wiesz, że mój ojciec...

—Domyśliłem się.

—No więc gdzie twój mieszka? Daleko stąd?

—Daleko zewsząd. A właściwie blisko, zależy jak patrzeć. Jest już bardzo sędziwy.

—Kim był kiedy nie był sędziwy?

—Magikiem.

—Znaczy iluzjonistą?

—Mniej więcej.

—Takim wytwórcą trików i wyciągaczem królików?

—Coś w tym stylu. Robił fajne numery, był wirtuozem numerantstwa. Przyglądałem się temu od małego, od napisu na kościele...

—Jakiego napisu?

—Wielkiego, białego. To był pierwszy trik ojca, jaki zapamiętałem. W pewnym włoskim miasteczku, gdzie krótko przebywaliśmy, ktoś go zdenerwował, proboszcz czy zakrystianin, nie wiem, może kapelan kondotiera lub regionalny biskup. Byli mu winni pieniądze za coś. Na murze kościoła pojawił się napis: „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, odpierdol się!”. I nie chciał zniknąć. Zeskrobywali go, zamalowywali, a rano pojawiał się znowu.

—To wstrętne! —wybuchnąłem, nie kryjąc pasji.

—Pewnie, lecz mój stary był wojującym ateistą.

—Ty również?

—Cóż... szyszka pada niedaleko od jodły, kolego... Lubił sobie kpić:

— „Dzięki Bogu jestem ateistą”. Ja zostałem ateistą nie dzięki Bogu, tylko dzięki niemu.

— Znasz trik, którym przywracał ten napis, trik, którym go odtwarzał?

— Może nie robił tego żadnym trikiem, tylko nocą znowu tam coś malował...

— Nie kpij, bez wątpienia pilnowali muru każdej nocy.

— Owszem, pilnowali, lecz mój tata był sprytniejszy niż ta banda dupków. Cóż chcesz, magia to magia... No, muszę już lecieć, brachu, jestem spóźniony. Wpadnij jutro na uczelnię, a po wykładach zaproszę cię do siebie, będziemy gadać serio.

## 12.

### **Satin sprawia przykrość profesorowi Harlundowi**

Miłością profesora Harlunda był francuski wiek XVII, czyli klasycyzujący francuski Barok. Profesor Harlund miał obowiązek wpoić studentom faktografię budownictwa wszystkich prawie historycznych epok, od starożytności sumeryjskiej, egipskiej i hellenistycznej, po Empire i Eklektyzm wieku XIX, lecz jak każdy człowiek był mitomanem, to jest bałwochwalcą ukochanego mitu. Stąd murom i kolumnadom każdej epoki poświęcał jeden dwugodzinny wykład, zaś barokoidalnemu Klasycyzmowi Francji — i tylko jemu — aż pięć dwugodzinnych wykładów plus pięćtygodniowe seminaria. Później natomiast wlepił braci studenckiej pracę domową semestralną (tekst plus atlasik odręcznych rysunków) pod hasłem: „Scharakteryzuj swoją ulubioną epokę artystyczną w budownictwie monumentalnym”. Co roku ulubioną epoką artystyczną każdego studenta, który zaliczał

przedmiot profesora Harlunda, nie było budownictwo kultowe czy też funeralne faraonów, ani świątynie starożytnych Greków, ani Rzym ze swoim Colosseum tudzież Panteonem, ani Średniowiecze z superkatedrami Gotyku, ani nawet boskie monumentalizmy Renesansu włoskiego, tylko... tak, łatwo odgadnąć: była to francuska architektura barokowa, ergo Barok chronologicznie, zaś formami anty-Barok, bo ów Klasycyzm kontestował Barok po swojemu. Wszyscy wielbili akurat tę fazę i tę estetykę budownictwa, gdyż taki gust miała młodzież studiująca na tej uczelni dzieje sztuki i przekazująca sobie poliszynelem, że u Harlunda istnieje pełna swoboda wyboru, pod warunkiem iż będzie to czarny ford T.

Satin był pierwszym studentem, który się wyłamał. Jako swój ulubiony gmach monumentalny wskazał starożytną świątynię boga Setha w górnoegipskim Nubt, zaś jako swą ulubioną kolumnadę namaścił bretońską aleję menhirów sprzed kilku tysięcy lat. Dlatego sesję poświęconą ocenie prac semestralnych Harlund rozpoczął zaczepiając Satina komplementem, który był niczym pierwszy świst wiatru przed burzą:

—Pan jest bardzo odważny, panie Retea, gratuluję!

—Staram się, panie profesorze —rzekł Satin tonem luzaka.

—Wie pan, że Platon uważał odwagę za najmarniejszą spomiędzy cnót? —ciągnął dalej Harlund tym samym agresywnym tonem.

—Wiem, panie profesorze. Dlatego dialogi Platona to pseudo-dialogi, w których głównemu gadaczowi, mistrzowi, jego rozmówcy wyłącznie przytakują, klepiąc mantrę: „ — O, doprawdy, na Zeusa, jakże słuszne są twoje słowa! ". Platon cenił tylko tchórzliwych rozmówców, gardził bowiem odwagą. Stado słuchaczy przytakiwaczy i perorujący retor, to nie dialog, lecz terror słów.

—Terror słów?! A jak inaczej wyobraża pan sobie edukację, panie Retea?

—Jeśli chodzi o edukację, to wyobrażam ją sobie dokładnie w taki

sposób, w jaki pan naucza mnie i moich kolegów, panie profesorze — uśmiechnął się Satin. — Pan to robi genialnie, fenomenalnie, w sposób mistrzowski. Imponująco bez dwóch zdań.

Harlund wytrzeszczył oczy ze zdumienia, nie spodziewał się bowiem hołdu. Ludzka próżność, fundament uwodzicielskiej mocy pochlebstw, zmała mu rozum i kazała wykrztusić:

—Cóż... mniemam, że chodzi panu o...

—O słowa, panie profesorze — wyjaśnił Satin. — O manipulowanie ludźmi pianą słów. Właściwa perswazja jest jak hipnoza lub jak silny środek halucynogeny, można nią sprawić, że w oczach indoktrynowanego dzieją się istne cuda, na przykład żabom zaczyna rosnąć sierść. Można właściwie wszystko, choćby wmówić tłumowi, że wiek XVII to epoka Raju.

Harlund wytrzeźwiał gwałtownie:

—A panu ten wiek się nie podoba?!...

—Zupełnie mi się nie podoba, proszę pana... — odparł twardo Satin.

—Wolno spytać dlaczego?

—Bo to był wiek wyjątkowo wstrętny, panie profesorze.

—Wyjątkowo, mówi pan?... A to czemu?

—Bo zapanowała wtedy w Europie tak zwana „mała epoka lodowcowa” i szalała Wojna Trzydziestoletnia, stąd Europejczycy cierpieli zbiorowe męki, chłód, głód, epidemie, itp. Przeciętny wzrost ludzki zmniejszył się aż o trzysta centymetrów.

—Panie Retea, ja tutaj wykładam nie o ówczesnym Hiobie, tylko o architekturze! — przypomniał mu profesor. — Interesuje mnie architektura i urbanistyka!

—Czyli miasta.

—Można tak powiedzieć, miasta.

—Więc interesuje nas to samo. W miastach działo się wówczas najgorzej, panie profesorze, bo gnijące wewnątrz domów i wokół domów odpadki i odchody czyniły każdy gród jednym wielkim



szambem, a gnilne bakterie plus brak higieny produkowały epidemię za epidemią. Z pałacami nie było lepiej — Wersal, wskutek braku kanalizacji, cuchnął nakilkadziesiąt kilometrów. Jednak zarazy wybuchały nie w pałacach, tylko w dużych miastach. Fakt, że ludzkość przetrwała pańskie ukochane stulecie, to tylko rezultat naturalnej słabości epidemii. Żadna epidemia nie zgładzi wszystkich, zawsze przeżyje jakaś grupa reproduktorów, bo rozmnażanie płciowe przypadkowo w taki sposób zestawia geny pewnych ludzi dziedziczone po ojcu i po matce, że klucze wirusów nie pasują do żadnego zamka, morowe paskudztwo nie umie przełamać systemu odpornościowego tych farciarzy. Dzięki temu pan i ja możemy dziś prowadzić dialog, i to bardziej swobodnie niż chciał Platon, dialogowiec monologista.

Ten monolog Satina zamurował Harlunda trwalej — profesor nie wiedział jak się odszczeknąć. Długą ciszę hardy student przerwał pytaniem o ocenę swego wypracowania:

— Czy przy okazji może mi pan profesor powiedzieć jaką dostałem notę za te menhirowe kamyki sterzące niby fallusy ku pradawnemu niebu?

— Dostał pan menhira! — zgrzytnął Harlund. — Pałę! I nie tylko za menhiry, lecz i za świątynię Setha w Nubt, bo to łgarstwo, panie Reteal!

— Nie rozumiem, panie profesorze... Łgarstwo?!

— Nie mógł pan widzieć tej świątyni, gdyż ona nie istnieje już kilka tysięcy lat, i nie przetrwał żaden jej wizerunek, piśmienny czy graficzny, nic, literalnie nic! Nie mamy bladego pojęcia jak wyglądała. A pan ją podziwia, co? Za proporcje, za wzajemną harmonię brył, lub może za rzeźbiarskie formy frontonu?...

Satina te złośliwości nie skonfundowały ani trochę:

— Gdybym przysiągł, że w niej byłem, pan profesor nie uwierzyłby mi...

—Gdyby pan przysiągł, że był pan na Księżycu, też bym panu nie uwierzył, panie Retea.

—Więc powiem, że śniła mi się, panie profesorze.

—Zatem niech się panu teraz przyśni, że wyprodukował pan lepszą pracę semestralną. Bo ta z jawy jest godna tylko nagany, nie mógł się pan spodziewać oceny wyższej niżli dolna.

—Spodziewałem się, iż nie będę oceniany kodeksem barokomanii szefa przedmiotu, lecz bezstronnie, to jest sprawiedliwie — rzekł cierpko Satin. — Czynniki hobbystyczne, wszelkie zakulisowe prywatności, winny być nieistotne, decydować winna jakość. Aktorki ocenia się nie liczbą łóżek, przez które przeszły nim wstąpiły na filmowy plan, tylko jakością zagranych ról, a pisarzy nie miarą ich lizusostwa, ich oportunistycznego proreżimowego, tylko jakością literackiego warsztatu. Tak samo studentów winno się oceniać za przelewanie potu, a nie za sączenie wazeliny.

Tym ostatnim słowem głęboko uraził profesora Harlunda. Profesor wlepił w Satina jadowity wzrok i spytał serio, tonem fanatyka, który mając kłopot ze zrozumieniem źródeł czyjegoes oporu, zaczyna sądzić, iż rękawicę rzucono nie wskutek przyczyn merytorycznych, tylko politycznych.

—Pan jest anarchistą, panie Retea?

—Nie jestem członkiem żadnej z anarchistycznych grup, panie profesorze, ani nie wyznaję ich doktryny, choć ma ona bardzo głębokie zaplecze ideologiczne, na przykład w pismach Sun Tzu, chińskiego stratega wojennego, pół tysiąca lat przed Chrystusem...

—Pan to czytał?! —zdziwił się Harlund.

—Rok temu, panie profesorze. Pamiętam, że radził niszczyć tradycje przeciwnika i jego wolę walki, siać zamieszanie i chaos u wrogów, korumpować ich, deprawować zmysłowymi piosenkami i lubieżną muzyką, wreszcie ślać im nierządnicę, by dokończyły dzieła zniszczenia. Jeśli cywilizacja europejska pójdzie w tym

kierunku, jak planuje Gramsci...

—To zajdziemy do bolszewizmu etycznego! — przerwał mu Harlund.

—Pan się tego boi, panie profesorze?...

—Tak, obawiam się Gramscich i w ogóle komunizmu. Czy pan jest może komunistą, panie Retea?

—Również nie. Jestem politycznie indyferentny — uśmiechnął się znowu Satin. —Od dłuższego czasu.

—Od jak dawna?

—Od Adama i Ewy. Nigdy nie wyróżniałem któregoś skrzydła, lewego czy prawego. Zawsze byłem ptakiem używającym obu skrzydeł po równo, ptakiem wolnym.

Dziwne, lecz w tamtej właśnie chwili rozległ się donośny skrzek ptaka siedzącego na gałęzi blisko uchylonego okna auli wykładowej. Jakby ten ptak usłyszał dialog i chciał przekląć lub skomentować. Harlund popatrzył ku oknu i mruknął:

— Pan, zdaje się, rozumie mowę ptaków lepiej niż mowę architektów, panie Retea... Co ten ptak rzekł?

—Nic szczególnego, panie profesorze... — wzruszył ramionami Satin.

—Życzył panu, by pan nie zmałał o trzysta centymetrów, tylko to.

### 13.

#### **Czy iloraz religijności mierzy się ilością razy**

„Cygan” zezwalał grać Satinowi w karty, lecz nie zezwalał mu grać w kości, bo za każdym rzutem wychodziła szczęściarzowi pożądana liczba, a jak oczekiwano samych szóstek, Satin dowolną ilość razy z

rzędu wyrzucał same szóstki. Nic nie dawało zmienianie kości oraz kubków — wszystkie kości słuchały Satina jak psy tresowane. Mógł więc grać nimi rzadko, tylko wówczas, kiedy jacyś majątni buce podpadli „Cyganowi” i trzeba było ich „spłukać”. Takie eleganckie, wyższosferowe lub oficerskie towarzystwa wizytowały czasami „naszą” knajpę, dla zasmakowania „rynsztoku”, co było wśród burżujów i umundurowanych pajaców modną rozrywką — hulaszcze noce kończono w spelunkach portowych. Zeżłony butą i chamstwem tej klienteli, „Cygan” od czasu do czasu robił jej „kuku”, uruchamiając Satina, mistrza gry w kości (jeśli ten był akurat obecny), bądź „Filozofa”, który, jak trzeba, parał się szulerką karcianą. Po którymś takim triumfie Satina, kiedy kości figlowały wedle jego kaprysów, „Zgaga” warknęła:

—Moce czartowskie, ani chybi!

—Ani chybi schlałeś się, wielebny dupku, więc pieprzysz, jak to pijak! — rzekł Satin. — Moce czartowskie są w tej wodzie ognistej, którą codziennie absorbujesz bez umiaru. Mój hazardowy fart determinuje moc zupełnie inna, z innej sfery, dalekiej od czartów, fałszywy klecho!

—Tylko mi tu nie mów, że ze sfery wyższej, chwalebnej, przeklęty ateisto! — sapnęła „Zgaga”. — Jestli w tobie choćby gram wiary?

—Pytasz o Boga? Nic, ani grama, ani kieliszka, ani dwóch kropel. Nul!

—Zatem grozi ci, iż nie zostaniesz policzony do tych, których wychwala Ewangelia: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Pana oglądać będą”. Co znaczy, iż los cię czeka bardzo smutny, nie wejdiesz do Królestwa Bożego! Chyba że się odmienisz i odpokutujesz gorliwie, sukinsynu!... Pardon, Trójco Święta Miłosierna, wybac mi, chciałem rzec: marnotrawny synu. Satin, takich jak ty werbował Zbawiciel: —, Czyńcie pokutę, albowiem bez niej nie zaznacie Królestwa Niebieskiego”!

W oczach Satina rozbłysło wzruszenie. Ramionami. Uśmiechnął się i dalej bódł pijaka:

—Drogi „duszpasterzu”, nie zdałbyś egzaminu z Pisma Świętego! Trójca Święta Miłosierna? Człowieku! Nie wolno jej tak zwać, bo Święty Tatuś, staruszek Jahwe, był dużo bardziej mściwy niż hrabia Monte Christo. I to nie Jozua, lecz Jan Apostoł wypowiedział pierwszy te słowa o pokucie, wypowiedział je na Judzkiej pustyni. I tylko w starych, zupełnie błędnych przekładach „Nowego Testamentu”. Jan mówił bowiem o nawróceniu, nie zaś o pokucie, wielebny...

—Alleluja! Ty również się nawróć! Wpuść Chrystusa do serca twego! Powiada Księża: „Bogu swemu służyć będziesz”!

—Bogu?! —prychnął Satin. —Miałbym Jemu służyć?

—Przecież nie On tobie! Chciałbyś się równać, albo i górować, bojaźni Bożej niechając, ziemski robaku?!

—„Duszpasterzu”, nie wiadomo nawet czy On istnieje, czy nie istnieje!

—Istnieje, bez żadnej wątpliwości!

—Bez żadnej wątpliwości? Znaczący, że masz tego dowód. Wyłuszczone nam i wszystkim ludziom, to będzie rewelacja i rewolucja, łącznie: rewolucyjna rewelacja!

Cały czas wrzeszczeli i syczeli, ale teraz mnich wygłosił swoje cicho:

—Rozstrzygającym dowodem na istnienie Boga jest Jego istnienie, młody człowieku.

Ta definicja bardzo mi się spodobała, ale nie zamknęła ust Sarinowi:

—Bla-bla-bla, nie masz żadnych konkretów, więc nie możesz dowieść, że On istnieje. Ja zaś istnieję. Jestem tutaj!

—Jesteś, i wodzisz na pokuszenie drugich! Choćby Mateusza, kolegę twego nieszczęsnego, gier hazardowych grzesznych go

uczają! Prostujcie ścieżki swoje, nieszczęśni, albowiem...

Zachwiał się, ze słabości wskutek niewyspania lub niezakąszania, i byłby runął na podłogę, gdyby nie stół karciany, o który wsparł się dłonią. Dłoń ta dotknęła mimowolnie szklanki zawierającej resztkę trunku. „Zgaga” uniósł szkło pod światło lampy, by przebadać kolor, i wymamrotał biblijnie:

—Nie samym chlebem żyje człowiek, jak mówi Pismo...

—Pismo dalej mówi, że trzeba żyć „słowem”, wielebny, czy i to pamiętasz?

„Zgaga” machnął energicznie lewą ręką, jakby opędzał się od natrętnych much, a prawą wolniutko uniósł szkło ku spierzchnięciom łakomych warg.

Zapytałem Satina, tłumiąc głos:

—Skąd ty tak dobrze znasz Pismo Święte? Jak biblista albo jak kleryk...

—Jak kardynał, brachu! —burknął wesoło.

—No więc skąd, przyznaj się, do cholery!

—Do cholery to przyznam ci się, że umiem czytać, chociaż może nie wyglądam.

—Chrzaniisz, nikt nie czyta Biblii niby romansu, i nie uczy się jej na pamięć!

—Dlaczego? „Pieśń nad pieśniami” to arcyromans. I w ogóle Biblia to cudowna lektura, piekielnie interesująca, ja dostaję rumieńców. Chociaż jestem ateistą. Ty, Matt, jesteś katolikiem, zgadłem?

—Owszem.

—Ale chyba kiepskim...

—Jak to?

—Niezbyt gorliwym.

—Czemu tak sądzisz, skąd możesz wiedzieć, ateisto?!

—Bo nie lubisz wkuwać Biblii...

—I co z tego, cholera?!

—... oraz nie biegasz każdej niedzieli na mszę.  
—Jesteś pewny?  
—Jestem, kolego.  
—Śledzisz mnie, Sat?  
—Ani mi to we łbie, nie lubię tracić czasu.  
—Więc skąd masz tę pewność?  
—Po samej twojej gębie widzę, że na mszy świętej rzadko bywasz. Bądź wcale nie bywasz. I pewnie się nie modlisz.  
—Modlę się, ale tobie nic do tego!  
—Ile razy, bratku?  
—Co: ile razy?  
—Ile paciorków dziennie odmawiasz, Mateuszk?  
—Odwal się, Satin!  
—Ile razy, Matt? Mów!  
—No... —chciałem skłamać, lecz głos uwiązał mi w gardle.  
—Czwarty już raz cię pytam: ile razy?... —powtórzył Satin twardo. — Tylko nie łżyj, nie okłamuj mnie, Matt!  
—No... robię znak krzyża kiedy kładę się do snu.  
—Tak myślałem. Gdy kładziesz się do łóżka z kobietą, też musisz się przeżegnać?  
—Głupi żart, nie rób sobie z tego śmichów-chichów!  
—Z krzyża, czy z koedukacyjnego krzyżowania anatomii?  
—Aż tak mi zazdrościsz wiary w Boga, że tymi głupimi dowcipami, tym chromoleniem nieudolnie ścigającym kunszt ironii, chcesz leczyć swe kompleksy, pieprzony ateisto?! —palnąłem.  
—Daruj, więcej już nie będę, obiecuję, Matt — rzekł tonem pojednawczym. — Cieszę się, bardzo się cieszę, że szukasz swej drogi do Boga. Zawsze warto w coś wierzyć. Byle to była głęboka wiara, przyjacielu.  
—Ja wierzę gorąco! —zapewniłem. —Liczba modlitw nie ma tu nic do rzeczy, ani częstotliwość udziału we mszach. Katolicyzm to wiara

moich przodków, nigdy nie wyprę się tej religii.

—On też — rzekł Satin, wskazując „Zgagę”. — Mimo całego cierpienia, które mu przynosi otaczająca rzeczywistość. Im więcej bestialstwa i podłości na świecie, im więcej wszelakiego zła wokół, tym bardziej szarpią go wątpliwości, bo nie może zrozumieć, biedaczek, czemu ukochany herold miłosierdzia po zejściu z krzyża nie nareperował ludzkiego rodzaju, czemu nie interweniuje, czemu zezwała, by stulecie za stuleciem, epoka za epoką, triumfowały niczemność, amoralność i brutalność, by ciągiem łały się hektolitry krwi, by ta jatka, ta wszechziemska rzeźnia, ta wrogość bliźniego wobec bliźniego, trwała bez ustanku? Ty również masz ów problem, mój drogi?

—Nie. Nie stawiam sobie takich pytań.

—I nigdy tego nie rób, bo skończysz jak on. On topi w alkoholu ułomność dialogu z Panem Bogiem. Mówisz, lecz stamtąd nie przychodzi ani pół słowa. Brak odzewu. A dialog minus brak odpowiedzi, równa się monolog. „Reszta jest milczeniem” — powiada Szekspir. U „Zgagi” reszta jest chlaniem, Matt. Zalewaniem gorzałą bólu milczącego pytania, które bretoński poeta, Xavier Grali, tak wyraził: „Panie Boże, dlaczego się ukrywasz przed oczami tych, którzy Cię kochają?”.

#### 14.

### **Sztuka dwornych manier, zwana przez Włochów „la cortesia”**

Miesiąc po starciu z profesorem Harlundem doszło do starcia Satina z profesorem Bleibergiem, który wykladał nam historię malarstwa europejskiego. Hugon Bleiberg był szwajcarskim



mnichem, jego zakon posiadał rozległe grunty orne niedaleko Lucerny tudzież Berna, i w Lucernie starą siedzibę klasztorną, pyszniącą się architekturą Wieków Średnich. Kłębiasta broda miała mu przydawać dostojęstwa i lat, gdyż nie ukończył jeszcze pięćdziesiątki, co go zawstydzalo, czy nawet gnębiło, uważał bowiem, iż tylko seniorzy mogą być profesorami-wykładowcami szacownego uniwersytetu. Jeszcze ciekawiej zapatrywał się na malarstwo: uważał, że tylko malarstwo „przyzwoite” jest godne demonstrowania, co oznaczało, iż dla wszelkiej (nie tylko obsceniczej) golizny drzwi auli wykładowej Bleiberga będą zamknięte. Z rozkoszą prezentował i omawiał sceny religijne, tolerował sceny mitologiczne i rodzajowe, chwalił też pejzaże i martwe natury, a pomijał akty, by nie deprawować studentów. Gdy więc mówił o Rubensie — mówił o wielu jego dziełach, lecz nawet jednym słowem nie wspomniął o zwanych „wołowiną Rubensa” aktach rubensowskich. Starym zwyczajem żaków i burszów płatano mu figle, wieszając „wołowe” reprodukcje na korytarzu lub na ścianach auli, czego majestatycznie nie zauważał. On także, podobnie jak Harlund, kazał pisać pracę semestralną tyczącą całej „oeuvre” ulubionego twórcy (analiza manieri) bądź jednego mistrzowskiego dzieła tegoż twórcy, i wiadomo było, że mądrze zrobią konformiści, co wybiorą twórczość El Greca bądź któryś obraz El Greca, ponieważ dewocyjny mistycyzm pędzla El Greca stanowił hobby bleibergowskie.

Nie wybrałem El Greca, bo nie lubię tłoku, ale też nie zamierzałem ryzykować samobójczo. Wybrałem Georges de La Toura, francuskiego „księcia nokturnów”, zastanawiając się czy analizować jego obraz „Święty Sebastian ze świętą Ireną”, czy raczej scharakteryzować całą jego twórczość, gdyż wanitatywne melancholie „Magdalen” La Toura były tematem bezpiecznym. Satin, kiedy mu powiedziałem, gwizdnął:

—Fiu-fiu-fiu! To się akurat dobrze składa, bo ja biorę Caravaggia, zaś tenebrystyczny realizm Francuza nie istniałby bez „piwnicznego światła” i naturalizmu tego Włocha. La Tour wyrósł z Caravaggia, kolego. Bleiberg musiał o nim wspomnieć, historia malarstwa tamtej ery byłaby kpiną bez „caravaggionizmu”, ale tylko napomknął, dla porządku, chociaż winien poświęcić Caravaggiowi cały wykład.

—Czemu tego nie zrobił?

— Bo Michelangelo Merisi da Caravaggio był rozbójnikiem artystycznym, profanatorem, „bluźniercą”, który co i rusz rozwścieczał Kościół. Do malowania obrazów religijnych, także tych ołtarzowych, brał jako modeli pospółstwo, uliczników, lumpów, męty społeczne, i ukazywał tę hołotę bez żadnych upiększeń, bez idealizacji, werystycznie, dlatego zarzucano mu „wulgarny naturalizm”, „grubiańskość”, „gminność”, „chamstwo” *expressis verbis*, i wywalano te obrazy ze świątyń lub od razu nie wpuszczano ich do środka... Również te z tobą, Mateuszu.

—Twój kolejny głupi żart! —krzyknąłem.

—Półżart. Caravaggio bardzo chętnie ukazywał Mateusza, świętego ewangelistę, prezentował go kilka razy. Ja szczególnie lubię „Powołanie świętego Mateusza”, bo to scena w tawernie, przy stoliku hazardu, pięciu graczy, a Mateusz jest figurą centralną. Może się kiedyś okazać, iż ty również zostałeś powołany przy hazardowym stoliku...

Wówczas puściłem te słowa mimo uszu, gdyż myślałem już czy dobrze robię biorąc caravaggionistę za bohatera mojej semestralnej pracy. Jakikolwiek wpływ Caravaggia mógł stanowić niebezpieczeństwo. Wyszukałem w bibliotece uniwersyteckiej parę lektur, które zjeżyły mi na głowie włosy. Ów XVII-wieczny Makaroniarz był żulem, awanturnikiem, nożownikiem, zwykłym bandytą. Stukł, skopał, zranił ciężko wielu Bogu ducha winnych

ludzi, raporty sił porządkowych nieustannie wzmiankowały jego nazwisko, miał proces za procesem —tylko w ciągu dwóch lat (1604-1605) ośmiokrotnie trafił do więzienia, a niecały rok później (1606), jako morderca, musiał uciekać z Rzymu. Gdzie indziej (Neapol, Malta) łobuzował tak samo —bił, kaleczył, krzywdził.

—Profesor Bleiberg cię rozszarpie za jakiegokolwiek uhonorowanie tego zbira! — oświadczyłem Satinowi przy kolejnym spotkaniu. — Caravaggio to paskudny bandzior...

Satin spojrział na mnie z politowaniem:

—Bandzior?

—A nie?

—Może i tak, lecz gwałtowną naturę i zbyt wybujałą dumę czy hardość mają tysiące, setki tysięcy, miliony osobników. Psychobiologicznie „homo sapiens” to „homo rapiens”, rozbójnik obdarzony wielką siłą destrukcyjną. Caravaggio trochę przesadził, trochę za bardzo się gorączkował, ale to przecież bez znaczenia, bo mistrzem pędzla był wyborynym, nie sędzisz?

—Bardziej niż mistrzem pędzla był mistrzem noża. Jak kiedyś mówiono: sztyletnikiem.

—Nie bardziej, lecz po równo. Był mistrzem dubeltowym. Ale nie był skrytobójcą, nie uderzał w plecy, Matt.

—Skąd możesz o tym wiedzieć?

—Czy to ważne skąd? Wiem, po prostu.

—Chrzaniśz bzdury, bo go lubisz, jednak Bleiberg go nie lubi, więc nie ryzykuj, da ci pałę!

—Istotnie, lubię maestro Caravaggia, bo czyste zło oraz czysty geniusz twórczy w jednym ciele to coś fascynującego, więcej, porywającego — przytaknął, deformując wargi do zbójckiego uśmiechu. —A Bleibergowi ktoś winien dać klapsa za lekceważenie jednego z największych malarzy wszech czasów, i ja to uczynię. Już wybrałem obraz.

—Który?

—Początkowo chciałem dać „Śmierć Matki Bożej”, gdzie modelką Caravaggia była rzymska ulicznica, ale tu, w Niemczech, przeważają protestanci, którzy nie kochają Madonny, więc taka desakralizacja ich nie rusza, dlatego zdecydowałem się na „Egzekucję świętego Jana”, bo będzie budziła temperaturę mocniejszą.

—O czym mówisz?

—Zobaczysz.

Ze strachu, że nie zaliczę, rzuciłem de La Toura i przeanalizowałem „Upadek Ikara” Bruegla Starszego, gdyż był tam śliczny korab z rozwiniętymi żaglami, bezmiar morza pełen wysp, oraz słoneczny horyzont, i wszystko to karmiło moje tęsknoty podróżnicze. Satin się jednak nie cofnął, usłyszał więc pytanie, od którego profesor Bleiberg zacząć musiał:

—Panie Retea, dlaczego ten Włoch, a nie ktoś inny? Tak bardzo lubi pan hulaków, morderców i bluźnierców?

—Nie, panie profesorze, wybrałem go, ponieważ lubię genialnych twórców — odparł Satin, wstając. — Fakty nożownicze, jak również fakty ekspulsyjne, to jest eksmitowanie dzieł Caravaggia z kościołów, nie mają dla mnie znaczenia, liczy się sztuka.

— Sztuka bezwstydney, bluźnierczej profanacji! — zagrział profesor.

— „Śmierć Madonny” wyrzucono z kościoła Santa Maria della Scala, bo rzymska dziwka została namalowana jako Rodzicielka Chrystusa, brudna, śmierdząca i złachmaniona, wbrew wszelkiej estetyce!

—Ale nie wbrew statystyce — wycodził Satin. — W ówczesnym Rzymie mieszkało trzydzieści sześć tysięcy kobiet, z czego więcej niż jedna trzecia, trzynaście tysięcy, parała się prostytutką. Modelek dla scen rodzajowych nigdy nie szukano wewnątrz prywatnych domów...

Bleiberg, coraz bardziej siny na twarzy, wychrypiał:

—Rzekł pan, iż bez znaczenia są fakty nożownicze, tymczasem temat pańskiej pracy to „Egzekucja świętego Jana”, gdzie leitmotivem mianowano przecięte gardło!

Satin uśmiechnął się i wyeksplikował, nie bez słyszalnej nutki triumfalizmu:

—Kocham ten obraz, bo to szczególny obraz. Jedyne obraz Caravaggia, który ma sygnaturę autora. Podpisał się krwią cieknącą z szyi zabitego: „Fra Michelangelo Merisi” — Brat Michał Anioł Merisi. Jako członek zakonu maltańskiego, mnich, o czym pan, panie profesorze, chyba wie, będąc również członkiem klasztornej bractwa?...

Wszyscy w auli zamarli — wstrzymywaliśmy oddechy, co drugi miał chyba gęsią skórę (ja miałem). Oczekiwana furia Bleiberga jednak nie nastąpiła —nie ryknął, lecz syknął niby wąż:

—Tak, panie Retea, wiem, i o panu również wiem już wystarczająco dużo, by postarać się, aby pan został relegowany z tego uniwersytetu. Nie wiem tylko jednej rzeczy, Herr Retea...

—Słucham, panie profesorze —mruknął ciepło Satin.

—Nie rozumiem czemu pański elaborat nosi tytuł „Kurtuazja”. Gdzie tu kurtuazja, gdzie tu uprzejmość?

—Zechce pan profesor spojrzeć na załączoną reprodukcję. Kat prawą ręką trzyma sztylet, którym wymierza się „coup de grace”, dobijający „cios miłosierdzia”. Włosi zwą ten katowski nóż: „la cortesia” —kurtuazja, końcowa uprzejmość. Chciałby pan profesor wiedzieć coś jeszcze?...

## 15.

### Zmartwychwstałe piękno róży pogrzebu

Czymkolwiek jest umiejętność trafiania do ludzkich serc — Satin jej nie posiadał. Lecz cudownie trafiał do ludzkich żądz, ambicji, zmysłów, tęsknot, takich jak głód zabawy czy ryzyka, szaleństwa albo niebezpieczeństwa — do wszystkiego co gasi nudę, kusi, nęci, obiecuje humor, przygodę lub jakąś inną atrakcyjność.

Po drugie: klucz vel wytrych, czyli maniery, kindersztuba. Satin był, dzięki swemu zachowaniu, wcieleniem, żywą ilustracją kurtuazji: główny atrybut jego osobowości stanowiła zniewalająca wszystkich sympatyczność, a główną cechą jego trybu postępowania wobec bliźnich — nienaganna uprzejmość. Nawet gdy dokopywał werbalnie (erudycyjnie bądź interpretacyjnie) któremuś spośród wykładowców, okazywał im morderczą grzeczność, wzmagającą rezultat uderzenia, a kiedy studził erotyczne zapęły Doris, uśmiechał się jak galant, który strzepuje pyłek z kłapy marynarki nonszalanckim ruchem. Wobec większości bliźnich rozwijał swój kuszący „charme” niby rycerz, co pod nogami damy wysiadającej z karety rozpościera swój perłowy płaszcz, żeby błoto nie ochlapało złotych trzewików. I był mistrzem gestów, które produkują ludzką wdzięczność czy nawet miłość — tych tak ważnych drobnych gestów, zapamiętywanych do końca życia. Wszystko to razem stanowiło sekret jego siły. Będąc młodzieniaszkiem — nie pojmowałem jeszcze, iż grana sympatyczność i fałszywa wielkoduszność są równie skuteczną bronią licznych łajdaków, co demonstrowana cnota licznych kobiet.

Pierwszy cudowny gest Satina, jaki pamiętam, miał miejsce na ulicy, gdy wracaliśmy z kawiarni do gmachu uniwersyteckiego i mijaliśmy pogrzebowy kondukt, który maszerował jezdnią w

przeciwną stronę, ciągnąc za katafalkiem i księdzem otoczonym gromadką ministrantów. Cudowność tego gestu była dubeltowa, gdyż grzeczność została wsparta magią. Satin, ku mojemu zdziwieniu, zatrzymał się, więc pomyślałem, że zna nieboszczyka bądź żałobników, dlatego spytałem:

—Kogo chowają, Sat?

—Nie jestem pewien — odparł. — Ale wydaje mi się, że tego w trumnie.

Mówiąc to, przyglądał się nie trumnie, lecz ubranej czarno dziewczynie, która szła blisko chodnika, zamiast wewnątrz zwartej grupy konduktu. Niosła jedną żółtą różę, już zwiędłą wskutek nieuczciwości sprzedawcy lub niemożności wysupłania paru groszy na świeży kwiat. Kiedy mijała Satina, ten zrobił ku niej dwa kroki i delikatnie chuchnął ku zwiędłym płatkom, a te momentalnie ożyły i róża wyprężyła swe wdzięki, rozkwitając po królewsku. Wzrok dziewczyny też rozbłysnął, zaś Satin uklonił się leciutko i cofnął ku krawędzi chodnika. To była piękna scena; oniemiałem, mówiąc:

— Czary-mary! Zmartwychwstanie kwiatu! Wskrześ jeszcze nieboszczyka, Sat.

—W tej trumnie leży kobieta, która nic mnie nie obchodzi, więc nie będę się wysilał dla niej.

—Jak zrobiłeś ów różany cud?

—To nie cud, zwykła magia. Powiedziałem ci już, że mój ojciec był magikiem, iluzjonistą. Kuglarska magia opiera się nie na cudach, tylko na znajomości praw biologii, kinetyki, optyki, psychiki i mechaniki, tudzież na pomysłowej technologii trików. Od lewitowania i znikania, do produkcji złota alchemicznego.

—Umiałbyś wyprodukować złoto, Sat?

—Bez trudu.

—To czemu tego nie robisz?

—Bez trudu, pod warunkiem, że dałbyś mi tyle złota, ile pragniesz

uzyskać alchemicznie. Wiesz jak Edward Kelley oraz inni kuglarze dawnych epok czarowali dwory europejskie „produkując” złoto? Chowali złoto w podwójnym dniu tygła, a gdy tygiel podgrzewano, cienkie denko górne roztopiało się, przez co warstewka złota wypływała na wierzch „magicznej mikstury”. Bezblędna metoda kołowania frajerów —bardzo prosty trik techniczny, tylko trzeba go było znać.

—A ten trik z różą?

—Trochę serca w oddechu, czyli uczuciowy wydech.

—I to wszystko?

—Prawie wszystko co chcę ci teraz zdradzić, nie obiecywałem, że będę ci zawsze objaśniał wszystko. Mogę ci teraz wyjawić jeszcze tylko czemu zwróciłem uwagę na tę dziewczynę akurat.

—Była brzydka, więc czemu?

—Brzydka?... Jak dla kogo. Łacinnicy mówią: „de gustibus”, a Brytole: „every man to his taste...”. Każdemu podoba się coś innego, przyjacielu.

—Więc co ci się w niej podobało?

—Krew Bleiberga.

—Czyja?!

—Profesora Bleiberga. To jego ukochana siostrzenica, sierota, pupilka, pączek róży.

—Skąd to wiesz?

—Że pączek róży? Każdy pączek jest do łatwego zerwania, zapytaj ogrodników...

—Pytam skąd wiesz, że to siostrzenica Bleiberga!

—Przez przypadek. Zresztą ona nie jest siostrzenicą profesora.

—A kim? Sam mówiłeś, że jest siostrzenicą!

—Formalnie jest, bo tak zaświadczają metrykalne papiery i Bleiberg tak ją określa, lecz naprawdę jest córką tego mnicha spłodzoną po kryjomu, w grzechu, daleko od świątobliwych obrazów, samo życie!



—Skąd to wiesz, Sat?

—Mówiłem ci już —dowiedziałem się całkiem przypadkowo.

—Myślę, że kłamiesz!

—Tylko wtedy, kiedy trzeba, lub dla zabicia nudy, a więc nigdy bez celu. Wobec Bleiberga mój cel jest bardzo jasny.

—Chcesz się zemścić?

—Muszę się bronić, przecież obiecał, że mnie releguje.

—Jak dotąd nic nie słyhać, by wszczął starania o relegowanie cię z uczelni, to były puste groźby, nie wykonał żadnego ruchu...

—Gdyż się wystraszył.

—Czego?

—Że zostanie nagłośniony fakt, iż wykładając pomija tytanów malarstwa. Boi się skandalu. Będzie czekał aż dam mu lepszy pretekst.

—Więc nie dawaj!

—On za pretekst może uznać wszystko, dlatego muszę go wyprzedzić! Sztabowcy armijni zwą to „wojną przewencyjną”, Matt. Jednym słowem: muszę dać mu pół twego imienia, pierwszą połówkę Matthausa, przyjacielu.

—Mojego imienia?!

—Czyż „Matt” nie oznacza po niemiecku ciosu końcowego na szachownicy?

Myślałem, że pajacuje, ale on mówił serio, o czym przekonałem się, gdy pierwszy raz zagościł w jego domu. Nad biurkiem zobaczyłem tam reprodukcję obrazu Caravaggia „Św. Mateusz i anioł” z berlińskiego Kaiser Friedrich Museum — „Sankt Mattheus mit der Engel”. Anioł prowadzi rękę muskularnego celnika, który trzyma otwarty wolumin. Na początku wieku XVII kler wyrzucił to płótno za drzwi Kaplicy Contarellich kościoła San Luigi dei Francesi, bo drażniła duchowieństwo brutalna gruboskórność figury celnika i nieprzyzwoita poza tulącego się doń anioła płci żeńskiej. Gdy obraz

ten został zniszczony w trakcie bombardowań 1945 roku — pomyślałem sobie, że to kara Niebios dla Satina. Ale wówczas, w 1937 roku, patrząc na reprodukcję u Satina myślałem tylko o jego niezdrowym pociągu do malarza, co był wcieleniem diabła — hulaką i bezhamulcowym bandziorem. Zapytałem wtedy:

—Sat, czy ty kochasz zło?

Przez chwilę świdrował mnie spod zmrużonych powiek, i odparł:

—A czy ty, Matt, kochasz przyrodę?

—Bardzo.

— Jest surowa, dzika, bezwzględna, nieprzewidywalnie katastroficzna i regularnie bestialska, szalenie okrutna, wręcz sadystyczna, więksi pożerają mniejszych ciągle, często żywcem, od samej góry, do samego dołu. Za co ją kochasz?

—Za piękno pejzaży, za klimaty romantyczne...

—Krótko mówiąc: za piękno?

—Tak.

—No widzisz!

—Ale zło nie bywa piękne!

Uśmiechnął się kącikiem ust:

—Jesteś tego pewny, Matt?...

## 16.

### Satin wykłada teorię czaszek much

Początek tamtego stulecia na nowo otworzył (przed ludźmi czytającymi, jak również przed masami analfabetów i półanalfabetów) rozliczne sezamy metafizyki — nie tylko skarbce jasnowidzeń, telepatii, telekinezy, teozofii, okultyzmu czy spirytyzmu, lecz i wszelkich psycho-, od psychopatologii do

psychoanalizy, psychodelizmu i rozmaitego, mniej lub bardziej scjencyznego, szamaństwa. Kto się nałykał Baudelaire'a, Bergsona, L'Isle-Adama, D'Annunzia, Kierkegarda, Strindberga, Maeterlincka, Huysmansa, Freuda czy Poe'go — nie mógł już być normalny w sensie mieszczańskim, określanym jako filisterstwo vel kołtuństwo. Sawanci, literaci, publicyści, artyści, politycy, handlowcy, przemysłowcy, tudzież kobiety jeszcze bardziej bezkrytycznie — wszyscy ulegali magii ezoteryzmu. Modna stała się znowu (po tylu wiekach ciemnogrodzkich triumfów i oświeceniowych klęsk) tajemniczość, niewytłumaczalność, cudowność, widmowość. Całe tomy nowych patronów „wiedzy tajemnej” (Schrenck-Notzing, Kiesewetter, Fechner, Crookes, Boirac, de Rochas, Aksakow itp.) umacniały globalną kultową apologię sfer nadzmysłowych, otwierając przy okazji zmysłom mroczną czelusć atawistycznych popędów. Zwierzęcość erotyczna zyskiwała przez to alibi i surdut naukowej terminologii („libido”), zaś przyrodzone okrucieństwo maskę światopoglądu wywiedzionego z „prasil” Universum. Łatwiej było dzięki temu przełknąć megahekatombę światowej wojny, która okopy, jakimi poorano kontynent, wypełniła milionami trupów. Spirytualizm, bez względu na formę, którą przybierał, i cokolwiek znaczyły terminy, którymi go lansowano — zezwalał uciec.

Ja uciekałem od rzeczywistości inną drogą ewakuacyjną — za pomocą literatury podróźniczej, wążając egzotykę (klimat egzotycznych szlaków i lądów) przy portowych nadbrzeżach oraz w knajpie „Cygana”. Ale większość ludzi wołała „inne światy” magiczne, pozaziemskie lub dewiacyjne, i nikt nie był dyskryminowany jeśli chodzi o ich dostępność, gdyż nawet analfabeta czy brzydzący się książką bądź gazetą prostak mógł kontemplować filmy, gdzie nie tylko różne czarnoksiężstwa i solidne porcje demonizmu, lecz i somnambulizmy, lunatyzmy, hipnotyzmy,

obłąkania i rozdwojenia jaźni albo przynajmniej wahnięcia osobowości dawały mu przepustkę ku „zaświatom”. „Nosferatu”, „Czarcie pole” i „Fantom” Murnaua, „Doktor Mabuse” i „Testament doktora Mabuse” Langa, „Student z Pragi” i „Dom bez drzwi” Ryego, „Gabinet doktora Caligari” i „Genuine” Wienego, „Golem” Wegnera, oraz tyle innych. Snuły się tam, pałając dzikim wzrokiem, figury równie cudaczne co anachoreci prastarych epok, wszyscy owi „stacjonariusze” (całe życie stali, trzymając ręce uniesione ku niebu), „subdywale” (całe życie nie zmieniali położenia i nie osłaniali niczym głowy), „dendryci” (całe życie na drzewie), „słupnicy” (całe życie na kolumnie lub na innym słupie), „katenaci” (przywiązani kajdanami do jednego miejsca), „hezatyści” (milczący przez całe życie), tudzież podobni „szaleńcy Boży”, rasa świątobliwych masochistów. Masochiści i sadyści z filmów, które wspomniałem, wykazywali przeciwną skłonność — złowrogą ruchliwość — i nie umierali „in odore sanctitatis”, bo byli dziećmi piekła. Metafizyczną fabułę tych filmów wspomagała scenografia pełna kubistycznie deformowanej architektury, lochów, studni, zapadni, mrocznych ulic i bram —sceneria kamiennej grozy i ceglanego sekretu.

Komplet tych pseudo-metafizycznych bredni — ta demoniczność fabuł i ta upiorna sceneria — odstręczał mnie. Moja wyobraźnia ulegała bardziej przyziemnym, trampowskim pokusom. Lewitowałem sennie z dala od cywilizacji, na łasce kapryśnych wiatrów, na głębinach nieznanych wód, na wysepkach pełnych palm i gołych dziewcząt, na rzekach penetrujących bezkresną dżunglę, na rafach, atolach, stepach i pustyniach, wewnątrz dzikich kanionów i rajskich lagun, pod baldachimami burzowych chmur i romantycznych gwiazd, z ciemniejszą opalenizną, z wilgotnością lepkich nocy i z zapachem tajemniczych przestrzeni, w skrzypie desek pokładu, w falujących dymach ognisk biwakowych bądź w rytmicznym śpiewie tańczących tubylców. Cytrusy i bambusy,

abordaże i tatuaże, łaskoczące sznury koralowo-muszelkowych różańców i naszyjników, morska bryza...

„Nosferatu” jednak obejrzałem, bo zaciągnął mnie do kina Satin. Przed filmem wyświetlono kronikę filmową. Kamery tkwiące na szczycie kościelnej wieży pokazywały między innymi głodowe demonstracje uliczne czasów kryzysu (tego sprzed paru lat), reklamując dobrobyt ery kanclerza Hitlera. Morze głów, ocean głów, bezkres głów przepelniających aleje, ulice i place. Satin nachylił się ku mnie i szepnął:

—Oto ludzkość, Matt.

—Co chcesz przez to powiedzieć?

—Że kiedy mówimy ludzkość, nie wyobrażamy sobie skali, chociaż liczby znane są każdemu. Miliony i miliardy żyły przed nami, Matt, ale dopiero kiedy kamera pokazuje ci taki tłum, rozumiesz naocznie jak nieprzebraną hordą była i jest ludzkość. Miliony i miliardy łepetyń, wiek za wiekiem, i wszystkie nikną. Stają się bezmiernym wysypiskiem czaszek, niby Kosmos pełen miliardów gwiazd-czerepów, a później pyłem ziemskim czy raczej kosmicznym, nicością. Popatrz jak się kłębią, krzyczą, machają, wygrażają, unoszą pięści i transparenty, i pomyśl, że te brzęczące muchy to wszystko trupy, czaszki, piszczele, cienie rzeczywistości, która minęła jakby nigdy nie istniała. Już Heraklit pisał, że to wszystko płynie niczym złudzenie, i mówiła o tym kosmogonia staroindyjska, lansując tezę wiecznego ruchu, a teraz odgrzał to Nietzsche, któremu wtóruje Bergson.

—Do cholery, dlaczego mi to wykładasz?! — spytałem gniewnie. — Ja jestem żywy, nie chcę myśleć o śmierci, o przemijaniu!

Ktoś siedzący za nami syknął ze złością, raz i drugi, by uciszyć nas. Wówczas Satin obejrzał się i lekko pstryknął palcami, a tamtego człowieka zaczęło coś dusić w gardle. Krztusił się i rozkasał tak mocno, że musiał wyjść z kina. Dwie godziny później my wyszliśmy

z kina. Łało, a nie mieliśmy parasolek, trzeba było przeczebrać pod dużym okapem witryny sklepu.

—Czytałeś autobiografię Trockiego? —spytał Satin.

—Nie. Dlaczego pytasz?

—Bo w kinie zapytałeś na jaką cholere wykladam ci teorię czaszek. Trocki opowiada bardzo ciekawą rzecz a propos poczucia humoru Lenina...

—Mam w dupie Lenina i jego poczucie humoru!... Mój ojciec uważa, że Lenin to bolszewicki kałmuk, wróg rodzaju ludzkiego.

—Niewątpliwie. Ale również fajny prześmiewca rodzaju ludzkiego. Trocki pisze, że ilekroć w trakcie posiedzenia Rady Komisarzy Ludowych referowano morderczy głód na Powołżu, te miliony ofiar głodu, Lenin schylał łysinę i jego ramiona zaczynały coraz silniej drgać, bo walczył ze sobą, starał się pohamować, nie wybuchnąć. Lecz to było silniejsze od niego, przerastało jego siły, więc koniec końców wybuchał tłumionym śmiechem, później głośnym chichotem, wreszcie rechotem, śmiał się jak opętany, co zarażało towarzyszy, i wkrótce cała Rada pękała ze śmiechu. Gdy ten śmiech wygasał, kontynuowano obrady jak gdyby nigdy nic. Zawsze, kiedy mówiono na temat rzezi, masakr, ludobójstw — ogarniała Lenina taka właśnie homerycka wesołość. Trocki był często świadkiem detonowanej przez hekatombę eksplozji chichotu Lenina.

—Mówisz o tych reakcjach rzeźnika nie bez uciechy! —mruknąłem karcąco.

—Bo widzę w tym geniusz komizmu.

—Liczony milionami czaszek, Sat!

—Właśnie! Gdyby chodziło o setki, jaki byłby w tym geniusz? Trzeba mieć duszę patologicznie nadludzką, by wyśmiewać krew milionów, ten półkałmuk umiał się wznieść wyżej niżli ci przywódcy, których skrupuły krępują jak kajdany. Jego następcą, Stalin, idzie tą samą drogą, kontrchrześcijańskim szlakiem „Władcy

much", Hitler zaś nie pozwoli się prześcignąć, bądź pewien. I jeden, i drugi wyszli ze społecznych nizin, z półlumpów, a wkrótce ci dwaj niedawni obszarpańcy wywrócą do góry nogami cały świat. Zderzenie dwóch „Panów much” da hekatombę olimpijską.

Nie znałem tego bóstwa, więc mi wytłumaczył:

— To filistyńskie bóstwo Baal-Zebub, którego wyrocznia znajdowała się w mieście Akkaron. Żydzi tytułowali tego bożka „Królem much”. Średniowieczni teologowie przeklęli go jako wroga Chrystusa. Hitlera i Stalina przyszłe pokolenia przekląją jako budowniczych fałszywego raju, nie ceniąc ich wkładu w spektaklowy dorobek ludzkości, co według mnie będzie błędem oceny.

—Bo według ciebie obaj budują prawdziwe raje dla mas?

—Nie, bo obaj mają nerw ludyczny, instynkt spektaklu. A co do raju, to wybacznij, nikt mniej nie wierzy w raj aniżeli ja, mój drogi. Także w społeczno-polityczny raj. Niedawno rosyjski filozof Nikołaj Bierdiajew, konserwatysta, więc paryski emigrant, sformułował oczywistą prawdę tyczącą rewolucji i radykalnych reform politycznych czy społecznych, pisząc: „Wszelkie próby utworzenia raju na Ziemi prowadziły do stworzenia piekła na Ziemi”. Każda tak zwana „inżynieria społeczna” pędząca ku uszczęśliwieniu ludzkości siłą, kończyła się źle. I to się nie zmieni, co mnie cieszy. Lub raczej zmieni się o tyle, że drastycznie wyostrzy. Już niedługo. Idą epokowe czasy, Mateuszu!

Śmieszyl mnie profetyzm Satana. Mój własny geniusz komizmu miał bowiem skalę dużo mniejszą.

**Morus mortuus est**

Siła przyciągania, jaką dysponował czaruś Satin, równoważyła siłę odpychania płynącą z jego krwiozerczej ideologii tudzież bezczelnej frazeologii. Potrafił wystraszyć swym głędzeniem, sugerującym, iż jest psychopata, by chwilę później obrócić wszystko w żart, sugerujący, iż wszystko to było błazenadą rozwydrzonego po studencku luzaka. Cierpliwie się do tych retorycznych błazeństw przyzwyczajałem, a że młodzieńcze luzactwo, maskujące nieśmiałość, stanowiło i moje hobby — widziałem w Satinie bratnią duszę, ciut może za bardzo cyniczną, jednak pysznie rozrywkową. Był radykalnym wrogiem tego, co każdy zdrowy młodzieniec, jak również każda zdrowa dziewczyna, uważa za nieszczęście główne — wrogiem nudy. Przy nim nawet milczenie nie brzmiało nudnie, czuło się bowiem wibrującą wokół ciszy elektryczność. Różnice naszych charakterów, tłumaczące komitywę pomiędzy nami francuską maksymą „*l'extremes se touchent*” — *przeciwięstwa się przyciągają (franc.)*., bazowały nie tylko na biegunach psychicznych (czyli na odmienności cech wrodzonych: buta maskowana sympatycznością versus nieśmiałość maskowana chojractwem), lecz stanowiły pokłosie zupełnie odmiennego wychowania. Ja się wychowałem w rodzinie dewocyjnych katolików, on zaś miał rodziców ateistów, którzy wpoili mu wojujący kontrchrystianizm. Mnie bierzmowano, kiedy rozpocząłem nauki gimnazjalne, a on założył w gimnazjum Klub Bluźnierców (po łacińsku: *Sodalitia Blasphematorum*). Członkowie klubu bluźnili według kalendarza — obrzucali brzydkimi wyrazami co dzień innego świętego, tego, do którego należał ów dzień, miotali gromy na przykazania i sakramenty, wreszcie posługiwali się knajacką „łaciną” szumowin i



kryminalistów. Kiedy mi to opowiedział, nie był dumny, raczej wykpiwał tamtą własną smarkaterię, lecz nutki wojującego ateizmu były trwałym elementem jego światopoglądowej retoryki, ciągle grał przy mnie wroga Kościoła, drażniło go bowiem „uparte kłerykalne kultywowanie przesądów”. Czasami bardzo skutecznie kłuł, jak choćby mniemaną bezgrzeszność pewnego Anglika...

Profesor Bleiberg dobrze ocenił mi pierwszą pracę semestralną (temat: „Upadek Ikara” Bruegla), wszelako nie dał jej najwyższej noty, bo moja egzegeza nie zawierała argumentów religijnych, raczej aspekty pogańskie, konieczne tutaj, zważywszy panteizm wyrażony tym dziełem geniusza niderlandzkiego. Więc drugą pracę semestralną (na koniec pierwszego roku studiów) poświęciłem arcydziełu Hansa Holbeina —konterfektowi Thomasa More'a. Dwa lata wcześniej (1935) More'a vel Morusa kanonizowano (beatyfikowany był już A.D. 1886), dlatego ta ciepła jeszcze świętość stwarzała wyborny pretekst do rozważań moralno-eklezyjalnych radujących duszę profesora Bleiberga. More był czołowym mężem stanu epoki Tudorów, prawnikiem, dyplomata, humanistą, faworytem króla Henryka VIII, od 1518 członkiem królewskiej Tajnej Rady, od 1523 przewodniczącym Parlamentu, i od 1529 do 1532 kanclerzem królestwa —pierwszym świeckim, niższego stanu (miał mieszczański rodowód) kanclerzem Anglii. Wśród wielu jego pism sławę globalną zyskała „Utopia” (1516), praca o państwie idealnym, w którym króluje powszechna równość. Dzięki temu dziełu słowa „utopia”, „utopijny” weszły do języka ogólnoludzkiego. A do panteonu błogosławionych tudzież świętych wprowadziła Tomasza More'a jego kaźń. Nie chciał się wyrzec swej rzymskiej, Maryjnej wiary, kiedy Henryk VIII rugował katolicyzm, zaprowadzając protestancki anglikanizm gwoli rozvodu z Katarzyną hiszpańską i gwoli poślubienia nałożnicy, Anny Boleyn. Nie przelamano oporu Morusa, więc go ścięto. Kilka lat wcześniej mistrz Holbein

(pracujący w Anglii Niemiec), malując portret przyjaciela (1527), dał wzorowy wizerunek myśliciela północnoeuropejskiego Renesansu. Ja zaś owinąłem to wszystko (od niezłomności i męczeństwa Morusa, do techniki pędzla Hansa Holbeina) wzniosłym dytyrambem, licząc, że szwajcarski bigot postawi mi notę „celującą”. Zawiodłem się, gdyż nie przeczytałem „Utopii”.

Zobaczywszy ledwie notę „dostateczną” i gniewny dziób mnicha, bałem się pytać czemu, ale okazało się to zbędne, ponieważ Satin bez trudu wywąchał i wyjaśnił przyczynę klęski mojego konformizmu:

—On lubi konformistów, ale nie lubi komunistów, Matt.

—Ja przecież nie jestem komunistą!

—Tak, ale More był twórcą „komunizmu utopijnego”, mój drogi. Trochę mnie dziwi reakcja Bleiberga, bo przecież wszelki komunizm kłania się doktrynie Jezusa z Nazaretu. Pryncypialna krytyka nierówności społecznej, emancypowanie „dołów”, lansowanie redystrybucji dóbr... Sto lat temu francuski filozof Etienne Cabet pisał: „Komunizm to chrześcijaństwo w najczystszej formie z czasów zanim wypaczył je katolicyzm”.

— Wkuwasz takie diagnozy na pamięć? — spytałem, bo bulwersowała mnie jego pewność sugerująca precyzję cytatu.

—Niektóre, mój drogi. A wracając do twojego Morusa, twórcy „komunizmu utopijnego”... dzisiaj wszyscy komuniści biorą go sobie za patrona. Chociaż odkąd został kanonizowany, przychodzi im to coraz trudniej, mają kłopot, bo „święty Pański” źle im się wpisuje w genezę stalinizmu. Co jest, prawdę mówiąc, sprzecznością faktologiczną i logiczną, tchórzostwem tych bałwanów, gdyż stalinizm, tak jak hitleryzm i mussolinizm, to swego rodzaju teokracja, inkwizycja komunistyczna, lub socnazistowska, lub faszystowska — kult bóstwa i terror. Lenin-Mesjasz wziął sobie za bóstwo Marksa, a Stalin-Mesjasz głosił boskość Lenina, póki sam nie

został Zeusem monopolistycznym, bez konkurentów. Notabene: autor „Utopii” radzi, by obalać demokratycznie wybranego wodza, jeśli ten przemienia się w tyrana. Chciałbyś obalić Bleiberga?

—Co?!!

—Pytam: czy chciałbyś obalić profesora Bleiberga, Matt?

—Zwariowałeś?! —warknąłem ponuro.

—Nie, tylko buduję mechanizm spisku, plan zgnojenia Bleiberga przez moc wyższą od dyktatury.

—Jaką wyższą?

—Żeńską. Nie ma wyższej.

Słuchałem go jednym uchem, bo rozsadzała mnie wściekłość na skutek „dostatecznego” elaboratu:

—Psiakrew, skąd mogłem wiedzieć o komunizmie Morusa!

—Z lektury, z lektury, przyjacielu. Czytając „Utopię” lub wertując teksty komentatorów „Utopii”, cokolwiek. Albo pytając kumpla, który posiada wszystko w małym palcu. Wtedy byś się dowiedział, że optymalna republika to system, gdzie nie istnieją pieniądze i gdzie nie praktykuje się nawet wzajemnej wymiany towarów, albowiem każdy dostanie od demokratycznie wybranych władz wszystko czego mu trzeba. Władza po prostu rozdaje towary z centralnych publicznych magazynów. Nie istnieje jakakolwiek własność prywatna, żadnych majątków osobistych, bo „własność jest niesprawiedliwością” rzeź Tomcio Morus. Wiesz kto powiedział to samo trzysta pięćdziesiąt lat później? Karolek Marks, gdy definiował komunizm. Powiedział, że idea komunizmu daje się streścić za pomocą trzech słów: „likwidacja własności prywatnej”. Co ty na to?

Wzruszyłem ramionami, nic nie mówiąc, więc wznowił swój szyderczy wykład:

—Pan Morus winien mieć pomniki w centrum Moskwy, chociaż dniówka u niego krótsza. Ale przymus to zawsze przymus, czyli bolszewickość. Każdy obywatel jego „państwa idealnego” musi

pracować sześć godzin dziennie i przez dwa lata uprawiać rolę. Posiłki są konsumowane wspólnie, gromadnie, jednak białogłowy nie są wspólną własnością, funkcjonuje monogamia. To ostatnie bardzo gniewało sztab francuskiej lewicy już w XIX stuleciu. Ale większość też Morusa grzeje serca działaczy komunistycznych. Miał mnóstwo epigonów, twórczo rozwijających jego idee. Choroba okazała się zaraźliwa niczym epidemia dżumy. Erazm z Rotterdamu, który pisał swą sławną „Pochwałę głupoty” w rezydencji Morusa, przyznaje prologiem, iż łaciński tytuł „Moriae encomium” wziął mu się ze zbieżności nazwiska gospodarza i łacińskiego terminu „moria”, oznaczającego głupotę. „More” lub „morus” do dureń już u Plauta.

—U kogo?

—U komediopisarza starorzymskiego sprzed naszej ery. Autor „Pochwały głupoty” kochał More'a, więc tylko sobie żartował, lecz ten żart mimowolnie daje Morusowi cenzurę właściwą.

—Dlaczego tak go nienawidzisz, Sat? To był prawy gość, człowiek honoru.

— Nie lubię fanatyków religijnych, kolego. Twój idol był krwiożerczym katolikiem-inkwizytorem.

—Krwiożerczym? Kanonizowano ludobójcę, Sat?! Torquemady jakoś nie kanonizowano...

—Torquemada był hurtownikiem, a Morus był tylko detalistą. Już w „Utopii” żądał okrutnych kar dla heretyków. Będąc kanclerzem, spalił na stosach kilku „reformatorów”. Co prawda jego kumpel Erazm twierdzi, że za kanclerstwa Morusa żaden Anglik nie został upieczony przez różnice religijne, lecz to kłamstwo. Historiografia bezkrytycznie powtarza kłamstewko Erazma, a Watykan ukrywa fakty, co zresztą jest rytuałem Watykanu. Nie podobaloby ci się pewnie również, że w „Utopii” Morus akceptuje niewolnictwo. Jeńcy wojenni, schwytani kryminaliści, cudzoziemcy skazani na śmierć i

tanio wykupieni przez obywateli — stają się kastą niewolników. Dzisiejszy komunizm, choćby bolszewizm leninowski i stalinowski, robi duży krok dalej, ku społeczeństwu niewolników. Twój Morus kładł mentalne fundamenty, kolego.

Tym sztychem Satin wyrwał mnie wreszcie z zamyślenia pełnego wściekłości na Bleiberga i na samego siebie. Burknąłem:

—Do cholery, znajdź u Morusa jedną rzecz, którą lubisz!

Odparł:

—Lubię zbieżność jego nazwiska ze słowem „śmierć” w łacinie i w językach łacinopochodnych, czyli romańskich.

## 18.

### **Konsystencja miękkiej galaretowatej masy**

W knajpie „Cygana” cowieczne życie toczyło się trybem rytualnym, bez większych sensacji, jeśli nie liczyć ciąży Kwasime, dostrzeżonej dzięki luźnym kieckom trochę późno, trzy miesiące przed urodzeniem pędraka. Maleństwo okazało się mlecznokawowe, ponieważ „Nesca” zaszła z białym bosmanem pływającym na frachtowcu. „Cygan” był wściekły, lecz „Mama Klara” (jego siostra, a żona „Rondla” kucharza) kazała mu „stulić dziób”, więc kłął tylko po kątach, cichutko. Rzuciła braciszкови celnie:

— Bądź dla niej miły, albo zmień szyld tego lokalu, wypisz tam: „Pod kwaśnym patronem”, lub może: „Pod burczącym szefem”, lub coś równie fajnego.

Wszystkie baby w „Pod wesołym trampem”, od „Pyzy” do „Gitary”, zajęły się Mulacikiem, któremu dano imię Leo — Leopold. Leo szybko stał się ukochaną maskotką knajpy, wspólnym „dzieckiem pułku”, a konkretnie bufetu vel szynkwasu. Nawet barman

„Wygibus” i Czuga kołysali oseska troskliwie, niczym własnego. Mojej uwagi nie zaprzętał ani ciut, podobnie jak nie interesował mnie tam już hazard, bo miałem szlaban mentalny przez weksel dłużny. Przychodziłem pić i słuchać historyjek z dalekich wód i łądów.

Gadać u „Cygana” można było o wszystkim — o rejsach, o kobietach, o interesach, o hazardzie, o sporcie (pamiętam gorące dyskusje na temat zmagani sportowych berlińskiej olimpiady 1936 roku) — tylko nie o polityce. Właściciel lokalu szybko uciszał lub wywaliał każdego perorującego o kwestiach politycznych. Mimo iż nie znał wszystkich języków globu, cudzoziemscy oficerowie również nie bardzo mogli sobie szwargotać bez tej cenzury, bo znał języki zasadnicze (angielski, francuski, hiszpański, niemiecki) plus nazwy polityczne i nazwiska ważnych polityków, więc łatwo wysłuchiwał lub zgadywał temat rozmowy, chyba, że gadano arabszczyzną lub japońszczyzną. Pewnego wieczoru, przy końcu kwietnia 1937, zaniepokoiła go grupa włoskich marynarzy, bo pili zgrzytając zębami i labiedząc cały czas. Francuszczyzna i hiszpańszczyzna mają dużo elementów wspólnych z językiem włoskim, dlatego „Cygan” przypuszczał, iż Makaroniarze toczą polityczny dyskurs. Spytał Satina:

—Znasz włoski?

—Tak, szefie.

—O czym te Makarony gadają? Mnie się widzi, że to stypa, gadają o jakimś komuniście, co zdechł. Mówią: „morto”, trup, mówią: „unita”, jedność, mówią: „bandiera rossa”, czerwony sztandar...

—To istotnie stypa, mówią o śmierci boksera z klubu, który ma czerwone barwy reprezentacyjne —rzekł Satin. —Ten bokser został znokautowany dwa dni temu i umarł w ringu, coś mu tam wewnątrz pękło.

—Rozumiem —uspokoił się „Cygan”. —No to wszystko w porządku,

sehr gut.

Kiedy zniknął, do stolika, przy którym siedzieliśmy ja i Satin, podszedł drugi barman, Józef, ksywka „Herr Doktor” alias „Filozof”. Usiadł i szepnął, nachylając się ku Satinowi:

—Mam doktorat rzymskiego uniwerku, Satin. Okłamałeś patrona. Te czerwone wilki morskie wcale nie mówią o bokserze, tylko o Antonio Gramscim, który zmarł przedwczoraj, trzy dni po wyjściu z więzienia, być może zamordowany łapami „czarnych koszul” Mussoliniego. Ostatnia śmierć ważnego człowieka, która mnie wzruszyła, to był zgon pewnego szwedzkiego podróżnika dwa lata wcześniej. Nazwisko Gramsci było dla mnie pustym dźwiękiem, lecz sytuacja robiła się intrygująca, więc zapytałem ich obu:

—Kim jest ten Gramsci?

Wyjaśnił mi „Filozof”:

—To czołowy włoski komunista, generalny sekretarz Włoskiej Partii Komunistycznej, szef organu prasowego tej partii, „L’Unita”, skazany na dwadzieścia lat przez faszystów, ale odsiedział tylko pół wyroku, dziesięć latek. I pożył jeszcze trzy doby...

—Czyli nie skłamałem... — mruknął Satin, sącząc łyk koniaku. — Boksował się z reżimem, i przegrał, padł na ringu politycznym, prawda, „Herr Doktor”!... Może załatwił go „Duce”, a może normalnie coś wewnątrz organizmu pękło samo... Przegrał, lecz zwycięstwo będzie w przyszłości należało do niego, proszę panów.

—Myślisz, że komunizm opanuje cały świat, tak jak chciał Lenin i jak chce Stalin? —zapytał „Filozof”.

Satin wydał wargi pogardliwie:

—Bez względu na to czym komunizm kiedyś owładnie, jakim terytorium i na jak długo —prędzej lub później się zesra, bo to jest system wymyślony i realizowany przez prymitywnych doktrynerów, nie maniaków, lecz cwaniaków. Tymczasem Gramsci, choć też komunista, to wyjątek potwierdzający regułę —prawdziwy geniusz,

wielki mózg. Ci majtkowie, którzy go tu oplakują, pieprzą a propos jego martyrologii i filarów czerwonej doktryny, kompletnie nie rozumiejąc, może nie wiedząc, w czym tkwi geniusz idei Gramsciego! Jego notatki więzienne zawierają koncepcję rewolucji, która u schyłku tego stulecia przeobrazą cały glob, zmiecie całą tradycję do śmietnika, łącznie z etyką chrześcijańską, etyką mieszczańską i moralnością jako taką. Rewolucje polityczne to eksplozje pełne dymu rozwiewanego wiatrem, przemijają, a każdy Robespierre daje łeb, lecz rewolucja kulturowo-obyczajowa to gigantyczne terramoto, które buduje zupełnie nowy świat. Gramsci pojął, że komunizm nigdy nie wygra zbrojnie ani ekonomicznie, czyli siłą militarną bądź finansową, lecz może wygrać mentalnie, opanowując całą ludzką kulturę i posługując się nią do przemodelowania sposobu myślenia całych społeczeństw, do utorowania drogi dla triumfu demoralizacji i libertynizmu. Finalnym rezultatem „władzy kulturowej”, jak ją nazwał, będzie „nowy człowiek”, człowiek arcytolerancyjny, akceptujący każde działanie i każde zjawisko, które dziś jeszcze uchodzi za grzech, za paskudztwo, za czyn bezwstydnny lub zboczony, za bydlęcość par excellence. Żołnierzami tej kampanii będzie lewicująca, odpowiednio wytresowana elita intelektualna ludów. Jedyna broń: wszelkie media posługujące się dźwiękiem, obrazem.

„Filozof” wysłuchał tej tyrady, nie przerywając perswadującemu, a gdy Satin chwycił kielich, by sobie zwilżyć struny głosowe, rzekł cierpko:

—Jedyna broń: kłamstwa!

Satin uśmiechnął się z politowaniem:

—Różnica między kłamstwem a prawdą jest bliska różnicy między odbytem a jamą ustną, więc...

—Czyli ogromna! Sam mówisz, że ogromna!

—Przeciwnie. Biolodzy i lekarze doskonale wiedzą, że skład



bakteryjny gęby i skład bakteryjny odbytu nie różnią się właściwie nic a nic, różnica jest bliska zeru.

—To demagogia, Satin!

— To rezultat laboratoryjnych badań. Wygrazając kłamstwu, wygrazasz człowieczeństwu, „Filozof”. Według moralistów różnica pomiędzy prawdą a kłamstwem jest identyczna jak między zdrowymi produktami do konsumpcji a trującymi. Gdyby tak w istocie było, ludzkość szybko by wymarła wskutek trucizn, gdyż prawie wszyscy ludzie kłamią. Raz mniej, raz więcej, raz z konieczności, raz dla przyjemności, lub tylko aby nie wyjść z wprawy. Perfidnie, obłudnie, żartobliwie i złośliwie, handlowo i żebraczo — wszystko jedno: kłamią! Kłamią ciągle, bez ustanku. Kłamstwo jest widocznie niezbędne do życia, jak tlen, woda, pokarm i chuć. Czemuż więc mieliby dyskryminować kłamstwa ludzie wdrażający reformę demoralizatorską?

—Bo mózg człowieka myślącego i prawego odrzuci łgarstwa.

—Taaak?... „Filozof”, widziałeś kiedyś ludzki mózg?

—Tylko na obrazku w atlasie anatomicznym.

—W prosektorium można dotknąć. To miękka, galaretowata masa, ugina się pod palcem. I pod odpowiednim słowem lub kadrem filmowym, trzeba tylko wiedzieć, którą strefę nacisnąć. Żaden fragment ludzkiego ciała nie jest łatwiejszy do obróbki, wszystkie inne bowiem wymagają kontaktu fizycznego ze strony operatora i często twardych narzędzi, tymczasem mózgiem można manipulować na odległość, bez fizycznego dotyku. To bardzo ułatwia sprawę...

—I sądzisz, że znajdzie się aż tylu chętnych manipulatorów pośród, jak to ująłeś, „lewicującej, odpowiednio wytresowanej elity intelektualnej”, co?

—Będzie ich nadmiar — rzekł Satin tonem absolutu. —Zwłaszcza wśród Żydów, którym już „Protokoły Mędrców Syjonu” przypisują

właśnie to, spiskową chęć owdzielenia kulturą tudzież umysłami mas, dla demoralizacji...

—„Protokoły” są fałszerstwem! —zdenerwował się „Filozof”.

— Jasne, lecz ten apokryf, wypichcony przez antysemitów, bezbłędnie określa prawdziwą robotę żydowską, wasz prawdziwy cel, dając wam zarazem alibi niewinności, bo czyż można wierzyć drukowanym mistyfikacjom?

—Nam?!... —spieniał się barman.

—Wam, chociaż jesteś słabszej półkrwi, bo tylko twój tata był Żydem —wycodził Satin.

„Filozof” zerwał się i uciekł do kuchennego zaplecza, Satin zaś westchnął:

—Głupek! Jestem po ich stronie, po stronie intelektualistów, robię w tym samym geszefcie, Matt... Uciekaj, uciekaj, „Filozof”, lecz może trochę dalej niż do kuchni, bo wkrótce Hitler wygwizda was bez pardonu. Napijmy się jeszcze, Matt, za zbiorowe igrzysko, to sól egzystencji!

## 19.

### **Asmodel plus Belfegor w jednym stali domku**

Kiedy poznałem Satina, wynajmował dwupokojowe mieszkanie na piętrze secesyjnej kamienicy, od frontu, z balkonem w wykuszu, który flankowały kamienne girlandy kwiatów trzymane przez dwie nimfy lub boginie. Jednak, nim minęła zima, zmienił lokum. Przeniósł się do niewielkiej willi, leżącej wewnątrz ogrodu pełnego starych drzew. Cały ten uroczy zakątek tonął w bieli śniegów i błysku szronów; później krzyczał rozmałą zielenią, gdy wiosenna bujność ogarniała świat; następnie lato grzało ścieżki, krzewy,

korony i huśtawkę; wreszcie jesień złociła i czerwieniła wszystko, póki nie zbrunatniało wyczekując nowej białej kołdry, dzięki której widać będzie ślady Asmodela, dużego wilczura pilnującego domu.

—Kupiłeś go? —zapytałem.

—Nie, to prezent, dano mi go, gdyż był chory, złośliwy, bardzo uciążliwy.

—Imię już miał?

—Jakieś z pewnością miał, lecz przezwałem go na nowo, teraz się wabi Asmodel.

—Czemu?

—Bo przejawia straszną jurność. Kiedy go wyprowadzam, ma ochotę zerznąć każdą sukę mijaną na ulicy. Co druga dama prowadząca suczkę zezwala, by sobie ulżył, kobiety lubią się przyglądać pieprzeniu. Dlatego dałem mu miano Asmodel.

—Nie rozumiem...

—Asmodel to, według różokrzyżowców, demon seksualnej żądz, diabelski jebak. Helga się boi, że zostanie kiedyś zgwałcona przez niego.

Helga była drugą, obok Asmodela, figurą, która się pojawiła przy Satinie, i nie bardzo chciało mi się wierzyć, iż lęka się psa, bo miała sylwetkę, ruchy, gały i maniery dragona — Asmodel wyraźnie odczuwał wobec niej respekt podszyty bojaźnią. Zdawało się, że ta baba jeszcze wczoraj nosiła mundur. To samo wrażenie robił jej mąż (trzeci nowy osobnik u Satina), mroczny typ rasy kaprałskiej, który pracował jako ogrodnik, stróż i „złota rączka”, gdy Frau Helga była kucharką i służącą. Jej niegolony meszek pod nosem i luźne kłaczki na podbródku budziły we mnie wstręt, zaś ona również nie darzyła mnie sympatią, co jednak nie stanowiło niczego wyróżniającego, albowiem na wszystkich — od listonosza, po gości i dostawców — zerkala wilkiem. Ciekaw byłem skąd Satin wytrzasnął tę parę monosylabistów:

—Skąd ich wzięłeś, Sat?

—Z biura wynajmu służby.

—Sympatyczniejszych nie było?

—Nie chcę milusińskich, chciałem mruków.

—Mruków? Po co?

—Mają służyć i warować, a nie wdzięczyc się i pytlować.

—Wyglądają na żandarmów.

—Bardzo dobrze, o to mi chodziło. To ludzie w sam raz, ludzie fryderycjańskiego drylu. Ufam im, wierzę w ich lojalność, to znaczy wierzę, iż nie zdradzą mnie dla paru groszy, lub nawet dla fortuny.

—A co takiego mieliby zdradzać? Sekrety twojego jadłospisu? Kombinację numeryczną twojego sejfu? Sąsiadkę, która używa twego dywanu dla osiągnięcia Edenu?

Skrzywił usta, robiąc minę pobłażliwą, czyli wywyższającą:

—W moim domu są większe sekrety niż sekrety zamka, łoża czy talerza, Matt. Choćby pewien rękopis.

Zadrzałem, bo sądziłem, że mówi o wekslu dłużnym na jedenaście tysięcy marek, dokumentującym moją klęskę pokerową.

—Mówisz o wekslu, o moim długu?

—Nie.

—Słuchaj, Sat, wkrótce przyjedzie tu mój stryj, i mam nadzieję, że wyzebram u niego trochę gotówki, może nie całą sumę, lecz chociaż parę tysiączków...

—Ani się waż! —huknął.

—Nie mam innej szansy.

—Nie próbuj wykorzystywać tej właśnie szansy — nie mieszaj rodziny do naszych studenckich sprawek! Tłumaczyłem ci już, że to się nie godzi, Matt!

Pachnący katechizmem, sesją rekolekcyjną lub purytańską cicią frazes „to się nie godzi”, bliski frazie „pewnych rzeczy się nie robi” będącej najlapidarniejszym streszczeniem biblijnych Dziesięciu

Przykazań — w ustach Satina zabrzmiał dziwacznie, egzotycznie, quasi-idiotycznie, mniej więcej tak, jak wyglądałoby siano w pysku tygrysa lub gałązka palmowa w ręku pirata, bo do libertyna Satina zupełnie nie pasowała tradycyjna moralność parafialnych poczciwców. Może bym się nawet roześmiał, gdyby chodziło o coś innego, lecz chodziło o mój doskwierający mi dniem i nocą dług, więc tylko bąknąłem:

—Dalej uważam, że mam tylko to jedno wyjście, Sat. Moja jedyna szansa to stryj.

Tym razem odezwał się po swojemu:

—Gówno prawda, kolego! Będziesz miał inną szansę, dużo lepszą, i co ważniejsze: dużo atrakcyjniejszą, łączącą przyjemne z pożytecznym.

—Kiedy ją będę miał?

—Wkrótce, nie przebieraj nogami.

—Uwiera mnie mój dług!

—Spłata się odwlecze, ale nie uciecze. Przestań zaprzętać sobie głowę tym pieprzonym wekslem, kolego! Mówiąc o rękopisie, miałem na myśli inny manuskrypt. Bardzo stary, liczący kilka wieków. Chcę, żebyś go obejrzał.

Obejrzałem, lecz nie wówczas gdy miałem oglądać po raz pierwszy. Przyszedłem wtedy do Satina blisko zmierzchu i już w westybulu zobaczyłem obsceniczną figurę diabełka, złotą lub ze złoconego srebra albo brązu. Był goły, lekko zgięty (jakby się kłaniał lub proponował usługę), śmiał się szelmowsko (jednak delikatnie, bez grubiaństwa), prawą ręką trzymał cylinder, lewą trzymał laskę, a z krocza wyrastał mu sterczący penis gigant, taki sam, jaki widziałem na zdjęciu pompejańskiego Fauna obfotografowywanego przez turystów ku uciesze małżonek, które sobie wyobrażają, iż pewni mężczyźni (Murzyni lub inne dzikusy) mogą dysponować parametrami dającymi ową błogosławioną wielkość.

—Ten fiut służy mi do wieszania parasola —wyjaśnił Satin, widząc moje zaciekawienie.

—No i właściciel tego kutasa to również Asmodel, demon żądy — skonstatowałem kpiąco.

—Mylisz się, baranku, Asmodel jest terminem, który był używany dopiero przez różokrzyżowców. Wcześniej Żydzi używali terminu: Asmodeusz. Zaś ten to Belfegor, nazwę dostał również od Hebrajczyków. Jako Baalpeor vel Baalphégor był bóstwem Amonitów, Moabitów, Madianitów i innych plemion semickich oraz niesemickich, także arabskich. Czciły go zwłaszcza kobiety, stworzenia chutliwe.

—Jak się tłumaczy ta nazwa?

—Bliskowschodni termin Baal to Pan, Władca, Król. Belfegor to „Pan rozpusty”. Podobnym kultem był starorzymski kult Priapa, ale chyba mniej agresywny, tak mi się wydaje.

—Mnie się też coś wydaje! —parsknąłem drwiąco. —Że opanował cię demon rozpusty, ale taki platoniczny, karmiący się li tylko wyobraźnią, lowelasku-teoretyku!

—Skąd to przypuszczenie, masz na myśli Doris?

—Odepchnąłeś śliczną dziewczynę, która się pchała do twojego rozporka. Jej koleżanki też lekceważysz, choć pożerają cię wzrokiem...

—Na uczelni muszę praktykować czystość, to wymóg strategiczny, przyjacielu — odparł. — Zaś Belfegor stojący u mnie nie musi oznaczać, że akurat rozpusta jest moim konikiem, wolno mi go trzymać dla celów zgoła banalnych...

—Już mówiłeś, dla parasola!

— ... lub celów wyższych, pięknoduchowych, twórczych, artystycznych, estetycznych...

—Jako dzieło sztuki rzeźbiarskiej?

—Jako symbol kultu literackiego, Matt. Ten posążek to mój hołd dla

literatury.

—Dla literatury pornograficznej, czyli dla obscenów?

—Znowu nie zgadłeś, nędzny złośliwczak, bo to jest mój hołd dla Machiavellego i La Fontaine'a.

—Czyli dla „Księcia” i dla „Bajek”?

—Nie, dla dwóch utworów pod tytułem „Belfegor”. Machiavelli napisał komedyjkę „Arcydiabeł Belfegor”, o diable, który ląduje na Ziemi, bierze tu sobie żonę i zostaje przez małżonkę całkowicie zgnojony, więc ratuje się ucieczką, wraca do piekła. Tę powiastkę Włocha La Fontaine uczynił osnową swojego „Belfegora”, przywalając babom jeszcze mocniej, tak mocno, że już sto lat temu literaturoznawcy pisali, iż nowelka La Fontaine'a „wielce uwłacza płci pięknej”. Gdybyśmy...

Przerwał nam ostry dzwonek telefonu. Satin słuchał kogoś dłuższą chwilę, i nim odłożył słuchawkę, rzucił zimno:

— Mam go dosyć, facet mieści się w średniej statystycznej! Zaraz będę, niech czeka!

Ściskając mi dłoń, ubolewał, że musi bezzwłocznie wyjść. Obiecał pokazać mi tajemniczy rękopis następnym razem. Trochę to trwało, bo nie zdążyliśmy przed wakacjami — przed letnią „labą”, jak mówiliśmy wówczas.

## 20.

### **Miłośnicy sztuki i sztuka miłości**

Trzymiesięczne wakacje po pierwszym roku studiów spędziłem w domu rodzinnym i w Wiedniu, u stryja Gabriela, a jedyną wycieczkę odbyłem do Berlina, towarzysząc Gabrielowi, który załatwiał tam interesy nie tylko finansowe. Skręcała mnie zazdrość, bo lwowskie

gazety rozpisywały się na temat przyszłorocznych rejsów „Daru Pomorza” z absolwentami Państwowej Szkoły Morskiej do wysp Morza Karaibskiego. Mieli cumować na Barbados, na Martynice, na Kubie, na Jamajce oraz w Puerto Rico! „Chryste, dałbym sobie wystrzyc pełną łysinę za taki rejs!” — myślałem wówczas. Ba, cieszyłbym się nawet wycieczką rowerową do Turcji, odbytą przez męzny kwartet z Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów. Relacja zatytułowana „Rowerem do Azji Mniejszej” miała barwną islamizującą okładkę i kusila w dwóch witrynach księgarskich mego miasteczka. Lecz mogłem tylko marzyć, jak u „Cygana”, gdy snuły się alkoholowe wspomnienia rejsów egzotycznych.

Stryj Gabriel przyjechał po mnie do Germanshaven wielką luksusową limuzyną, którą prowadził starszawy szofer o imieniu Helmut. W Germanshaven stryj spędził kilka dni, nie mówiąc mi gdzie bywa i dlaczego, ale dzień przed odjazdem zobaczyłem zdziwiony limuzynę Gabriela stojącą blisko bramy jakiegoś miejskiego urzędu.

Moje zdziwienie wywołane było przez fakt, iż czekający na stryja szofer rozmawiał ze służącym... Satina, ogrodnikiem Hansem, mężem wiedźmowatej Helgi. Kiedy mnie zobaczyli, Hans ulotnił się szybko, a Helmut mruknął, że pytał „tego człowieka” którędy jechać do pewnego gmachu w sąsiedniej dzielnicy. Więc ja zapytałem stryja wprost: —Znasz Satina, stryju?

—Kogo, chłopcze?

—Mojego kumpla ze studiów, nazywa się Satin Retea.

—Dziwnie się nazywa, synku.

—I dziwnie się odzywa, i jeszcze dziwniej się zgrywa, pozując. Gra Rasputina, lubieżnika, którego kultem jest kopulacja, chociaż z żadną dziewczyną go nie widziałem, i gra...

—Az cukierkowym chłopczykiem bądź z fryzowanym lowelasem go widziałeś?



—Nie, stryju.

—Więc nie jest...

—Nie sądzę, żeby był pederastą.

—Przerwałem ci. Zatem kogo jeszcze gra?

— Gra wielbiciela hekatomb, ludobójstw, masakr jako bezkonkurencyjnych igrzysk ludzkich.

—Ładnie...

—Nadto prorokuje demoralizację powszechną ludzkości w ramach obłądu ludycznego wypromowanego przez skurwionych lewicujących intelektualistów.

— Bardzo ciekawa kreacja, pokłosie trendów dekadencckich, myślałem, że ta moda jest już passe — skonstatował stryj. — Ale zawsze przyznawałem młodemu prawo do wygłupów, młodość musi się wy szumieć i wybdzyczyć, sam jako gówniarz paliłem opium, piłem tani alkohol i traciłem czesne na prostytutkę, która miała sztuczną nogę, bo kiedy odpinałem jej ten drewniany kikut przed chędożeniem, to mi kutas fantastycznie stawał. Dokonałem też paru włamań do trafik, po pijanemu. W młodości robi się szalone rzeczy, chyba biologia o tym decyduje.

Plótl to wszystko dlatego, bym zbulwersowany nie pytał już o Satina, jednak ukłułem znowu:

—Więc nie znasz Satina?

—Nie znam, twoi kumple mnie nie interesują.

—Ale znasz tego człowieka, o którym uprzedzałeś, że zaczepi mnie w Germanshaven, i z którym będę musiał współpracować?

—Nie wiem kto to jest. Współpracujecie już?

—Wciąż czekam, nie zgłosił się, stryju. Myślałem, że to może Satin, bo Satin ma pewne plany wobec mojej osoby...

—To absolutnie nie będzie twój kolega ze studiów! —rzekł Gabriel.

— Zgłosi się na pewno. Nie wiem kto konkretnie, lecz wiem jaką będzie reprezentował grupę ludzi.

—Grupę polityczną? —domyśliłem się dzięki tembrowi głosu stryja.

—Tak, synku.

—A stopień ryzyka przy tej współpracy? Będę ryzykował głową?

—Będziesz ryzykował wyłącznie własną karierą... Jeśli się spiszesz, uczynisz milowy krok, Mateuszu.

Z Germanshaven pojechaliśmy wprost do Wiednia, gdzie czekało na mnie gorące łono Margot (studnia sztuki erotycznego, vulgo: sezam wszelakich tajników gimnastyki łożkowej), a na stryja gorące emocje uliczne, które zapowiadały Anschluss. Stryj radził:

—Idź do centrum miasta, zobaczysz jakie tłumy tam demonstrują, pragnąc wchłonięcia Austrii przez Rzeszę. Ruch narodowosocjalistyczny, biorący wzór z niemieckiego ruchu nazistowskiego, prężniej e tu, Hitler i tutaj staje się bożyszczem ludu, tego nie da się powstrzymać. Nim ukończysz swe studia, będziesz mógł się zapisać do partii nazistów, jeśli tylko zechcesz.

Wzruszyłem ramionami:

—Nie wiem czy zechcę, polityka interesuje mnie mało...

—Może cię zainteresuje nim upłynie tych kilka semestrów.

Jego bardzo absorbowowała sfera polityczna (bardziej niż przed rokiem, kiedy gościłem u niego pierwszy raz), dzięki czemu mogłem zwiedzić berlińskie świątynie sztuki. Wycieczkę do Berlina formalnie zainicjowała „miłośniczka sztuki”, Margot, z którą deptałem kilometrowe parkiety Nationalgalerie, Kaiser-Friedrich Museum i Muzeum Pergamonu, jako „student sztuki” (tak mnie zwała), czyli już ekspert (choć nadawałem się do koneserstwa kiego), ale nie byłoby tego wyjazdu, gdyby nie interesy polityczne stryja w berlińskiej „centrali”. Ilekroć rano wszyscy troje opuszczaliśmy hotel, limuzyna wiozła nas ku muzeom szlakami nieco zawiłymi, stryj bowiem po drodze wysiadał gdzie indziej, przy ważnych urzędach. Dwukrotnie też wysiadał przy placówkach... sowieckich: na Lietzenburger Strasse, przy rosyjskim biurze

handlowym (Handelsvertretung), tudzież na Unter den Linden, przy brzydkim budynku ambasady rosyjskiej o fasadach pełnych żółtawoszarego piaskowca. Byłem zdumiony, więc zapytałem:

—Nie boisz się chodzić do Sowietów, stryju?

—Dlaczego miałbym się bać?

—Przecież to wrogowie!... Kanclerz Hitler tępi komunistów jak wszy!

—Tutejszych, lokalnych komunistów, a z obcokrajowcami robi się mądre ciche interesy, bez względu na ideologie doktrynalne. Polityka zewnętrzna, oficjalna, często jest bowiem tylko dymną zasłoną gier wewnętrznych, kulisowych, głębinowych. Gdybyś widział, synku, jakie w tej obskurnej z zewnątrz ambasadzie istnieją wnętrza! Pełne pałacowych mebli carskich, luksus i komfort! Portrety Stalina mają szczerozłote ramy. Notabene: czy nie sądzisz, że dwaj tak silni przywódcy jak Hitler i Stalin winni zawrzeć strategiczne partnerstwo?

—Nie znam się na tym, stryju.

—Czas to zmienić, chłopcze, jedno i drugie. Tę wzajemną wrogość dwóch faraonów i tę twoją ignorancję względem polityki. Ignorancja polityczna i strategiczna kosztuje bardzo drogo! Wojnę światową przegraliśmy z tego powodu. Gdyby ściśle realizowano mądry plan Schlieffena, miażdżące oskrzydlenie, już po tygodniu mielibyśmy kapitulację Francji, ale zabrano zbyt dużą część wojsk z głównego kierunku uderzenia, by wzmocnić grupę armii prowadzoną przez następcę tronu, Kronprinza Wilhelma, bo wypadało dodać mu prestiżu. Co za idiotyzm! Taki sam, rezygnację z głębokiego oskrzydlenia i nierozpraszania głównych sił atakujących, powtórzono cztery lata później, i Niemcy przegrały wojnę. Wskutek władzy ignorantów!

—Stryju, ja nie zostanę człowiekiem władzy, nie mianują mnie generałem, więc moja ignorancja polityczna jest bez znaczenia.

—Bzdury gadasz, synku, życie pokaże gdzie zajdziesz! — odparł twardo stryj.

Gdy wróciliśmy do Wiednia (bardzo okrężnie, bo przez Germanshaven, gdzie stryj miał jeszcze jakieś sprawy), wolałem — zamiast oglądać demonstracje uliczne na rzecz Anschlussu — łączyć z Margot po Kunsthistorisches Museum, gdzie kontemplowaliśmy „Bruegla” i „Tycjana”, tudzież po Gemaldegalerie der Akademie, po Albertinie, po Belvedere i innych galeriach, których jest tam dużo. Wieczorami uprawialiśmy buduarowe fikołki, nawet kiedy Gabriel jeszcze nie spał, bo czasami do późnej nocy gościł jakichś polityków. Pewnego wieczoru lokaj, który niósł im trunki i zakąski, nie przymknął drzwi kiedy szedłem korytarzem obok gabinetu stryja, więc dobiegł mnie fragment dialogu:

—Patzig robi raban, że Walter utrzymuje kontakty z Ruskimi, ale przecież chodzi o kontakty z frakcją antysemitką w otoczeniu Stalina! Canaris tego nie pochwała, obaj bruźdzą Walterowi!

—Gówno mogą! Nikolai nie musi się już obawiać admirała Canarisa, ma plecy wystarczająco silne. Muller, Bormann i Heydrich nie dadzą go tknąć, Heydrich zresztą szykuje dla niego, przy Victoria Strasse, Biuro Spraw Żydowskich. To będzie tajny punkt pertraktacyjny, most między SD a NKWD i GRU. Stalin właśnie odżydza Komintern, Rosjanie przekażą nam swoje ustalenia...

—A co z „Bertiem”?

—Brodę wyślemy do Londynu. Jest tam dziewczyna NKWD, która już czeka.

—Litzi?

—Litzi zostaje tylko dla Philby'ego, na Brodę czeka „Edith” Tudor-Hart.

Lokaj wyszedł, zamykając drzwi. A ja dwa dni później wyjechałem do Galicji Wschodniej, do małego gródka koło Lwowa, by pobyć trochę z rodziną. Na przedmiejskim dworcu wśród lasu czekał mój

brat. Przytuliłem go, i tak trwaliśmy długą chwilę objęci, słysząc tykanie dwóch serc. Był jedyną istotą, którą kochałem bez żadnych pretensji czy warunków.

## 21.

### **Powrót do Germanshaven dla kontynuacji studiów.**

W końcu sierpnia roku 1937 wróciłem na uniwersytet jak „do siebie”, gdyż studiując tam przez dziewięć miesięcy poznałem wszelkie jego zakamarki, niczym kąty własnej chałupy, i oswoiłem się z towarzystwem — ze specyficzną gromadą młodych ludzi, lokowanych tu gwoli snobizmu ich ojców, kuzynów bądź opiekunów. Germanshaven Universitat był ekskluzywną uczelnią dla dzieci arystokratów i nuworyszów-milionerów, przy czym studentów tej pierwszej sfery rozpoznawało się po eleganckiej, choć trochę wyzywającej nonszalancji; studentów z tej drugiej grupy — po bezczelności o mniejszym wyrafinowaniu; zaś ubogich stypendystów, absolwentów szkół nieelitarnych, którzy stanowili marginesową mniejszość — po pewnej aurze nerwowości/niepewności, charakterystycznej u osób, które rzadko bywają na salonach.

—Gdzie się pętałeś tak długo? —zapytał Satin, witając mnie.

—Byłem w domu, i w Wiedniu, w rezydencji stryja. I w Berlinie ze stryjem, łąziłem do muzeów.

—Profesor Bleiberg bardzo by się ucieszył, tak samo reszta „ciała pedagogicznego”. Wzorowy student historii sztuki, chluba naszego rocznika!

—A ty?

—Ja jestem zakałą naszego rocznika, spytaj Bleiberga, Harlunda

oraz innych wykładowców.

—Pytam gdzie spędziłeś wakacje!

— Pojechałem do Monachium, by obejrzeć Wystawę Sztuki Zdegenerowanej. Mówię ci, pycha! Samego Kandinsky'ego aż pięćdziesiąt obrazów! Cudo!

Przypomniałem sobie, że ktoś rozwiesił na wydziale barwne plakaciki reklamujące tę wystawę, którą propaganda hitlerowska przezywała „ekspozycją bohomazów” i „twórczością degeneratów”, oraz że profesor Bleiberg był wściekły, ale bał się plakaciki zrywać, gdyż nie wiedział kto stoi za inicjatywą. Domyśliłem się:

—Ty rozwiesiłeś te plakaty?

—Ja, dla pucu.

—Nie spędziłeś chyba całych wakacji oglądając w Monachium prace Picassa i Kandinsky'ego. Gdzie jeszcze byłeś?

—Tu i ówdzie.

—Mówiłeś, że jedziesz do rodziny.

— Byłem też u rodziny, przez miesiąc koczowałem w prowincjonalnej czeluści dziadka. Stary cap, wszyscy krewni nazywają go „Old Nick”, jest tak pomarszczony, jakby żył tysiąc lat, i ma paskudny charakter, czepia się bez przyczyny prawie każdego. Ale mnie lubi, bo jestem najmłodszy, zwie mnie „swoim beniaminkiem”, a czasami „knypem”, i co ważniejsze —nie szczędzi mi grosza. To on reguluje moje chesne i daje mi sowite kieszonkowe na wydatki. A propos: jak tam zdrowko i bankowe konto twego stryja?

—Pijesz do mojego długu?

—Mówiłem ci już: nie mieszaj rodziny do tego długu, ta sprawa tyczy dłużnika i wierzyciela, dwóch ludzi wyłącznie! Przez grzeczność zapytałem o zdrowie fundatora twoich studiów, Matt.

— Zdrowie mu służy, jeśli nie liczyć faktu, iż się mocno rozpolitykował.

—W jaką stronę?

— W stronę nazizmu. Lubi Hitlera. No wiesz... oczekiwany Anschluss i te pierdoły. Uważa, że Hitler to geniusz.

—Dlaczego?

—Dlatego, że w trzy lata wydobył Niemcy z kryzysu, że uzdrowił gospodarkę.

— Fakt, uzdrowił. Uzdrowił, bo sam miał na tyle zdrowego rozsądku, by nie słuchać ekspertów wyznających kapitalistyczny leseferyzm. Roboty publiczne itp. Gorzej będzie u niego z rozsądkiem politycznym, dzięki czemu Europa dostanie wielkie igrzyska, w których widownia Colosseum zastąpi gladiatorów, niewolników i pożeranych przez dzikie bestie chrześcijan. Nie wróżę mu jednak sukcesu długofalowego. Adolf pozuje, iż najważniejsza jest dlań germańska racja stanu — „ratio status”, „raison d'etat”, „ragione di stato”, „Staatsrason” — lecz w istocie chodzi mu o własną maskę tytana, to charakterystyczne, podszyty niespełnioną wielkością artystyczną i niespełnionym erotyzmem kompleks impotentów.

—Ciszej! —syknąłem, rozglądając się na boki. —Za mniejsze rzeczy Gestapo likwiduje krytyków Hitlera!

—Skąd to wiesz?

—Od mojej stryjenki Margot. W Wiedniu widziałem uliczne demonstracje, również tam tłumy kochają tego „Führera”. Nie wolno szczekać przeciw niemu, donieść może każdy.

—Ty też?

—Ja nie, bo ja jestem Polakiem i mam w dupie Herr Hitlera.

—Ciiiszej! — syknął teraz Satin, robiąc „perskie oko”. — Gadasz słusznie, miliony go wielbią, bo tłumy much kochają demagogów nieprzejawiających żadnych wątpliwości, niemających żadnych wahań, niestawiających pytań, lecz rzucających autorytatywnie same twarde odpowiedzi —tyranów niedzielących włos na czworo i

dających plemieniu papu tudzież poczucie ludu wybranego. Czy kiedy pukając do drzwi jasnowidzącej usłyszysz jej pytanie: „—Kto tam?” —wejdiesz i zapłacisz za wróżby, którymi uraczy cię ta baba? Nie. Hitler nie popełnia takich błędów, gra czarodzieja, który wie wszystko i który nigdy się nie myli. Ludzie czują się bezpieczni z wujaszkiem satrapą, Gestapo może leniuchować, bo liczba malkontentów równa się liczbie czyraków na dupie.

—Ale ty należysz do malkontentów?

—Ja jestem sceptyczny wobec każdej ziemskiej wielkości, każda mnie śmieszy, choć może być użyteczna rozrywkowo — odparł sarkastycznie, czyli po swojemu. — Gdy widzę ludzi takich jak „Duce”, „Führer”, „Caudillo”, „Soso” — aż trudno mi uwierzyć, że kiedyś ten gnom prześcignął miliony innych plemników, by kaprysem złośliwej fortuny wyrosnąć ze szczęśliwego embrionu na idola mas.

Rzucił cztery pseodo-nimy, z których jednak znałem tylko dwa, zapytałem więc o resztę:

—Kim są „Caudillo” i „Soso”!

—Soso to po gruzińsku Józef, czyli Józef Stalin, a „caudillo” to po hiszpańsku dowódca, przywódca, tak zwą generała Franco jego ludzie. Zanim odwiedziłem dziadka, odwiedziłem Półwysep Pirenejski, gdzie teraz walczy Franco. Chciałem zobaczyć.

—Co zobaczyć?

—Igrzyska hiszpańskie, zwłaszcza ruinę katolicyzmu. Przez minionych kilkanaście miesięcy komuniści i anarchiści rozstrzelali tam tysiące księży i mnichów, również biskupów, spalili setki klasztorów i kościołów, w Barcelonie nie ostała się ani jedna świątynia, ani jedna, kolego!

—To cię wyraźnie bawi, Sat, jesteś na tym punkcie pieprznięty jak kliniczny czub!

—Na punkcie Kościoła i krucyfiksu — od dziecka, Matt, musisz



mnie akceptować takim, albo przegonić, bo nie zmienię się nigdy. A wracając jeszcze do wojny hiszpańskiej: myślę, że to tylko preludium dużo okazalszych igrzysk, które Adolf i Ziutek urządzają nam, kiedy już będą się tłuc.

—Mój stryj pracuje z wysokimi urzędnikami Rzeszy nad czymś przeciwnym... —pochwaliłem się wiedzą zakulisową.

—Nad sojuszem Rzeszy i Sowietów?

—Tak.

Klasnął w dłonie uradowany:

—Niech im los sprzyja! Okrutną tragedię ma poprzedzać słodka komedia, słodka i melodyjna, rodzaj wodewilu. Dopiero razem daje to tragicomedie, czyli prawidłowy sens egzystencji tej planety!

Bąknięcie o gabinetowych intrygach stryja Gabriela przypomniało mi jeszcze coś:

—Znasz ludzi noszących nazwiska Nikolai i Broda?

—Prywatnie nie miałem przyjemności lub przykrości, lecz wiem, że Engelbert Broda to syn arystokraty austriackiego, bardzo sprytny młody komunista, przywódca niemieckich czerwonych studentów, który ma kłopoty z władzami. Maje tak samo Walter Nikolai, też Austriak...

Przerwałem mu:

—Już nie ma, kryją go Heydrich, Bormann i Muller.

—Szefowie: SD, kancelarii „Führera” i Gestapo —sehr gut! Nikolai to lotnik i stary as wywiadu, to on w 1917 zapłombował wagon kolejowy Lenina i wyprawił go do Petersburga, ale później szefowie Abwehry, kapitan Patzig i admirał Canaris, dali mu wilczy bilet i szlaban, bo się kumał z Moskwą. Pierwszy wilczy bilet otrzymał tutaj, w Germanshaven, jako student. Został relegowany po drugim roku, bo nazwał swoją labradorską sukę imieniem żony rektora, Hildegarda, i codziennie prowadził ją do akademika, żeby obsikiwała stojący przy wejściu monument, który wystawiono ku

czci prapradziadka rektora, założyciela naszej Alma Mater.

—Wesoły gość.

—Mój ulubiony typ, duży zgrywus. Od numeru z suką, do numeru z plombą, czyli z bolszewicką rewolucją... Sam czasami prowadzam Asmodela ku temu monumencikowi, żeby sobie siknął, lecz nie starczyło mi brawury, by nazwać psa rektorskim imieniem. Uryną Asmodela pielęgnuję tradycję akademika, to mój hołd dla dziedzictwa historycznego.

—Podobno już przed wojną ten akademik miał ksywkę „Ameryka”, jednak nikt nie wie czemu, pytałem różnych ludzi.

—Dlatego „Ameryka”, że nikt kto tam mieszka nie jest stąd. Jak w Ameryce: wszyscy lokatorzy skądś przyjechali do Germanshaven.

—Kto ci to powiedział, Sat?

—Nie pamiętam, chyba stary kioskarz w mieście.

—Znam wszystkie kioski w mieście, prowadzą je baby!

—No to może któraś z nich. Czy to ważne kto?

Raz mnie zdumiewał, innym razem bardzo gniewał. Jedno mnie przyciągało, drugie odpychało. Płynąłem pomiędzy tymi uczuciami niby korek między dwoma brzegowymi prądami rzeki, bujając się lekko w górę i w dół.

## 22.

### **Pierwsza awantura między mną i Satinem**

Zbyt chyba często kobieta sprawiała, że moje serce (lub, jak kto woli: moje libido) wywodziło w pole mój rozum, jednak dawniej, za czasów młodości —kiedy Satin i ja studiowaliśmy na hanzeatyckim uniwerku — nie byłem świadom wszystkich pułapek, które buduje sercowa romantyczność, dlatego uwielbiałem kinowe melodramaty.

Satin cenił raczej „filmy grozy”, ja natomiast — z braku filmów podróżniczych — preferowałem filmy romansowe, ergo miłosne. Spojrzenia dżentelmena i damy (lub pirata i branki, czy szlachetnego rozbójnika i Cyganki) się krzyżują, ręce się splatają, torsy się kleją, ona półomdlewa, szepcząc: „—Kocham cię!...”, on ma władczy wzrok, usta jej i jego plotą przysięgi wierności po grób, buzujący ogień kominka (lub wiatr tarmoszący wydęte żagle czy splecione gałęzie) symbolizuje penetrację kopulacyjną, a słodka muzyka balsamizuje dusze widzów. Wcześniej, rzecz prosta, kochankowie musieli zaznać toru przeszkód, pełnego wydarzeń bolesnych, dziwacznych, często metafizycznych. Te metafizyczne, z gatunku cudowności/bajkowości, rajcowały mnie silniej aniżeli cokolwiek innego. Więc gdy Satin, przystępując do pokazania mi najbardziej tajemniczej księgi manuskryptowej świata, opowiedział autentyczną historię dwojga kochanków, z leitmotivem czysto baśniowym, par excellence metafizycznym —byłem wniebowzięty.

Londyn roku 1890, eleganckie przyjęcie, młody człowiek (25 lat) zaczepia młodą damę (26 lat):

—Ja znam panią, widziałem panią trzy lata temu.

—Pan się myli, nie widzieliśmy się nigdy przedtem.

—Pani mnie nie widziała, ale ja widziałem panią. Czy była pani w Warszawie podczas Świąt Wielkiej Nocy roku 1887?

—Tak!

—I zwiędzała pani Warszawę?

—Tak.

—I spacerowała pani samotnie brzegiem Wisły.

—Skąd pan o tym wie, proszę pana?!

—Bo minęła pani Cytadelę, gdzie ja wówczas siedziałem w celi Dziesiątego Pawilonu i przez kratę obserwowałem panią.

Romans, bardzo długie narzeczeństwo, wreszcie ślub. Ich wzajemne uczucia były nie tylko erotyczne, lecz także ideologiczne

tudzież polityczne — oboje wyznawali skrajną lewackość, komunistyczną bez dwóch zdań. Ona — Ethel Lilian Boole — jako córka głośnego matematyka/logika mogła zostać gwiazdą klas wyższych, jednak interesował ją status proletariatu i szalała za rosyjskimi buntownikami. On — Michał Wojnicz, polski szlachcic herbu Abdank — był właśnie takim rewolucjonistą, członkiem (jako „towarzysz Wilfrid”) dwóch kontrcarskich organizacji lewicowych: rosyjskiej anarchistycznej Narodnej Woli tudzież polskiego Wielkiego Proletariatu. Dlatego zesłano go na Sybir, skąd uciekł do Londynu drogą przez Chiny, Japonię i terytoria niemieckie. Po ślubie (1893) Wojnicz jeszcze dwa lata spiskował z rosyjską emigracyjną organizacją nihilistów, lecz kiedy zobaczył, że ta działalność daje mu tylko pustą kieszeń, przeszedł „do cywila”: uzachodził sobie nazwisko (Wilfrid M. Voynich) i stał się antykwariuszem. Wkrótce jego firma antykwarska zyskała renomę światową, podobnie jak jego żona. Ethel bawiła się bowiem muzyką (ukończyła berlińskie konserwatorium fortepianowe) i pisarstwem rusofilsko-rewolucyjnego typu (na berlińskim uniwersytecie studiowała filologię rosyjską), a jej debiutancka powieść okazała się światowym bestsellerem, biblią beletrystyczną lewicy całego globu.

Powieść, wydana w Anglii (1897), nosiła tytuł „The Gad fly” („Szerszeń”). Rok później wydano ją dla Rosjan (tytuł: „Owod”). Następnie dla Niemców, Polaków, Holendrów, Łotyszów i dla lewaków z innych kontynentów — „Szerszeń” zrobił wszechświatową karierę. Treścią była rewolucyjna walka włoskich karbonariuszy, ale tę treść uniwersalizowano jako ruch rewolucyjny bez granic i bez barw. Wszędzie komuniści kadzili autorce, głośno chwalił książkę komunista numer 1, generalissimus Stalin (przez co miała w Sowietach kilkanaście milionów nakładu). U Satina zobaczyłem jej pierwsze wydanie, „kultową” edycję brytyjską.

—Lubisz tę książkę? — spytałem retorycznie, wiedząc, iż nie

zaprzeczy.

—Tak.

—Bo jest lewicowa, czerwona?

—Nie, bo jest antypapieska, karbonariusze zaciekle zwalczali papieństwo.

Rozwarłem wolumin. Na karcie przedtytułowej widniał odręczny atramentowy wpis: „Satinowi, mojej miłości. Ethel. 1935”.

—Kto to wpisał, autorka?

—Uhhh —mruknął Satin.

—Wyznanie miłosne! „Mojej miłości”...

—Ona uwielbia komunistów, więc gdy przedstawiłem się jako komunista...

Ta jego deklaracja nastroiła mnie szyderczo:

—Ty chyba też cenisz komunizm, zwłaszcza komunistyczny geniusz amoralizmu Gramsciego i bolszewicki geniusz komizmu u Lenina, więc nie skłamałeś.

—Skłamałem. Cenię komunistów tylko za dwie rzeczy: za ich antychrześcijańskość tudzież antykościelność, właściwie sekciarską, bo sami stanowią religię, oraz za ich mimowolny zmysł ludyczny, ponieważ dostarczają światu niezrównanych drak, i dostarczą jeszcze dużo, całą Apokalipsę, hekatombę masową, będzie to rozrywka pierwszej klasy. Zaś gardzę nimi, gdyż ambicją komunizmu jest nadczasowa i nadnarodowa monopolizacja władzy materialnej oraz duchowej przez komunistów, co, gdyby się kiedyś spełniło — dałoby świat sztilu, bezruchu, powszechną nudę. Ale do tego, mam nadzieję, nie dojdzie, bo teorie i tezy głoszone przez komunistów, od marksizmu zaczynając, to kliniczny imbecylyzm, żenada. „Władza ludu”, „dyktatura proletariatu”, „równość”, „centralne planowanie” itp. Więc nie wmówisz mi sympatii dla komunizmu, tudzież dla nazizmu, faszyzmu, kapitalizmu, liberalizmu, socjalizmu i jakiegokolwiek izmu, bo wszystkie systemy

polityczne, ideologiczne czy socjotechniczne mam w dupie, liczy się tylko możliwość ich wykorzystywania do gry ludzkością. Do zabawy! Jeden Gramsci to rozumiał, więc darzę go sympatią.

—A sympatia dla pani Ethel Boole-Voynich?

—Tego się nie wypieram.

—Byliście kochankami?

—Już u schyłku roku 1930, kiedy to zmarł jej mąż, i kiedy potrzebowała wsparcia, bo komponowała wówczas „Babilon”, oratorium...

—Znasz się na komponowaniu muzyki religijnej?!

—Trochę.

—To było siedem lat temu, ile więc wtedy miałeś lat?

—Byłem pełnoletni. Ja zawsze jestem pełnoletni.

—Więc ile masz teraz, trzydziestkę?!

—Czy to ważne? —warknął z niechęcią. —Wciąż jestem pełnoletni, to tylko się liczy.

—A ile ona miała siedem lat temu?

—Dwie szóstki, sześćdziesiąt sześć lat.

Prawie się zakrztusiłem, krzyząc:

—Co takiego?! Miała sześćdziesiąt sześć lat?!

Wzruszył ramionami:

—Wyglądała na pięćdziesiąt lub może mniej... Kobiety potrafią się cudownie odmładzać przy użyciu wywarów i kosmetyków. Słyszałeś o Aspazji, o Fryne, o Marion Delorme, o Ninon de Lenclos, o Julii Recamier, czy o żonie generała Zajączka? Wszystkie były pięknosciami mimo ukończonych sześćdziesięciu, siedemdziesięciu, osiemdziesięciu lat, rozkochiwały dwudziestolatków. To są przypadki nie tak znowu rzadkie. W Ninon zakochał się jej dorosły już syn, wicehrabia de Yilliers, nie wiedząc, że to jego matka, a gdy ujawniono mu prawdę, popełnił samobójstwo. Wszystkie one, prócz tego, że były kurtyzanami —były

intelektualistkami, pisarkami, bibliofilkami, władczyniami artystycznych salonów. Ninon wspierała Moliera, pani Recamier wspierała Chateaubrianda, Ethel również kogoś wspiera, głównie lewicową cyganerię artystyczną. Ma siedemdziesiąty trzeci rok, jednak wygląda na góra pięćdziesiąt pięć.

Oczy mi wyszły z orbit jak żabie:

—Dalej z nią sypiasz?!

—Czasami. Ale nie tylko sypiam. W Monachium, na Wystawie Sztuki Zdegenerowanej, byliśmy razem, i razem przeżywaliliśmy misterium kubizmu, dadaizmu, ekspresjonizmu, surrealizmu, abstrakcjonizmu. Możesz sobie wyobrazić, że gdybym wziął tam nie Ethel, tylko Doris, miałbym partnerkę także dzienną, dywagującą ze mną o nowoczesnej sztuce? Ani ciut, Doris byłaby tylko partnerką nocną, a dla mnie seks to zbyt mało, trzeba czegoś więcej, przyjacielu.

—Zauważyłem na wydziale, że nie lubisz dziewcząt...

— Fakt, nie lubię dziewcząt, wszelkie Doris zostawiam chłopczkom twojego pokroju, Matt, wolę roczniki bardziej wiekowe, to różnica między parówką pod piwo i ostrygą pod białe wino przedniego gatunku, różnica zasadnicza, różnica klasy.

Tym mnie wkurzył, więc warknąłem:

—Twój talent antyreligijny pomaga jej komponować oratorium „Babilon”, a twój kutas filopiernikowy zapewnia seniorce niezwiędłość, co łącznie daje dubeltowe zboczenie, Sat!

—Raczej dubeltowy tytuł do chwały, głupku! Niewielu umie tak odmładzać kobiety spermą i regenerującą ciało miksturą, jestem lepszy niż ci chirurdzy, którzy przeszczepiają starcom gruczoły małp we Francji.

Ciągle rozpierała mnie złość, więc nie ustąpiłem:

—Rznięcie staruchy to prawie nekrofilia!

Wtedy on też się wściekł, i miał kontemplować sekretną poetykę

rękopisu — zostałem wyrzucony przezeń z jego domu. Była to pierwsza prawdziwa awantura między nami. Zawsze musi być ten pierwszy raz.

### 23.

#### **Syndrom sędziwego podlotka (1)**

Kiedy ja studiowałem w Germanshaven — w Warszawie robił furorę konferansjer kabaretu Qui Pro Quo, naturalizowany Polak (Austro-Węgier) Fryderyk Jarosy. Publiczność go uwielbiała, a on lubił rozbawiać tę publikę skeczami własnego pomysłu tudzież prowokacjami. Pewnego razu krzyknął do widowni:

—A teraz niech wstaną te panie, które nigdy jeszcze nie zdradziły męża!

Żadna z obecnych na przedstawieniu pań nie chciała się wygłupiać robieniem z siebie widowiska, więc żadna nie wstała, co mężczyźni przyjęli wesołością i burzą oklasków. Kilka miesięcy później, podczas pewnego balu, Jarosy chciał zatańczyć ze śliczną młodą damą, ale gdy się uklonił i prosił o taniec, dama odrzekła:

—Jestem trochę zmęczona. Proszę zatańczyć z moją wnuczką.

—Z pani wnuczką?! —roześmiał się Jarosy.

—Tak, widzi pan tę dziewczynę w zielonej sukience?

—Więc pani jest babcią?! Czy to możliwe, łaskawa pani? Myślałem, że pani jest wnuczką!

—Mam osiemdziesiąt lat. I nigdy nie zdradziłam mojego męża, panie Jarosy, ale nie wypadało mi wstawać na pańskie wezwanie w kabarecie.

Ta anegdota stanowi dobry wstęp do wspominku o pewnej mojej kwerendzie bibliotecznej w Germanshaven, której by nie było, gdyby



nie Satin.

Bez towarzystwa Satina dni mi się bardzo wydłużyły, miałem sporo wolnego czasu. Dzięki temu przebywałem w bibliotece uniwersyteckiej coś, czym Satin mocno mnie zainteresował. Nie były to problemy polityczne, których był piewą, ale coś, o czym ledwie napomknął, a co dostało ode mnie tytuł: „Syndrom sędziwego podlotka”. Lektury, którymi się obłożyłem, stały się krynicą mojej wiedzy o damach zachowujących do późnego wieku fizyczną dziewczęcość.

Satin jako pierwszą wśród tych dam wymienił Aspazję z Miletu (V wiek przed Chrystusem), i chronologicznie miał rację, jednak trudno powiedzieć czy faktograficznie tak, badacze bowiem nie rozstrzygnęli tego przypadku w sposób klarowny. Była to hetera grecka i zarazem uczona dama — wyróżniała ją nie tylko piękność, ale i mądrość (erudycja, bystrość, gust). Nęciła samców i sawantów — tych pierwszych walorami anatomicznymi i kunsztem kochania, zaś tych drugich swym krytycznym umysłem, skłonny do wyrafinowanej dyskusji, przy czym zdarzało się, iż sawant grał również rolę samca, jeśli miał ochotę i predyspozycję fizyczną. Rezydencja Aspazji była miejscem spotkań najważniejszych obywateli Aten, gdzie powabna córka Miletu uchodziła za kurtyzanę nim jeszcze rozsunęła pajęczą sieć swej słodyczy oraz inteligencji, bo kurtyzaną zwano tam „z definicji” każdą cudzoziemkę. Legion artystów, kupców, polityków, filozofów tudzież innych „uczonych mężów” ślinał się do niej, Sokratesa nie wyłączając. Zwany „królem Republiki” Ateńczyk Perykles brał u Aspazji lekcje krasomówstwa i wybronił ją (słowami plus łzami!) przed sądem, gdy została oskarżona o bezbożność, amoralność i rajfirstwo. Następnie rozwiódł się dla niej i wprowadził ją do swego domu, być może jako połowicę (tak twierdzą pewni historycy), a może jako nierządnicę, konkubinę li tylko (tak twierdzą inni dziejopisowicze, bo prawo

zabraniało poślubiać cudzoziemkę, groziło to utratą praw obywatelskich). Ateńczycy, zwąc Peryklesa Olimpijskim Zeusem, Aspazję zwali Herą. Była tak sławna w świecie starożytnym, iż jej imieniem określano wszystkie kobiety pełne czaru i rozumu. Po śmierci Peryklesa zaślubiła handlarza bydłem, Lizyklesa, i dzięki jego fortunie dalej wywierała wpływ na losy Ateńczyków. Arystofanes miał ją rzekomo oskarżyć, iż wywołała wojny między Atenami i Samos, oraz Atenami i Lacedemonem, wszelako historycy starożytni nie wzięli tego serio (Plutarch oczyścił ją z zarzutu, a Tukidydes nawet go nie wspomniał). Nie rozstrzygnęli również kwestii trwałości urody Aspazji: nie wiemy jak długo piękność z Miletu żyła i czy na starość była tak samo hoża co za młodu. Legenda jej to przypisuje; dowodów i poważnych świadectw brak.

W przypadku drugiego „sędziwego podlotka” Antyku nie ma wątpliwości. Mówię o głośnej greckiej heterze Fryne (IV wiek przed naszą erą). Familijne imię brzmiało: Mnesarete, ale zwano ją: „Fryne” („Ropucha”, „Żabcia”), gdyż dolne kończyny rozkładała wdzięcznie niby żabka, a jej skóra miała odcień kości słoniowej, taki sam jak brzuch ropuchy. Była bardzo droga i wybierała bardzo bogatych klientów, nic tedy dziwnego, że swymi wdziękami zgromadziła fortunę. Własnym sumptem pragnęła odbudować mury Teb zburzone przez Aleksandra Macedońskiego, jeśli na ich bramie mieszkańcy umieszczą hołd: „Wdeptane przez króla Aleksandra, wskrzeszone przez heterę Fryne”, lecz Tebańczycy propozycję odrzucili. Jedynym mężczyzną, który odrzucił wdzięki Fryne, był cnotliwy filozof Ksenokrates (mówiła później, że to nie człowiek, tylko bryła kamienia). Tę ateńską gwiazdę pieścili czym mogli główni gwiazdorzy tamtej ery, a pędzlami i dłutami pieścili jej wizerunek główni artyści tamtego czasu. Praksyteles wyrzeźbił ją jako przesławną Afrodytę Knidyjską (bierze się ów posąg za tak realistyczny, anatomicznie tak wiarygodny, iż dzięki niemu podaje

się obecnie, iż Fryne miała 164 centymetry wzrostu, 86-centymetrowy obwód biustu, 69-centymetrowy obwód talii, i 93-centymetrowy obwód bioder), tymczasem Apelles wymalował ją jako równie sławną Afrodytę Anadyomene panującą na falach morskich. Jej szczerozłoty posąg (także dłuta Praksytelesa) umieszczono w świątyni delfickiej między posągami dwóch królów. Jej imię stało się synonimem terminu hetera (wykształcona kokota, luksusowa kurtyzana), zaś jej dzieje przypominały nieco żywot Aspazji, oskarżono ją bowiem o bezbożność (uczynił to pretendent, którym wzgardziła, Euthias). Przed areopagiem sędziów bronił ją słynny retor Hyperejdes, i gdy brakowało mu już argumentów, użył milcząco ostatecznego („ultima ratio”): nagłym ruchem zerwał z podsądnej szaty. Sędziów zatkało. Bez dalszych deliberacji uniewinnili boginię. Sama też lubiła czarować tłumy golizną, kąpiąc się publicznie w morzu. XIX-wieczni artyści (David, Gérôme i inni) chętnie malowali „Fryne przed areopagiem”, zaś historycy od stuleci przypominają, że była fenomenem, gdyż na starość prezentowała się jak młoda dziewczyna. Ów sekret wiecznej młodości posiadły też dwie megakurwy francuskie stulecia XVII.

Marion Delorme (De Lorme) urodziła się pomiędzy 1606 a 1615 (prawdopodobnie 1612 lub 1613), zmarła natomiast... no właśnie, kiedy? W XX wieku badacze ustalili, że jej dom był miejscem schadzek spiskujących frondystów, za co chciał ich aresztować rządzący Francją kardynał Mazarin, więc roku 1650 popełniła samobójstwo (biorąc dużą dawkę antymonu) jako niewiasta trzydziestokilkuletnia. Ale dawniej (wieki XVII, XVIII, XIX) kpiono, że przyglądała się swemu pogrzebowi z okna swego pałacu. Miała bowiem uciec do Anglii, gdzie poślubiła jakiegoś lorda, i wrócić roku 1682 do Francji, gdzie poślubiła herszta bandy rozbójniczej, a kiedy go stracono, została żoną urzędnika podatkowego. Co było ewidentną degradacją, gdyż wcześniej sforę jej kochanków tworzył

kwiat Zachodu (między innymi: król Ludwik XIII, wielki koniuszy Cinq-Mars, kardynał Richelieu, księżę Buckingham, księżę de Brissac, księżę de Conde, księżę de Grammont, księżę Conti, tudzież cała falanga innych książąt, hrabiów, marszałków. Posiadała własny dwór i własny literackoartystyczny salon. Zmarła pono mając 100 lat, ciągle młodzieńczo piękna i wielbiona, choć niektórzy wymieniali nawet datę 1741, co czyniłoby bajkowe 120-130 lat! Jako fenomen sędziwej urody opiewali ją piórami Mirecourt, de Vigny, Dumas-ojciec, Hugo, Zevaco plus wielu innych twórców.

Przyjaciółką oraz rywalką Marion Delorme była współczesna jej i równie sławna (lub sławniejsza) Anna (Ninon) de Lanclos vel Lenclos. Bezbłędnie udokumentowany przypadek „sędziwego podlotka” — żyła co najmniej 85 lat (1620-1705; według XIX-wiecznych datowań: 1615/16-1706). Będąc szlachcianką, otrzymała doskonałe wykształcenie, m.in. muzyczne (grała na kilku instrumentach, pięknie tańczyła i śpiewała), a będąc erudytką — znała literaturę, sztukę i osiągnięcia nauki. Już jako dziesięcioletnia smarkuła czytywała Montaigne'a, a jako staruszka rozpoznała talent dziesięcioletniego Woltera i przeznaczyła 20 tysięcy franków na książki dla niego. Wcześniej wspierała Moliera i kilku innych geniuszów. Pośród paryskich wyższych sfer błyszczała rozumem, wdziękiem, humorem, finezją i urodą. Jej salon robił furorę — bywali tam i prezentowali swe dzieła wszyscy „wielcy” (Molier, La Fontaine, La Rochefoucauld, Boileau, Racine, Scarron, Fontenelle et cetera). Napisała broszurkę „Pomszczona kokietka” („La coquette vengée”, 1649). Miała kilkoro dzieci (jej syn, La Boissiere, został ministrem wojny), chociaż nigdy nie przestała być panną — nie chciała wyjść za mąż, by nie tracić rozkoszy wolnej miłości. Do jej amantów należeli: kardynał Richelieu, Wielki Kondeusz, La Rochefoucauld, plus cała armia książąt, hrabiów i marszałków. Rzucała ich bardzo szybko, lecz tak sympatycznie, że wszyscy zostawali jej przyjaciółmi (mało

tego: ich żony i córki, wszelkie damy francuskie, uwielbiały Ninon, ubiegały się o jej przyjaźń). Nigdy nie kazała sobie płacić za miłość — nie brała od kochanków żadnych pieniędzy —gdyż inkasowała aż 10 tysięcy liwrów rocznej renty z własnego majątku. Kiedy dobiegała 80 lat —wciąż rój młodych mężczyzn wirował wokół niej, ucząc się od wiecznie młodej piękności manier salonowych i łóżkowych, czyli „comme il faut” i „ars amandi” (Fredro Aleksander hrabia: „Na starej piczy młodzież ćwiczy”). Istotnie, tak jak mówił Sat —syn Ninon de Lanclos, wicehrabia de Villiers, odebrał sobie życie gdy go poinformowano, że kobieta, dla której stracił serce, to jego rodzona matuś. Opiewali ten fenomen dziewczęcej staruchy liczni wyrobnicy pióra (Lesage et consortes).

Przypadki Aspazji (rzekomy), Fryne, Marion i Ninon zdawały się świadczyć, że intensywny seks, który uprawiają „stworzenia chutliwe” (jak nazwał baby Satin), konserwuje młodość. Ale każdy, kto widział podstarzałe prostytutki, wie, że to nieprawda. Dalsze lektury zezwoliły mi zapoznać się z przypadkiem ekstremalnie odmiennym — przypadkiem Mme Recamier, która zachowała dziewczęcą urodę aż do 72. roku życia, chociaż być może wcale nie uprawiała seksu. Kolejna piernikowa młódka, żona generała Zajączka, wynalazła (lub wdrożyła cudzy) patent odmładzania się lodowatą temperaturą. Te dwa casusy z pierwszej połowy XIX wieku omówię drugą częścią eseju „Syndrom sędziwego podlotka”.

## 24.

### Syndrom sędziwego podlotka (2)

Muszę przyznać, że Satin był dosyć częstym powodem moich wizyt w bibliotece niemających żadnego związku ze studiami, a

powodowanych chęcią sprawdzenia jego prawdomówności, weryfikowaniem rzucanych przezeń rewelacji bądź ciekawością pewnych lektur, którą mimowolnie (czy aby na pewno mimowolnie?) rozbudzał we mnie. Gdy któregoś dnia napomknął, że lubi noblistę z 1906 roku, włoskiego poetę Giosue Carducciego, zerknąłem w bibliotece do katalogu i zdumiony zobaczyłem, że wśród fiszek Carducciego jedna została przekreślona czerwonym paskiem — widniał na niej tytuł: „Hymn do szatana” („Inno a satana”, 1863). Okazało się, że władze uczelni wycofały tę pozycję ze zbioru. Analogicznych przygód (tyczących cenzury) przeżyłem tam więcej, a spośród emocji, które dawała mi biblioteka — stare podfruwajki zafundowały mi rozrywkę szczególnie pasjonującą.

Zrobiona przeze mnie kwerenda biblioteczna na temat „sędziwych podlotków” miała jako rodziców dubeltową ciekawość. Jej matką była chęć przypatrzenia się biografiom takich dziwnych kobiet, zaś jej ojcem był wspomniany głód weryfikacji — żądza sprawdzenia czy Satin konfabuluje, podpierając swoje quasi-belferskie perory demagogią. Tym razem weryfikacja dała wynik dla niego korzystny — nie łągał tu, nawet nie przesadzał. Te baby istotnie dożywały późnego wieku bez zmarszczek, a w trumnach prezentowały się lepiej niż niejedna trzydziestolatka, którą zabił rak czy poród. Pani Recamier, uwieczniona piórkiem artysty na marach, wygląda kwitnąco.

Julia Recamier, de domo Bernard. Zwano ją zawsze „piękną Juliettą” — cieszyła się nimbem najpiękniejszej kobiety imperialnego Neoklasycyzmu (Empire'u) tudzież Romantyzmu, czyli politycznych epok Napoleona Bonapartego, Ludwika XVIII, Karola X i Ludwika Filipa. Dziesiątki jej wizerunków (portretów i biustów) mówią, że renoma była słuszna w pełni. Ukazują one twarz ciągle dziewczęcą, jakby nastolatka nie przestała być nastolatką całe pół wieku. Żyła nie tak znowu długo, „tylko” 72 lata (1777-1849), i ciągle stanowiła obiekt

plotek bardziej skandalicznych aniżeli wszelkie skandale rozbuchanego erotyzmu, gdyż posądzano ją o bezkopulacyjność — mówiono, że nie sypia z nikim. Nawet z mężem. Gdy bankier Recamier zaślubił szesnastoletnią Julię Bernard (1793), której matkę siedemnaście lat wcześniej cudzołożnie „obracał” — tajemnicą nie tyle „poliszynela”, ile „mondeu” było, że zaślubił swą nieślubną córkę dla przekazania własnemu dziecku praw majątkowych, co w dobie Terroru jakobińskiego, gdy gilotyny hurtowo kosiły nobilów i krezusów, nie dziwiło ani trochę (takie związki zawierano wówczas we Francji notorycznie). Platoniczność tego małżeństwa była aż do śmierci Recamiera oczywista dla każdego. Również dla nieprzebranego legionu adoratorów, którzy tłoczyli się w głośnym paryskim salonie Madame Recamier. Każdy spośród nich roił, iż to właśnie jemu uda się zerwać granitowy wianek, ale nie udało się żadnemu, mimo że ten i ów miał słuszne nadzieje, bo „piękna Julietta” lubiła kokietować, ośmielać, rozpalać — była nienasyconą flirtiarą. Horda jej zalotników, którzy często „odchodzili od zmysłów” (bo flirtiara roznamiętniała, nie zezwalając forsować progu łonowego) i grozili samobójstwem — to istny panteon, męska śmietana międzynarodowa tamtej epoki. Adwersarze polityczni Napoleona (Jordan, bracia de Montmorency i in.), familianci Napoleona (Lucjan Bonaparte, Eugeniusz de Beauharnais i in.), książęta (de Laval, August Pruski i in.), królowie (Bernadotte, Murat i in.), marszałkowie (Massena, Macdonald i in.), generałowie (Moreau, Junot i in.), filozofowie (Schlegel, Ballanche i in.), literaci (Constant, Legouve i in.), dyplomaci (Pozzo di Borgo, Czernyszew i in.), premierzy (Metternich, Wellington i in.), etc. U schyłku życia Mme Recamier emablowali ją samczykowie młodszy o kilkadziesiąt lat: Ampere-junior (syn głośnego fizyka), Lomenie i in., bo — wedle słów Constanta umieszczonych w liście do kolegi, pana de Barente — „Ona nie ma zmarszczek, tak jak nie ma rozumu” (szło mu o to, że

trzeba być idiotką, by odtrącić Benjamina Constanta). Część historyków sądzi, że przypuściła tylko wielkiego Chateaubrianda (na starość mieszkali razem), lecz teza ta jest dyskusyjna, brak świadectw rozstrzygających.

Mnóstwo świadectw „złego prowadzenia się” tudzież kwitnącej młodości aż do późnego wieku zostało o pięknej Polce, będącej współczesną Julietty —o pani Zajączkowej, de domo Pernet. Był to dla mnie przypadek szczególnie ciekawy, gdyż polski. Autorzy cudzoziemscy (głównie niemieccy oraz francuscy) relacjonując żywot tej damy musieli gęsto wykorzystywać skarbnicę polskich memuarów.

Żyła prawie 100 lat (przed 1754-1845). Miała dużo krwi francuskiej (Pernetowie byli hugonockimi emigrantami z Francji). Urodziła się jako córka wojaka; sławę europejską zdobyła jako żona wojaka. Sławę lokalną zdobywała jako młodziutka baletnica w Słonimiu hetmana Ogińskiego, wielbiciela baletu. Kilkunastoletnią piękność poślubił wtedy cyrulik hetmański, pan Isaure, który przywiózł małżonkę do Warszawy, gdzie ślicznotka podbiła towarzystwo stołeczne urodą i gracją. Wierszokleci opiewali wdzięki „pani Izory”, a jurni młodzieńcy szturmowali (e)picentrum tych uroków. Hołdowana niczym boginka — „pani Izora” stała się panią Zajączkową, rzuciła bowiem cyrulika, by poślubić oficera Józefa Zajączka, rębajłę sarmackiego.

Józef Zajączek był dzielnym żołnierzem (odniósł w bitwach kilka ran; roku 1812 stracił nogę), jednak miał wredny charakter, dlatego lubiło go niewielu ludzi. Służył pod Kościuszką, pod księciem Józefem i pod Napoleonem, którego miłował, bo w ogóle miłował Francuzów, a nie cierpiał rodaków. Kiedy wojska Napoleona przegrały, generał Zajączek umiłował Rosjan, z wzajemnością. Car Aleksander I mianował go namiestnikiem satelickiego Królestwa Polskiego (1815) i księciem (1818), co dało pani generałowej tytuł



księżnej. Dostała zresztą jeszcze lepszy tytuł od ulicy i salonów — zwano ją „wicekrólową”. Choć formalnym wicekrólem był brat cara, Wielki Książę Konstanty, ale ten wciąż nie posiadał żony, przy czym jedyną osobą nad Wisłą, której się lękał, była pani Zajączkowa. Małżonka „wicekrólowej” zwano wzdorliwie „ćwierćkrólem bez nogi” i szydzono zeń, budził nienawiść powszechną. Warszawski salon Zajączków był wszakże tłumnie wizytowany. Odbywały się tam koncerty, dyskusje artystyczne, lektury nowych dzieł, gry i zabawy towarzyskie, tudzież bale. Mme Z. była perłą gier i zabaw, gdyż miała wyborne poczucie humoru. Pewnego razu, kiedy grano w „Sekretarza”, ktoś spytał znanego durnia i pyszałka, porucznika Potworowskiego:

—Czego chciałby pan dokonać?

— Chciałbym uratować moją ojczyznę! — huknął z emfazą porucznik.

—Tak jak gęsi uratowały Kapitol... —wycedziła pani domu.

Słynęła też z dumy, w tym z hardości wobec satrapy Konstantego. M.in. nie chciała zapraszać jego metresy, wulgarnej pani Frederiks, co budziło furję „małpoluda”. Ale gdy publicznie witał żonę namiestnika — warczał hassliebowo, składając hołd jej podlotkowatości:

—Zawsze piętnaście lat!... Zawsze piętnaście lat!

Te „piętnaście lat” znaleźć można i u historyków (Wasylewski: „Mając 70 lat wydawała się dziewczęciem piętnastoletnim”), i u świadków z epoki, którzy widzieli na własne oczy „wicekrólową” (generał Kołaczkowski: „Zachowała czerstwość i wdzięki panienci 15-letniej, cały urok młodego wieku”, Koźmian-junior: „Była zjawiskiem zadziwiającym, gdyż wydała wojnę upływowi czasu i trzeba przyznać, że zwyciężyła...”). Niemcewicz, który widział ją w Paryżu (1835-1836), gdy miała 80 lat, a mówiono, że ma 100 lat: „Jest tu pani Zajączkowa, świeższa niż kiedykolwiek”. Balzac ocenił wtedy

jej wygląd na nie więcej niż 35 lat, i rzucił taki passus w swej powieści „L'Interdiction”: „Pewna znakomita Polka, dawna wicekrólową Polski, Madame Zayonscek, bliska już setki wiosen — mimo podeszłego wieku wciąż czaruje młodością. Pisane jej widać dożycie wieku Marion Delorme, której biografowie dają 130 lat. Zakochują się w niej młodzieńcy niby dzieci we wróżce z bajki...”.

„ Wróżka” była bajecznie łaskawa, chętnie używając swych „świeżych wdzięków” tym rozpalonym młodzieńcom (Niemcewicz: „Znano ją jako zalotnicę, która prowadzi życie rozwiązłe, pełne intryg miłosnych”). Sama też wpadła w pułapkę sercowych wnyków, pokochując szaleńczo dziewiętnastoletniego oficerka Adama Grzymałę, który będzie organizował koncerty swego przyjaciela, Chopina, u pani namiestnikowej. Ten romans trwał wiele lat i nie szczenił damie bólu, bo Grzymała zdradzał ją. Chopin pisał o Grzymale, iż „ma duszę piękną jak niebo”, lecz jeśli wiecznie młoda Ola do Adasia tęskniła, to musiał mieć Grzymała również inne piękne walory.

Ta wieczna młodość bulwersowała ówczesną Europę. Wasylewski: „Już XVIII stulecie stawało bezradne wobec sekretu kamienia filozoficznego i alchemicznych metod przedłużania młodości, a Madame Zajączek bezradna nie była. Czyżby posiadała tajemnicę Ninetki de Lenclos i Marianny Delorme? (...) Była fenomenem i problemem dręczącym mnóstwo kobiet, które pytały natarczywie: jak to się robi?”. Robiła „to” używając lodu i chłodu. Codziennie brała zimne kąpiele i okładała ciało lodem. Sypiała w nieogrzewanym pomieszczeniu (unikala nawet palących się świec), mając pod łóżkiem balię z lodem. Każdego zimnego ranka praktykowała długie spaceru ubrana lekko. A przy tym nie jadła mięsa, tylko potrawy mleczne, owoce i jarzyny. Plotki wymieniały jeszcze całą gamę innych sposobów (m.in. mówiono, że nocami obszywa się w sarnią skórę). Efekty były tak rewelacyjne, że wrószono jej nieśmiertelność.

Jeden z rymopisów głosił:

*„I syta chwały ujrzysz zachód słońca,  
Kiedy wiek XIX zbliży się do końca”.*

Wszelako zmarła nie osiągnąwszy stu wiosen.

Czy Ethel Boole-Voynich, z którą rzekomo sypiał Satin gdy miała 66 i więcej lat, była wówczas równie ponętna co tamte kobiety? Wątpię.

Widziałem tę damę niecałą dekadę później: była staruchą pełną zmarszczek, istną bajkową wiedźmą, która nie odkryła „eliksiru młodość i”. I miała w źrenicach (prócz zmęczenia tak naturalnego u staruszków) jakąś drapieżną wredność (tak naturalną u lewaków, bez względu na ich wiek). Ten ludzki typ, gdy się mu przykazuje: — Nie kradnij!, odpowiada ze zdumieniem: —Dlaczego?

## 25.

### **Miliardy teatrów jednego aktora, rzeczce Satin**

„Ciche dni” pomiędzy mną a Satinem trwały prawie miesiąc. Nie odzywaliśmy się jeden do drugiego, a mijając się — kierowaliśmy wzrok w drugą stronę, by uniknąć skrzyżowania źrenic. Było to obustronnie męczące, wszelako wartościowe, bo mogliśmy poczuć ciężar tęsknoty za kumpelstwem, ergo: siłę więzi, której zerwanie sprawiło nam ból. Nie sądziłem, iż będzie mi aż tak bardzo brak człowieka, dla którego gehenna ludzka stanowiła szczyt rozrywki, lub raczej: który hucpiarsko deklarował, że im więcej krwi, tym Weselsze igrzysko, olimp komizmu. Każdy dzień przynosił mi, wskutek tego boczenia się, dawkę złego humoru tudzież dawkę

chęci, by zakończyć kwarantannę. Ale skaleczona duma hamowała głos rozsądku, mój i jego. Obaj czekaliśmy, że ten drugi się ugnie i pierwszy wyciągnie dłoń do zgody, przepraszając.

Trudno powiedzieć ile trwałaby ta heca, gdyby nie wkroczył „Cygan”, każąc nam oskubać przy hazardowym stoliku pewnego bezczelnego armatora, bo ten obraził gburowatym słowem siostrę szefa, żonę „Rondla”, Klarę. My dwaj graliśmy forsiastych klientów — ja grałem „dzianego” frajera, a Satin grał burżuja-żółtodzioba, który ma fart debiutującego pokerzysty. Realizacja scenariusza komedii zabrała prawie całą noc. Do północy zostałem przez armatora oskubany nieomal zupełnie, następnie dwie godziny mozolnie się odkuwałem, aż wskutek brawury i wskutek kiepskiego blefowania utraciłem wszystko, więc dalej tracił już tylko Satin, lecz blisko świtu karta poszła mu trzy razy z rzędu i to był kres armatora, gdyż definitywna rozgrywka uwolniła go nawet od biżuterii. Zostawił złoty sygnet, złoty zegarek, złoty breloczek, złote spinki mankietowe, złotą spinkę krawata, i wyszedł „goły”, chociaż zachował złotą obrączkę ślubną. Cała ta farsa pacyfikowała wrogość moją i Satina, bo podczas gry trzeba było prowadzić ze sobą furę dialogów. Kiedy przymknięto drzwi za armatorem, siedzieliśmy zmęczeni kilka minut, a jak wstałem, chcąc iść do domu, dla odespania, Satin zrobił to samo. Na ulicy wyciągnął rękę:

—Zgoda, Matt?

—Niech będzie — mruknąłem, ziewając, i uściśnąłem mu dłoń zadowolony, że to on prosi, a nie ja, i że to już kres boczenia się wzajemnego.

Nazajutrz spytał:

—Czy przez ten miesiąc zmieniłeś gust?

—Wobec ciebie ani trochę, dalej mi się nie podobasz.

—To mnie nie dziwi, bo sam się sobie nie podobam, ale pytałem cię o coś innego: czy zmieniłeś swój erogust?

—Jaki gust?

—Gust wobec kobitek. Tak zażarcie studiowałeś żywoty sędziwych dam czerstwych niby młódki, że pomyślałem, iż chcesz mnie małpować i odtąd dziewczęta będą cię nudziły, kolego.

—Śledziłeś mnie!

—Widziałem, że przesiadujesz w bibliotece dłużej aniżeli w naszej knajpie, że coś cię opętało, Matt. Spytałem bibliotekarkę, a ta mi pokazała twoje rewery. Ninon de Lanclos oraz jej bezmarszczkowe koleżanki z domu starców. Brawo, to lubię!

Znowu mnie zezłościł swoją wścibskością. Musiałem draniowi jakoś odwinąć, więc przyłożyłem jego rojeniom demoralizacyjnym:

—Dzięki lekturze tych biografii zrozumiałem, Sat, że nie jesteś erudytą, tylko idiotą.

—Tak? — zaciekawił się bez gniewu. — To doprawdy fascynujące, gadaj.

—Marzysz o zupełnym zdemoralizowaniu ludzkości i prorokujesz, że ta ultrademoralizacja kiedyś nadejdzie, tymczasem ona panuje od wieków. W dawnych czasach, w erze Marion Delorme i Ninon de Lanclos, albo później, w erze Madame Recamier i Madame Zajączek, była powszechna i wszechobecna, więc jak można jeszcze bardziej zdemoralizować ludzkość?

Uśmiechnął się i wycodził przez swe arogancko białe zęby:

—Jak? Dając perwersji liczbową, statystyczną, ogromną przewagę nad pruderią i bigoterią.

—Jakim sposobem?

—Przez unormalnienie obscenów. „Obscenum” znaczy: za sceną, trzeba więc wypchnąć lubieżność na scenę, ukazać ją w pełnym słońcu. Z „obscena” zrobić „inscena”.

—Jaką metodą?

—Wydobywając genitalia pań i panów spod kołderki na światło dzienne — na plażę, na trawę, na fotografię, na kliszę filmową.

Upowszechniając goliznę niby fryzurę lub łysinę. Demokratyzując rozwiązłość: dla każdego ostry lub przynajmniej pikantny erotyzm, sadozbocheniowy, a jeśli nie chce — to czapka hańby, piętno zacofańca. Eliminując poczucie grzechu. Promując i emancypując homoseksualizm. Mam dalej wymieniać?

—A zostało jeszcze coś do wymienienia?

—Jawohl, Herr Ober! Na przykład sztuka. Malarstwo, rzeźba, grafika, plakaty. To, co Hitler i jego durnie nazywają „sztuką zdegenerowaną”, wcale taką nie jest, to wciąż awangarda pełna reguł, lecz z mojego punktu widzenia jej główna wartość polega na tym, że ta nowoczesna sztuka jest pomostem ewolucyjnym do sztuki autentycznie zdegenerowanej, która przyjdzie za pół wieku i będzie zupełną patologią sztuki — będzie to malowanie spermą, a nie farbami, i rzeźbienie w kale, a nie w marmurze, również dosłownie, tak, tak! Oto czemu kocham Picassa, Kandinsky'ego i spółkę, przyjacielu.

—Coś jeszcze? Może seks dzieci?

—To również... Plus demitologizacja religii, dechrystianizacja, kolego.

—Jasne, twoja stara śpiewka, gdybyś mógł, podałbyś Chrystusa do sądu. Tylko że On miałby tam miliony adwokatów. Miliony ludzi wierzą i się modlą.

—Oczywiście — przyznał. — Sakralna kultowość uwodzi miliony baranów, bo jej główny nakaz to kompletna rezygnacja z własnego myślenia gwoli akceptowania „prawd objawionych” i dogmatów, żyjątko hodowlane zawsze kierują się rozkazem. Osoby, które nie chcą podążać wedle rozkazów, bo wolą myśleć samodzielnie, stanowią mniejszość. To się kiedyś zmieni.

—Nieprawda! Od takiego wolteriańskiego chrzanienia jak twoje nic się nie zmieni!

—Wolteriańskiego?... Brawo, bravissimo! Terminologia się nam

wzbogaca. To dzięki tym lekturom o młodocianych babuleńkach, czy może dzięki innym, religijnym?

—Kpij, drwij, szydź, pluj, żartuj, ze mnie i z Kościoła, mam to gdzieś, a Kościół też przez to nie padnie, Sat.

Znowu się uśmiechnął i rzekł dobrotliwym tonem, jakim mówi się do prostaczków:

—Kościół jest władzą, mądralo, a każda władza prędzej czy później przegrywa.

—Dzięki Bogu ta nie przegrywa od dwóch tysiącleci! —krzyknąłem.

Pokiwał głową:

—Dzięki Bogu, czy dzięki takim świętoszkowatym barankom jak ty, Matt?

—Nie jestem żadnym świętoszkiem, tylko...

—Ależ jesteś, jesteś, Matt! Może i niezbyt często się modlisz, oraz niezbyt często uczestniczysz w mszy świętej, ale broniąc krzyża — dążysz do starożytnego ideału cnoty, „antiqua virtus”, i do władzolibstwa chrześcijańskiego, biblijnego. „Co cesarskie — cesarzowi”, prawda? Twoim cesarzem jest właśnie Kościół, a dowodem, że nie lubisz szczytać władzy, jest choćby twój stosunek do profesora Bleiberga, któremu włączysz w dupę omawiając religijne malarstwo. Ja jestem zupełnie inny — sprzeciwiam się władzy po swojemu. Władzy można się sprzeciwiać gwoli prawdy, niczym Sokrates, gwoli wolności, niczym Diogenes, lub gwoli przyjemności, niczym Arystyp. Ja się sprzeciwiam wedle Arystypa — gwoli rozrywki, kolego.

Miałem dość tej bufonady:

—Przestań się zgrywać, kolego!

—Czemu?

—Bo to mnie już nudzi, powtarzasz się! Każda sztuka winna mieć finał —akt ostatni i opadnięcie kurtyny.

—Ta sztuka nigdy nie ma finału.

—Więc przyznajesz, że się zgrywasz?

—Tak, gram cały czas, podobnie jak ty.

—Ja nie gram!

—Grasz, wszyscy grają.

—Mówię ci, że nie gram!

—Grasz. Wszyscy ciągle grają kiedy nie śpią. Świat to olbrzymia scena, życie to permanentne przedstawienie, &.ludzie to wielka trupa aktorów. Wszyscy grają jakieś role, każdy pozuje, małpuje, świruje, pretenduje, udaje kogoś innego, lepszego. Więc o co ci chodzi — że zachowuję się jak człowiek? Że gram? Tak, gram. Ty również grasz, świadomie lub podświadomie, co za różnica, mój drogi artysto? Czy wczoraj, u „Cygana”, nie grałeś majątnego frajera w karcianym spektaklu?

Celnie trafił. Policzki zrobiły mi się gorące. Zakpiłem, unikając jego wzroku:

—Ale przynajmniej nie grywam lepszego, tylko gorszego niż jestem, Sat!

—Tra-la-la-la! — warknął. — Jesteś kim jesteś, a rzeczywiście gorszego gram tylko ja, co cię od dawna gnębi, widzę to. Gram gorszego konsekwentnie, ciągle, uparczywie, a ty się dziwisz sam sobie, że łączy cię przyjaźń z wrogiem Kościoła, z heroldem pornoerotyzmu, z piewczą ludobójstw, z facetem, dla którego duża masakra i pierwszorzędną rozrywką są synonimami. Zrozum wreszcie, że taki mam styl, taki charakter — nerw komedianta-drapieżnika. Moje złowrogie emploi wyraża mój pogardliwy stosunek do barbarzyństwa ludzkości, do fałszu restrykcyjnej moralności i do zinstytucjonalizowanej religii, która głupców oglupia jeszcze bardziej. Niczego nie biorę serio, a że trochę przesadzam, że ciuteńkę zbyt złowrogo demonstruję swoje szyderstwa —to już manieryczna przypadłość kogoś, kto lubi sypnąć pieprzu, by gra plus zabawa pikantniej smakowały. Możesz mnie



odtrącić, albo musisz mnie takim kupić, twój wybór, Matt.

Sarknałem, udając zasmuconego:

—Raczej muszę, więc gdzie tu wybór?

—Dlaczego musisz?

—Bo wiąże mnie dług.

—Dług to głupstwo, Matt! Teatr życia to absolut. Zobaczysz jaki teatr wyszykuję Bleibergowi w tym semestrze...

## 26.

### **Balneologicznie rozgłoszone z manuskryptu średniowiecznego**

Anno Domini 1912 szukający rozmaitych cymeliów i bibliofilskich rarytasów („białych kruków”) antykwariusz Wilfrid M. Voynich przyjechał z USA do Włoch. Zainteresował go fakt, że jezuickie Collegio Romano (Villa Mondragone we Frascati) chce się pozbyć swego księgozbioru. Całość tej biblioteki jezuita mieli przekazać Watykanowi, lecz pieniądze Voynicha sprawiły, że zezwolono mu wybrać sobie kilkadziesiąt perełek. Wśród tych książek, które wyłuskał, był również dziwaczny, bogato iluminowany manuskrypt, liczący prawie 100 cienkich pergaminowych kart. Formalnie był to zielnik (stąd później zwano rękopis „Zielnikiem Jezuitów”), lecz mnisi uważali manuskrypt za „księgę diabelską”. Próbowali odczytać treść, wszelako bez rezultatu, gdyż język, którym starannie wykaligrafowano tekst, był nieznany, nierozszyfrowalny.

Wewnątrz manuskryptu Voynich znalazł luźno włożony list z roku 1666 — list czeskiego lekarza oraz fizyka, rektora uniwersytetu w Pradze, Johanna Marcusa Marci z Kronlandu, do głośnego jezuickiego naukowca Athanasiusa Kirchera. Marci pisze tam, że

zyskał rękopis testamentowo od przyjaciela, alchemika Geoga Barescha, będącego sługą cesarza Rudolfa, który jako autora wskazał Anglika Rogera Bacona. Bacon, wielki geniusz czasów średniowiecznych, był filozofem, naukowcem i teoretykiem-wynalazcą (planował m.in. maszynę latającą, teleskop, mikroskop i samochód), szermierzem empiryzmu, lecz także astrologiem i alchemikiem. Dzięki uprawianym przezeń badaniom i lansowanym hipotezom zwano go „doctor mirabilis” — mistrzem naukowych cudów. Pewne swoje prace szyfrował, co jednak nie uchroniło geniusza od długoletnich więziennych perypetii z wyroku sądu kościelnego. Zaś cesarz rzymsko-niemiecki Rudolf II był zwany „cesarzem czarnoksiężników”, bo uczynił Pragę „stolicą magii, alchemii i szatana”. Jego dwór roił się od wróżbitów, okultystów i wszelakich wirtuozów „wiedzy tajemnej”. Była ona pasją monarchy, więc ciągnęli nad Wełtawę szarlatani ze wszystkich krańców kontynentu (m.in. sławny brytyjski mag John Dee, stąd wzięła się hipoteza, że właśnie Dee przywiózł Rudolfowi tajemnicze gryzmoły Bacona). Ponieważ sawanci cesarza nie umieli rozszyfrować rękopisu, a wewnątrz znajdowało się dużo rysunków roślin (dlatego brano księgę za zielnik) — cesarz podarował „bazgrały” (1608) nadwornemu botanikowi, Jacobusowi Horcickiemu. Dalej, przez ręce Marciego, księga trafiła do jezuitów, i przez ręce Voynicha do legionu „ekspertów” (Voynich wykonał kilkadziesiąt fotokopii dla badaczy). Po zgonie Voynicha (1930) manuskrypt odziedziczyła jego żona, a po jej śmierci (1960) nabył księgę antykwariusz Hans P. Kraus, lecz nie znalazł kupca, więc przekazał dziwadło Uniwersytetowi Yale. Kuriozum trafiło do działu rzadkich ksiąg uczelnianej biblioteki, z sygnaturą MS 408.

Od tego momentu (1961) intensywność badania księgi zwanej już „Manuskrytem Voynicha” niepomierne wzrosła. Setki badaczy reprezentujących kilkadziesiąt państw (tłumy językoznawców,

deszyfrantów, kryptologów, filologów, fizyków, matematyków, mediewistów etc.), tudzież całe instytucje (towarzystwa naukowe, kontrwywiady wojskowe i cywilne, zespoły programowe, jak European Voynich Manuscript Transcription, etc.), dekada za dekadą łamały sobie głowy próbując odczytać tajemniczy tekst. Wszyscy oni połamali sobie zęby, łącznie z NSA (National Security Agency, czołowa instytucja wywiadowcza rządu amerykańskiego). Nie pomogło stosowanie do deszyfracji komputerów, one też były bezradne — rękopis milczał. I wciąż milczy, nie uronił ni grama sekretu — nie dało się rozszyfrować żadnego wyrazu, null! Ustalono jedynie (badania izotopowe), iż pochodzi ze Średniowiecza (XIII-XVI wiek), oraz że nie jest dowcipem vulgo mistyfikacją używającą języka sztucznego, tylko autentycznym, naturalnym językiem jakichś ludów bądź kręgów czy gremiów (dowodzą tego: morfologia charakterystyczna dla tzw. języków aglutynatywnych, entropia tekstu, Prawo Zipfa kodyfikujące częstotliwość występowania tych samych słów, tudzież wiele innych aspektów i norm, a ogólnie „logika zewnętrzna sugerująca logikę wewnętrzną” tak silnie, że nie mógł tego wyprodukować żaden średniowieczny kuglarz). O autorstwo posądza się templariuszy, katarów, kabalistów, różokrzyżowców, wszelakich szarlatanów (jak Edward Kelley, długoletni współpracownik Johna Dee) i rozmaite siły tajemne „medium aevum”, lecz każdemu spekulującemu brak dowodów. Nauka współczesna jest pełna szacunku wobec „Manuskryptu Voynicha”, ale i pełna złości, bo gniewają własna bezradność — kod dziwnego rękopisu to zbyt twarde orzech.

Gdy kilkadziesiąt lat temu moje młode wówczas oczy wpatrywały się w kolejne strony średniowiecznego kuriozum — Satin, który prezentował mi księgę wypożyczoną od Ethel Voynich, dawał wyraźnie do zrozumienia, że potrafi czytać ów tekst. Spytałem go wprost:

—Rozumiesz treść rękopisu?

Uśmiechnął się uśmiechem ludzi niechających ujawniać komuś całej prawdy i rzekł wymijająco:

—Zrobiłem pewne postępy, wiem już, że autor był leworęcznym skrybą...

—To tak jak ty, Sat.

—To tak jak największy z wodzów: Aleksander Macedoński, Juliusz Cezar, Napoleon Bonaparte. I największy z muzyków: Beethoven czy Mozart. I największy z malarzy: Michał Anioł, Rembrandt, Leonardo, Picasso. Jestem w dobrym towarzystwie, przyjacielu...

—Mówisz, że zrobiłeś postępy badając ten rękopis. Możesz go przeczytać?

—Częściowo, duże partie czytam już.

—Co zawiera treść?

— Różne sekrety botaniczne, chemiczne, kosmologiczne, mitologiczne, erotyczne...

—Na przykład?

—Na przykład los Świętego Graala, lub tajemnicę składu „ognia greckiego”.

—Czego?

—„Ogień grecki” to była kiedyś płynna, łatwopalna maź bojowa, której nie dawało się ugasić, a próby gaszenia wodą jeszcze bardziej podsycaly płomienie. Bywał i taki skład chemiczny, że maź eksplodowała przy zetknięciu z wodą. Gdyż ten skład się zmieniał, zmieniały się składniki i proporcje składników. Dawano ropę naftową, węgiel, siarkę, żywicę, smołę, różne oleje i tlenki wapnia. Wynaleźli to Chińczycy, kupili Rzymianie za Konstantyna Wielkiego, a w VII stuleciu Bizantyjczycy zrobili „ogień grecki” piekielną bronią morską, niszczycielką wrogich okrętów. Specjalne syfony-wyrzutnie miotały to gówno, które przylepiało się do metalu, kamienia, drewna, i wybuchalo lub paliło. Arabowie też się nauczyli,

stosowali przeciwko machinom wojennym i fortecom krzyżowców. Ale w XIII i XIV wieku proch wyparł „ogień grecki”, zapomniano co to jest i jak to działa.

Gadał znowu rozwlekle, po belfersku. Czynił tak zawsze wtedy, gdy kłamał lub zamulał — kiedy chciał gładzeniem skierować dialog na manowce lub odwrócić uwagę rozmówcy od czegoś. Widząc, że bez specjalnego entuzjazmu wertuję karty z „zielnikiem”, z „farmaceutykami”, z „diagramami astronomicznymi” i „diagramami kosmologicznymi” — nakierował moją uwagę na szesnastostronicową część, o której powiedział, iż jedni analitycy zwą ją „biologiczną”, a inni „balneologiczną”. Swą biologiczność ta partia rękopisu zawdzięczała mnogim rysunkom gołych kobiet, mających uwypuklone intymne atrybuty kobiecości, a balneologiczność temu, że pełno tu było rur, basenów, brodzików, wodotrysków tudzież innych hydrouządzeń, wśród których rozgolaszone niewiasty się pluskały, chodziło więc o ablucje dam. Jak również o tańce, gdyż sporo nagusek biegło trzymając siedmioramienne lub ośmioramienne gwiazdy. Wydzźwięk erotyczny (dla Średniowiecza: pornograficzny) tych rysunków nie ulegał wątpliwości — te karty manuskryptu graficznie lansowały libido ergo chuć.

—Niezły „zielnik”! —parsknąłem.

—No!

—Kto to wykonał i kiedy?

—Pewien skryba w pierwszej połowie XV wieku, oraz iluminatorzy manuskryptów.

—A konkretnie?

—A konkretnie to może wiedział ten, kto sfalszował list messera Marci, stawiając datę z trzema szóstkami 1666, coś pysznego!

—Czemu?

—Trzy szóstki to liczba szczególna —szczególnie ważna.

—Dla kogo ważna?

—Dla mnie ważna, mam taki przesąd numerologiczny, chociaż nie param się numerologią, wolałbym raczej parać się matematyką. Czy wiesz, że główny katolicki myśliciel XVII stulecia, monsieur Pascal, ubolewał, iż nie da się dowieść istnienia Boga matematycznie? A propos: policzyłem gołe baby w „zielniku”, jednak widzę, że to wszystko cię nudzi...

—Trochę, bo mam gdzieś całą tę średniowieczną pisaninę, razem z jej liczbą roślin, ziół, rur, gwiazd i gołych białogłów.

—Błąd! —skarcił mnie Satin.

—Jak dla kogo, Sat. Widocznie interesują nas odmienne rzeczy, gorszy cię.

— Nieprawda, dupku, rozebrane baby interesują każdego mężczyznę, chyba że jest okaleczony lub zboczony, a ty nie jesteś ani śledziem, ani pedziem. Przysłowie hinduskie mówi: „Trzy cuda czynią życie człowieka rajem: łąki zielone, woda źródłana i piękne kobiety”. Mówiłem ci już, Matt, że ja nic, ale to nic nie robię bez celu. Czy sądzisz, że traciłbym czas, pokazując ci te kąpiące się golaski bezcelowo?...

## 27.

### **Kocham iluzję filmową, rzecze Satin**

Profesor Harlund uzmysłowił nam coś, co później wykorzystał Satin przeciwko profesorowi Bleibergowi — że Barok to jeden wielki powszechny teatr. Dla Satina, głoszącego, iż życie jest nieustannym teatrem bądź szopką, była to duża gratka. Harlund zwał Barok „teatrem ogromnym”, twierdząc, że ludzie tamtej epoki traktowali życie jako scenę, uteatralniając co tylko można, to jest nadając

wszystkiemu formy teatralne lub parateatralne. Przedstawieniami stały się intymne czynności monarchów i możnowładców (rana oraz wieczorna toaleta, ablucje, przyodziewki, manikiury etc.), polowania (myśliwi walący z łoży lub trybuny do zwierząt tłoczących się w grodzonych wybiegach), parady, festyny i rewie wojskowe, pikniki ogrodowe, święta religijne, ceremonie dworskie i miejskie (pełne rac, czyli „ogni bengalskich”), przejazdy królów, egzekucje publiczne (na które sprzedawano worki biletów, a kaźń rozciągano do tygodnia, dla zabawy), hece ergo szczywalnie (walki „dzikich bestii”), itp.

Kiedy profesor Bleiberg, który pierwsze dwa semestry poświęcił przeglądowi całego europejskiego malarstwa między Średniowieczem a Romantyzmem, przystąpił teraz do szczegółowego omawiania różnych stylów — musiał zająć się szczegółowo także sztuką Baroku. Słowo: „musiał” ma tutaj znaczenie kluczowe. Jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej Barok brano bowiem za „zepsuty Renesans” lub „zdziwaczały Renesans”, wedle definicji Jacoba Burckhardta, szwajcarskiego autorytetu mającego sławę paneuropejską. Szwajcar Bleiberg byłby pewnie wiemy swemu rodakowi, głosząc, że Barok to niegodna uwagi dekadencja Renesansu, gdyby obalili tę egzegezę Francuz, Włoch lub Hiszpan. Lecz obalił ją również Szwajcar, uczeń Burckhardta, Heinrich Wölfflin, swym dziełem „Reneissance und Barock” (1888), dlatego Bleiberg, seminarzysta Wölfflina, nolens volens musiał dać Barokowi solidne miejsce na swych wykładach i seminariach. Jednak jawnie nie lubił Baroku (a zwłaszcza barokowej tłustej golizny), trzeba zatem było uważać wybierając do opracowania tematy semestralne. Satin już przed rokiem wybrał hultaja Caravaggia, a tym razem —także prowokująco —wybrał Tintoretta. Ale szło tu nie o bluźnierstwa czy o goliznę, chociaż Tintoretto malował i akty. Szło o teatralność prekinematograficzną.

Dla wielbicieli Tintoretta jego sztuka była cudownym spełnieniem malarstwa wyzwolonego z kanonów, rządzonego wizjonerską, nieposkromioną fantazją. Człowiek ten rozwalił wcześniejsze normy i reguły porywczą i eksplozywnością wręcz surrealistyczną, budując farbami kosmos pełen nieziemskiej dynamiki w aurze nieziemskiego światła. Wszelkie prawidła i katalogi wzorów pyrgnął za okno, ufając tylko swym twórczym halucynacjom, swej gorączce warsztatowej i swym modelom teatralnym, bohaterom domowego teatryku lalek. Tak jak Veronese'owi przypisuje się „operowość” (styczną pompatyczność) — tak Tintoretowi historiografia sztuki przypisuje właśnie dynamiczną „teatralność”. Uwielbiał on teatr (projektował teatralne kostiumy i maszyny), chcąc zaś, by jego malarstwo miało ruch, światło i przestrzeń rodem z teatru — reżyserował scenografię swych płócien modelując woskowe figurki. Te kukiełki rozmieszczał na glinianej rzeźbie terenu bądź wstawiał do drewnianych domków posiadających drzwi i okna. Później wieszał architektoniczno-marionetkowe grupki u stropu, by analizować różne skręty perspektywiczne i możliwości kinetyczne. Wreszcie prześwietlał to wszystko z różną siłą i z rozmaitych kierunków, by móc studiować luministyczne efekty. Dlatego jego obrazom nie brakuje szalonych lewitacji czy wirów porywających ludzi i światła. Marco Boschini, pisząc o Tintoretcie, łapał się za głowę już kilkaset lat temu (1660):

*„Wszystko wrze, wszystko ulatuje niby łuczniczki strzały,  
Nikt nie widział bardziej zdumiewającej magii,  
Oto rtęć krzepnie, oto człowiek unosi się nad górami  
Mocą sztuki...”.*

Nikt inny nie tworzył wówczas projekcji tak odrealnionych, tak wizyjnych, tak halucynacyjnych, ze snu, ze złydy, z fantazji wprost



wariackiej. U Tintoretta ekspresyjność przewyższa dekoracyjność w sposób nadteatralny, już filmowy, gdyż sceną rządzą dramatyczne efekty świetlne (luminizm) i kinetyczne (ruch). Ruch wszystkiego — od diagonalnie ciętych i pulsujących głębi dzieła, do akrobatycznych piruetów figur, sławnej Tintorettowskiej „furii figur” („furia delie figurae”). Każda masa przeobraża się tam w wibrację, w kinetyczne szaleństwo. Dlatego Giorgio Vasari rzekł o Tintorecie (1568): „Najstraszliwszy mózg jaki znają dzieje malarstwa”, a Zanetti wtórował, pisząc (1771): „Straszliwy geniusz”. Tym Bleiberg ukąsił Satina zgłaszającego temat:

—Chce pan pisać o szaleńcu, panie Retea?

—Tak, panie profesorze. Bez twórczego szaleństwa można robić rzemiosło, sztukę drugorzędną, lecz genialnej nie da się spłodzić bez odchylenia umysłu. A poza tym ja kocham iluzję, zwłaszcza kino.

—Co to ma do rzeczy? —zdziwił się Bleiberg.

—Parateatralne projekcje Tintoretta antycypują kino. Zasadnicze cechy jego malarstwa — światło i ruch, kinetyczny luminizm vel luministyczny kinetyzm — są czysto prekinematograficzne, prefilmowe. I to lśnienie płaszczyzn, jak lśnienie kinowego ekranu! Osiągał ten efekt dodając do farb sproszkowane szkło. Pewnie widział pan profesor „Świętą Marię Egipcjankę” Tintoretta?

—Tak, to obraz religijny.

—Dla mnie raczej filmowy, panie profesorze. Uwodzi mnie fluorescencja tego płótna, atomy nocnych światel fosforyzujące niczym grudki śniegu przy księżycu. Cudowny nokturn, jak z filmu grozy. Tego typu prefilmowe efekty rozwinął dwieście lat później Philippe-Jacques de Louthembourg. Pan profesor bez wątpienia zna dzieła tego malarza...

—Nie znam! — skrzeknął Bleiberg. — To pewnie pacykarz piątej kategorii, tuzinkowy malarzyna, jakich były tysiące, poważna historia sztuki unika zajmowania się piątą ligą!

Satina nie wybiło to z konceptu:

—Myślałem, że pan profesor słyszał o nim, bo jest pan profesor Szwajcarem, a roku 1787 Louthembourg odbył głośną podróż przez Szwajcarię w towarzystwie sławnego maga i masona, hrabiego Cagliostro. Ten „pacykarz” miał wówczas wszecheuropejską renomę, hołdowali go tytani, jak wielki Diderot, zaś król brytyjskiej sceny, Garrick, sprowadził go do londyńskiego teatru Drury Lane, gdzie Louthembourg, mistrz efektów iluzjonistycznych, robił fantastyczne dekoracje, scenografie będące chlubą „gotyckiego preromantyzmu”. Za pomocą świateł i rzutników optycznych typu „laterna magica” reżyserował sceny grozy, które urzekły publiczność. Jego ruchome „teatry cieni” na podświetlanych ekranach wprost anonsowały sztukę filmową, jego ekranowy teatr zwany Eidophusikon dawał czysto kinowe efekty iluzjonistyczne, a jego londyńska wystawa zatytułowana „moving pictures” samą nazwą mówiła o co chodzi. Lecz poza tym, że był scenografem, luministą, kabalistą, alchemikiem i czarnoksiężnikiem, był też Louthembourg malarzem, zapowiadał pędzłami kino, uzupełniał po swojemu prekursorskie wobec kinematografii dzieła Tintoretta.

Wykładowca Bleiberg słuchał wykładu bezczelnego studenta coraz bardziej siniejąc. Audytorium pełne naszych kolegów i koleżanek milczało jak zahipnotyzowane, ale w tym milczeniu był huczny, owacyjny podziw dla Satina. Gdy Satin skończył mówić, deklarując raz jeszcze chęć analizowania prefilmowego dorobku Tintoretta, Bleiberg spytał złowrogo:

—Pan sam wymyślił to rzekome prekursorstwo, panie Retea?

—Tak, lecz później dowiedziałem się, iż ubiegł mnie Faure.

—Kto?

—Elie Faure, renomowany francuski krytyk i historyk sztuki. Właśnie zmarł, kilka dni temu. Kilkanaście lat temu wydał dzieło „L'Art Moderne”, o czym pan profesor słyszał z pewnością...

Siniejąca gęba Bleiberga mówiła, że nie słyszał, podobnie jak nie słyszał o Louthembourg. Było 2:0 dla Satina, przy pełnej auli, stanowiącej meczową publiczność. Lecz historia sportowych pojedynków wielokrotnie dowiodła, iż prestiżowych starć nie wolno uważać za rozstrzygnięte przed gwizdkiem końcowym. Gwizdek trzymały zęby sędziego, a sędzią był szef katedry Historii Europejskiego Malarstwa, profesor Hugon Bleiberg. Kiedy się zastanawiał czym przemienić swą klęskę w triumf, usłyszeliśmy dzwonek na przerwę. Więc powiedział krótko:

—Nie wyrażam zgody, panie Retea. Jako pracę semestralną da mi pan analizę biblijnego tematu, „Grzechu pierwородnego” Tycjana z Muzeum Prado w Madrycie. Grzech pierwородny był matką wszystkich grzechów i kolebką wszystkich grzeszników, najpaskudniej szych grzeszników.

—Czy ja też mogę nie wyrazić zgody, szanowny panie profesorze? — spytał grzesznik, uśmiechając się kwaśno.

—Może pan, jednak pańska rezygnacja z zadanego panu tematu równać się będzie pańskiej rezygnacji z kontynuowania tutaj studiów, panie studencie! — wycedził Bleiberg i biorąc swą teczkę pod pachę, opuścił salę krokiem zwycięzcy totalnego.

## 28.

### **Król Alfons Louis stręczyciel, „magister artium eroticarum”**

Miesiąc później, gdy jedliśmy w knajpie „Cygana”, zapytałem:

—Pracujesz nad Tycjanem, Sat?

—Nic a nic. Grzech pierwородny to fajny temat, widoczki Adama i Ewy pod drzewem są znane już z rzymskich katakumb III wieku,

mógłbym ukazać ewolucję motywu trwającą półtora tysiąca lat, ale to by oznaczało, że Bleiberg wygrał, że mnie pogroził, a ja nie lubię przegrywać, więc nie dam piernikowi tej satysfakcji. To ja go ugnę, dzięki twojemu wsparciu, Matt. Dam mu szachowego mata.

Zaprotestowałem:

—Nic z tego, nie będę prowadził wojny dla ciebie, chcę ukończyć studia, Satin!

—Ale wcześniej chcesz spłacić swój honorowy dług. Nadszedł czas. Przyjdź do mnie jutro wieczorem, wytłumaczę ci modus operandi, kolego.

Nazajutrz, gdy czując lekkiego stracha poszedłem doń, zaczął kojąco, niczym dawką morfiny:

—Kiedyś ci obiecałem, że spłata długu będzie przyjemna, i zobaczysz, że istotnie będzie bardziej przyjemnością niż koniecznością. Wpierw jednak musimy ustalić pewne sprawy. Powiedz mi, czy masz solidnego kutasa.

Myślałem, że z krzesła spadnę, i próbowałem wywinąć się zartobliwą agresją:

—Chcesz mnie do łóżka, Satin, żebym tam spłacił swój dług? Jesteś pedałem, psiakrew?!

—Jestem wszystkim czym trzeba, gdy trzeba, ale dziś mówimy nie o mnie, tylko o płci pięknej, więc pytam cię znowu: czy masz fiuta dużego?

—Dosyć dużego.

—A może się tylko chwalisz?

—Nie chwale się, jest całkiem spory... Kiedyś onanizowaliśmy się przy szkole z kumplami, we czterech, mój był największy, zazdrościli mi go.

—No to moje informacje są dokładne. Wiedziałem, że masz fajkę symfoniczną!

—Od kogo wiedziałeś?

Mógł wiedzieć od Klarysy, od Barbary lub od Margot, ale Klarysy nie mógł znać, prędzej od Barbary lub od Margot.

—Wiesz od Margot?

—A kto to jest Margot?

—Moja stryjenka, powiedziałem ci o niej, gdy rozmawialiśmy o Wiedniu.

Raptem przypomniałem sobie, że kiedyś namówiona przez „Pyzę” Murzynka „Nesca” macała mi krocze gdy podawała mi piwo. Zapytałem jednak nie o nią, tylko o sprawę:

—Czemu to takie ważne, Satin?

—Bo z fiutem na dupie jest jak ze śniegiem na stoku slalomowym. Pytanie brzmi: jaki gruby i jak długo się utrzyma?

—A nie: jaki długi?

—Nie, długość vel wysokość stanowi dla bab trzeciorzędny parametr. To czy jesteś rosły niby latarnia, czy ledwo wystajesz nad krawężnik, ma znaczenie kiedy podrywasz, ale w łóżku liczą się inne parametry, choć też nie one są decydujące, bo najważniejsza jest przedbalistyczna technika wyciora. Różne mądralińskie piszą całe tomy o subtelnościach, niuansach i sekretach duszy kobiecej, gdy cała tajemnica tkwi w dupie kobiecej. Ciesność bab to kobiecy absolut, reszta jest bajkopisarstwem.

—Mówisz o odbyciu, czy o kroczu?

—Nie udawaj głupiego, mówię o kroczu!

—A faceci nie są zwierzętami?

—Są, lecz tym winny się martwić lub cieszyć baby, mnie zwierzęcość facetów interesuje dzisiaj jako broń ofensywna. Dużo miałeś w życiu dziewczyn i kobiet?

—Trzy.

—Ile tutaj, na uniwerku?

—Jedną. Barbarę z filologii romańskiej.

—I dalej ją masz?

—Nie, wolała faceta z trzeciego roku germanistyki.

—Więc poćsisz i walisz konia własną spracowaną grabą. To źle. Śpiewak operowy nie powinien śpiewać szeptem, zwłaszcza jeśli nie brakuje mu głosu.

Zrobiło się cicho. Patrzył na mnie jak kot na mysz i czekał. Za rozchylnym szeroko oknem krzewy schły po deszczu. Nitki wielkiej pięknej pajęczyny między dwiema gałązkami lśniły cekinadą wiszących kropel, w których przeglądały się promyki słońca. Uniosłem wzrok:

—Czego chcesz?

—Żebyś poderwał matkę „siostrzenicy”, czyli córki pana profesora Bleiberga, baronową Bettinę Zurfurst.

—Matkę tej dziewczyny od róży, którą wskrzesiłeś?

—Tak. Mamusia jest ładniejsza niż córeczka, będziesz miał dużą przyjemność. I wcale nie jest stara, ledwo ukończyła trzydzieści siedem wiosen. Prowadzi z mężem zakład balneologiczno-terapeutyczny w kurorcie Germanshaven II, tym pomiędzy plażą a strefą parkową.

—To dlatego udostępniłeś mi i wychwalałeś „balneologiczną” część „Manuskryptu Voynicha”?

—Owszem, tylko dla tej przyczyny.

—Chcesz, żebym się kąpał w ich zakładzie?

—Dobrze by ci zrobiło, to świetny zakład, chluba kurortu. Nowoczesny system hydroterapeutyczny, czyli modne wodolecznictwo według metod Priessnitza, Winternitza i Kneippa, wszystkie elity Rzeszy, od politycznych do artystycznych, walą tutaj reperować sobie zdrówko biczami wodnymi, kąpielami mineralnymi, solankami, borowinami, błotami oraz innymi gównami, złoty interes. Małżonek nadzoruje część męską uzdrowiska, a małżonka, Frau Bettina, żeńską. Pójdź tam wziąć kilka hydromasaży i zorientuj się jakie są możliwości, pamiętając, że

nie ma twierdz nie do zdobycia. Jeśli ci się uda, będziemy kwita zupełnie, skasuję twój dług.

—Jeśli nie jest puszczalska, lecz wierna mężowi, to nie mam szans, tylko się wygłupię...

Uderzył otwartą dłonią kolano, jakby rozzłościły go moje słowa, i krzyknął:

—Wierna?! Co ty gadasz! Nie istnieje coś takiego jak erotyczna, łóżkowa wierność kobiety! To biologiczny absurd, nonsens! Zakonnice, dziewice, stateczne małżonki, wszystkie są podatne na kutasa! Francuzi słusznie mówią od wieków: „anges a l'eglise, singses au lit” — anioły w kościele, małpy w łóżku. Czy wiesz ile już czasu trwa jej małżeństwo?

Zachnąłem się:

—A skąd mam wiedzieć, do cholery?! Przed chwilą usłyszałem o jej istnieniu!

—Całe dziewiętnaście lat!... Bleiberg wydał ją sprytnie za mąż, kiedy tylko spostrzegła swą ciążę, lecz brzuch nie był jeszcze widoczny. Prawie dwadzieścia lat!... Po tylu latach rutyny małżeńskiej każda kobieta chce odmiany, która spowolni jej starzenie się i zlikwiduje nudzenie się, czyli przywróci damie erotyczną atrakcyjność. Facet, który winien wobec takiej głodnej baby odegrać rolę zbawiciela-karmiciela, słusznie czyni, kiedy ją adoruje, ona to lubi, to ją cieszy, do tego została stworzona, tego pragnie. Lecz jeszcze słuszniej czyni, gdy adoruje nie ją, tylko jej kobiecość jako taką, bo to lałę bardziej podnieca, to ją rozgrzewa, to jej przypomina, że może być supersamicą. Ten wytrych jest morderczo skuteczny. Wilgoć w kroczu, rozumiesz?... Frau Bettina czeka na ciebie, mój drogi, chociaż nie słyszała jeszcze o tobie.

Gadał tak prawie pół godziny, motywując mnie niby licencjonowany „magister artium eroticarum”. Musiałem zapytać:

—To ci potrzebne do zgnojenia Bleiberga, co?

—Do zdyscyplinowania pana profesora, by przestał mi bruździć na uczelni.

—Jeszcze tego nie robi.

—Ale będzie to robił gdy nie dam mu pracy semestralnej, której zażądał.

—Czegoś tu nie kapuję... Jako rutynowany spec od deprawowania bab mógłbyś sam uwieść Frau Bettinę zamiast posyłać tam mnie, a przedtem zmuszać mnie długiem, motywować i szkolić. Ja łatwo zepsuję całą tę grę, lub będzie się ślimaczyła, a ty, znawca duszy kobiecej, od ręki zrobiłbyś co trzeba, czyż nie wiesz wszystkiego w tej materii?

Skrzywił się i powiedział cierpko:

—Ornitolog nie musi fruwać. A poza tym ja jestem bezpośrednim przeciwnikiem Bleiberga, więc gdyby mu doniesiono, że się kręcę przy jego dawnym „materacu"... Ty jesteś bardziej anonimowy, kolego.

—Ty natomiast jesteś... jesteś stręczycielem, Sat!

—Możesz mnie zwać jak chcesz, rajfurem, sutenerem, kuplerem, alfonsiem, co tam wolisz! — parsknął, i wyszczerzył zęby w uśmiechu. —Biedne dzieci o imieniu Alfons, cierpią przez Dumasa-synalka, gdyż ten napisał popularną komedię „Monsieur Alphonse", której bohater jest sutenerem, no i sutenerów zaczęto zwać alfonsami. Było względem tego dużo kawałów. prostytutka mówi koleżance: „ — Wyjeżdżam do Hiszpanii". Tamta pyta: „ — Dlaczego?". Pierwsza odpowiada: „ — Bo w Hiszpanii Alfons jest królem". Tak żartowano za Alfonsa XII i Alfonsa XIII, którego zmiotła Republika, sześć lat temu. Czy wiesz, że na Półwyspie Pirenejskim panowało ponad dwudziestu Alfonsów, Matt? I że imię Alfons wzięło się ze staroniemieckiego Adalfons, co oznacza: „błyszczący szlachectwem"? Pewnie przez to tutaj nie przyjął się Alfons jako sutener, Niemcy wybrali do tego celu imię innego



Francuza, Louis, a później zwulgaryzowali jako: Lude. Gdyby Dumas napisał komedię „Monsieur Louis”... Odkąd się znamy, Matt, cały czas tłumaczę ci, iż życie jest pansceniczną komedią, i niczym więcej, drogi dłużniku.

## 29.

### **Głowa węża dybiąca głową penisa na głowę profesora**

Przyjrzałem się kolorowej reprodukcji „Grzechu pierworodnego” Tycjana. Goły Adam i goła Ewa, lecz genitalia bardzo sumiennie zakryte szerokolistnymi gałęziami, więc taka golizna, nadto biblijna, wręcz purytańska, nie drażniła bigota Bleiberga ani ciut. Między prarodzicami Drzewo Rozeznania Dobra i Zła; wąż wijący się w koronie drzewa podaje Ewie jabłko. Wszystko jak trzeba, ujęcie kanoniczne. Chcąc odsunąć wojnę z Bleibergiem, a tym samym moje zaloty do Frau Bettiny, próbowałem nakłonić kumpla, by jednak zrobił Bleibergowi analizę obrazu. Bezskutecznie, nie dał się przekonać:

—Matt, nie ciśnij, idę na wojnę, dłużniku! A gdy dzięki tobie i Frau Bettinie włożę kaganiec Bleibergowi, to kolejną pracę semestralną wykonam o twórczości Louthembourg. Winienesz być tym zainteresowany, bo w prefilmowym Eidophusikonie Louthembourg jednym z głównych wykonawców był Polak, legendarny polski karzeł Józef Borowlaski, szlachcic, którego salony tudzież dwory europejskie zwały „Sieur Borowlaski” i „Joujou”.

Prace studentów powinny napływać do profesora Bleiberga miesiąc przed końcem semestru jesienno-zimowego, lecz przypadkiem Satin ujawnił swą buntowniczą abnegację dużo wcześniej. Profesor bowiem, zaczynając któreś seminarium, rzucił

złośliwie ku wchodzącemu Satinowi:

—Pan znowu się spóźnia, panie Retea! Rozumiem, że przyczyną jest harówka nad „Grzechem pierworodnym”?

—Nie, panie profesorze. Nie obchodzi mnie ten bohomas messera Vecellio.

—Czy jest jakiś bohomas messera Tiziana Vecellio, który pana obchodzi, panie studencie?

—Jest, panie profesorze. „Trzy fazy życia”, ale wyłącznie lewa strona, ta z fujarkami, dla wiadomych panu powodów. Ta lewa strona winna nosić tytuł: „Grzech pierwszorzędny”.

Bleiberg zbladł. W „Fazach życia” widać po lewej stronie gołego mężczyznę, na którego kolanach wspiera się hoża dziewczka trzymająca dwa krótkie flety mające barwę ludzkiej skóry. Flet trzymany lewą ręką dziewczyny wyrasta z krocza mężczyzny niby sterczący penis, a ten trzymany prawą ręką dziewczyna zbliża do swych warg. Alegoria obsceniczna (płótno to chętnie było „Alegorią” zwane), czytelna jak pornografia przyjaciela Tycjana, „świntucha” Aretino. Bleiberg zacisnął pięści, jednak nie podjął dyskusji o tym malunku (by nie zwracać nań uwagi innych studentów), tylko rozkazał:

—Proszę siadać, panie Retea, i proszę się więcej nie spóźniać na zajęcia seminaryjne!

Satin usiadł, lecz nim usiadł, półgłosem mruknął:

—Łacińskie słowo „seminarium” znaczy: „miejsce sadzenia”. A tu się nie sadi, tylko plewi się dzieje malarstwa, usuwając każdą rzecz, która bruździ fanatyzmowi religijnemu szefa przedmiotu!

Bleiberg nie dosłyszał:

—Cóż pan tam szepcze?

—Nic ważnego, Herr Professor.

—Czyli jak zwykle, bardzo rzadko mówi pan coś ważnego, panie Retea. Ważne jest, by pan nie zapomniał, iż analiza wskazanego

panu bohomazu stanowić będzie pański bilet do kontynuacji studiów na naszej uczelni.

—Nie zapomniałem, jednak mimo wszystko nie skorzystam z tej przepustki, panie Bleiberg.

—To znaczy, że...

—Że nie będę analizował tej pracy Tycjana.

Bleiberg uśmiechnął się pełen radości:

—Można wiedzieć czemu?

—Nie pozwala mi wrodzona przyzwoitość i etyka chrześcijańska, Herr Bleiberg.

—Co takiego?!

—Herr Professor, zostałem wychowany w kulcie prawdy, czyli w nienawiści do kłamstwa, a ten obraz ukazuje fałszywą interpretację „Starego Testamentu”. Biblijna „Księga Rodzaju” zawiera słowo „owoc”, nigdzie nie wspomina jabłek czy jabłoni. To późniejszy wymysł europejskich łacinników, którzy skojarzyli sobie słowo „malus”, czyli jabłoń, ze słowem „malum”, czyli zło, i wstawili jabłko do Pisma Świętego. Tak jabłko awansowało na symbol pierwotnego grzechu, ale to czysty fałsz. Dzięki niemu rodziły się podania ludowe, choćby o „jabłku Adama”, czyli o grdyce męskiej wystającej, bo Adam miał łyknąć całe jabłko, które dała mu Ewa. Same bzdury.

Bleiberg machnął gniewnie ręką:

—To tylko umowna symbolika, panie Retea, którą pan demonizuje nadużywając słowa „fałszerstwo”. Według tradycji wschodniej i śródziemnomorskiej biblijny „owoc” był raczej figą, a Drzewo Poznania Dobra i Zła było figowcem, lecz dla Europejczyków symbol jabłka jest bardziej klarowny...

—Dla całej cywilizacji nowożytnej stał się właśnie dzięki temu wielorakim godłem zła! — przerwał mu Satin, wstając. — Jabłko na głowie syna pańskiego rodaka, Wilhelma Telia, metaforyzuje

okrucieństwo tyranów, a trujące jabłko, którym baśniowa wiedźma raczy królową, to godło złowrogich mocy czarnoksięskich.

—Ale finał jest zawsze szczęśliwy, panie Retea — zaproponował Bleiberg. —Jeden pocałunek sprawia, że jabłko czarownicy gubi swą trucicielską moc. Jedna celna strzała z kuszy uwalnia dziecko Wilhelma Tella. A Męka Chrystusa odkupuje grzech pierwotny popełniony przez ludzkość w Raju.

— To nie wszystko, panie profesorze. Jest tu również wąż symbolizujący Szatana. Absurd!

—Dlaczego absurd?... — zdziwił się Bleiberg. — Wąż zawsze symbolizował piekielne Zło.

—Zawsze?! To nieprawda! Od czasów Abrahama Hebrajczycy przez wiele stuleci ukazywali Jahwe, swego Boga, pod postacią węża, dopiero później tępiciele bałwochwalstw wyrugowali tę symbolikę i wąż stał się symbolem negatywnym. W trakcie pustynnej wędrówki Izraelitów Mojżesz, wypełniając rozkazy Boga, umieszczał spiżowego węża na wysokiej żerdzi pośrodku biwaku jako bóstwo broniące od chorób i ran. Różne ludy starożytnego Wschodu traktowały węża jako symbol lecznictwa i życia, proszę sobie przypomnieć laskę grecko-rzymskiego boga medycyny, Asklepiosa vel Eskulapa, którą oplata wąż! W mitografii Antyku wąż był też symbolem Skromności, „Prudentia”, oraz Wieczności, „Aeternitas”, czyli czasu zmartwychwstającego, i podlegał rzymskiemu bogu Saturnowi, czyli greckiemu Kronosowi, „Ojcu Czasu”...

Bleiberg, słuchając tego, uśmiechał się dobrotliwie, niczym łagodny ekonom, co daje ględzić parobkowi, a kiedy Satin umilkł — profesor skontrował:

—Pan jest odczytany, panie Retea, lecz ja nie zaliczam przedmiotu premiując dowolne popisy erudycyjne, tylko sumując noty z kolokwiów dotyczących malarstwa i z wypracowań semestralnych. Jeśli natomiast idzie o węża antycznego, to rzecz jasna pamiętam

godło starożytnych medyków, i mógłbym się erudycyjnie wymądrzać wskazując wiele innych znaczeń, choćby kosmogoniczne znaczenie węża w świętych tekstach mezopotamskich, pamiętam wszakże również kwestię pierwszoplanową: iż dla świata chrześcijańskiego wąż był zawsze symbolem Szatana, właśnie dzięki „Księdze Rodzaju”, gdzie mowa stricte o wężu kusicielu. Tu już nie ma scjencyznych wątpliwości: jabłko, figa czy pomarańcza?, panie Retea.

—Za to są duże wątpliwości malarskie, czyli te, panie profesorze, o których wyłącznie chce pan rozmawiać! Malarze bardzo różnie ukazują głowę węża z Raju, już od Średniowiecza dawali mu na przykład głowę kobiecą, głowę diablicy Lilith, która według łacińskich egzegetów była pierwszą żoną Adama, a według literatury rabinistycznej drugą, po Ewie. Tymczasem jedyny sensowny wizerunek biblijnego węża to wizerunek nie alegoryczny, nie metaforyczny, lecz dosłowny.

—A to czemu? — zdumiał się kolejny raz Bleiberg. — Gdy ikonografia operuje symbolami mitologicznymi, przykładem jest chociażby jabłko, ma prawo metaforyzować, więc nie widzę żadnego powodu...

—Bo nie lubi pan widzieć erotyzmu, panie profesorze! — rąbnął Satin.

— Oczywiście wiązanie węża z pierwiastkiem kobiecym, waginalnym, to prastara tradycja, dowodem minojska Pani Węży...

—Pan się chyba zapomina, panie Retea, na sali są pańskie koleżanki! —upomniał go Bleiberg, czerwieniejąc.

— One rozumieją to lepiej niż pan, Herr Bleiberg. Już średniowieczni rabini w Zaharze interpretowali węże jako symbol genitalnej męskości, a węzowy tekst „Księgi Rodzaju” jako alegorię seksualnego zbliżenia między kobietą a mężczyzną. I Tycjan również tak to rozumiał, bo dał wężowi głowę i rączki cherubinka,

czyli Erosa-Amora-Kupidyna, a więc w „Grzechu pierwotnym” kuszące jabłko to freudowskie „libido”. Tycjan tego nie wymyślił, już od dawna spekulowano podobnie. Wybór węża jako symbolu został spowodowany fallicznym kształtem głowy gada wieńczącej korpus, który też ma formę falliczną. Ta głowa węża to przecież ewidentny żołędź penisa w stanie wzwodu, panie profesorze. Pański uczony kolega z Wiednia, profesor Freud, przysięgnie panu, że każdej samicy ludzkiej śni się wąż jako penis.

—Dosyć! — ryknął Bleiberg, czerwony niby burak. — Panie Retea, zechce pan natychmiast wyjść stąd! Proszę opuścić salę, i proszę nie wracać bez analizy „Grzechu pierwotnego” wolnej od wulgaryzmów!

Znowu belfer wygrał, ale wzrok idącego ku drzwiom Satina mówił, że „ten się śmieje, kto się ostatni śmieje”.

Dziewczyny na sali nie były skonfundowane —były zachwycone.

### 30.

#### Czar lysej pięści nocą

Pojęcia nie miałem jak się dostać do Frau Bettiny Zurfurst. Wykupiłem w zakładzie państwa Zurfurst kartę stałego użytkownika basenu z solanką, biegałem na salę hydromasażów, pryszniców i „biczków wodnych”, ale to wszystko znajdowało się w strefie dla mężczyzn, podczas gdy strefa dla kobiet była niedostępna. Co prawda park spacerowy, z pijalnią mineralnych wód, był strefą wspólną, męsko-damską (żartowano, iż „koedukacyjną”), lecz Bettinę Z. widziałem tam tylko dwa razy, kiedy towarzyszył jej mąż, doktor Jurgen Zurfurst, notabene baron noszący monokl, cylinder i sumiaste wąsy kroju

hohenzollernowskiego. Ona też trzymała głowę wysoko, arystokratycznie, emanując paradystyngowane zimno, typowe u ludzi, którzy mają o sobie mniemanie pięciogwiazdkowego kalibru. Zupełna niemożność, niezblizalność, niedotykalność, jak tu ugryźć?! Ale właśnie ta skala trudności powodowała, iż coś, co wcześniej brałem jako haraczowy obowiązek, wymuszony przez wierzącego karcianego, poczęło mnie rajcować wedle reguły, że bariery i szlabany, niczym „owoce zakazane” — kuszą przemożnie, siłą biomagnesu.

—Tylko nie świruj, nie bądź harcerzykiem, Matt! — ostrzegł mnie Satin, kiedy mu wyznałem, że sprawia mi duży kłopot zawarcie znajomości, a tym bardziej komitywy między mną i damą.

—Niby jak miałbym świrować?

— Romantyzuj zewnętrznie, strategicznie, jeśli to klucz prawidłowy, ale nie romantyzuj wewnętrznie, we własnym sercu.

—Chodzi ci o...

—O uczucia sercowe. Nie zadurzaj się, ani nie zakochuj! Kiedy do czysto biologicznej żądzki dodasz uczucia, sentymenty, tak zwaną miłość — rodzi się kłamstwo, którego przeznaczeniem jest krach. Miłość to ułuda, złożony papier, którym duchowość opakuje materię złożoną z mięsa i spermy.

—Nie zakocham się, tego się nie boję. Boję się raczej, że nie dam rady jej dotknąć, czyli osiąść, gdyż nie znam furtki do tej męzatkki, jak powiedziałeś: klucza.

—Więc użyj wytrycha.

—Nie znam też. I wytrychy, i klucze, są... są chyba różnego rodzaju...

—To prawda, kolego. A czemu? Ponieważ psychika bab jest różnego rodzaju, i kapryśność bab także jest różnego rodzaju. Są wszelako dwa typy główne kiedy podrywasz. Wobec jednych skutkują jako entree czułe słówka, szepty, kwiatki, cytaciki z poezji, nieśmiałość,

delikatność i tego rodzaju pierdoły, póki nie spadną majtki, bo wtedy trzeba już tylko solidnie rznąć, by jej zwierzęcość zaskoczyła — by się spodobało. Wobec drugich dużo lepiej skutkuje cyniczna szorstkość, jawnie demonstrowana żądza, wirująca chuć — „chcę cię zerznąć, zrobmy sobie frajdę, raz się żyje, mała, chodźmy w tango!”. To, plus kapeńka alkoholu, i już jesteś goły, bo ona cię rozbierze szybciej niż ty ją. Inny typ kobiety. Pensjonarka i diwa. Ale finał musi być identyczny — dajesz rozkosz. Jeśli nie dałeś rozkoszy, baba daje ci dymisję, każda, prędzej czy później, tu już nie ma podziału na mniej lub bardziej zepsute — wóz lub przewóz!

—Wymieniłeś dwie skrajności, mistrzu „artium eroticarum”, a są chyba rodzaje i, co za tym idzie, metody, pośrednie, prawda?

—Prawda, lecz czy mam ci wyklądać, cytować, wpajając tysięcz-stronicową encyklopedię uwodzenia płci pięknej? Istnieje tysiąc metod, które stosuje się zależnie od okoliczności, od rodzaju kobiety, od pory dnia, pogody, aury bądź klimatu. Pewna teoria głosi, że kobiety najbardziej lubią facetów, którzy umieją je rozbawić. Ergo: flirtując trzeba dowcipkować. Inteligentnie dowcipkować. Uczeni twierdzą, że dla kobiety poczucie humoru samca jest oznaką jego intelektu, a skłonność samic do żartownisiów ma źródła prehistoryczne, ewolucyjne, bo samice oceniały wesołków jako sprytnych, czyli bardziej zaradnych w walce o byt. Dzisiaj kpiarze przyciągają pewien rodzaj kobiet tym, iż nie traktują się zbyt serio.

—A więc mam się obkuć kawałów i bon motów, żeby...

—Masz się kierować intuicją, wyczuć rodzaj klucza, nie żądaj ode mnie recept uniwersalnych!

Rozmawialiśmy wracając nocą z lokalu, ale tym razem nie z knajpy »Cygana«, lecz z kawiarni, w której występował modny kabaret „Kokos”. Spędziliśmy tam miły wieczór, słuchając wesołych skeczów, frywolnych piosenek i muzyki jazzowej tudzież swingowej.



Wracaliśmy spacerem przez boczne uliczki ku centrum miasta. Noc była ciepła, bezchmurna, księżycowa, a od morza wiatr niósł słone zapachy. Kiedy mijaliśmy bramę jakiejś czynszówki, wyłoniło się stamtąd dwóch apaszów. I nie wiadomo skąd kolejnych dwóch, którzy stanęli nam za plecami. Wszyscy mieli kratkowe czapki i marynarki apaszowskie, dziurawe zęby, cienkie wąsiki, tombakowe sygnety i owinięte wokół szyj szaliki lumpowych elegantów. Jeden, chyba wódz tej łobuzerki, uśmiechnął się fałszywie i poprosił grzecznie, wskazując bramę:

—Prosiemy szanownych panów do środeczka.

Ze strachu o mało nie narobiłem w portki, a Satin spytał:

—Dla jakiego celu?

—Dla rekwizycji, czyli tak zwanego zaboru mienia —odparł, ciągle uśmiechnięty, zbój.

—Jakim prawem?

—Bezczelny ten Jojne! — zgrzytnął drugi łobuz. — Się Żydki rozbestwiły nim nastał Führer Adolf, i dalej rzną bezczelnego, psia ich mać!

Lecz ten pierwszy udzielił odpowiedzi:

—Prawem „Mein Kampf”, gudłajku. Właźcie!

—A jak nie?

—A jak nie po dobremu, to po przymusowemu, Herr Jude!

—Znaczą: będziecie bić?

—A szanowne panowie będą gudłajskie ząbki zbierać. Na co to komu, dentysta dziś kosztuje...

—Czym będziecie bić? — zainteresował się Satin. — Kastetem, pałką, gołą pięścią?

—Może być łysą piąchą, klient nasz pan. Albo i z fleka, nam to bez różnicy.

—O tak? — spytał Satin i uderzył pięścią.

Tamten padł niby deska, odbił się od muru i stracił przytomność.

Reszta wyciągnęła „kosy”, jednak nie zdążyli ich użyć, bo nim mrugnąłem powieką, wszyscy leżeli, i tylko jeden stękał, a dwóch leżało niemo i nieruchomo, jak tamten pierwszy — zupełnie bez zmysłów. Ruchy Satina były tak szybkie, że właściwie ich nie widziałem — widziałem ruchy agresorów, którzy machali uzbrojonymi rękami i padali na trotuar. Satin przekroczył dwa ciała, mówiąc:

—Robi się późno, chodźmy.

Nie mogłem wyjść z podziwu:

— Fantastyczne! Jesteś bardzo silny, oni padali niby rażeni prądem...

—Nie trzeba do tego dużo własnej siły, wystarczy siła napastnika, której musisz użyć przeciwko niemu. To azjatycki patent, kolego. Gdyby jedyną bronią, jaką człowiek dysponuje, były ręce oraz nogi — Azja podbiłaby cały świat.

Chwilę szliśmy milcząc, póki nie rzekł:

—Te męty to plagiatorzy...

—Czemu?

—Czemu? Bo ludzie uwielbiają małpować. A to, wbrew pozorom, wcale nie jest takie łatwe. Czy wiesz, że Charlie Chaplin wystartował anonimowo, dla hecy, w konkursie na sobowtóra Chaplina? Zgadnij które miejsce zajął.

—Pierwsze, to oczywiste!

—Nie, głupku.

—Nie?! No to... pewnie drugie...

—Trzecie. Małpować, nawet siebie, nie zawsze jest łatwo. Ci gnoje małpują paryskich apaszów.

Pierwszy raz usłyszałem wówczas to słowo. Jakby się domyślił, bo od razu wyjaśnił:

—Głupi termin, wzięty z francuskiego nazewnictwa dla Indian, Apaczów — „Apaches”. Masz czystą chustkę, kolego?

—Tak, proszę.

—Obetrzyj sobie krew u dołu podbródka, bo ci kołnierzyk zaplami. Nie tu, trochę dalej, tu.

Nie czułem bólu ni skaleczenia. Któryś bandzior musiał mnie drasnąć krańcem „kosal”, lecz nerwy i strach uśmierzyły uczucie.

—Krew!... —krzyknął odkrywczol Satin. —Twoja kapiąca krew może ci pomóc przy uwodzeniu pani doktor. Szefowa czasami ma dyżur w laboratorium zakładu! Ale zostawmy to na później, gdy samodzielnie nie dasz rady jej upolować. Ciągle wierzę, że poradzisz sobie sam, kolego — że twój kutas zwycięży. Mistyczna żydowska „Kabała” mówi: „Niech tajemnica jej waginy weźmie górę”. Oczywiście, długodystansowo, gdy facet się zakocha, „tajemnica waginy” z reguły bierze górę, i mężczyzna jest spuszczaony do kibla lub rynsztoka, ale krótkodystansowo, gdy chodzi tylko o flirt, romans, sferę miłostkowego grzechu — kutas może spokojnie wygrać, i często wygrywa. Życzę ci szczęścia, Matt!

### 31.

#### **Mnich „Zgaga” kuszony nieskutecznie**

Dwa dni później Satin rzekł mi w przerwie wykładu:

—Trzeba też będzie poderwać córeczkę Bleiberga i Frau Bettiny. Wiesz komu to zlecić?

—Nie mam zielonego pojęcia.

—Jakiego?... — zdziwił się Satin. — Zielonego? Czemu akurat zielonego?

—Tak się mówi po polsku.

—Ale ty mówisz teraz po niemiecku.

—Przetłumaczyłem to na niemiecki. Jeśli wolisz jakiś inny kolor,

proszę bardzo. Nie mam żadnego pojęcia komu chcesz to draństwo zlecić. Ani czerwonego, ani beżowego, ani bordowego czy żółtego — żadnego!

—Zlecę to „Filozofowi” lub „Zgadze”.

—Oszalałeś, Sat?! Księdzu?!

—Właśnie ułatwiłeś mi podjęcie decyzji, kolego. Jeśli oszalałem, to tylko księdzu!

—On się nie zgodzi!

—Proponując ci zakład, zwiększyłbym tylko twój dług, więc się wstrzymam, kolego, ale przyjdź do mnie jutro o piątej po południu, to zobaczysz.

—Co zobaczę?

—Zobaczysz u mnie „Zgagę” alias „Dupę biskupa”, czyli naszego mnicha „duszpasterza” z knajpy „Cygana”. O piątej, bądź punktualny!

Byłem punktualny. Przywitała mnie wiedźmowata służąca Helga i poprowadziła do komnaty, w której leciutko rozchyłały się drugie drzwi, zakryte od strony salonu kotarą. Dała mi krzesło, żebym nie musiał stać wściubiając ucho w szczelinę prześwitu. Nim zniknęła, burknęła męskim głosem:

—Proszę się nie ruszać, nie gadać, nie smarkać, nie skrzypieć, nie zdradzić w żaden sposób, ma być cicho!

Czekałem kwadrans, aż usłyszałem dzwonek drzwi wejściowych willi. Przyszedł „Zgaga”. Satin wprowadził go do reprezentacyjnego pokoju.

—Ładnie mieszkasz —zauważył gość.

—Każdy może tak mieszkać, to tylko kwestia pieniędzy — odparł gospodarz i wskazał mnichowi fotel.

—Ja nigdy nie zdobędę takiej mamony...

—Ale możesz zdobyć trochę mniejsze pieniądze, przyjmując pewną propozycję, „Zgaga”.

—Jaką propozycję, bracie mój?

—Zatrudnieniową, bracie mój. Proponuję ci etat kapelana pensji dla dziewcząt prowadzonej przez Frau Hessler. To pensja katolicka, jedyna dziś katolicka szkołka damska na północy Rzeszy. Stary ksiądz Reinmuller zmarł kilka dni temu, szukają jego następcy, wielebna „Zgaga”...

—Będą pewnie pytać w biskupstwie... —rzekł „Zgaga”.

—Jeśli tylko ja zechcę, wezmą cię, mogę to załatwić.

—Taki jesteś wpływowy, bracie mój?

—Nie twoja sprawa. Dostałbyś stałą pensję, ale musiałbyś się czasowo wyrzec alkoholu, koniec z wódą! Ani kropli, wielebny, kumasz?

—Czasowo? Na jak długo?

—Aż zerznieś pannę Angelikę Zurfurst, uczennicę ostatniego roku, masz kilka miesięcy, by tego dokonać. Pensja Frau Hessler kończy rok nauki każdego 14 lipca, czyli tego samego dnia, w którym Francuzi obchodzą rocznicę uwolnienia z Bastylii kilku prostytutek i kieszonkowców.

Zapadło długie milczenie. Mnich najwyraźniej walczył ze sobą, lecz nie miałem pojęcia jaki wstręt go bardziej gnębi: wstręt do abstynencji czy wstręt do deprawacji młodych dziewcząt. To pierwsze wydawało mi się bardziej sensowne, gdyż jego Bogiem był głównie cudotwórca z Kany Galilejskiej, który przemienił wodę w wino (dlatego „Zgaga” uważał whisky za brązowe wino, jak ci faceci, co wołają blondynki, uważając, iż brunetki to po prostu ciemnowłose blondynki), a jego sposobem poruszania się: chwiejność. Nie chodził, nie kroczył, nie stąpał, tylko się zataczał niby as kier mokry od wina rozlanego na blacie. Wreszcie przemówił:

—Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni go zaznają! Mówi Pan: czyń dobro, a nie zło! Winienem nawracać, a nie deprawować, bracie mój!

—Ile osób nawróciłeś? —spytał Satin.

—W tym roku jeszcze żadnej... Mogę zacząć od ciebie, bracie mój.

—Chcesz mnie nawrócić na chrystianizm?

—Nie, na przyzwoitość.

—Ale przyzwoitość jest nudna! W ogóle moralność jest nudna. A już wstrzemięźliwość seksualna jest najbardziej nudna. Chyba że wolisz się masturbować wpatrzony w zdjęcia gołych kobiet. Ja rozumiem, że to duża frajda, ale musisz...

—To żadna frajda! —krzyknął „Zgaga” boleściwie.

—Dlaczego?... Matt może ci opowiedzieć o wyrzeźbionej przez starożytnego greckiego geniusza, Praksytelesa, bogini miłości, Afrodycie czyli Wenerze, gdyż niedawno studiował dzieje hetery Fryne, która pozowała Praksytelesowi do tego posągu. Tę statwę ustawiono w świątyni tak, że każdy mógł ją oglądać z każdej strony, od przodu i od tyłu. Antyczni kronikarze mówią, że posąg był ciągle wilgotny, bo ciągle był zachlapany spermą odwiedzających świątynię. Jak widzisz —samogwałt to wręcz kultowa czynność, lecz ja ci proponuję coś lepszego, „Zgaga”.

Znowu długie milczenie, i znowu jęk mnicha:

—Nie wnijdzie do Królestwa Niebieskiego ten, który wbrew Panu swemu czyni, grzesząc obmierzle! Jeśli cię ręka twoja gorszy, utnij ją!

—Lecz o amputowaniu fiutów twoje Pismo Święte nie powiada ni słowa! — zauważył Satin. — Gdyby tylko napomknęto, większość kobiet przekłębaby chrystianizm.

—Córy człowiecze bywają nierządne, bracie mój, ale nie każ mi chędożyć niewiasty, której nie znam, bo...

—Bo co? Uważasz, że nie wypada tak robić? Wszystkie dawne „nie wypada”, wszystkie tabu, prędzej czy później runą jako przejawy ludzkiej głupoty. Do roku 1760 w Madrycie nie było ani jednego wychodka, a gdy król nakazał budować sracze i kanalizować

zasrywane miasto, ludność się wściekła i nawet lekarze protestowali.

—Bracie mój, ty przywołujesz fizjologię bliźniego, gdy ja się kieruję ku moralności ludzkiej! — skrzeknął „Zgaga”. — Zaprawdę, powiadam ci...

—Zaprawdę pieprzysz, „duszpasterzu”! —zdenerwował się Satin. — Jaka moralność! Reguły etyczne są często zupełnie sprzeczne z popędami, żądzami, zmysłami, z biologią! Powiedz mi: kto stworzył ludzi, kto im oddał Ziemię we władanie?

—Wszchemogący Stwórca, bracie mój. Napisane jest...

—Owszem, napisane jest, że człowiek, szpica ewolucji biologicznej, został stworzony przez waszego Pana Boga. Który dał ludziom wolną wolę i wszystkie popędy. Wszystkie! Erotyczne też, idioto!

—Ale nie rozwiążność, bracie mój! — uparł się mnich. — Baczyć ma człek wolną wolą obdarzony, by nie grzeszył, albowiem wszetecznicy pokarani będą, zaś światłość wiekuista nie będzie im dana, nie siędą po prawicy Bożej...

—A czy ludzie pierwotni, jaskiniowi, tam siędą? — przerwał mu Satin.

—Oni chyba też byli „dziećmi Bożymi”, produktem Stworzyciela...

—Wszyscy oni byli potomstwem Adama i Ewy, przeto...

—Jak więc usprawiedliwisz ich, dupku?! W pierwotnych hordach panowało całkowite rozprzężenie seksualne. Każdy mężczyzna rznął każdą kobietę, także swoją matkę, siostrę albo córkę, dziecko nigdy nie znało swego ojca!

—Skąd ty to wiesz, Satin?!

— Z książki Schreibera „Dzieje małżeństwa”, to są prawdy naukowe!

—Oblubieniec prawdy nie pisałby takich bezbożnych rzeczy, bracie mój! —zaskowyczał mnich. —Biada tym, co...

—Biada idiotom, frajerze mój! Ręczę ci, że liberalność obyczajowa

będzie ewoluowała, póki nie zostanie całkowicie zasypany rów pomiędzy wyuzdaniem a katechetyczną przyzwoitością. I wtedy różnice pomiędzy prostytutką a tak zwaną „kobietą przyzwoitą” zostaną zatarte kompletnie, choć może nie przestaną funkcjonować dawne nazwy, lecz już tylko nazwy. To się dokona względnie szybko — obyczajowość zatoczy pełne koło i nim minie półtora stulecia wrócimy do erotyki jaskiniowej: każdy z każdą, każda z każdą, każdy z każdym.

—Opamiętaj się, człowiecze! —ryknął „Zgaga”. —Zanoś modły, prosz zmiłowania, przestań bluźnić, a Syn Człowieczy ci wybaczy, bo Jego nieskończone miłosierdzie...

—Chrzanię jego miłosierdzie! —wycodził Satin.

Mnich zerwał się i donośniej ryknął:

—Ja zaś chrzanię ciebie, obmierzły grzeszniku! Ludzie to nie zwierzęta.

—Taaak? A czym się różnią od zwierząt? Tylko mi nie mów, że poezją i technicznym postępem, wskaż różnicę biologiczną lub fizjologiczną, jedną choćby!

Mnich już przekraczał próg. Nawet nie odwrócił głowy, gdy rzucił ripostę:

—Proszę bardzo. Tylko u ludzi samiec i samica kopulują patrząc sobie w twarz. Amen!

Zaimponował mi — dotąd widziałem pijaczka, teraz zobaczyłem duchownego. Satina ukłutem:

—Przegrałeś, Sat!

—Nie było zakładu!

—Ale przegrałeś.

—To się jeszcze zobaczy. Daj mi półtora tygodnia...



**Mnich „Zgaga” kuszony skutecznie**

Nim minęło półtora tygodnia, Satin zaprosił mnie znowu, i znowu stanąłem przy kotarze między salonem a bawialnią, pchając ucho w lekko uchylone odrzwia. „Zgaga”, gdy wszedł, wygłosił jako powitanie typową dlań formułkę biblijną:

—Pokój temu domowi.

—Dzięki za życzenia —burknął Satin niezbyt grzecznie. —Siadaj, katoliku alkoholiku. Obiecałem ci trochę grosza, jeśli przeczytasz kilka książek Fryderyka Nietzschego, sławnego filozofa, który został Niemcem, lecz wywodził się z polskiej szlachty, z rodu Nickich. Czy spełniłeś warunek otrzymania honorarium?

Jestem absolutnie pewien, że Satin napomknął o sarmackim rodowodzie Nietzschego celowo, by pobudzić moją ciekawość, polechtać mój słuch, powiązać mnie silniej z dialogiem. Mnich odparł:

—Przeczytałem te książki.

—Więc cały tydzień będziesz mógł pić za swoje, bez konieczności zebrania przy stolikach „Cygana”, lecz nim wypłacę ci należność — zezwolisz chyba, iż sprawdzę czy istotnie przeczytałeś te książki.

—Przeczytałem. Wypytuj.

—Powiedz mi najpierw czy zgadzasz się z tezami i egzegezami Nietzschego?

—Ja je odrzucam.

—Wszystkie?

—Wszystkie.

—Czemu?

—Bo są błędne, głupie, haniebne, bluźniercze i niewarte swojego rozgłosu, to cuchnący śmietnik.

—Jakie jest, według ciebie, największe bluźnierstwo Nietzschego, „Zgaga”!

Mnich zaczął cytować hasła Nietzschego tak gwałtownie, jakby strzelał z kulomiotu:

—„Zmyślenie Boga”, „Bóg umarł”, „Bóg jest ojcem zła”, „nie ma dobra”, „nie ma prawdy”, „nie ma moralności”...

—Czekaj, czekaj, zwolnij! —przerwał mu Satin ogłuszony tą lawiną.  
— Frycek nie neguje istnienia moralności, tylko akcentuje jej względność.

—Neguje moralność chrześcijańską!

—Neguje i moralność Sokratesa, lecz głównie chodzi mu o relatywizm zjawisk, doktryn, idei tudzież mitów. Nie ma, według niego, obiektywnego dobra i obiektywnego zła, a prawdziwym dobrem jest to, czego pragnie... przypomnij mi: który osobnik...

—Wymyślony przezeń potwór, „nadczłowiek” obdarzony zwycięską siłą, „wolą mocy” — rzekł „Zgaga”. — To bestia postulowana przez Nietzschego, ja zaś szanuję jej odwrotność, małych braci w wierze, ludzi niestrugających tytanów. Napisane jest: „Błogosławieni ubodzy duchem, cisi i samotni, albowiem do nich przynależy Królestwo Niebieskie”!

Satin roześmiał się i klasnął dłonią o blat kredensu, aż szkło zabrzęczało:

—U waszych Ewangelistów napisane jest również: „Bojaźliwi małego ducha”...

—Syn Człowieczy kochał maluczkich, bracie mój. I propagował cnoty, które twój Nietzsche zwie „przesądami moralnymi”, kiedy podkreśla względność wyrzutów sumienia i grzechu, subiektywizm prawdy i fałszu, nieokreśloność sprawiedliwości i jej braku. Prawda, uczciwość, sprawiedliwość, moralność, są balastem; instynkty oraz popędy ludzkie są absolutem. To znaczy zwierzęce popędy, bo ten łotr uważa ludzi za zwierzęta.

—Czasami pisze, iż ludzie są czymś więcej niż tylko hordą zwierząt —napomknął Satin. —Przypomnij mi, „duszpasterzu”.

—Twierdzi, iż są ogniwem między zwierzętami a „nadludźmi” odrzucającymi wszelką postawę i etykę słabych.

—A jak dzieli etykę?

—Na „moralność panów” i „moralność niewolników”.

—Dobrze, bratku, widzę, że przeczytałeś, no to zdałeś egzamin.

—Więc płąć!

—Masz tu obiecane honorarium, baranku boży, który wyżej cenisz kiesę niż tę mniemaną moralność.

—Wcale nie wyżej! —zapiszczał „Zgaga”.

—Wyżej! Twoje ukochane Pismo mówi: „Albowiem gdzie jest skarb twój, tam i serce jest twoje”, co znaczy, że twoje serce jest w twoim mieszk, baranku boży. A propos baranka: czy pamiętasz, że Nietzsche użył jagnięcia, by nakreślić względność pojęć? Jagnięta głoszą, że zjadający baraninę drapieżcy są źli. Lecz to przecież wcale nie znaczy, że mięsożerne ptaki i ssaki są złe, że symbolizują zło. On ma rację, prawda jest relatywna. I ma rację, że „śmierć Boga” znosi kuratelę religii, czyli kajdany, wyzwala ludzi, zwraca ludziom suwerenność. I ma rację pisząc, że chrystianizm chce równouprawnienia wszystkich wobec Boga, a demokracja chce równouprawnienia wszystkich wobec prawa, co jest sprzeczne z naturą, matką nierówności. Błogosławionej nierówności! To był geniusz!

—Nie, Satin, to był wariat. Wcześniej to był także zły człowiek, co przywdział gronostaje mędrca i proroka, a lansując model „nadludzi”, kompensował własną słabość. Zaprawdę, powiadam tobie, czcisz bałwana, człowieka chorego umysłowo, przecież Nietzsche zmarł obłąkany!

—Wielu geniuszy kończyło w domach dla wariatów — wzruszył ramionami gospodarz. —To nie przekreśla ich dorobku twórczego.

Pęka jedna żyłka mózgu i na starość każdy może zostać wariatem...

—A ile pękniętych żyłek trzeba, by na młodość i na dojrzałość zostać rakerzem, fałszerzem, szalbierzem?

—Był też poetą!

—Tym gorzej, bracie mój. Był bardziej nihilistą aniżeli poetą.

—Grzeszysz, „Zgaga”, nienawidząc wielkiego filozofa, twoja religia zabrania nienawiści. Napisane jest, że masz kochać każdego bliźniego swego!

—Napisane jest: „Będiesz miłował bliźniego swego, za wyjątkiem sukinsyna!” —odszczeknął twardo mnich.

Usłyszałem oklaski, Satinowi spodobało się to dezynwolturowe palnięcie:

—Brawo! Trzeźwy masz klawe poczucie humoru, „duszpasterzu”! Równie luzacko winienes traktować swój żywot, „Zgaga”!

—Ale nie żywot drugiego człowieka, kusicielu! Biada tym, co grzeszą uprawiając rozpustę!

—Biada tym, co żebrzą klepiąc biedę! —zezłościł się Satin.

—Wolę klepać biedę niż niewinną dziewczeczkę!

—Idioto, toż ona lada moment przestanie być niewinna, rozdziewiczy ją inny fiut!

—Wyślesz kogoś innego do tej niecnej roboty?... — spytał drżącym głosem „Zgaga”.

—Do tej słodkiej roboty.

—Wyślesz go zamiast mnie?

—A jak myślisz?

—Myślę, że to zrobisz, łajdaku!

—Więc mi nie zezwól!

—Jak?

—Nie zezwól przyjmując moją propozycję. Lepiej aby zrobił to człowiek delikatny niżli brutal. Tak jak w Średniowieczu. Brutalem był rycerz, który rznął damy, mieszczyki i wiejskie dziewczki, a

cherubinkiem był trubadur, który opiewał „miłość dworną”, ergo: kulturalną, delikatną, quasi-platoniczną. Historycy zadają sobie pytanie czy była ona realna, czy była tylko wymysłem poetów, ergo: czy trubadurzy sypiali z babami? Jednak żaden historyk nie ma wątpliwości, iż kler chędożył solidnie. Celibat zaczęto narzucać dopiero w XII wieku, tym samym, w którym małżeństwo stało się sakramentem i pojawiła się inna nowość kościelna: Czyściec, dający szansę zbawienia lichwiarzom oraz rozpustnikom. Jeszcze w stuleciu poprzednim, XI, najpopularniejszą księgą „Starego Testamentu” była „Apokalipsa”, gdy w XII już nie ona, lecz erotyczna „Pieśń nad pieśniami”.

Mnich słuchał półuchem, rozmyślał głęboko. Raptownie zapytał:

—Jaki brutal, mówisz o kimś konkretnym, kusicielu?

— Tak, baranku boży, mówię o „Filozofie”, którego zrobię wykładowcą propedeutyki filozofii u Frau Hessler.

—On się nie nadaje! —krzyknął „Zgaga”.

—On się nadaje do wszystkiego, i ręczę ci, że da się nająć do wszystkiego — wygłosił zimno Satin. — Pytam ostatni raz: przyjmujesz godność kapelana szkółki dziewczęcej, czy dalej chlasz knajpiane zlewki alkoholu?

„Zgaga” opuścił łeb, dysząc ciężko. Potem wstał i rzekł:

—Przyjmuję, bracie mój.

Bez pożegnania ruszył ku drzwiom. W progu jęknął, do siebie lub do Satina:

—Godności zazwyczaj osiąga się niegodnie...

A Satin, gdy już przymknęły się wrota, skwitował to szyderczo:

—Tak, dawne porzekadła mają rację: godności często zyskuje się dławiąc swą godność. Zaprawdę, błogosławiona niechaj będzie słabość twoja, baranku boży!

**„Mimowolny zmysł purnonsensu”  
jako absolut vel kamień filozoficzny**

Ludzie słabi są niczym kobiety w rui: opierają się pokusom jeno gwoli pozorowi, by szybko ulec. Grają pewien teatr dla konwensu bądź dla spokoju tych resztek sumienia, które ocalały im na dzień duszy, lecz już między pierwszym a drugim antraktem gną się wedle aforyzmu Oskara Wilde'a: „Prosty sposób zwalczania pokusy to ulec jej”. Tak sobie tłumaczyłem kapitulację mnicha, którego wnętrze, skorodowane przez życie, było mi równie nieznane co ów żywot. Jednocześnie ciekaw byłem reakcji „Filozofa”, człowieka, zdawało mi się, niezależnego.

Wcześniej wiedziałem o „Filozofie”, że ma doktorat rzymskiego uniwersytetu i że kilka lat wykładał filozofię, lecz został „zredukowany” wskutek kryzysu lat 1929-1932, kiedy dużo inteligentów jadło zupę z ulicznego kotła i wędrowało ulicami nosząc na piersi kartonik mieszczący jedno zdanie: „Każdą pracę przyjmę”. Zatrudnił go „Cygan”, lecz „Cygan” nie prowadził wyższej uczelni, tylko knajpę portową, więc dał filozofowi etat barmana, a „Herr Doktor” szybko wyrobił sobie drugi etat w „Pod wesołym trampem”: etat szulera obrabiającego wrednych, wskazanych przez „Cygana” klientów. Był to typ bardzo ciekawy, gdyż przejawiał ambiwalencję zachowań i zasad. Zasady akademickie bez trudu odrzucił, kiedy musiał przyjąć zasady knajpiane, jednak nikt nie miał wątpliwości, że „Filozof” mógłby się przestawić znowu i zostać chlubą jakiejś uczelni. Mógł też równie łatwo wrócić do języka inteligentów, aktualnie wyrugowanego w jego ustach przez język hazardzistów i gości knajpianych. Ta dwoistość nie męczyła go, i chyba nie dręczyły go również kłopoty z ponownym zatrudnieniem się na etacie

akademickim, bo lubił swą nową skórę, knajackie emploi króla szynkwasu. Bał się tylko jednego: fali antysemityzmu, która wówczas pulsowała w Niemczech coraz głośniejsze, chociaż w Germanshaven nie było jej mocno słychać.

W Germanshaven słychać było falę Helgolandu. Dawał mi przyjemność wczesnowieczorny spacer nie na rozświetlonym „a giorno” molu dla kuracjuszy, lecz na ciemnym falochronie portowym, gdzie smagany wilgotną bryzą obserwowałem mewy nurkujące nisko wzdłuż grzbietów fal, i słońce nikiące za linią widnokregu. Purpurowa kula nieruchomiała przez krótką chwilę na horyzoncie, jakby się wahała, a później opadała szybko niby gorejący talerz pławiony w toni wód. Kiedy wracałem, księżyc białym światłem oblewał domy. Wracałem blisko dużego skweru, pełnego ławek dla bezdomnych kochanków i konspiratorów pragnących świeżego powietrza tudzież woalu mrocznej dyskrecji. Któregoś razu usłyszałem dobiegające z ławki głosy Satina i „Filozofa”. Podszedłem cicho i przykucnąłem za krzakiem, cztery kroki od nich. Mówił „Filozof”.

—... wcale mnie nie odstręcza, ani trochę, bo czyż jako szuler pomagający pryncypałowi karać złych klientów nie jestem oszustem par excellence, właściwie kryminalistą? To mnie nie bulwersuje już. Starożytna sentencja rzecz: „Ponieważ świat łaknie oszustw, będzie oszukiwany”. Nim dorosłem, chciałem być aktorem...

—Tragicznym? —zapytał Satin.

—Nie, komicznym.

—Bo?

—Bo lubię rozśmieszać. Zostałem filozofem, jak mój ojciec, który tego chciał, lecz czuję się aktorem, Szekspir ma słusność gdy pisze: „Świat to teatr, ludzie są aktorami”. Wiesz, że kiedyś aktorów zwano komediantami?

—Wiem. To było ciut trafniejsze miano. Czyż debile, ich nazwisko:

Legion, zostawaliby monarchami, a kurewki, jak Messalina, Józefina lub Teodora, zostawałyby cesarzowymi, gdyby życie nie było wszechsceniczną komedią, panie doktorze?

— Ty jednak, panie studencie, najwyraźniej marzysz, by wszechsceniczną komedia przybrała formę krwawego dramatu... — rzekł „Filozof”. — Roi ci się hekatomba!

— I heca, królestwo purnonsensu. Jedno i drugie.

— Prorokujesz hekatombę i powszechną gangrenę etyczną, jakbyś znał przyszłość, Satin! Ale cóż się może zmienić, świat będzie cuchnął tak samo. Małżonkowie wciąż będą się zdradzać, partnerzy handlowi wciąż będą się oszukiwać, zepsuci wciąż będą deprawować kogo popadnie, dzieci wciąż będą się głupio buntowały przeciwko „starym”...

— Nie, „Doktor” — wszedł mu w słowo rozmówca. — To będzie już młodzież nowej generacji. Dzieci nie będą się buntować przeciwko autorytetowi rodziców, lecz przeciwko rodzicom bez autorytetu, pojmujesz różnicę?

— Kiedy to ma być, za tysiąc lat?

— Za kilkanaście, może kilkadziesiąt lat, „Herr Doktor”. Wtedy, kiedy władzę nad ludzkością przejmą „znormalizowani intelektualisci”.

— Jacy?

— „Znormalizowani”, Józefie. Przyjaciel Stalina, bolszewik Nikołaj Iwanowicz Bucharin, zapewniał w 1920 roku: „ — Owszem, będziemy produkować intelektualistów znormalizowanych. Będziemy ich wytwarzać jak na taśmie produkcyjnej”. Dziś już pełno jest mędrków „znormalizowanych” we Włoszech, we Francji, w Skandynawii i w całym świecie Zachodu. To właśnie będzie klasa, która przepięknie ogłupi całą ludzkość. Ku radości miłośników burleski, czyli mojej również.

Chwilę panowała cisza. Później „Filozof” stwierdził tonem



człowieka wystraszonego:

—Nienawidzisz ludzi, fałszywy proroku...

Zaś Satin odparł:

—Ja ich tylko nie wpuszczam do mojego życia, bo nimi gardzę. Bardziej mnie śmieszą niż denerwują. A czy bez zdenerwowania może narodzić się nienawiść?

—Może —stwierdził „Filozof”. —Nienawiść może się narodzić bez żadnego powodu. Weź choćby antysemityzm.

—Bredzisz, Józefie. Zawsze jest jakiś powód.

—Czy prorokując przyszłość...

—A czy można prorokować przeszłość?

—Masz rację, nie można schodzić do góry. Pytam: czy widząc przyszłość ludzkości, widzisz też przyszłe losy Żydów?

—Żydzi mają królewską przyszłość, synu Żyda, nawet Shoah, Wiatr Śmierci, nie zdmuchnie im korony i nie popłacze im sznurków lalkarzy.

—Tutaj, w Niemczech?

—Tutaj, w Niemczech i w całej Europie, najbliższy czas może być złym czasem Żydów. Ale tobie, Józefie, nic nie będzie groziło, jeśli popracujesz dla mnie u Frau Hessler, zwłaszcza nad jej kapelanem, „Zgagą”, który zawarł ze mną kontrakt. Znajomy moich znajomych, Walter Nikolai, tworzy właśnie w Berlinie, pod patronatem szefa SD, Heydricha, i szefa MSZ-u, Ribbentropa, Biuro Spraw Żydowskich. Oni wystawią ci papiery aryjskie lepsze od papierów Hitlera i Himmlera. Pełne bezpieczeństwo.

—Wystawią papiery mnie?! —zdumiał się „Filozof”. —Przecież oni nienawidzą Żydów! Po to wymyślili teorię rasową i uczynili rasizm doktryną państwa, by niszczyć Żydów!

—Masz braki erudycyjne, „Filozof”. Pierwszy, sto lat temu, wystąpił z teorią rasową późniejszy premier Anglii, Benjamin Disraeli, czysty Żyd. W powieści „Alroy” rysował wizję imperium, którym rządząliby

Żydzi jako najwyższa, uprzywilejowana kasta, a w powieści „Coningsby” tak mówił o zakulisowych rządach masonerii żydowskiej: „Świat jest rządzony przez zupełnie inne grono figur, niż sobie wyobrażają ci, którzy nie znają kulis”. Rasizm hitlerowski to kontra wymierzona w tamten rasizm żydowski, kontra bardzo brutalna, lecz naziści nie będą tłuc wszystkich Żydów, zrobią wyjątki, niektórych, choćby ciebie, oszczędzą. Słowem: będą gnoić tych, których zechcą uważać za Żydów.

—Jak to?

—Przyznali sobie prawo decydowania kto jest Żydem, a kto nie jest, względy rasowe są tutaj bez znaczenia. Podobnie bywa z każdym gatunkiem wrogów, choćby z Rosjanami. Nikolai i kompania wokół niego pragną sojuszu między swastyką a pewnym fragmentem sierpa i młota, więc dla dobra wspólnego celu będą decydować, którzy czerwoni są całkowicie czerwoni, a którzy są raczej brunatnawi. Stąd też nie jest Żydem nikt kogo oni nie zechcą traktować jako Żyda, i vice versa — decyduje ich mniemana wszechmoc, ich pycha bez granic. To głód atrybutów boskości, nader charakterystyczny u dzierżących władzę prymitywów. Ja kocham takich ludzi, Józefie.

—Za co ich kochasz?

—Za mimowolny zmysł purnonsensu, który jest absolutem, kamieniem filozoficznym wszystkich epok. Uwierzysz mi, kiedy ci powiem, że Himmler, Heydrich, Goebbels, Frank oraz Eichmann to Żydzi?

„Filozof” spojrział na Satina jak na wariata:

—Nie wiem kto to są Frank i Eichmann, ale tamci trzej... Zbyt głupie żarty sobie stroisz.

—Niech ci będzie, „Filozof”. Pomówmy o czymś innym. Zobacz jak...

Satin mówił dalej, lecz nie usłyszałem, bo blisko ławki przedreptało

kilku marynarzy, pijących i ryczących wesołą pieśń żeglarską. Dopiero kiedy się oddalili, mogłem słuchać znowu. „Filozof” tłumaczył: —... nie bardzo im wierzę. Znasz tę maksymę: „Rosjanin mówi prawdę tylko wtedy, kiedy się pomyli”?

—Znam ją, lecz w innej wersji, szło nie o Rosjan, lecz o Żydów! — parsknął Satin drwiąco. — „Filozof”, czy ty i mnie uważasz za kłamczucha?

Odpowiedziało mu milczenie.

—No nie bój się, gadaj, kolego! Powiedz szczerą prawdę: co o mnie myślisz?

—Że jesteś... człowiekiem złotoustym... —wydukał wolno „Filozof”.

—Ale „nie wszystko złoto co się świeci”, tak?... Wskaż palcem mój grzech główny, przyjacielu. Moja główna wada to?...

— To... to umiłowanie okrucieństwa... chyba... chyba... że demonstrujesz tę pasję gwoli wygłupu, Satin...

—Wszystko robię dla wygłupu, „Herr Doktor”, jeszcze tego nie zauważyłeś? Prawie wszystko. Bo skłonności wrogie chrześcijańskiemu miłosierdziu są już u mnie naturalne dzisiaj.

—Dzisiaj? Od jak dawna?

—Odkąd zjadłem moje serce, „Doktor”. Wiesz co się dzieje z pokarmem przetrawionym?... Chodźmy, czas wracać, robi się paskudny chłód, więc Mateusz, który siedzi za tamtym krzakiem, może zmarznąć na kość.

### 34.

#### **Antykwariat pułkownika Burgera**

Któregoś dnia, po ostatnim wykładzie i po wspólnym obiedzie, ruszyliśmy główną ulicą Germanshaven (zwała się dawniej

Grossestrasse, lecz przemianowano ją na Hitler Strasse), bo Satin chciał mi zademonstrować pewien nowo otwarty antykwariat. Kiedy spytałem czemu, wyjaśnił:

—Dokonamy tam zakupów.

—Jakich zakupów?

—Ważnych. Takich, które ci ułatwią spłacenie długu karcianego, Matt. Czas mija, a ty stoisz w miejscu, nie robisz postępów, nie zbliżyłeś się do niej.

—Staram się, Sat, ale jakoś mi nie wychodzi...

—Wiem, głupku.

Skręciliśmy z Hitler Strasse w małą, źle brukowaną Kunststrasse, gdzie obok siebie egzystowały księgarnie, antykwarnie i galerie sztuki, a między nimi warsztaty ramiarzy, złotników, grawerów tudzież introligatorów. Prawie przy końcu uliczki weszliśmy w bramę kamienicy, na czworoboczne podwórko. Jeden parterowy narożnik tej kamienicznej studni zajmowało wejście do antykwariatu. Szyld: „Anti-quitatenladen Burger und Sohn”. Rozwarcie drzwi uruchomiło dzwoneczek. Za nimi były schodki do piwnicy, a w niej Sezam. Ściany obwieszane starymi mapami, litografiami, miedziorytami, drzeworytami, stalorytami, akwatintami i akwafortami. Komody pełne porcelany miśnieńskiej, sevrskiej, chińskiej i japońskiej. Gabloty pełne monet, medali, pierścieni, brosz, krzyżyków i wszelakich bibelotów. Stojaki ze sterczącą bronią prochową i białą. Półki wypełnione rzędami cennych książek. Stoliki, których blaty dźwigały mnóstwo waz, mis, żardinier, rozmaitych sreber i kuferków mistrzowsko cyzelowanych. Zapach staroci mieszał się z wonią świeżego tynku i świeżo kładzonego lakieru klepki podłogowej — nozdrza mówiły, że weszliśmy do przybytku, który niedawno odremontowano.

Czekał na nas właściciel, wypacykowany starzec (czernione wąsy, róż policzkowy etc.) w dziwnym (muzealnym?, cyrkowym?)

uniformie bez dystynkcji. Mogłem go sobie wyobrazić jako żigolaka-weterana przemierzającego, niby myśliwy głuszę, hektary luksusowych kawiarni pełne młodych znerwicowanych mężatek i nienawidzących swej seksualnej abstynencji matron, lub jako szefa brygady plażowych ratowników, prężącego mahoniowo opalony, pomarszczony już, lecz wciąż mięśniasty tors, z nadzieją, że nie tylko jego podwładni zaliczą hoże ciało którejs klientki kąpielowiska. Uśmiechnął się młodzieńczym garniturem sztucznych zębów:

—Witam, Herr Retea, witam! Jak zdrówko?

—Dziękuję, nie narzekam, panie pułkowniku. Panowie pozwolą: pułkownik Hans Burger, swego czasu oficer pułku Huzarów Śmierci, a to mój kolega ze studiów, Mateusz.

Pułkownik uściśnął mi dłoń, skrzecząc:

—Serdecznie witam, panie Mateuszu, do usług! Czym mogę panom służyć?

—A co pan poleca, pułkowniku? —zapytałem ku zdziwieniu Satina, któremu moja raptowna inicjatywa rozszerzyła wzrok.

—No... mamy bogaty wybór reliktyw, a nie wiem co konkretnie szanownego pana interesuje...

—Bogaty wybór ma również kilkunastu pańskich konkurentów, każdy z antykwariatów, które funkcjonują przy tej ulicy, i jeszcze mają witryny uliczne, gdy pan jest schowany w podwórku, więc jak pan się obroni przed tą konkurencją, co pan zrobi, żeby to był dochodowy interes? —spytałem, rozglądając się po ścianach.

—Będę miał ofertę towarową dużo lepszą od moich konkurentów —rzekł pułkownik.

—Wzbogaconą zabytkowymi afrodyzjakami, które łamią cnotę najstateczniejszych dam? — parsknąłem. — Ale takie prochy czy maści sprzed wieków musiały już chyba zwietrzeć, straciły swą moc.

Pułkownik osłupiał, natomiast Satin wreszcie zrozumiał przyczyny mojej bezczelnej brawury, więc syknął:

—Matt, wyhamuj! Ta firma będzie miała lepszą od konkurentów ofertę antykwaryczną w tradycyjnym sensie.

—Jakim cudem?

—Cudem fałszerskim. Herr Burger jest genialnym fałszerzem, arcymistrzem, umie podrobić prawie wszystko. Zwłaszcza wszystko co z papieru, każdy stary lub nowy dokument. Od innych rzeczy, jak numizmaty, broń czy ceramika, ma współpracowników, fenomenalnych artystów, prymusów kunsztu fałszerskiego. Robią podróbki nie do wykrycia, tak perfekcyjne, że i za sto czy dwieście lat, gdy technika śledcza pójdzie bardzo do przodu wobec dzisiejszej, również nie będzie łatwo demaskować te falsyfikaty. Niektóre na zawsze pozostaną „oryginałami”, Matt.

Tym razem mnie osłupiło. Zdradził mi właśnie, bez żenady i obawy, kryminalny sekret antykwariusza, zaś pan pułkownik nie miał widać nic przeciwko temu, bo dalej uśmiechał się sympatycznie, jakby proceder fałszerski był działalnością charytatywną, godną braw. Nie wiedziałem co rzec na takie dictum, ale przypomniałem sobie podsłuchaną maksymę, którą „Herr Doktor” rzucił, gdy wieczorem gawędził z Satinem koło skweru miejskiego. Wzruszyłem ramionami i wycedziłem bez emocji:

—„Ponieważ świat pragnie oszustw, to będzie oszukiwany”, czy tak, panowie?

—Tak, Mateuszk — zgodził się Satin. — „Filozof”, cytując tę starodawną mądrość, uczynił łaskę sobie, tobie i mnie, wszyscy lepiej rozumiemy o co chodzi.

—A o co nam tutaj chodzi? — spytałem. — Przecież nie o starą mapę czy starą broń? Przy okazji: czy wszystkie wiszące tu mapy są pańskiej roboty, pułkowniku?

Tym pytaniem trochę zdziwiłem antykwariusza, lecz zupełnie nie zdziwiłem Satina, który wyjaśnił pułkownikowi:

—Mój polski kumpel pyta o mapy jako globtroter in spe, literatura

awanturniczo-podróżnicza i geografia egzotyczna to jego dubeltowa miłość.

—Wszystkie wiszące tu mapy są autentyczne, pochodzą ze starych atlasów Homanna, Brauna/Hogenberga lub innych kartografów, grafików czy edytorów — odpowiedział Burger. — Są łatwe do zdobycia i niezbyt drogie, nie warto podrabiać. To głównie wiek XVII i XVIII. Dla prawdziwych koneserów będę miał coś dużo starszego: mapę wschodnich brzegów Północnej Ameryki odkrytych kilkaset lat przed Kolumbem. Właśnie pracuję nad nią.

Popisałem się znajomością tematu:

—Wikingowie? Znam te bajki. Leif Eriksson, Bjarni Herjolfsson, Karlsefni i inni żeglarze skandynawscy docierali rzekomo do Vinlandu, czyli do Nowej Funlandii, już u schyłku pierwszego tysiąclecia, ale przecież nie zostawili żadnych map. Nikt nie uwierzy w taką mapę!

—Uwierzy, jeśli zostanie wykonana pradawnym tuszem na oryginalnym średniowiecznym pergaminie z XIV wieku, który można zdobyć bardzo łatwo — zapewnił gospodarz. — Do perfekcyjnych fałszerstw trzeba używać oryginalnych starych materiałów. Antycznego złomu jest mnóstwo, wystarczy przetopić ten metal, odlać brązową rzymską statuetkę datowaną na pierwsze wieki po Chrystusie, i nikt nie wykryje, że to falsyfikat. Identycznie ma się sprawa z terakotą i ceramiką. Moi ludzie robią takie faraonские, azteckie, etruskie relikty, że mucha nie siada, kupi to każde muzeum! Chemicznie można patynować wszystko, czasami mnie samego zadziwia łatwość ogłupiania renomowanych ekspertów. Właśnie wyprodukowaliśmy kamienne cuda należące do kultury Majów i kultury Totonaków, muzea i milionerzy będą się o nie bić, czysta rozkosz!

Perorował coraz impulsywniej, napawał się swoją mistyfikatorską wszechmocą, wniebowzięty, że los dał mu słuchaczy, przed którymi

można bez odrobiny strachu wypiąć dumnie pierś fałszerskiego wirtuoza, a policzki czerwieniały mu wskutek tej emocji tak bardzo, że silny róż, którym je wypudrowano, robił się coraz bledszy wskutek kontrastu. Skomplementował również moją przynależność plemienną, używając metody osobliwej — dla niego naturalnej, dla mnie kuriozalnej :

—Pan, jako Polak, może być dumny, bo arcymistrzem fałszowania numizmatów był sto lat temu pański rodak, rytownik i medalier Józef Majnert, pracownik warszawskiej mennicy. To był, drogi panie, autentyczny geniusz, jego podróbki są bez żadnej konkurencji, proszę mi wierzyć —nec plus ultra! Eksperci wciąż nie umieją rozpoznawać „majnertów”. Ale pieniądze podrabiali też bardzo chętnie władcy, choćby nasi, pruscy... Pewien Fryderyk, w XVIII stuleciu, cichaczem bił monety wszystkich mocarstw. Podrabianie to wielki przemysł!

Skrzywiłem się:

—Raczej wielkie kłamstwo, panie pułkowniku!

Był autentycznie zdziwiony: —Kłamstwo?...

—Nie inaczej.

—Jeśli nawet kłamstwo, to cóż w tym złego, panie Mateuszu? Czyż kłamstwo nie jest rzeczą ludzką równie jak literatura? Pewien mój klient, bibliofil, z zawodu lekarz, tłumaczył mi, że kłamstwo wykształciło się w toku ewolucji jako niezbędny instrument vegetacji, warunek przetrwania, a kto lepiej kłamie, ten dowodzi wyższości swego intelektu. Stosowanie kłamstw czyni z nas ludzi...

—A stosowanie dużych kłamstw czyni z nas półbogów —przerwał mu Satin wesoło. —Mój przyjaciel jeszcze nie do końca rozumie tę elementarną prawdę, że kłamstwo to władza... Chcemy u pana kupić dwa cymelia dla niego: archaiczny notatnik, który ma rodowy herb na okładce, i sygnet, na którym trzeba wygrawerować ten sam herb, od wewnątrz zaś litery SS jako monogram.



**„Dwa badyle, martwe gile”,  
czyli jak stałem się genialnym poetą**

Wówczas byłem mądrałą, lecz nie byłem człowiekiem mądrym, nie mogłem tedy być znawcą duszy i zmysłowości kobiecej. Trzeba lat i doświadczeń, by ewoluujący rozsądek krzepił się, męźniał, rósł, przynosząc bez pośpiechu pewną mądrość. I tak byłem szybszy od średniej normy i od rówieśników, gdyż dzięki Satinowi przechodziłem przyspieszony kurs dojrzewania, zwłaszcza kurs perfidii i kurs feminologii stosowanej. Ta druga wiedza daje się artykułować prostą diagnozą, że kobiety mają dubeltową słabość, która czyni je podatnymi na każdy rodzaj grzechu: słabość biologiczną (libido) i słabość psychiczną (egzaltacja). Zresztą sama egzaltacja też była u Bettiny Zurfurst przypadłością dubeltową: Frau Bettinę rozgrzewały miłość do rymotwórstwa oraz nobilemania, ergo wielbienie poezji tudzież arystokratyzmu. Zakomunikował mi to Satin, klarując: — Wyszła z drobnomieszczańskiej rodziny kauzyperdów, lecz jej ciotka miała jakieś pretensje herbowe, nieustannie biadoliła, że zły los pozbawił ich „klejnotu rodowego”. I Bettina zachorowała na szlacheckość, pod wpływem tej ciotuni, która ją wychowywała odkąd tatuś i mamusia dziewczynki zesłi kretyńsko, wraz z gromadą weselników, wskutek spożycia trujących grzybów zebranych przez młodą parę. Bleiberg uwiódł nastolatkę grając hrabiego, a kiedy wydał ją za barona Zurfursta, radowała się z zostania baronową, chociaż nie radowała się z zostania połowicą, gdyż baron nie przypadł jej specjalnie do gustu. Żywot familijny osładzała sobie malując pejzażyki i bukiety kwiatów, a także wielbiąc poetów, i tu ciekawostka: wbrew typowemu u bab

miłowaniu rymów grafomańskich, ona się rzeczywiście zna na poezji, ceni poetów, nie zaś wierszokletów, dysponuje autentycznym smakiem. Przyznasz, że już samo to usprawiedliwia jej herbowe pretensje czy kompleksy. Tutaj masz swój notes i sygnet, obydwa dostały herb ten sam. Sygnet włóż.

Zobaczyłem tarczę herbową z pędzącym konno rycerzem. Rycerz prawą ręką wznosił długi miecz, a lewą trzymał błękitną tarczę, która miała złoty podwójny krzyż. Niżej, u lewego spodu tarczy, widniały wierzchołki trzech zamkowych baszt. Tarczę osłaniał czerwony płaszcz podbity gronostajami. Wieńczyła go korona zwana książęcą mitrą. Zapytałem:

—Czyj to herb, jakiego rodu?

—To herb twoich pobratymców, książąt Czartoryskich. Będziesz księciem Czartoryskim, który incognito studiuje sobie w Germanshaven.

—Ty też się najadłeś muchomorów?! —wrzasnąłem przerażony. — Odbiło ci, Sat?!

—Nic o tym nie wiem, nie sędzę, bym zwariował, kolego. Jesteś Alex Czartoryski. Dwa wieki temu któraś Zurfurstówna wyszła za kogoś z Czartoryskich; Zurfurstowie bardzo sobie cenią tę rodową tradycję, więc od razu będziesz półbogiem dla Frau Bettiny, i pełnym bogiem gdy ona zobaczy, że jesteś genialnym poetą, Matt.

—Nie jestem poetą, ani genialnym, ani żadnym, nie umiem pisać rymów, baranie!

— Ona nie kocha tradycyjnych rymów, lubi raczej poezję awangardową...

—Nie znam się na tym nic a nic! —ryknąłem.

—Nie musisz —odparł bez nerwów. —I nie musisz tak wrzeszczeć, mam dobry słuch póki co... W tym notesie przepiszesz kilka wierszyków Audena, Yeatsa, Thomasa, Pounda, Eliota, które ci dam, a przepisując rób poprawki, skreślaj, uzupełniaj, żeby wyglądało, iż

to wersy robocze. Są świeże, jeszcze nie tłumaczone, więc ona nie rozpozna, że to Yeats czy Eliot, przyjacielu.

—Ale rozpozna, że nie pochodzę z Czartoryskich!

—Niby jak?

—Sam mówiłeś, że Czartoryscy to jej krewni, więc wystarczy, że zaczniesz mnie indagować szczegółowo...

—Wymigasz się metodą bla-bla-bla-bla. Schopenhauer słusznie twierdził, że czołową umiejętnością kunsztu dyskusji jest narzucenie tematu oraz kierunku. Będzie zbyt erotycznie pobudzona, by instynkt śledczy przytłumił jej instynkty zwierzęce, jej seksualność... Spotkasz się z nią za cztery dni.

—Jak?

—Urządzą wam rendez-vous. Precyzyjnie, za cztery dni, bo ona będzie wówczas w szczytowym punkcie fazy owulacyjnej, kobiety w tej fazie cyklu są najbardziej skłonne do flirtu i seksu, są rozpalone, to ci da szansę optymalną.

—Skąd znasz przebieg jej miesięczkowego cyklu?!

—Przypadkowo, co cię to obchodzi?

—Obchodzi! Kobiety nie zwierzą się z takich rzeczy, gadaj!

—Nie muszę ci się tłumaczyć ze wszystkiego! Chcę ci pomóc, więc nie urządź mi tu śledztwa, tylko rób co mówię! Zobacz jaka subtelna jest bordiura tego notesu.

Otworzyłem notes. Na wyklejce (wewnętrznej płaszczyźnie) frontowej okładki z bordowej skóry była przylepiona reprodukcja obrazu Caravaggia „Święty Mateusz i anioł”. Taką samą widziałem w domu Satina, nad jego biurkiem, tylko dwa razy większą. Anioł miał skrzydła, długie włosy i wyraźnie kobiecą twarz. Prawą rękę położył na prawej ręce mężczyzny, trzymającej pióro, jakby chciał kierować tą piszącą ręką, a ściślej: tym piórem.

—Czemu to wlepiłeś tutaj, Sat?

—Bo ty jesteś Mateusz.

—A ty chcesz być aniołem?

—Tak, ty jesteś Mateuszem, ja jestem aniołem, który jutro będzie prowadził twą rękę trzymającą pióro poety! — odparł, szczerząc wilczy garnitur zębów. — Realizujemy plan kasacji twojego długu, patronat świętego może się przydać.

Ten herbowo-poetycki plan wydał mi się zamysłem piramidalnym, purnonsensownym, nazbyt wyspekulowanym, jednak przestałem oponować i poddałem się niby grajek, który obsługuje instrument wedle ruchów pałeczki dyrygenta. Następnego dnia dyktował mi tłumaczenia wierszy Anglosasów modernistów, rzucając czasami jakieś słowo błędne, które bezzwłocznie nakazywał wykreślić, i podawał prawidłowe, co istotnie sprawiało wrażenie wersji roboczych, od razu korygowanych przez genialny melodyczny słuch kreślącego. Tylko przy strofach ostatnich — przy drobnym, dyktowanym mi na końcu fragmencie poematu Thomasa Stearnsa Eliota — nie kazał skreślić ani jednego wyrazu, nic. Zauważyłem zresztą, iż przy tych wersach zmienił mu się tembr głosu — wcześniej niedbały, trochę belferski, teraz stał się jakby solenny, z nutą głębszą. Mógłbym rzec, iż ten fragment Satin nie tyle dyktował, ile recytował:

*„Obym nie był ich bliżej  
W sennym królestwie śmierci  
Obym mógł również nosić  
Takie rozmyślnie przebrania:  
Skórę szczura, krucze pióra  
Strach na wróble – dwa badyle, martwe gile  
Chyląc się jak wiatr wieje  
Tylko tyle”<sup>1</sup>*

---

1[Tłum. Krzysztof Boczkowski].

Zapytałem, bo mnie zdziwiło:

—Dlaczego tutaj nic nie przekreślamy?

—Nie chcę mazać po moim ulubionym fragmenciku — mruknął, patrząc ku szybie okiennej. —Kocham te strofy Eliota...

I naraz, jakby powodował nim przymus wewnętrzny, wyrecytował to samo językiem oryginału:

*„Let me be no nearer  
I death ś dream kingdom  
Let me also wear  
Such deliberated disguises  
Rats coat, crowskin, cross staves  
In a fieldBehaving as the wind behaves  
No nearer”.*

Lubił zaskakiwać i zachwycać, czy raczej: zaskakiwać zachwycając. Tym razem zdumiał mnie cudownym brytyjskim akcentem marki Oxford — żaden absolwent Eton czy Cambridge nie potrafiłby bieglej demonstrować imperialnej subtelności tego slangu elit i salonów. Rzuciłem komplement:

—Twój angielski jest cudowny!

—To zasługa „Old Nicka”, mojego dziadka, który ma tysiąc lat z okładem, albo kilka tysięcy, wygląda jak murszejąca śliwka sprzed wieków. Trudno pytać które zna języki, łatwiej pytać których jeszcze nie zna, piekielny łeb!

—Ścigasz go, prawda, Satin?

Kiedyś wreszcie musiałem zrozumieć, że będąc mieszkańcem okazałej willi, portowej knajpy, zielonego skweru, fałszerskiego antykwariatu, markowego uniwersytetu, wszystkiego co ziemskie i mniej lub bardziej pospolite — mój kumpel, mój wierzyciel, mój sutener, mój deprawator jest figurą z innego wymiaru, gdzie nie

obowiązują te same konwencje. Kiedy to skonstatowałem po raz pierwszy? Pierwszy raz tak mocno, że przestała istnieć wątpliwość — chyba wówczas, gdy zapytałem czemu kocha masowe imprezy, zwłaszcza demonstracje rozgniewanego bądź wiwatującego tłumu.

Odrzekł mi:

—Wącham czas.

—Co?!

—Węszę woń i badam puls czasów.

—Dlaczego?

—Żeby stworzyć doraźny algorytm historii. Ten nadczasowy został uformowany beze mnie, dawno temu...

### 36.

#### **Krew, chuć i karesy libido**

Zbliżała się zima 1937/1938. Tamtego roku bardzo późna, dopiero grudniowa. Zwiastowały ją uroczyście wichry dmące niczym surmy, i szrony poranne srebrzące się niczym brokat. Ale tego dnia, kiedy Satin zabrał mnie do parku przy kurorcie Germanshaven II, pogoda była łagodnie jesienna — był to jeden z ostatnich już takich przedzimowych dni. Czy raczej zmierzchów, bo poszliśmy tam, gdy już się zmierzchało. Oczywiście spytałem jaki jest cel.

—Spacer, Mateuszk, idziemy spacerować — odparł Satin.

—Po co?

—Po co?... Ludzie spacerują dla przyjemności, albo towarzysko, albo dla zdrowia. My będziemy sobie dreptać w trojakim celu: i dla przyjemności, i dla towarzystwa, i dla zdrowia. Będziesz miał przyjemność mi towarzyszyć, i będziesz także leczony, jeżeli pogorszy ci się zdrowie. Zresztą już samo spacerowanie, jak

mówiłem, służy zdrowiu. To dlatego tyłu staruszków spaceruje bez przerwy, i tyłu gladiatorów Hitlera maszeruje wciąż.

—Dzięki Bogu nie w Germanshaven.

—Dzięki Bogu? Nie, raczej dzięki temu, że Germanshaven ma zachować status słodkiego kurortu dla elit. Ale wszędzie indziej tupią i skandują. Germanshaven to wyjątek, co bardzo gniewa Führerka naszej uczelnianej Hitlerjugend, bo chętnie by sobie pomaszerawał i pokrzyczał, a zabraniają biedakowi.

Splunąłem:

—To kompletny idiota!

—Tak, to dureń —zgodził się Satin. —Jak większość nazistów. Ale jedna rzecz mi się u nich podobała. Kilka lat temu, w 1933, akademicy i studenci tacy jak on ripostowali krytykom Hitlera straszącym utratą wolności, że srają na wolność: „ —Wir scheissen auf Freiheit!". To ładne credo, lubię takie rzeczy... Czas ruszać, w drogę! Włóż sygnet i weź notes księcia Alexa. Notes wsadź tu, do wewnętrznej kieszeni płaszcza, noś go na sercu, poeto.

Nie pytałem już o nic, bo domyśliłem się, że tego wieczora Satin wepchnie moje ciało w objęcia Bettiny Zurfurst.

Parkowe ścieżki przy zakładzie wodoleczniczym Zurfurstów opustoszały, gdyż robiło się mroczno. Latarnie świecące co kilkanaście metrów miały słabe żarówki, więc ciemność nie była solidnie zwalczana. Wiatr leciutko szeleścił między konarami wiekowych drzew, snując historyjki o dawno minionym świecie. Księżyc wysrebrzał taflę fontannowej sadzawki i wilgotne połacie dachu. Ogarnęła mnie dziwna błogość, trywialny romantyzm chwili, ten sam, który u malarzy wywołuje żądzę robienia nastrojowych nokturnów. Była to błogość krótka, bo dostałem od Satina pięścią w nos. Jęknąłem i wytrzeszczyłem przerażone źrenice, on zaś przyjrzał mi się uważnie, obracając mój łeb ku latarni, i zawyrokował:

—Zbyt słabo krwawisz, kolego...

Po czym huknął mnie drugi raz, dużo mocniej. Runąłem na trawnik i dostałem kilka razy butem w zebra. Kopiąc mi tułów, eksplikował przyczynę:

—Muszą być siniaki, Matt.

Wreszcie uklęknął obok i wyjął nóż. Pisałem:

—Co ty robisz, chcesz mnie zabić?!

—Tak jakby, co pójdzie łatwo —odparł i chwycił moją dłoń.

Nie czułem bólu kiedy dwa razy ciachnął mi ostrzem palec tuż przy brzegach sygnetu. Potem uniósł rękę i szepnął:

—Teraz będzie mordowanie.

Nie zdążyłem się zasłonić. Nóż spadł ku mojej piersi i wbił się "w nią, ale płytko. Przymknąłem wzrok, ciesząc się, że wciąż żyję, nerwowo łąpałem powietrze przez otwarte usta (gdyż trzepnięty nos zatkała mi krew), dusił mnie coraz większy strach, było mi zimno.

—Leż bez ruchu i nie próbuj wyciągać noża, bo wszystko zepsujesz!  
—rozkazał Satin. —Leż i czekaj, zaraz wrócę, przyprowadzę pomoc.

Leżałem więc spokojnie na mokrej trawie, niby komediant na deskach teatru. Z piersi wystawał mi nóż, utrzymujący się pionowo tą samą metodą co w sztukach teatralnych i w filmach —tam kładą aktorom pod ubranie grubą tekturę lub pilśniową płytę, a ja miałem notes przedziurawiony klingą. Tymczasem Satin pobiegł do wejścia zakładu, szarpnął dzwonek, narobił krzyku, że jakieś łobuzy skatowały w parku człowieka, przybiegli dwaj pielęgniarze i trafiłem na noszach do laboratorium, gdzie wieczorny dyżur pełniła akurat Frau Bettina. Gdy pochyliła się nade mną, mogłem się jej przyjrzeć z odległości bezpośredniej, takiej, dzięki której czujesz woń kobiety mimo wszelkich farmakologicznych woni laboratorium.

Miała figurę idealną, kształt klepsydry: cienką talię i szersze zaokrąglenia bioder oraz biustu. Ta seksapilowa kształtność jej anatomii urągała zwycięsko dwunożnym patykom dzisiejszych wybiegów i deptaków, czyli modzie anorektycznej, która prędkiej lub



później minie jako złowroga patologia cielesna — minie, kiedy tylko „feminine wisdom” (kobieca mądrość) obudzi się ze snu głodówkowego. Bettina Zurfurst była żywym godłem prasiły zwanej przez Niemców: „das ewig Weibliche” (wieczną kobiecością), chociaż Satin bez wątpienia użyłby zupełnie innego terminu, brytyjskiego, artykułując swym nadludzko perfekcyjnym akcentem oksfordzkim: „witchcraft” (wiedźmowość). Czarne włosy upięte pod białym czepkiem, czarne oczy błyszczące pod wachlarzami rzęs długich jak zęby grabi, czarne wloty nozdrzy lekko perkatego noska — cała ta arcylibidoiczna czerń schylała się nad moim ciałem, gdy mnie rozbierano, przemywano i opatrywano.

—Miał pan dużo szczęścia — powiedziała Frau Zurfurst, wyjmując nóż z notesu. — Dzięki temu notesowi żyje pan, ostrze ledwo go przebiło, rana na piersi jest niewielka, nie trzeba nawet szyc.

Gdy zdejmowała mi sygnet, by opatrzeć palec pocięty nożem, zauważyła, że rozpoznany już przez nią herb sygnetowy jest identyczny z herbem notesowym, i nie wytrzymała:

—To przecież herb książąt Czartoryskich... Czy pan jest...

— Jestem studentem tutejszego uniwersytetu, lecz studiuje... studiuje incognito. Zapisalem się pod nazwiskiem dalekich krewnych, bo moja familia nie życzy sobie, abym był rozpoznawany przez każdego, proszę to uszanować!

—Musimy jednak zawiadomić żandarmerię... — odezwała się pielęgniarka pomagająca szefowej laboratorium.

—Proszę tego nie robić! — krzyknąłem. — Ukradziono mi tylko pugilares, czyli dokumenty i trochę pieniędzy, furda! Zresztą bandyci uciekli już, wątpię czy ktoś ich złapie, a ja bez sensu stracę incognito...

Przyjrzała się sygnetowi, i odkryła to, co miała odkryć — wewnętrzny grawerunek.

—Należy pan do essesmanów?!

—Wypraszam sobie, droga pani! — odparłem z książęcą dumą. — SS tutaj to monogram Shelley Society, czyli Stowarzyszenia Shelleya, angielskiego poety Shelleya, tam przyjmują poetów, a nie żołdaków.

Pielęgniarka zbladła ze strachu, jakbym ubliżył szturmowej gwardii Hitlera, i rozejrzała się trwożliwie wokoło, lecz jej przełożona miała gdzieś takie zagrożenie, nękały ją inne emocje związane z pacjentem arcyherbowym.

—Jest pan poetą?

—Poetą się nie jest, poetą się bywa, Madame.

Mówiąc to spojrzałem na notes rzucony przez nią koło wiązki bandaży, a ona wzięła go do ręki, otworzyła — i jej oczy zrobiły się błyszczące. Przeczytała cichutko fragment Audena:

*„Pani płacząca na rozstaju,  
Z kochankiem spotkasz się o zmroku.  
A przy nim jego charty dwa,  
Na rękawicy sokół”<sup>2</sup>*

Chwilę milczała, wzruszona do głębi, po czym rzekła równie cicho (wręcz nabożnie):

—Dalej jest dziura od noża, zniszczono panu kolejne wersy...

—Nie szkodzi, pamiętam każde słowo, każdy rym oraz każdy brak rymu.

I wyrecytowałem kolejną zwrotkę:

*„Nocne podróże są bez gwiazd,  
Wiatr w zimie barwę ma cynową.  
A wielki strach przed sobą pędź,  
A żal pozostaw za sobą” .*

---

<sup>2</sup> Tłum. Jan Rostworowski .

Przewróciła kilka stron i przeczytała, tym samym nabożnym szeptem, fragment poezji Dylana Thomasa:

*„dobra i zła dwie drogi  
dotarcia aż po skonanie  
przy morzu napierającym  
ulatują zwiewnie jak tchnienie  
krzyczące idą przez ciebie przeze mnie  
w najmniejszym skrawku upływają  
jak krew gwiazd  
jak łzy słońca  
nasienie księżyca  
aż do początku kwiatów  
i zwierząt i roślin  
wody i światła i ziemi i nieba  
spustoszone nim zdolasz  
i wszystkie twoje słowa i czyny  
każde kłamstwo i prawda  
umierają w miłości która nie osądza”<sup>3</sup>*

Jej drżące paluszki przesprężyowały resztę stron, i na ostatniej karcie zobaczyła sam tytuł wiersza: „Du bist Erotik...”, Nie umiem wyrokować czy miała świadomość, że taki był humanistyczny ideał fin-desiecle' owej bohemy, zawołanie pięknoduchowych dekadentów. Pokazała mi to, pytając:

—Dlaczego tu jest sam tytuł? Lub może... może sama pierwsza strofa?...

—Bo nie wiedziałem dla kogo kiedyś nakreślę dalsze strofy. Teraz już wiem...

---

<sup>3</sup> *Thum. Andrzej Słomianowski.*

Wbiłem płonący wzrok w twarz Bettiny, rozpalając jej policzki tzw. rumieńcem wstydu, który był raczej rumieńcem chuci, gorączką wymodlonego, bliskiego już grzechu — flirtu, romansu, orgazmu ante portas.

### 37.

#### **Spalony weksel dłużny ulega wskrzeszeniu, acz tylko na chwilę**

Romansowanie zimą jest równie cudowne jak romansowanie wiosną. Wejście ze szczypiącej mrozem i zacinającej śniegiem ulicy do ciepłego gniazdka (garsoniery, buduaru lub hotelu) — to duża przyjemność. Pierwsza wspólna (moja i Bettiny) przyjemność nastąpiła bardzo szybko, ledwie półtora tygodnia po skatowaniu mnie przez „nieznanych sprawców”, ale mało brakowało, by ta nocna randka skończyła się gorzej, zaczęła się bowiem nieprzyjemnie, od kłótni. Bettina kazała mi zgasić światło, tymczasem ja pragnąłem karmić wzrok bujnymi wdziękami kochanki, i każde z nas dało popis swego uporu. Wygrałem tę pierwszą bitwę, jak również rozmaite bitewki późniejsze (kapryśność dam jest ciągłym detonatorem konfliktów), dzięki kilku moim atutom i jednemu kalectwu barona Zurfursta, który ożenił się — niczym Oscar Wilde i wielu innych pederastów — dla maskowania swych seksualnych skłonności ku płci brzydszej, a szczególnie ku małoletnim przedstawicielom płci brzydszej.

Bettina gardziła swoim ślubnym pedałem-pedofilem, na tle którego trzy moje zalety (arystokrata, poeta i właściciel superfiuta) stawały się trzema kluczami władzy, choć wciąż nie wiem w jakiej kolejności rangowej ujęły baronową już podczas laboratoryjnego

opatrywania moich ran. Dowiedziała się bowiem wtedy o wszystkim, nie tylko o książęcym herbie i o twórczym talencie. Zauważyłem, iż pielęgniarka, między jednym a drugim bandażowaniem mych siniaków, szepnęła coś pani Zurfurst na ucho, przesłaniając wargi dłonią i krzywiąc się filuternie, lecz nie miałem pojęcia o co chodzi. Musiało minąć pół roku, by Bettina zdradziła mi sekret: pielęgniarki lubiły podglądać łaźnię męską i jej przebieralnię, czyli goliznę stałych kuracjuszy i doraźnych klientów. Miały w ścianach ukryte otwory, a w sercach żądzę lustrowania męskich przyrodzeń; zwały penisy pieśzcotliwie „kutasikami”, „ptaszkami” i „rurkami”. Pielęgniarka, która mnie opatrywała z Frau Zurfurst, nie omieszkła bezzwłocznie poinformować szefową, iż to właśnie ten młodzian ma „rurkę” końskiego kalibru. Ciekawe co wówczas zadecydowało, a więc co Bettinę ku mnie najmocniej pchnęło — duży herb, duże pióro czy duża rurka?

Satin serdecznie pogratulował mi sukcesu. Obaj wiedzieliśmy, że ten sukces nie byłby możliwy (lub byłby dużo późniejszy) bez perfidii mistyfikatorskiej gratulującego, który, gratulując, przemilczał kurtuazyjnie swój koncepcyjny wkład. I jeszcze dżentelmeńsko nie wspomniał ani słowem, że gratuluje mi zdobycia żony Zurfursta, tylko gratulował mi likwidacji karcianego długu. Wyjął mój weksel dłużny z portfela, podpałił zapalką i obserwowaliśmy jak papier płonie. Na końcu płonęły sygnatury: moja tudzież kontrasygnaty świadków („Cygana” i „Filozofa”). Żle mi się to skojarzyło:

—To tak wygląda, jakbyśmy wszyscy trzej, ja, „Cygana” i „Herr Doktor”, mieli się smażyć w płomieniach piekielnych... — mruknąłem, przymykając wzrok.

Roześmiał się od ucha do ucha:

—Wcześniej trzeba na królestwo Szatana zasłużyć!

—Boję się, że przez ciebie zasłużę bardzo szybko, już zrobiłem kilka

pierwszych kroków.

Spowaźniał:

—Tak cię to martwi? Jeśli aż tak się tego boisz, że płonące sygnatury wzięłeś za złowróżbne symbole, za wieszczbę pośmiertnych losów sygnatariuszy tego papierka, to proszę bardzo, przywróćmy papierkowi stan przedpopiołowy, konsystencję oryginalną.

Strzelił palcami, niczym estradowy iluzjonista, i wyjął z rękawa... mój weksel! Cały, bez żadnego uszczerbku! Nie wierzyłem własnym oczom:

—Przecież został spalony!

—Tak sądzisz, Matt?

—Widziałem, że płonie!

—Nie krzycz, bo ludzie się zbiegną.

—Przecież spłonął do szczytu! Widziałem, że cały płonie!

—To prawda, ja też to widziałem —przytaknął Satin. —Cały płonął.

—Więc skąd go znowu masz?

—Z rękawa, przecież widziałeś.

—Sztuczka iluzjonistyczna, hokus-pokus?

—No.

—Bzdura! Już wiem: ten fałszerz Burger zrobił ci perfekcyjną kopię, chwaliłeś go, że umie mistrzowsko podrabiać wszelkie dokumenty!

—Matt, daję słowo, że to nie jest podróbka, trzymam twój oryginalny weksel.

—Udowodnij!

—Proszę bardzo. Daj mi jakiś dokument, który masz przy sobie.

—Mam kartę biblioteczną.

—Daj.

Gdy dałem mu legitymację biblioteki uniwersyteckiej, podpalił kartonik i wetknął mi przed nos, bym „namacalnie” widział, że

zamienia się w popiół. Później sięgnął do rękawa i wyjął moją nienaruszoną legitymację biblioteczną.

—Mówiłem ci, to triki iluzjonistyczne.

—Których wyuczył cię twój tatuś magik?

—Cóż, mówiłem ci, był zawodowym iluzjonistą...

—A czy parał się też hipnozą?

—Hipnozą, gnozą, metempsychozą, każdą wiedzą hermetyczną, każdą nauką tajemną...

—Oddaj mi weksel!

—Proszę bardzo, jest twój, nie masz już długu.

—A ty nie masz już kopii?

—Nigdy nie miałem, to był tylko trik, sztuczka magiczna, przysięgam. Teraz, kiedy wypełniwszy zadanie bojowe skasowałeś swój dług, jesteś wolny, możesz zerwać z tą kobietą.

—Nie zamierzam zrywać z Bettiną.

—Tak? A to ciekawostka... Myślałem, że gustujesz w damach młodszych. Chociaż... zaraz... cofam to głupstwo, które palnąłem bezmyślnie! Ty przecież gustujesz w mężatkach, czego dowodem Margot, żona twego stryja, rozpustniku! Domyślam się jednak, iż wskutek pewnej korelacji, czy raczej koincydencji, Frau Zurfurst łóżkowo góruje nad Margot, chyba się nie mylę...

—Nie będę gadał o tych rzeczach!

—No pewnie, między nami książętami o „tych rzeczach” nie wypada, nie honor. Aczkolwiek znałem prawdziwych książąt, i to wielu, którzy świntuszyli gorzej niż świnie, wierz mi, Matt.

—Wierzę ci, herby nie chronią od gnoju. A co do tej biegłości łóżkowej, to mąż Bettiny woli chłopców, nie miała dużo okazji, by praktykować.

—Tak ci mówi?

—Ja jej wierzę.

—Najwyraźniej wszystkim teraz wierzysz, zrobiłeś się głęboko

wierzący. Aleja również jej wierzę. Mając męża pedzia, mogła praktykować głównie to co lubi mężuś, dzięki czemu jest biegła w sztuce zadowalania faceta dzióbkiem, czyli tym rodzajem seksu, po który mężczyźni biegają do prostytutek lub do kochanek, bo normalne żony brzydzą się taką pieszczotą, więc jej nie uprawiają. To są głupie przesady, i gdy rewolucja obyczajowa, którą prorokuję, sięgnie kiedyś swego apogeum —wszystkie kobiety, nawet nieletnie dziewczynki, bez zahamowań będą potwierdzały, że są gatunkiem ssaków. Frau Zurfurst swą sztuką lubieżnego ssania unosi twoją samczość pod niebiosa, i dlatego, jako cielesnie wniebowzięty, nie rzuciłbyś jej za żadne skarby, mam słusność?

—Powiedziałem już: nie będę o tym gadał!

—Tak jest, powiedziałeś... Proszę bardzo, możemy milczeć lub gadać o czymś innym. Pytanie: o czym?

—Choćby o tym, o czym ty nie chcesz gadać.

—A o czym ja nie chcę gadać?

—O twoich kuglarskich sztuczках, magiku!

—Wiesz, Matt, to całkiem dobry wybór. Dziadek mnie uczył, że jeśli chce się o czymś dogłębnie porozmawiać, trzeba rozmawiać jedynie z ludźmi, którzy są już zmęczeni tematem, bo ci najwięcej o nim wiedzą. Dlatego z Frau Zurfurst winieneś rozmawiać tylko o wodzie, bo połączyła was balneologia. Kobieta, zresztą, jest właśnie jak woda, stały kształt ma tylko w naczyniu, bez naczynia się rozłązi. Zostałeś naczyniem tej damy, ona zaś twoim naczynkiem, poeto! Dzięki temu obustronna rozkosz ma gdzie spływać. A kto ci dał tę drabinę do rajy?... No, czemu milczysz?

—Bo nie mogę wyjść z podziwu jak łatwo przechodzisz od galanterii, dżentelmenerii, kurtuazji, savoir-vivre'u i subtelnego smaku, krótko mówiąc: od grzeczności tudzież wstrzemięźliwości językowej — do parszywego chamstwa! A ponieważ, znając cię, wiem, że nic nie robisz bez przyczyny — pytam: dlaczego? Dla



jakiego celu, Sat?

— Międzynarodowego, międzypaństwowego, dwubiegunowego, czyli bilateralnego, drogi Romeo, lecz nie będziemy o nim gadać dzisiaj. Ten cel jest ważny, bardzo ważny. Szkoda byłoby, żeby tak piękny romans, jak wasz, został ślinionką bezproduktywną, ograniczając się do rozwiązłego ssania sutków i fiutków.

Wydąłem wargi triumfalnie:

—Nie będę więcej spełniał twych żądań, Satin!

—To zrozumiałe, przyjacielu. Chyba że będziesz musiał.

—Nie możesz mnie zmusić, nie masz już na mnie bata, iluzjonisto !

Uśmiechnął się:

—Wasza książęca mość, prócz batów są również haki i przynęty, bez nich kiepsko się łowi...

### 38.

#### **Bankiet u „Cygana o czasie horyzontalnym**

Gdy powiedziałem Satinowi, że z chwilą likwidacji mojego długu nie ma już na mnie bata, a Satin odparł, że prócz batów są także haki, pierwszy raz używając kpiarskiego terminu „Wasza książęca mość” — nie widziałem w tym gróźb. Lecz później dotarło do mnie co sugerował. Zaczepiłem go na przerwie między wykładami:

—Chcesz spróbować szantażu?

—O czym ty gadasz, Matt, jakiego szantażu?

— Spróbujesz grozić, że wyjawisz Bettinie prawdę o moim fałszywym wcieleniu, to jest ten twój hak?

Złapał się za głowę, demonstrując szok:

—Ty chyba zwariowałeś!

Ale ja kontynuowałem, nie tracąc wścieklej werwy:

—Otóż dowiedz się, że jeszcze dzisiaj wyznam pani Zurfurst wszystko, i niech się stanie co ma się stać, niech mnie ona rzuci, ale jedno osiągnę bez wątplenia: twój hak całkowicie spróchnieje, przestanie istnieć, Satin!

Dalej trzymał się za głowę, niczym uderzony w łeb pałką.

—Matt, ty rzeczywiście zwariowałeś! Coś tak kretyńskiego nie przeszło mi przez myśl, człowieku! Mówiłem nie o szantażowaniu, lecz o łowieniu, o przynętach. Chcę cię nęcić czymś bardzo smacznym — chcę cię uszczęśliwiać, a nie dręczyć, idioto! Więc nie rób głupstw, nie mów babie prawdy, bo wszystko zepsujesz!

Być może łął, lecz gromił mnie tak żarliwie, iż zrobiło mi się głupio. Wybąkałem:

—Jeśli moje podejrzenia są bez sensu, to przepraszam...

Chwycił mnie krzepko za ramiona i potrząsnął:

—Jesteśmy kumplami, zbudź się, Matt, ze złego snu! Jesteśmy przyjaciółmi, rozumiesz?!

—Rozumiem.

—Obym nigdy więcej nie musiał ci wypominać, że o tym zapominasz, kolego! Dzisiejszej nocy, na bankiecie u „Cygana”, spłuczemy te nieporozumienia setką toastów!

„Cygana” fetował własne imieniny. Knajpa była tego dnia zamknięta dla „obcych”, goszczono wyłącznie „swoich”, i to dopiero wieczorem, bo wcześniej sprzątano, pucowano, dekorowano główną salę, tudzież pichcono jadła bankietu. Bettina, usłyszawszy, że tam idę, bo muszę, syknęła:

—Nie musisz, tylko chcesz! A chcesz, gdyż i poeci, i arystokraci, uwielbiają, dla kontrastu, szlajać się czasami wśród gminu, wśród „ludu”, to przyrodzona namiętność jednych i drugich, o czym powszechnie wiadomo. Jednych i drugich ciągnie do prostaków, jak do owocu zakazanego, jak do piekła!

—To samo słyszałem o damach ze sfer wyższych, kochanie...

—Chcę iść z tobą!

—Co znaczy, że mam dobry słuch... —westchnąłem bez satysfakcji, bo nie byłem pewien czy to właściwy pomysł, żeby brać ją na bankiet „Cygana”.

Bankiet nie rozkręcał się wolno — był gorący od samego startu. A kiedy towarzystwo się upiło, temperatura jeszcze wzrosła. Śpiewy, tańce, rzucanie lotkami z bocianiego gniazda, „Gitara” płaśała po stole w rytmie flamenco (wszyscy wtedy klaskali do rytmu), „Nesca” ciągle odslaniała czekoladowe cycki (niby niechcący, ale każdy wiedział, iż celowo), „Pyza” kręciła tyłkiem przed dwoma kapitanami floty wojennej, którzy byli parą nowych znajomków „Cygana”, natomiast schlany „Wygibus” oblał Czugę rosółem drobiowym, bowiem sądził, że to świetny żart. „Rondel” i „Mama Klara” uwijali się między stolami a kuchnią, i zbierali brawa za pyszne potrawy.

—Kto tam rządzi w tej kuchni, on czy ona? — spytał jeden kapitan Bundesmarine, wydłubując mięso raków.

—Ona — rzekł „Filozof”.

—A kto z nich lepiej gotuje?

—Niewiasty chyba zawsze lepiej pichcą jadło... — wyrwał się „Zgaga”.

—Jeżeli tak, to dlaczego historia zna wyłącznie wielkich kucharzy? — mruknął Satin, rozlewając wino do kilku sąsiednich kielichów. — Historia nie zna żadnej kucharki, która zyskałaby sławę.

—Bo historię piszą mężczyźni, Sat! — palnęła „Gitara”.

—Piszą, ponieważ wcześniej ją tworzą, a jak tworzą, to mają prawo opisywać — wygłosił „Cygana”, weteran wojny światowej.

—Tworzą rozlewem krwi, giełdowymi przekrętami i krętałą polityką, szefuniu! — uparła się „Gitara”.

—Tak jest, pijmy zdrowie kombatantów — ryknął „Wygibus” Arnold.

—Nie podlizuj się solenizantowi, Arnoldzie! —skarciła go „Gitara”.

—Gdzie podlizuj, ouuup!, gdzie podlizuj, dlaczego zaraz podlizuj! —czknął pijak. —Mężczyźni giną bohatersko na froncie, a kobitki nie giną, w domach siedzą, nie wystawiają dupy! W piernatach umierają, na froncie nie giną, ouuup!

—Jak to nie? —zdziwił się Satin. —A ta paryska kankanistka, gwiazda rewii „Moulin Rouge”, która zginęła robiąc na scenie szpagat? Też na froncie, chociaż tylko erotycznym, ale bojowo.

—Bardzo dowcipne! —wkurzyła się Sonia. —Nosileś kiedyś mundur, dupku studencki?

—Czepka i fartucha kucharskiego nigdy nie nosiłem również, a mimo to wiem, że historia nie zna żadnej sławnej kucharki, zero, nul!

—Gdyż historię piszą wyłącznie faceci, ferajna uniwersyteckich mędrków —powtórzyła twardo „Gitara”.

—Nie tylko dlatego, proszę pani.

Kto wygłosił te uprzejme słowa? Bettina! Milczała bardzo długo, uśmiechając się i robiąc sympatyczne minki —aż wreszcie zabrała głos, ku mojemu zdziwieniu. I ku zdziwieniu „Gitary”, pytającej:

—Więc dlaczego?

—Dlatego, że kobiety lubią obsługiwać małe rodzinne stoły, natomiast wielkie publiczne kuchnie, choćby restauracyjne czy pałacowe, zostawiają mężczyznom, bo to zbyt dużo wysiłku. Identycznie jest z krawiectwem. Szycie to domena kobiet, ale płaszcze i futra szyją tylko mężczyźni, bo płaszcze i futra są ciężkie. Nie lubimy się przemęczać.

Chwila ciszy, pełne podziwu spojrzenie Satina, i raptem aplauz, burza oklasków. Bettina „kupiła” towarzystwo —odtąd już nie była beznaczeniową przystawką u mojego boku. Cieszyłem się z tego, ale jeszcze bardziej cieszyło mnie, iż oklaski pacyfikują niechęć Bettiny do „Pod wesołym trampem”.

No i były nie tylko kłótnie, dyskusje, złośliwości, prześmiewki, szanty, toasty, cała ta rytualna bachanaliowa paplanina — były też liczne prezenty imieninowe. Ode mnie i od Bettiny „Cygan” dostał kosztowny zegarek ze srebrną pozłacaną dewizką. Od Czugi, „Filozofa” i „Wygibusa” (razem) kordelas piracki sprzed dwóch wieków („ — Fals” — szepnął mi Satin). Od Kwasime jedną złotą spinkę do mankietu koszuli, więc wszystkich zdziwił ten bezsensowny dar, ale druga spinka zaraz się znalazła — dostał ją od Soni; dziewczyny wykazały pyszne poczucie humoru. Królewski dar — bezkonkurencyjny prezent — wręczył „Cyganowi” Satin: była to klepsydra ze Średniowiecza, bardzo stary i bardzo szlachetny, misternie cyzelowany wyrób.

—Muzealne cacko! —jęknął kapitan Bundesmarine.

—Powąchaj, wodzu — rzekł do „Cygana” Satin. — Czujesz ten zapach?

—Czuję, czuję! —krzyknął obdarowany. —Ta woń...

—To zapach czasu —wyjaśnił darczyńca.

—Pierniczysz!... To pachnie stare drewno... albo ten piasek! Może to prastary piasek...

—Sat dał ci cacko do wążania, szefie, bo on również tak robi, uwielbia wążać czas! —wykablowałem sekret kumpla po pijacku. — Wążanie czasu to jego specjalność!

—Którego czasu? —zainteresował się „Filozof”. —Tylko pionowego? Czy poziomego również? Chiński czy europejski?

—Jak to pionowego?

—My widzimy czas „przed” i „po”, a więc horyzontalnie, gdy Chińczycy wertykalnie: „pod” i „nad”. Już dwa tysiąclecia przed Chrystusem, znaczy pod Chrystusem, Żółtki mierzyły czas pionowo: klepsydrami wodnymi i piaskowymi, lub zegarem ogniowym, gdzie spalała się świeca mająca podziałkę. Dlatego pytam czy Sat...

Wtrącił się jeden z kapitanów:

—Co to za imię: Sat?

—To skrót —rzekł „Rondel”.

—Od czego?

Nim ktokolwiek zdążył to wyjaśnić —ten, którego tyczyła kwestia, huknął:

—Von Satisfaktion, meine Damen und Herren! [*Od Satysfakcji, panie i panowie!*] Zaspokajanie, dawanie przyjemności, to moja główna specjalność.

—Dawanie komu?

Chóralny wrzask, klekot przekrzykiwań, belkot pijackich żartów, zagłuszył odpowiedź.

To co najlepiej wspominam z tamtych studenckich chwil, to młodość. Byłem cudownie młody, i cudacznie głupi, rzecz absolutnie normalna, gdyż — wzorem zdrowych nieceniących zdrowia —jako młodzi nie rozumiemy, że młodość to bajkowy skarb.

### 39.

#### **Ciało zanurzone w ciele wypiera tyle energii, ile...**

Myślałem, że moja Frau będzie zadowolona po bankiecie u „Cygana”, bo przy końcu imprezy miała minę bezchmurną, lecz było to myślenie logiczne, czyli męskie, czyli całkowicie błędne wobec dam, gdyż płeć piękna jest fabryką najdziwniejszych siurpryz. Tylko wyszliśmy z „Pod wesołym trampedem”, skoczyła mi wściekle do oczu:

—Obracasz te lafiryndy?!

—Jakie lafiryndy?

—Te dwie suki, nie udawaj głupiego!

—Mówisz o...

—Tak, mówię o tej Negrze i o tej drugiej, piegowatej!

—Bettina!...

—Spójrz mi w oczy!... Sypiasz z tą czarnuchą?... I z tą drugą flądą?...

—Nic podobnego, nie sypiam z nimi, nie całowałem nawet żadnej, ani „Neski”, ani „Pyzy”, przysięgam!

—Łżesz! Widziałam jak ta czarna mała, co ledwo zeszła z palmy, zerknęła na ciebie i wdzięczyła się do ciebie! I ta druga również, ta co podsuwała ci swoje piegowate cyce pod nos! Obie tykały cię per „Studenciku”, niby własnego amanta! I obie puszczały do ciebie „perskie oko”!

—Niczego takiego nie widziałem, żadnych „perskich” spojrzeń, nic a nic!

—A ja widziałam! Widziałam!!

Rozpląkała się, co jest bronią ofensywną, przeciw której zakochany lub zadurzony facet nie znajduje tarczy — lzy uwielbianych metres palą sumienie wrażliwego frajera mocniej niż „ogień grecki” palił burty, maszty i pokłady statków. Jesteś całkiem niewinny, a czujesz się winny jak skończony winowajca. Przepraszasz za to, czego nie zrobiłeś, i czujesz się tak podle, jakbyś to zrobił. Tymczasem ona odstawia zwykły cyrk, normalny babski teatr, najprostszycy ze wszystkich kobiecych teatrzyków (wyjąwszy wodewil głośnych jęków udawanego orgazmu, rzecz prosta). Aby dogłębnie rozgryźć tę damską perfidię i uodpornić się niby rycerz pancerny — trzeba zjeść beczkę soli erotycznej, mieć legion bab. Wyzbyte rutyny żółtodzioby dają się nabierać latwiutko.

Mną również czasami szarpała zazdrość, chociaż nie przez konkretnych Bettiny adoratorów. Po raz pierwszy przez... książkę. Spotykaliśmy się u mnie (rzadko), lub w mieszkaniu kuzynki Zurfursta (często), która nienawidziła barona, więc ją radowało, że Bettina sadi mężowi rogi. Właśnie tam usłyszałem pytanie:

—Czemu przysyłasz mi prezenty, zamiast mi je wręczać?

—O jakim prezencie mówisz, kiciu?

Wskazała leżącą na stoliku książkę. Uniosłem okładkę, by zobaczyć tytuł: „Valperga, or the Life and Adventures of Castruccio, Prince of Lucca”. Autorka: Mary Wollstonecraft-Shelley. Rok wydania: 1823. Ktoś ołówkiem nakreślił słowo „pierwodruk” u dołu tytułowej karty. Okładki były skórzane, ze ślicznie tłoczonymi bordiurami o florystycznych motywach. Zapytałem:

—Przyszło pocztą?

—Nie, przyniósł kurier. Wewnątrz była róża, zewnątrz wstążka mająca monogram SS, jak twój monogram Shelley Society, dlatego myślałam, że to od ciebie...

Zgrzytnąłem zębami, od razu typując Satina, a gdy później przemyślałem sprawę, zyskałem zupełną pewność. Mary Shelley, autorka „Frankensteina”, była żoną kumpla Byrona, także głośnego poety, Percy’ego Bysshe Shelleya, autora „Prometeusza rozpiętanego”. Shelley chciał być właśnie Prometeuszem, dającym ludzkości słodki ogień bezbożnictwa. Już jako młodzieńca wyrzucano go z wszelkich szkół (najpierw z Eton College, później z uniwersytetu Oxford) za głoszenie ateizmu. Całe życie toczył bój przeciwko Kościołowi i religii, zyskując status wolnomyśliciela, radykała, zblazowanego ekscentryka. Notabene, jego teść, ojciec Mary, William Godwin, był tak samo piewą rewolucji, i więcej: był utopijnym anarchokomunistą (wolna miłość, równy podział bogactw, etc.), a teściowa była pierwszą głośną feministką Wielkiej Brytanii. Córeczka padła blisko tych dwóch jabłonek, co pasowało Percy’emu Shelleyowi, rebeliantowi społecznemu. Percy i Byron, buntując się postępowo, nie stronili nawet od kazirodztwa i byli piewcami tego zbroczenia —twierdzili, że widzą w nim rys poetycki. Czytając o nich, przeczytałem również „Valpergę”. Tytułowy bohater, Castruccio, jest figurą demoniczną (by nie rzec:



sataniczną), „majestatyczną postacią o pięknej i smutnej powierzchowności, przyćmionej wyrazem cechującej go pychy”, jak precyzowała autorka. „Satin, pieprzony draniu, całkiem ci odbiło!” — myślałem, rzucając grafomańskie dzieło Mrs Shelley pod kanapę. „Czekaj, wygarnę ci!”. Nazajutrz przypuściłem atak, warcząc:

—Zaprześtań obdarowywania mojej kobiety prezentami, Satin, nie życzę sobie ani książek, ani wstążek, ani róż! To ja jestem od prezentów dla niej!

—Jakich prezentów?

—Nie kręć, nie kłam, wiem, że dostała to od ciebie!

—Co?

—Różę szczelnie zapakowaną, a mimo to niezwiędłą, pieprzony magiku! Róża była w pudełku razem z książką, pudełko było owinięte grubym papierem, a jednak się nie udusiła, nie zwiędła, cud prawdziwy!

— Widocznie jakiś bardzo trwały gatunek, lubiący długowieczność... —mruknął, krzywiąc kpiąco kącik ust.

—Nie chrzań! Nie pajacuj! Nie lżyj!

—Ja i kłamstwo? Matt, o co ty mnie podejrzewasz, przyjacielu?

—O kult kłamstwa. Pamiętam wizytę u twego znajomka, tego antykwariusza handlującego falsyfikatami. Pan pułkownik twierdził, że kłamstwa czynią z nas ludzi, a ty odparłeś, że duże kłamstwa czynią z łgarzy półbogów.

—To były tylko bon moty, flesze retoryczne...

—Podobnie jak ten dowcip „Filozofa”, że „Rosjanin mówi prawdę wyłącznie wtedy, kiedy się pomyli”. Masz chyba w żyłach dużo krwi rosyjskiej, Sat, jesteś permanentnym kłamcą!

Wzruszył ramionami:

—Mylisz mnie z kimś innym, to nie ja. Ja kłamać nie umiem.

—Dobre sobie!... Co drugie twoje słowo to kłamstwo. Ty nie umiesz mówić prawdy!

—A ty nie umiesz liczyć. Jeśli co drugie, to znaczy, że pięćdziesiąt procent moich słów stanowi prawdę bezwzględną. Połowa prawdy to wskaźnik imponujący, niewielu dochodzi do tak wysokiego pułapu retoryki werystycznej.

— Ty doszedłeś do górnego pułapu retoryki perfidnej, pragmatycznej, strategicznie koncipowanej, nie ma w niej nic przypadkowego, nawet, twoje przemilczenia są łgarstwami dużego kalibru.

—Czy możesz to udowodnić, Matt? — spytał, mrużąc rozeźlone ślepie.

Miał pecha, bo często lekturami bibliotecznymi sprawdzałem jego wywody erudycyjne, vulgo: jego argumenty propagandowe. Tak było choćby w kwestii „sędziwych podlotków”, i tak również zrobiłem, kiedy kłócił się z profesorem Bleibergiem o węża biblijnego. Wycodziłem tedy zimno:

—Perorując Bleibergowi o wężach, konkretnie o tym, że wąż był symbolem Wieczności dawno temu, w greckim Antyku, przemilczałeś, że był symbolem Wieczności tylko wtedy, gdy gryzł swój ogon! Takim go wyobrażali antyczni graficy, kąsającego lub łykającego swój ogon, a zatem przybierającego formę koła. Czego się bałeś? Że gryzienie własnego ogona, kojarzące się dzisiaj bardzo pejoratywnie, jako „gonienie w piętke”, osłabi twoją mowę pochwalną na cześć węża jako szlachetnego symbolu? Taka wybiórcza argumentacja, szczwana selekcja realiów, jest rodzajem łgarstwa, hochsztaplerską demagogią, niczym więcej. Żeby było jeszcze dowcipniej —podczas tego dialogu zapewniałeś Bleiberga, iż wychowano cię „w kulcie prawdy”...

—Zapewniałem go wtedy o różnych rzeczach. Także o tym, iż analizować dzieło mistrza Tycjana wzbrania mi etyka chrześcijańska plus wrodzona przyzwoitość.

—Właśnie!

—Co właśnie?

—Twoja etyka chrześcijańska, fanatyku ateizmu!

—Przynajmniej mam dobre towarzystwo! — odwarknął. — Towarzystwo ludzi, których Bóg kocha bardziej niż was, bo oni, ateści, nie zadręczają Go swoimi problemami.

—Więc jednak istnieje?

—To bez znaczenia czy istnieje, Mateuszk. Mówimy o etyce chrześcijańskiej wyznawanej przez bigotów i niewyznawanej przez ateistów.

—Czyli niewyznawanej przez mniejszość!

—Mniejszość? Tylko w okopach, w płonącym domu i w dziurawej łajbie podczas sztormu nie ma ateistów, kolego, ale wokoło nas jest ich bardzo wielu! Więcej niż myślisz!

—Towarzystwo bezwyznaniowych bałwanów! —ryknąłem.

Skłóciliśmy się wtedy gromko drugi raz. Tym razem był bliski furii, ślepa rozjarzała mu autentyczna wściekłość. Pewnie dlatego, że cierpiał demaskowany i przyłapywany. Mało sobie robiłem z jego gniewu. Wszystkie moje emocje tamtego czasu kondensowała Bettina. Coś na kształt Archimedes: ciało zanurzone w ciele wypiera tyle energii, ile dostaje od...

#### 40.

### Byroniada „*with his own mind*”

Niespełna tydzień po kłótni z Satinem na temat przesyłki (książki pani Shelley), którą otrzymała Frau Zurfurst — kurier dostarczył przesyłkę kolejną. Zawierała dwie róże pachnące niczym ledwo zerwane i tomik poezji Byrona. Nie wydrukowany — manuskryptowy. Ktoś przepisał kilkanaście wierszy Byrona

starannym kaligraficznym pismem (tak regularnym, wręcz „architektonicznym”, że chyba odpornym na grafologów) i dał oprawę intrologatorską safianową, dekorowaną złoconymi grzbietowymi i frontowymi w typie Empire. Byłem pewien, że to robota Satina, który prowokacyjnie drażni się ze mną, kpi sobie, wywała język bezczelnie i syczy: a ku-ku! Może podejrzewałbym również barona Zurfursta, gdyby nie zestaw przepisanych utworów. Niektóre mogły, co prawda, wyrażać czy symbolizować gniew rogała („Euthanasia”, „Posępny duch mój”, „Miłość i śmierć”, „Lodem gdy zetnie śmierć”, „Przekleństwo Minerwy”, fragment „Więźnia Chillonu” itp.), lecz wkrótce się okazało, że były raczej zapowiedzią tragedii w kręgu rodzinnym Zurfursta i w bliskim (przyjacielskim) kręgu Bettiny. Jednak nim się to stało, bardziej mnie uderzyły wiersze adresowane jakby bezpośrednio do mnie: „Odpowiedź przyjacielowi” tudzież „List do przyjaciela”, którego pierwsze wersy zdawały się stanowić echo niedawnej hucznej biesiady u „Cygana”, w „Pod wesołym trampem”:

*„«Precz od nas smutki!», niech to godło wieszczę  
Ciągłej w tym życiu pociechy udziela!  
Może w mych ustach zabrzmi ono jeszcze  
Wpółśród rozgłośniej uczt i wesela,  
Tam gdzie wśród szczęśnych biesiadników koła,  
Kędy brzmi radość i szal uciech głuszy,  
Dzieci rozpacz rozjaśniają czoła  
I koją tęskne bole swojej duszy;  
A gdy poranna chwila zajaśnieje,  
Budząc z uśpienia myśli otrzeźwione,  
Gdy przeszłość, przyszłość przeciw mnie srożeje,  
Gdy to, com kochał, zmienne lub stracone...”*

Jeszcze ciekawsza, bardziej znacząca, była końcówka tego wiersza, ostatnie 16 wersów:

*„Rzucę się w odmęt burzliwego świata,  
Będę gdzie ludzi wre tłum najliczniejszy.  
I gdy w następne kiedykolwiek lata,  
Gdy się blask chwały imperialnej zmniejszy,  
Posłyszysz czasem mówiących o człeku,  
Co przez występki skalał się szkaradne,  
Którego w zbrodni najczarniejszych steku  
Względy świętości nie wstrzymują żadne;  
Głuchy na miłość, litość, chwałę, wzgardę,  
Gotów na wszystko niecne się ośmielać,  
Którego serce zawzięte i twarde  
Krwi nawet bratniej nie wzdrygnie się przelać,  
Którego pamięć z zgrozą świat dochowa  
I krwią zapisze kartę jego winy...  
Człowiek ten... poznasz o kim to jest mowa –  
I widząc skutki, wspomnij na przyczynę”<sup>4</sup>.*

Jednak nic nie robiło wrażenia większego niż tytaniczny buntownik — bohater „Prometeusza” (tę rzecz Byron skrobnął zamieszkując chwilowo Szwajcarię, przy brzegu jeziora Lemana, w lipcu 1816 roku):

*„Tytanie! twoim przeznaczeniem  
Był ten wolności bój z cierpieniem,  
Co nęka, jeśli nie zdruzgoce,  
Nieubłagane Nieba moce,  
Tyrania przeznaczenia głucha*

---

4—Tłum. Stanisław Rosołowski.

*I władza Nienawiści ducha,  
Dla swej uciechy stwarzająca  
Jestestwa, które w nicość strąca,  
Nawet ci śmierć odjęły, którą  
Wieczność zmieniła swą torturą...  
I ty dźwigałeś ją wytrwale,  
Tylko ci gromowładca z duszy  
Groźbę wy dobył, co weń w szale  
Miotła ogrom twych katuszy;  
Nie chcąc mu ulgą być w cierpieniu,  
Tyś skrył coś czytał w przeznaczeniu;  
Jego był wyrok w twym milczeniu...  
I nadaremne czuł on żale,  
A z lichu tajonego lęku  
Drżały mu błyskawice w ręku.*

*Nam dobrodziejstwem był twój śmiały,  
Boskim podobny czyn...  
Tyś całej Ludzkości wskazał jak z niedolą  
Ma walczyć, krzepiąc siły wolą;  
Choć Niebios moce cię skruszyły,  
Lecz twa odwaga i wytrwanie,  
Hart twego ducha niedosiężny,  
Którego zgiąć nie były w stanie  
Nieba i Ziemi wspólne siły,  
Przykład podały nam potężny...  
Dla ludzi symbol tyś pamiętny  
Losu z przemocą w starciu wrogiem...  
Jak ty – i człowiek jest półbogiem. –  
Z krynicy czystej – potok mętny –  
A człowiek może przez mgły cienie*

Przewidzieć w części przeznaczenie  
I własny upór, i los smętny, I  
beznadziejne swe istnienie,  
Którym się oprze jego wolne «Ja»,  
wszystkim nędzom sprostać zdolne,  
Hart woli i niezłomne męstwo,  
Które go nawet wśród cierpienia  
Wewnętrzny blaskiem opromienia  
I każdy upór w triumf zamienia, A  
nawet samą śmierć – w zwycięstwo"<sup>5</sup>

„Prometeusz” nie jest dzisiaj zaliczany przez krytykę do najlepszych utworów lorda Byrona, ale są tam fragmenty pyszne poetycko, jak chociażby ten:

„ *The godlike crime was to be kind,  
To render with the precepts less  
The sum of human wretchedness,  
And strengthen man with his own mind*”.

Kilka lat po tym wierszu kumpel Byrona, Shelley, napisał swego „Prometeusza” — „Prometeusza rozpętanego” — rzucając Bogu jeszcze mocniejsze wyzwanie...

Cała ta byroniada czym była? Autopromocją? Pustą hecą? Złośliwością dla samego zgrywu? Nieprzewidywalność Satana i perfidia Satana zawsze stanowiły parę bliźniaczą. Przypomniałem sobie, że kiedy zobaczyłem go pierwszy raz (wszedł wówczas do auli podczas wykładu profesora Harlunda) — nosił się a la Byron, w czarnym ubraniu, z lśniąco czarnymi włosami opadającymi na szeroki lśniąco biały byronowski kołnierz. Lubił się tak czarno

---

<sup>5</sup>Tłum. Władysław Nawrocki

ubierać — po byronowsku czy po shelleyowsku, jakby małpując Romantyków.

Nie kojarzyłem tylko jednego. Ostatnia karta była właściwie pusta, mieściła ledwie cztery słowa wykaligrafowane staroniemieckim („gotykiem”) i mające być chyba swoistą sygnaturą: „Wir sind die Roboter” —jesteśmy robotami. Wtedy (kilkadziesiąt lat temu) słowo „robot” oznaczało sztucznego człowieka (androida), lecz i chłopca pańszczyźnianego.

Co to miało znaczyć? Kolejny żart?...

#### 41.

### **Satin wojujący gnozą katarską, i burza oklasków**

Satin wszędzie pozwalał sobie na żarty i zjadliwości, które jednak nie rozsierdzały wszystkich wykładowców; rozwścieczały tylko profesora Bleiberga. Wykładający historię architektury profesor Harlund traktował dowcipy Satina filozoficznie, jako przejawy ekstrawagancji ducha nieunormowanego, zaś wykładowca historii rzeźby, profesor Gerhard Gnauck, stosował wobec Satina taryfę ulgową, wskutek miękkości swego charakteru, w którym tolerancja dla ekscesów studenckich była dużo pojemniejsza aniżeli średnia łaskawości „ciała pedagogicznego” Uniwersytetu Germanshaven. Gnaucka rozbroił Satin już na pierwszym semestrze, kiedy pytanie o ulubionego rzeźbiarza skwitował anegdotą półpornograficzną:

—Mój ulubiony rzeźbiarz to ten XVI-wieczny Bolończyk, który wyrzeźbił figurę Neptuna z bolońskiego Piazza Nettuno. Przy placu był żeński klasztor! mniszki zażądały od władz, aby Neptunowi zmniejszono nieprzyzwoicie duży penis. Twórca musiał wykonać polecenie magistratu, zmniejszył, lecz by się zemścić, rozprostował



palec środkowy wysuniętej ręki Neptuna, dając temu paluchowi kształt sterczącego penisa, oczywisty dla przechodniów.

—Jak się nazywa pański ulubiony mistrz? —spytał Gnauck.

—Zapomniałem, panie profesorze —uśmiechnął się Satin.

—Rozumiem, panie Retea. Niech pan wszakże nie zapomina kilku innych nazwisk, może trochę mniej ważnych w krucjacie kontrkterykalnej, jednak w historii sztuki znaczących, choćby Praksytelesa, Fidiasza, Skopasa, Lizypa, Polikleta, Donatella, Michała Anioła czy Berniniego.

—Postaram się, panie profesorze, choćby dlatego, iż oni też tworzyli fajnych golasów.

—Żaden z nich nie stworzył lepszych golasów aniżeli te golasy, których stworzył Bóg Stwórca realizujący Genesis! —machnął ręką Gnauck, prezentując charakterystyczną dlań dezynwolturę, jaką lubił kokietować studenterię, by zyskiwać miano luzaka.

—Jest pan pewien, że to właśnie Bóg? —zapytał Satin.

—A któżby inny, panie Retea?

—Może jakiś Buntownik, panie profesorze?...

—Buntownik? Cóż, Chrystus był Rebeliantem, lecz Stworzycielem był Jego Ojciec...

—To tylko mitologia —mruknął Satin.

Nie bez powodu przytaczam ów dialog, bo znalazł on swoje wojenne echo killkanaście miesięcy później, gdy doszło do bitwy między Bleibergiem a Satinem, która się rozpoczęła wymianą zdań na temat prokreatora ludzkiej gołej anatomii.

Niespełna miesiąc przed świętami Bożego Narodzenia Bleiberg zaczął przyjmować pierwszych „klientów” — studentów łaknących konsultowania rozprawy semestralnej. Nie było to obowiązkiem studentów, jednak każdy wiedział, iż lepiej omówić z profesorem postępy semestralnej pracy (konstrukcję, leitmotiv, detale, niuanse interpretacyjne), demonstrując swe zaangażowanie w temat, co

przychylnie usposabiało Szwajcara i dawało szansę lepszej noty finałowej. Kiedy Bleiberg kazał Satinowi „nie wracać bez analizy «Grzechu pierworodnego» wolnej od wulgaryzmów” — miał na myśli właśnie audyencję konsultacyjną. Tydzień przed świętami wszyscy zaliczyli już dwie lub trzy konsultacje, prócz Satina, który wcale się nie zgłosił, więc podczas ostatniego przedświątecznego seminarium Bleiberg rzekł:

— Panie Retea, w jakim terminie zobaczę szkic lub wersję definitywną pańskiej rozprawy?

— Takiej analizy, jakiej pan się spodziewa, nie zobaczy pan nigdy, panie profesorze — odparł Sat. — Postanowiłem zignorować nakaz analizowania malowidła Tycjana chrześcijańską metodą, której pan ode mnie zażądał, czyli wedle Pisma Świętego i wedle wszelakich kanonicznych doktryn wlepionych ludziom przez świętych demagogów.

Oczy Bleiberga rozbłysły:

— Pan bardzo nie lubi świętych, panie Retea, mam rację?...

— Ma pan, panie profesorze, chociaż nie twierdzę, że wszyscy ludzie Kościoła bredzili. Bardzo cenię sąd pewnego opata w średniowiecznym burgundzkim klasztorze cystersów, Cîteaux, że należałoby kanonizować nie świętych, ale tych, którzy z nimi wytrzymują. Nie neguję również wszystkich świętych pism. Bardzo szanuję „Księgę Jana Ewangelisty”, która nosi potoczne miano „Sekretnej Wieczerzy”, bo relacjonuje rozmowę Jana Ewangelisty i Jezusa Chrystusa podczas Ostatniej Wieczerzy. Z tej księgi można się dowiedzieć, iż rajska nagość Adama i Ewy, czyli to, co wymalował Tycjan, którego obraz kazał mi pan roztrząsać, profesorze, nie została stworzona przez Boga-Ojca, tylko przez innego demiurga, innego kreatora życia na Ziemi.

Do Bleiberga jakby jeszcze nie dotarło, ciągle krzywił usta triumfalnie złośliwym grymasem:

—Znaczy: wbrew Biblii?

—Tak, wbrew Pismu Świętemu, które pan, profesorze, traktuje jako alfę i omegę. „Księga Jana Ewangelisty” dyskredytuje biblijne brednie na temat Stworzenia.

Wreszcie dotarło:

—O czym pan gada?! — krzyknął Bleiberg. — „Księga Jana Ewangelisty”? Co to jest? Jakiś apokryf, czy co?!

—Tak, księga apokryficzna — przytaknął Satin.

—Ale nieuznawana przez Kościół?

—Owszem, nieuznawana.

—Zatem diabelska!

—Nie, nie diabelska, tylko dysydencka, panie profesorze.

—Czyli heretycka! — ryknął Bleiberg, wniebowzięty niby policjant, który właśnie dopadł kryminalistę. — Sekciarska!

—Istotnie: gnostycka, konkretnie katarska — sprecyzował Satin. — Wykłada kosmogonię katarską, według której to nie biblijny Jahwe stworzył życie na Ziemi, tylko zbuntowany archanioł, Lucyfer, zarządca Nieba przed rewoltą aniołów, przywódca tej rewolty. On stworzył ludzi na obraz i podobieństwo swoje...

Bleiberg zamachał rękami i wszedł w słowo mówiącemu:

—Pan, panie Retea, jest żywym dowodem, iż ta teoria może być częściowo słuszna, widzę podobieństwo... Jest pan satanistą, czcicielem Szatana, wyznawcą Lucyfera?

—Jestem studentem, który radzi panu, profesorze, by pan, jako człowiek uczony, o umyśle ścisłym, analitycznym, nie zaś płaskim, postawił sobie to samo pytanie, które postawili katarzy kilkaset lat temu: czy to możliwe, by padół ziemski, pełen nieustannych hekatomb, straszliwych okrucieństw, erupcji bezprawia, demoralizacji powszechnej i powszechnego braku sprawiedliwości, był dziełem Boga, którego się uważa za najwyższe Dobro, najwyższą Mądrość, najwyższy Geniusz? Pismo Święte jasno mówi: „Po

owocach rozpoznacie go". Owocem jest totalny gnój, kompletny syf, zupełny chaos, wszechstronny bardak ziemskiego globu, panie profesorze, wszyscy to wiemy, czy można tedy dziwić się katarom, którzy uznali, że dobry Pan Bóg nie mógł stworzyć takiej chamskiej maszyny destrukcji, takiego parszywego i okrutnego bubla? Zwalili winę na Demona rebelianta, który wykonał genetyczną fuszerkę nie bez premedytacji, kierowany złośliwością piekielną tout court. „Księga Jana Ewangelisty” pełna jest wiarygodnych szczegółów technicznych owego Stworzenia świata przez Lucyfera, polecam panu profesorowi, znajdzie ją pan w najwłaściwszym dla niej miejscu, w Archiwum Inkwizycji we francuskim Carcassonne.

Zapadła martwa cisza. Gdyby spojrzenia dziewcząt wysyłały promienie laserowe, Satin momentalnie by spłonął, niczym bibułka rzucona do pieca, tak był bombardowany niemym uwielbieniem. Męska inteligencja to dla dam bardzo silny afrodyzjak, a już połączona ze śmiałością, i supersylwetką, i superfizjonomią... Natomiast koledzy studenci umierali z zazdrości, prócz mnie jednego, albowiem wysoki Satina trochę mi się już opatrzyły/osłuchały, i to nie bez gniewu, który czasami Satin wzbudzał we mnie swym bezczelnym tupetem magika-deprawatora.

Cisza trwała sekundy, lecz wydawała się wiecznością. Myślałem, że przerwie ją kolejny ryk Bleiberga (którego jednak zatkało), tymczasem przerwała ją... burza oklasków. Długie niemilknące brawa dla gwiazdora, będące policzkiem dla profesora, a właściwie setkami policzków, jakby wszystkie te gorące dłonie klepały głowę Bleiberga z obu stron. Musiał to chyba fizycznie czuć, i nie wytrzymał, owacja była ponad jego siły. Wziął swą skórzaną teczkę, zbliżył się ku drzwiom, rozwarł je, ale nim stąpnął za próg, rzucił nad ramieniem kilka morderczych słów do Satina:

—Panie Retea, wkrótce przestanie pan być studentem uczelni,

którą pan kala brakiem pilności, ciągłym nieposłuszeństwem, nieuctwem, awanturnictwem, i jeszcze bezbożnictwem. Na mój wniosek relegują pana władze uczelni. To jest ostateczna decyzja. Żegnam.

—Doigrałeś się, Satin! —warknąłem pełen żalu.

—Tak sądzisz?! —prychnął. —Masz jakiś powód, by tak sądzić?

—Mam!

—A ja mam fotografie.

—Czyje fotografie?

—Golasów. Coś, co najbardziej lubię, czyściutkie porno, kolego. Czysta glina, którą ożywiła ręka Stwórcy, kimkolwiek on był. Nie trać wiary!

#### 42.

### **Wspominając braterstwo, wspominam nieśmiałość**

Antykościelna odwaga Satina, która w auli uczelnianej wydawała się straceńczą brawurą, była nią tylko z pozoru, lub raczej tylko połowicznie. Owszem, Bleiberg mógł skierować gniew grona pedagogicznego czy dziekanatu, a nawet rektoratu, przeciwko studentowi rozrabiacemu, jednak Gestapo nie przyszłoby tego studenta aresztować, policja ta bowiem była inkwizycją nie prokościelną, raczej antychrześcijańską. Stuknęło mi dziewięćdziesiąt lat, lecz dobrze pamiętam erupcje antykościelnej nienawiści nazistów. Ludzie sędziwi doskonale wiedzą, że kontrchrześcijańska fobia władz Unii Europejskiej, mająca swój symbol w wyroku Trybunału Strasburskiego (nakaz zdjęcia krzyża ze szkolnej ściany), nie jest niczym nowym sub sole, to tylko kalka, czkawka po europejskich sekularyzmach czasów mojej młodości, zwłaszcza we Francji

(kapturowa władza masońska), Rosji (laicyzacyjny terror stalinizmu) i Niemczech (neopogańska ofensywa hitleryzmu). Wszystko już było, i to niezbyt dawno temu, więc dzisiejsze zrywanie krzyży czy zeświecczanie świąt chrześcijańskich można spokojnie zwać echem lub repetytorium totalitaryzmu europejskiego, a jeszcze lepszym byłoby miano: plagiat.

Hitlerowcy nienawidzili Chrystusa, bo był Żydem, chrześcijaństwa zaś nie cierpieli jako konkurenta do rządu dusz. Najmocniej odczuwalną erupcją neopogańskiej kampanii hitleryzmu stało się minimalizowanie Heiligen Christ, quasi-relegowanie Bożego Narodzenia z obchodów Świąt Bożego Narodzenia. Dla zatarcia chrześcijańskiej symboliki — święta te połączono w kalendarzu z obchodami święta Julfest (święto przesilenia zimowego i gloria światła), co się wywodziło z pogańskiej tradycji pradawnych Germanów. Lansowano pogańskie świece (robione ręcznie przez więźniów obozu koncentracyjnego Dachau), bombki choinkowe miały kształt swastyk, wojskowych Krzyży Żelaznych i granatów, zaś samą choinkę świąteczną należało zwać nie Christbaum, lecz Jultree. Propaganda NSDAP rozkazała usunąć ze wszystkich kolęd jakiegokolwiek wzmianki o Jezusie Chrystusie i Maryi, tudzież inne akcenty chrześcijańskie, dlatego popularną kolędę „Est ist fiir uns eine Zeit angekommen" („Dla nas przyszedł ten czas") śpiewano bez wersów religijnych, zastąpiły je zwrotki o wędrownicy przez pokryte śniegiem germańskie terytoria. Jedni się stosowali do tych rygorów (choćby stryj Gabriel), inni — jak „Cygan" czy bliższa i dalsza rodzina Bettiny Zurfurst — po kryjomu kultywowali dawną Bożonarodzeniową tradycję w zaciszu swych domostw.

Polacy nie mieli tych problemów, byli narodem wolnym (od dwudziestu lat) i kochającym Drzewko Bożonarodzeniowe (od niespełna stu lat), w świętym przekonaniu, że jest ono tradycją sarmacką, staropolską, prepiastowską, zapomnieli bowiem, że ten

choinkowy zwyczaj to niedawny import z Prus, a ich przodkowie XVIII-wieczni nie znali świątecznej choinki, będącej teraz królową polskiego Bożego Narodzenia. Pragnąc opłatka, karpia, grzybów, barszczu, bigosu i „Lulajże, Jezuniu!” —każdą Wigilię spędzałem w domu rodzinnym. Wracalem do Germanshaven po kilku dniach (nie później niż po tygodniu), pełnych familijnego ciepła i nostalgicznego odwiedzania starych kątów, lecz przede wszystkim cieszyłem się bezpośrednią bliskością młodszego brata, istoty ważniejszej dla mnie niż ktokolwiek inny na tym świecie — ważniejszej niż rodzice czy Bettina Zurfurst.

Między mną a Romkiem zawsze była więź głębsza niżli zwykle genetyczne braterstwo, jakaś chemia wyższego rodzaju, posiadająca cechy *sui generis* konspiracyjne. W Maghrebie (choćby w Maroku) kobiety mają osobny język, znany tylko kobietom, rodzaj grypsery żeńskiej, dzięki któremu mogą swobodnie, nawet publicznie, przekazywać sobie informacje nieprzeznaczone dla męskiego ucha. Już będąc dziećmi, ja i Romek mieliśmy taki właśnie hermetyczny kod —system znaków, gestów, słów, mruknięć, mrugnięć, spojrzeń oraz gibnięć anatomicznych, które przekazywały treści czytelne wyłącznie dla nas. Komunikowaliśmy się więc szyfrem, który „ogłuszał” postronnych, a taka spiskowość cementuje wzajemną bliskość, utrwalając enklawowość/eremityczność/ekskluzywność duetu. Prócz dwóch lat dzielących daty narodzin —różniły nas tylko barwy oczu (Roman miał błękitne), muzykalność (grał na pianinie dużo lepiej) plus kulinaria (nie cierpiał flaków, rosółu i kalafiora), reszta była lustrzanym odbiciem (mimo młodszego wieku, miał ten sam wzrost!). Niektórzy brali nas za bliźniaków.

Zrazu kluczową cechą stanowiła u Romka nieśmiałość, wyrażająca się cichością (nigdy radośnie nie wrzeszczał jak inne bawiące się, ganiające, krzyczące dzieci), lękliwością, małomównością, chowaniem po kątach. Tylko przy mnie czuł się pewniej, dlatego

trzymał się mojego boku kiedy tylko mógł. Co nie znaczy, że był opóźniony lub tępawy, przeciwnie — był (a raczej bywał) bystry, czasami bardziej niż ja. W 1924 wujek Karol (brat matki) kupił nam duży strażacki wóz. Pudełko zawierało też drewniane figurki strażaków. Mieli strażackie uniformy, hełmy i brązowy ryszczunek. Jeden trzymał ręką gigantyczny topór. Gdy Romek (wówczas czteroletni; ja skończyłem wtedy sześć lat) chwycił tego strażaka z toporem, żeby się bawić, wuj zapytał nas obu:

—Wiecie czemu strażacy mają takie toporzysko?

Wiedziałem po co strażacy mają sikawkę, pompy, drabiny bądź wiadra, ale nie znałem strażackiego przeznaczenia olbrzymich toporów, wydawało mi się, że tylko drwale używają takich. Wujek zapytał jeszcze raz:

—No, do czego strażakowi ten topór?

I wówczas Roman odpowiedział spokojnie:

—Do ręki.

Moment ciszy, a później chóralny wybuch śmiechu gości siedzących przy stole, niektórzy bili nawet brawa. Wujek pokiwał głową z uznaniem:

—Odpowiedź bezbłędna, nie ma co! Do ręki, to proste, przecież widać, iż trzyma drzewce w ręku! Logika malców czasami powala swą genialnością.

Ja również byłem nieśmiały, lecz smarkatymi wygłupami lub sztubackim chojractwem (bezsensownymi bitkami itp.) próbowałem tę wrodzoną nieśmiałość przełamywać, a potem robiłem to samo pyszałkowatością wobec szkolnych kolegów i brawurową galanterią wobec dziewcząt. Takim zachowaniom sprzyjają warunki swojskie, lokalne gniazdo, plemienne otoczenie, w którym się wyrasta, gdzie wszyscy (sąsiedzi, sklepikarze, przechodnie, kumple) stanowią quasi-familijną miejscową społeczność, tworzą publikę niejako własną, tożsamą, przypisaną,



krąg tubylczy. Gdy jednak osobnik maskujący swą nieśmiałość zostanie przesadzony na obcy grunt —traci ów sztuczny tupet, górę bierze siła strachu. Tak było ze mną w Wiedniu i w Germanshaven, lecz każdorazowo znalazł się ktoś, kto ponownie uaktywnił moją energię, ściślej: moją mimikrę, mój talent zagłuszania nieśmiałości. W Wiedniu impulsem stała się lubieżna Margot, która zaciągnęła mnie do łóżka, a w Germanshaven Satin, bez którego wpływu nie zdobyłbym Bettiny i nie strugałbym twardziela w „Pod wesołym trampem”.

Dzisiaj mam pełną świadomość wszystkich tamtych uwarunkowań wewnętrznych i zewnętrznych. Moja bardzo wczesna pasja podróżnicza, zachłanne łykanie literatury marynistyczno-eksploracyjnej, rejsowo-przygodowej, cały ów zew trampowski, który rósł we mnie od małego —to była podświadoma buntownicza reakcja jakichś komórek mózgu zde gustowanych faktem, że inne płaty tego narządu sterowniczego ordynują mi nieśmiałość. Której — mimo tylu awanturnicznych przeżyć, tylu heroicznych i gwałtownych wydarzeń w moim życiu —nie pozbyłem się do końca nigdy. Kiedy siedząc w bujanym fotelu dla starców, obok radia, słucham pięknej piosenki Katie Melua „Shy boy” („Nieśmiały chłopiec”) — zdaje mi się, że to o mnie, o tamtym chłopaku, co po męsku kochał Frau Bettinę Zurfurst, po bratersku swego brata Romana, i po lotrzykowski swego kumpla Satina, bez którego życie studenckie byłoby bardzo nudne, więc już samo to usprawiedliwiało ów sentyment, trwający prawie trzy lata mimo rosnącego zde gustowania amoralnością i perfidią kolegi o mentorskim talencie.

Te kilka dni ferii świąteczno-noworocznych w domu rodzinnym minęły niby jedna chwila. Codziennie chodziliśmy z Romkiem pod miasto, do wzgórze ukoronowanego ruinami zamku, który dawniej zwano „szaleństwem kasztelana”, bo lokalny wielmoża sprzed

wieków wznosił budowlę na krawędzi kruszącej się skały, więc mury prędko zaczęły pękać i fruwać ku podnóżu. Jako malcy zjeżdżaliśmy tu zimą sankami, gdyż zbocza były niżej łagodne; jako wyrostki bawiliśmy się tu wiosną w piratów, rozbójników, Indian, rycerzy etc. Ilekroć resztki zamku krył śnieg, ruina miała wygląd lodowej rzeźby, i właśnie ten dziwny pomnik barwiony przez przyrodę, zielony wiosną, złoty jesienią, a zimą biały, stanowił wizualną kotwicę mojej nostalgii, tęsknoty do rodzinnych stron, do „małej ojczyzny”, z której wyruszyłem w świat.

Dzisiaj moja pamięć płata mi figle: niektóre z tamtych chwil wybornie pamiętam, lecz większość tamtych dni rozplywa się we mgle lub miesza, tworząc chaotyczny kalejdoskop. Pamiętam sceny, dialogi, różne przypadki, ale dni się mieszają i daty również. Szkoda, że nie mam dziwacznej pamięci Satina, który z bezbłędną precyzją umiał wskazać jak był ubrany w pierwszy piątek lipca rok temu, lub co jedliśmy w trzecią środę kwietnia dwa lata wcześniej, i od razu wymieniał dzień (nazwę tudzież datę, czasami godzinę), nigdy się nie myląc. Twierdził, że pamięta wszystko z każdego swego dnia od dzieciństwa począwszy — każdy szczegół. Gdy zapytałem jak to możliwe, prychnął:

—Spytaj lekarzy. To choroba.

—Choroba?!

—No. Zwie się hipermnezją, czyli „autobiograficzną pamięcią stuprocentową”, ma to mniej niż setna jednego procenta ludzkości. Ale to nie boli, da się wytrzymać, przyjacielu.

**Zwyczajowe „dzień dobry” – nie bez respektu, acz bez moresu**

Podczas mej bytności w rodzinnym gnieździe ojciec mnie zapytał:

—Chodzisz tam do kościoła, Mateuszu?

—Chodzę.

—Do protestanckiego?

—Nie, do katolickiego. Są tam dwa luterzańskie i jeden katolicki. To w ogóle dziwne miasto, ledwie częściowo luterzańskie, bardzo katolickie. Chyba dlatego stryj Gabriel tam mnie wysłał. Całe śródmieście pełne jest rodzin austriackich, tyrolskich i bawarskich, które przybyły sto lat temu. Jest nawet szkoła katolicka dla dziewcząt.

—Często chodzisz?

Rzuciłem żart:

—Do tych dziewcząt wcale.

—Do kościoła, synu!

—Przynajmniej raz w tygodniu...

—Na mszę też?

—Na mszę rzadziej, bo nie lubię stać i klęczeć z gromadą Bawarów, tato.

—Dobrze, iż Hitler jeszcze nie zabrania się modlić, jeszcze nie zamykają kościołów i klasztorów... — westchnął, krzywiąc wzgardliwie usta. —Barbarzyńcy!

—Nie odważą się, tato, przegięliby pałę, Hitler pragnie, by naród go kochał.

—Weź ze sobą trochę sianka wigilijnego i nasz opłatek, i złóż tam pod ołtarzem, dzięki czemu ten ołtarz będzie ciut spolszczony. Ale nie musisz, tylko ci radzę, synu.

Wracając do Germanshaven wziąłem opłatek i sianko przewiązane

wstążką. Zajechałem późnym wieczorem. Nazajutrz rano rozpoczął się zimowy koniec semestru, były ćwiczenia i wykłady. Po ostatnim wykładzie, gdy szliśmy z Satinem ku centrum miasta, mijaliśmy katolicki kościół, więc mruknąłem:

—Zaczekaj chwilę, muszę wstąpić, coś zrobić...

—Modlitwę nazywasz robotą, świętoszku? —zdziwił się Sat.

—Nie idę się modlić, tylko... coś zrobić, coś zostawić...

—Datek pieniężny, krezusie?

—Nie datek, lecz opłatek i jeszcze coś, zaczekaj tu.

—Jeszcze coś? Co takiego, Matt?

—Nie twoja sprawa, ateisto!

—Teraz to już i moja, bo podrażniłeś moją ciekawość, hipokryto, wejdziemy razem.

Bardzo mnie tym zdumiał:

—Ty wejdiesz do kościoła, Satin?

—A co, nie wolno?

—Ja ci nie zabraniam, lecz...

—Ja też ci nie zabraniam wierzyć w niepokalane poczęcie, bo jestem liberałem, uważam, że każdy ma prawo do swojego rozmiaru głupoty, Matt.

Ruszyłem ku bramie w ogrodzeniu; Satin szedł przy moim boku, równając krok. Między bramą a furtą wejściową kościoła był przecięty żwirową alejką skwer, grubo pokryty śniegiem, a na nim stał wielki drewniany krzyż, dźwigający ciało ukrzyżowanego Chrystusa. Mijając ten krzyż, Satin skinął mu głową, jak znajomemu lub koleźce, i burknął zimno:

—Dzień dobry.

Tym mnie wkurzył:

—Uważasz, że to śmieszne?!

Zaprzeczył serio:

—Ani trochę, chciałem być greczny, po prostu.

—Tak się nie mówi do Chrystusa! —warknąłem.

—Ja witam Człowieka, Matt, nie zaś Boga, a ty sobie mów jak chcesz! —odwarknął.

Byłem wściekły, lecz nie mogłem mu wzbronić wejścia do świętego przybytku. Złożyłem sianko i opłatek przy ołtarzu, uklęknąłem, pomodliłem się i wyszliśmy. Wychodząc, znowu burknął:

—Żegnam!

Jakby chciał mnie jeszcze bardziej rozzłościć. Ale zaraz, jakby chciał mnie udobruchać, dodał łagodnie:

—Nie myśl, iż wszystkie mądrości chrześcijańskie są mi zupełnie obce, Matt.

—Tak, wiem... już Bleibergowi klarowałeś, że lubisz tego cystersa, co powiedział, że należałoby kanonizować nie świętych, lecz tych, którzy z nimi wytrzymują!

—To był żart, ale niektóre chrześcijańskie egzegezy serio lubię. Momentami nawet katolicka teologia budzi mój podziw. Chociażby fakt, że wasi teologowie od dawna twierdzą, iż wieczność nie jest czasem, sferą bez początku i końca, lecz czymś zupełnie poza kategoriami czasu i przestrzeni. Ja bym tylko dodał, że poza kategoriami winy i niewinności.

Splunął na ośnieżony trawnik za bramą i raptownie zmienił ton, wyszczerzając zęby bez uśmiechu:

—A propos teologów, Matt... Bliski jest już czas mojej rozprawy z nędznikiem, który jako mnich i wykładowca sztuki uważa się za teologa malarskiego kunsztu...

—Mówisz o Bleibergu?

—Ale jesteś bystry, od razu zgadłeś! — zadrwił. — Temu wielbicielowi świętych obrazów trzeba pokazać kilka obrazków trochę mniej świętych, i zmusić, by wreszcie przykucnął, zbyt długo stoi wyprostowany, przyjacielu! A propos wyprostowany ergo sterczący —co tam słyhać u Frau Zurfurst?

—Nie bądź wulgarny, Sat!

—Milles pardons, monsieur le prince [*Po tysiącokroć przepraszam, drogi księżę (franc.)*]. Więc co słyhać u niej, przyjacielu?

—Ma ból głowy przez ten nowy kurort wznoszony blisko Germanshaven II. To będzie ośrodek tylko dla elit rządowych, wojskowych i policyjnych, ze strażą całodobową typu garnizonowego. Berlin chce, by tam dyrektorowała, ona się wykręca, poleciła swą koleżankę, trwają targi i naciski...

—Tę kuzynkę Zurfursta, w której mieszkaniu ciągle przerabiacie „Pieśń Salomona”?

—Tę, Frau Moering.

—Marta Moering, znam, bardzo sensowna dama, nadaje się.

—Skąd ją znasz?

—Ja wszystkich znam. Twoja Bettina też się nadaje. Tam jest potrzebny ktoś energiczny i zarazem delikatny, by dygnitarze mieli również psychiczny komfort. Elity berlińskie już od dawna ciągnęły ku Germanshaven, gdyż tutejsze wodolecznictwo czyni cuda, ale doskwierało tym mandarynom mieszanie się z publiką, nawet w hotelach klasy lux. Dla bonzów każdy spoza ich kręgu to ciało obce, denerwujące, przeszkadzające. Słusznie więc postanowili zbudować sobie hotel-kurort elitarny, intymny, zastrzeżony, odizolowany, służący tylko swoim, samej wierchuszce cywilnych i mundurowych władz.

—Frau Zurfiirst lęka się tego... — bąknąłem, otrzepując ramiona kozucha, gdyż śnieg spadł na nas z dachu mijanego domu.

—Twoja Frau dałaby tam sobie świetnie radę, bo jest istotą rozdwojoną, podobnie jak wielu ludzi i jak każda kobieta. Targa nią wszelaka romantyczność, od rymotwórstwa awangardowego, po cudzołóstwo tradycyjne, lecz równocześnie jej drobnomieszczański rodowód wszczepił jej „Ordnung”, normalny germański „porządek”, który „musi być”. „Ordnung muss sein!”. Wszystko ma poukładane

wokół siebie, posegregowane, otacza się szufladkami, jej świat to świat uporządkowanych przegródek. Zaprzeczysz?

Nie mogłem zaprzeczyć. Bettina miała psychikę dualistyczną, model: „concordia discors” —jedność przeciwieństw. Ciągała mnie na filmy typu „Kaprys hiszpański” vel „Diabeł jest kobietą” (z Marleną Dietrich) i w łóżku lubiła wygibasy kamasutrowo-aretinowskie, lecz w życiu codziennym była unormowana wręcz wojskowo, jakby obligował ją ścisły regulamin musztry, a to trąciło mieszczańskością szwabskiej kury domowej i rażąco klóciło się ze szlacheckimi aspiracjami/snobizmami, które kształtowały noblesse-obsesję baronowej Zurfurst. Sumując: wczesnym wieczorem Bettina była równie uduchowiona poezją jak dzisiejsze wielbicielki „oper mydlanych” i „harlequinów” (acz poezją wysokiej klasy, co trzeba z respektem przyznać); nocą była równie niemoralna jak fruujące między „ciachami” dupeczki dzisiejszych czasów (acz miała w łóżku swoistą, stymulującą mnie posągowość Greta Garbo czy Marleny Dietrich, co trzeba, znowu z szacunkiem, przyznać); natomiast za dnia była jak pilna, drobiazgowa sprzątaczką, lub jak biurokrata fanatyk.

—Nadawałaby się lepiej od kogokolwiek innego —powtórzył Satin, kładąc rękę na moim ramieniu. —Przekonaj ją, Matt.

—Chcesz, bym ją przekonywał, aby zaprzęła się do kieratu, który ukradnie jej cały wolny czas, teraz spędzany ze mną?! Masz mnie za kretyna, Satin?

—Mam cię za człowieka myślącego racjonalnie. A przynajmniej pragnąłbym, byś myślał racjonalnie. Funkcja szefowej „rządówki” bardzo podniosłaby status społeczny, prestiż i zarobki pani Zurfurst.

—Status społeczny? Jest baronową, zrobiono by ją księżną? Pieniądze? Bettina nie przejada nawet swej pensji i nie uszczupla swego majątku. A prestiż? Ten „rządowy” prestiż bardziej ją

odstrasza niż przyciąga. Palcem nie kiwnę, by ją skłaniać do tego!

Prychnął ze złością, jakby miał w tym wszystkim własny interes, i warknął zaciśniętymi zębami:

—Odkąd zostałeś szczęśliwym użytkownikiem pewnej różowej dziurki, zrobiłeś się irytująco nierozsądny, Matt! Taką postawą mnie wkurzasz, przyjacielu!

#### 44.

### **Lucerna to piękne miasto, czyli upadek profesora Bleiberga**

Wielu belfrów akademickich raportuje, że co roku spośród tłumu studentów najlepiej znają matolów i wazeliniarzy, bo jedni i drudzy regularnie uczestniczą w seminariach i konsultacjach, by się przypominać i łaścić, lub by ciągle poprawiać niezaliczoną kartkówkę dla wyłudzenia nędznego „3 pm” („per misericordiam” — z litości). Tymczasem orły fruną przez kilkuletnie studia niczym komety nocą, właściwie niepostrzeżenie. I taki byłby lot Satina u Bleiberga czy u Harlunda, lot meteora — gdyby nie Satinowa zadziorność. U Harlunda ta buntowniczość znalazła miękkie lądowanie, jakby puchowy materac tłumiący impet rebelii, ponieważ profesor Harlund, aczkolwiek gniewający się od czasu do czasu, cenił inteligencję Satina, więc wybaczał mu wolnomyślicielską hardość, biorąc ją za dziwaczność o dużych predyspozycjach, aspiracjach i predestynacjach. Jednak z Bleibergiem było inaczej, bo fanatyzm Szwajcara sądzącego, że jest silniejszy, nadzieił się na nienawiść studenta, który okazał się silniejszy. Silniejszy wskutek nikczemnej perfidii, ale przecież gdy toczy się gra, bitwa lub mecz — liczy się tylko rezultat.



Dla rozstrzygnięcia tej gry Satinowi potrzebne było uwiedzenie przez „Zgagę” córki Bettiny i Bleiberga, młodziutkiej Angeliki Zurfurst. Co kapelan pensji Frau Hessler załatwił zdumiewająco szybko. Brakowało jeszcze dwóch tygodni do przerwy semestralnej, gdy Satin oznajmił mi na ulicy:

—„Dupa biskupa” dobrał się wczoraj do pupy dziewczęcia, bez problemu. Wiedziałem, że ma ów talent, i wiedziałem, że niektóre młódki palą się, aby stracić cnotę, lecz oboje zaskoczyli mnie szybkością spełnienia swoich i moich życzeń, Matt.

—Uwielbiam kiedy jesteś wulgarny niczym parobek, Herr Satin! — prychnąłem z przekąsem, bo ta wiadomość wydała mi się brzydka również treściowo. —A poza tym gównu mnie to wszystko obchodzi.

—Musi cię obchodzić, bo za chwilę weźmiesz udział w spektaklu, gdzie fiut „Zgagi” będzie generalnym rekwizytem. Zbliży się pan Bleiberg, wpadniemy na niego, kiedy miniemy kolejną przecznicę, tę prowadzącą do wiaduktu, on wyjdzie z miejskiej łaźni. Czyścioszek, Mateuszu! Sądzę, iż pomożesz go przytrzymać, przygwoździć i przydepnąć...

Stanąłem jak wryty i spojrzałem nań niczym na intruza:

—Wykluczone, Sat, nie chcę partycypować w żadnym twoim spektaklu!

Kiwnął rozczarowany głową:

—I to ma być prawdziwa przyjaźń!... Cóż, ktoś inny mi pomoże.

Unieruchomi dla mnie Bleiberga, bo sam będę miał ręce zajęte demonstrowaniem panu profesorowi wizerunków pierworodnego grzechu.

Wsadził dwa palce do ust i gwizdnął. Chwilę później —ku mojemu zdumieniu — nadbiegł jego wilczur Asmodel, jakby już czekał niedaleko. Rozejrzałem się, szukając wzrokiem groźnej służącej, Helgi, lecz nigdzie nie było jej widać. Zrobiliśmy jeszcze kilkanaście kroków, mijając przecznicę, i zobaczyłem Bleiberga wychodzącego z

gmachu miejskiej łaźni. Niósł duży neseser, będący właściwie małą walizką. Odskoczyłem od Satina, bo nie chciałem uczestniczyć w jego łajdackim „spektaklu”. Ale nie chciałem również utracić owego „spektaklu”, przemogła ciekawość, więc skryłem się między murem i słupem ogłoszeniowym, by podglądać/podsłuchiwać. Satin zastąpił Bleibergowi drogę i zgrzytnął:

—Witaj, mnichu!

Wrogi ton uświadomił Bleibergowi, że nie obejdzie się bez twardej wymiany słów, tedy równie wrogo spytał:

—Czego chcesz, heretyku!?

—Twojej Canossy, stara gnido!... Jak tam było w łaźni, młode chłopaczki dalej robią dobrze starym przykom, używając pachnącego mydła?

Bleiberga aż zatkał ów tupet; musiał przelknąć grudę śliny, by wysyczyć:

—Ty parszywy gnoju, wyrzyczny na ziemię przez demony!

I chciał odejść, mijając Satina, a wtedy ten szepnął:

—As!

Wilczur przyskoczył i chwycił zębami nogawkę Bleiberga, unieruchamiając Szwajcara niczym kleszcze żelazne. Bleiberg rozglądął się w poszukiwaniu ratunku — munduru policji lub żandarmerii — lecz nim zdołał krzyknąć, Satin wyjął zza pazuchy fotografię i wetknął ofierze przed nos, mówiąc:

—Oto jak ładnie uprawia miłość bliźniego swego twoja córeczka nieślubna, którą kłamliwie mienisz swoją siostrzenicą, mnichu! Ma coś po tobie. Może nie cycki i nie tyłek, te ma lepsze niż ty, jak tu widać, ale żądzę sekretnego użycia ma chyba wrodzoną. Ty zawsze przywdziewałeś fałszywy panczyk świętka na swą duszę epikurejczyka, sybaryty, hedonisty, byłeś klasycznym niemieckim „Genussmensch”, hipokryto! I wyznam ci, że ja uwielbiam takich fałszywych ludzi obserwować, a nawet produkować, więc twój widok

sprawia mi satysfakcję, lecz nie bardzo się zgodaliśmy, może dlatego, iż twoja maska, czyli twoja werwa rekolekcyjna, chrześcijańska upierdliwość na zajęciach i wykładach, wkurwiła mnie do imentu! Walczę z tobą jednak i nie bez tego, że chciałem mojemu przyjacielowi, który błędzi odkąd został posiadaczem pewnej różowej dziurki, ukazać prawdziwą naturę religijnych pseudo-fanatyków. Notabene ta dziurka należy do twojej dawnej kochanki, do mamusi twojej „siostrzenicy”, gnido! Ale to szczególnie bez znaczenia, bo przecież wszystkie różowe dziurki, jak obaj wiemy, są identyczne, tylko, damskim zwyczajem ubraniowym, noszą różne futerka, lub może zwyczajem fryzjerskim, gdyż nie każda fryzurka okrywająca łono jest tego samego koloru. Ci wołają rude, tamci wołają blondynkę, inni preferują czarnulkę hiszpańską. Fundamentalna kwestia ewolucji, po małpach damom zostało sierści tak niewiele, tylko w strategicznym miejscu. Godłem wyższości mężczyzn są owłosione torsy...

Przez pierwsze chwile trzymany wilczymi kłami za nogawkę Bleiberg drżał, i może niezbyt uważnie słuchał, albowiem widok fotografii zrobił na nim wrażenie piorunująco-paralizujące, lecz wreszcie się ocknął i odwinął:

—Tobie, łajdaku, po małpach zostało wszystko, nie wyewoluowałeś z małpy nic a nic!

—Czyżbyś jednak uwierzył w Darwina, mnichu? — roześmiał się Satin.

—Przeciwnie, twoja osobowość jasno dowodzi, że nie ma ewolucji, małpa zawsze będzie małpą!

— Tak myślisz? Twoi rodacy, Szwajcarzy, i przy tym twoi współwyznawcy, uczeni katoliccy, dzisiaj już naukowo dowodzą, że masz rację. Wskazują sprzeczność między teorią ewolucji a obowiązującą we wszechświecie drugą zasadą termodynamiki, czyli między potocznie rozumianym Darwinem a prawem entropii, co

jest, według mnie, bardzo logiczną krytyką tezy o wyewoluowaniu homines sapientes z prymitywnych organizmów. Tylko że logika stanowi bliźniaczkę chciejstwa, bo tak jak droga ku przepaści została, wedle porzekadła, wybrukowana dobrymi chęciami, tak droga do niejednego błędu została wyłożona frędzlastym dywanem logiki ludzkiej. Lekceważenie metafizyczności zawsze było piętą achillesową fanatyków scjentyzmu. Więc z entropijnym stanem bałaganu oraz ewolucyjnym procesem porządkowania może być kiedyś pyszny cyrk. Kiedy? Gdy inni mędrkowie wynajdą termodynamikę nieliniową i strukturę dyssypacyjną, tłumaczące możliwość lokalnych procesów antyentropijnych, uporządkowanych, przy globalnym wzroście entropijnego chaosu, czyli wesprą teoretycznie możliwość ewoluowania.

I zaraz, jeszcze silniej detonując osłupiałego Bleiberga, krzyknął na całą ulicę, do mnie:

—Rozumiesz co mówię, panie Czartoryski?... Bo ja nie bardzo.

Po czym znowu zajął się Bleibergiem:

—Wynocha z Germanshaven, a więc z uczelni, z miasta, z portu i kurortu!

Bleiberg wyszeptał:

—Tobie nie wolno...

—Wolno mi wszystko. Spierdalaj do swojej rodzinnej Lucerny, mnichu! Bardzo przyjemna dziura. Tyle architektury średniowiecznej i renesansowej, profesor Harlund będzie ci zazdrościł. Szczególnie lubię tam brzegi jeziora Czterech Kantonów i mosty nad rzeką Reuss, zwłaszcza ten XV-wieczny drewniany, kryty dachem, jak on się zwie? Plewny czy raczej Klasztorny, mnichu? Najstarsza europejska przeprawa pieszo! Gdy kroczysz nim wzdłuż malowanych wewnątrz „Tańców śmierci”, łykasz swoje ukochane pacykarstwo kościelne, zagryzając lokalnym przysmakiem „Kiigelipastete”, naleśnikiem faszzerowanym grzybami oraz

cielęcina. A jeśli się pospieszysz, zdążysz zobaczyć festiwal muzyczny gromadzący wybitnych solistów i dyrygentów z całego świata. Tego roku pierwszy raz Lucerna będzie gościła takie gwiazdy, mnichu.

Bleiberg milczał, lecz twarz robiła mu się coraz bardziej biała, jakby ochlapano ją wapnem czy posypano mąką. Zaś Satin ciepło kontynuował:

—Widzisz, nie życzę ci źle, mnichu. Mógłbym cię odesłać do tej biblijnej doliny, gdzie powiesił się Judasz, doliny Hinnom, którą wasza Ewangelia zwie Polem Krwi i Hakeldamą, a dawni Żydzi zwali Gehenną, bo wcześniej poganie palili tam żywcem dzieci dla bożka Molocha, lecz ja odsyłam cię do ukochanej Lucerny, widzisz jaki łaskawy jestem? Za miesiąc ma cię nie być w Germanshaven, albo upublicznię opis twego pedofdskiego romansu i te zdjęcia. Oraz te zdjęcia, gdzie gołe fikołki robi druga para.

Wyjął kolejną fotkę i wręczył Bleibergowi, a mnie przeszłyło podejrzenie, iż na tym drugim zdjęciu figuruje naga Frau Zurfurst.

—Asmodel, kochana psinko, jak ty się zachowujesz, puść pana profesora! —rozkazał Satin.

Pies puścił nogawkę, i Satin szczerknął po kaprałsku:

—Miesiąc, mnichu, góra miesiąc! A teraz precz, raus!

Gdy Bleiberg odkuśtykał półprzytomny, podbiegłem do Satina:

—Kto był na tym drugim zdjęciu, ja z Bettiną?!

Wyszczrzył zęby w fałszywym uśmiechu:

—Oszalałeś? Nie robię ci zdjęć, nie jesteś fotogeniczny, Matt.

**Zaskakuje mnie wieść o utraconej czci asa pik**

W przerwie międzysemestralnej (luty 1938 roku) wyjechałem do Wiednia, gdzie hitlerowcy panoszyli się już suwerennie, a stryja Gabriela, rzecz prosta, bardzo owo naddunajskie swastyko władztwo cieszyło. Trochę później (marzec 1938) przybył tam z Berlina dygnitarz SD Adolf Eichmann, by udowodnić, że masowe represje mogą być całkowicie finansowane przez represjonowanych. Szantażem wymusił od gminy żydowskiej gigantyczny haracz, i za te miliony przepędził z Wiednia (do końca roku 1939) wszystkich Żydów. Wiedeński Centralny Urząd Emigracji Żydów stał się poligonem testującym metody przyszłych ekspulsji w Niemczech i w okupowanej Europie —wy wózkową kolebką Holocaustu.

Co kilka dni u stryja bywali zaprzyjaźnieni hazardziści (bankierzy, przemysłowcy i oficerowie), lubiący delectować się pokerem, koniakiem i kłębami dymu cygarowego. Stryj zezwalał mi uczestniczyć, żebym się — jak mówił — „otrząsał wśród elity wiedeńskiej”. Była to elita władzy, która pod wpływem alkoholu rozluźniała języki, i wtedy mogłem słyszeć napomknienia o intrygach kręconych blisko szczytów Wiednia i Berlina gwoli rozsad zapewniających „samym swoim” kierowniczy monopol. Akurat wówczas, koło połowy lutego, naddunajscy hierarchowie pasjonowali się stołkiem ministra wojny III Rzeszy. Miesiąc wcześniej minister, sześćdziesięcioletni feldmarszałek Werner von Blomberg, naczelny dowódca Wehrmachtu, postanowił (jako wdowiec) ożenić się drugi raz. Upatrzył sobie (jako wybrankę) maszynistkę ze swego ministerstwa, pannę Ernę Grün. Miała już ona, co prawda, konkubenta, młodego dyplomatę, lecz usłużny Goring delegował go piorunem do Ameryki Południowej, i Blomberg

mógł wziąć ślub z panną Erną. Tymczasem policjanci berlińscy wykryli, że panna młoda przez kilka lat uprawiała zawodowo prostytutkę. Hitler, gdy otrzymał raport, dostał szału, więc Blomberg musiał złożyć dymisję kompleksową (ministerialną tudzież militarną), a pretendentem-faworytem został drugi Werner, szef sztabu generalnego, von Fritsch. Gracze przy stole Gabriela byli tak pewni nominacji generała Fritscha, że któryś nazwał go „asem pik”. Stryj nie był jednak zwolennikiem faworyta, i kilka dni później, podczas kolejnego wieczoru, wyjaśnił kumplom siedzącym wokół zielonego stołu, na którym karty, sztony, kieliszki i popielniczki współpracowały ze sobą:

—Werner von Fritsch to karta bita, meine Herren!

—Od kiedy to as pik może być kartą bitą, mój drogi? — spytał zastępca wiedeńskiego burmistrza.

I tu stryj popisał się erudycją:

—We Francji „as pik” to obelga, meine Herren. Berliński słownik paryzjanizmów, z roku 1912, tłumaczenie dzieła Cezara Villate, mówi, że przezwisko „L'as de pique” tyczy „osoby głupiej jak dupa”, a nadto „ubranej niechlujnie i bez smaku”.

—Baron von Fritsch jest uosobieniem elegancji! — zaoponował wiceburmistrz Wiednia.

—Ale to pedał, a Führer nie lubi pedałów! — wycedził stryj.

—Skąd pan wie, że Fritsch jest...

—Powiedział mi pułkownik Burger.

Zadrzałem, lecz zapytałem stryja dopiero gdy biesiadnicy wyszli:

—Stryju, czy ten pułkownik Burger to Hans Burger, antykwariusz z Germanshaven?

—Tak, chwilowo mieszka w Germanshaven. Znasz go?

—Znam... Przecież to fałszerz, stryju!

—Podrabia dzieła sztuki, lecz nie informacje, wiadomość o Fritschu jest pewna. I zupełnie bez znaczenia jest czy Fritsch to

homoseksualista, czy heteroseksualista. Himmler i Heydrich oczerniają barona, by ubabrać go w oczach Führera, grają ostro, po swojemu. I wygrają. My zawsze wygrywamy, drogi chłopcze. Pamiętasz jak obiecywałem, że Austria będzie częścią Niemiec, prowincją Rzeszy?

—Pamiętam, mówiłeś to półtora roku temu, stryju.

—I to się stanie już za parę dni, ledwie wrócisz na uniwersytet.

Miał słuszność. Generał von Fritsch został zohydrony w oczach Hitlera (jako pedał) przez Służbę Bezpieczeństwa Reichsführera SS (czyli przez SD, gang Himmlera i Heydricha), zaś 15 marca Austria została wcielona do Rzeszy. Z tego wszystkiego najbardziej uderzyła mnie komitywa pomiędzy stryjem i pułkownikiem Burgerem, partnerem Satina, lecz w Wiedniu nie myślałem o tym dużo, bo nolens volens musiałem zajmować się cudzołóstwem, vulgo: „obracaniem” stryjenki.

Margot bardzo się cieszyła moją wiedeńską wizytą. Pierwszego dnia zaciągnęła mnie na jakiś film operetkowy i przez cały seans grzebała mi dłonią koło rozporoka, a kiedy w antrakcie wyszliśmy do hallu, stanęła przed zdjęciem Rudolfa Valentino i Poli Negri, chwilę milczała, wreszcie westchnęła:

—Nie byłem zazdrosna, kiedy on żył i kiedy byli parą... Byłem jej nawet wdzięczna, bo wiedziałam, że ona daje mu w imieniu wszystkich uwielbiających go kobiet świata, także moim. Była naszą delegatką, naszą wspólną dziurką, Mateuszu.

—Ciiiiszej! —syknąłem, rozglądając się dokoła.

Taka była Margot. Kochając Bettinę, próbowałem stawiać opór, poddałem się wszakże już pierwszej nocy, ze strachu, bo Margot, rozwścieczona zakluczonymi drzwiami do mojej sypialni, parskała furiacko niczym wnerwiona kocica, więc bałem się, że czyniąc raban obudzi stryja, co mogłoby się źle skończyć. Tak tedy cudzołożyłem dubeltowo: przez dwa tygodnie zdradzałem i Bettinę, i stryja. Świę



niechęć ku swastyce również zdradzałem, towarzysząc Gabrielowi na mundurowe parady i proanschlusowe bankiety hitlerowców. Kiedy spytał czy zapisałem się do uczelnianego koła hitlerowców, mruknąłem wymijająco, że członkostwo rozważam, lecz boję się, iż aktywność organizacyjna przeszkodzi mi studiować solidnie sztukę.

Kółko młodzieży hitlerowskiej istniało na uniwersytecie już kilka lat. Nic nas właściwie nie dzieliło —mnie i tej grupy —prócz kultury osobistej, mentalności, intelektu, gustu i wszelakich poglądów, a jednak trzymałem się od nich z daleka. Zwłaszcza od ich wodza, rudawego mięśniaka ze złamanym boksterskim nochalem. Był to typowy półinteligent pozujący na erudytę (trochę jak stryj Gabriel) — jeden spośród tych, którzy bredzą o tragicznej cieśninie ludzkiego wyboru między Sycylią a Charybdą. Satin również nim gardził, kiedyś spytał:

—Czy wiesz przez ile godzin tutejszy Gauleiter, Krugmann, nie wstawał z krzesła prezydialnego podczas egzaminowania kandydatów na nowych członków lokalnej komórki NSDAP? Przez osiem i pół! Dasz wiarę?

—Może nie był głodny?

—Był, zżarł cztery pajdy chleba i pęto kiełbasy, które przyniósł mu adiutant, no i chlał piwo. Mimo to nie wstał, nawet, by sikać, istny cud!

—Może nie chciało mu się sikać i srać?

—Może. A może miał w krześle dziurę, a pod siedzeniem nocnik, jak rzymski cesarz...

—Mówisz serio?

—Całkowicie serio, Matt. Cesarze rzymscy siadywali na krześle z otworem, by w trakcie wielogodzinnych uroczystości móc załatwić potrzebę fizjologiczną bez wstawania. Tym naszym miłośnikom swastyki bardziej by pasowało sranie we własne gacie, wyglądają na sraluchów, nie sądzisz?

Tak więc nimi gardził, lecz widząc, iż swastyka autentycznie budzi mój wstręt i gniew — czasami drażnił się ze mną w swoim stylu. Pewnego dnia przyniósł nuty i dał mi je jako prezent. Na kolorowej okładce widniało po polsku „STARA BAŚŃ. Opera w 4-ech aktach Alexandra Bandrowskiego według Józefa Ignacego Kraszewskiego. Muzyka Władysława Żeleńskiego...”. Głównym elementem graficznym tytułowej karty był duży kominek z płonącym ogniem, a w tle gęstniał prapiastowski bór. Nie wierzyłem własnym żrenicom: pomiędzy członami tytułu figurowały dwie swastyki! Zapytałem Satina:

—Dlaczego mi to dajesz?

—Żebyś zobaczył, iż polski grafik uważa swastykę za znak prasłowiański, czy może polański, czy jak tam wam było tysiąc lat temu. Wasze pradawne korzenie to swastyka.

—U wielu ludów...

—Tak, u wielu starożytnych ludów, również azjatyckich, swastyka była świętym symbolem ognia czy innym godłem. A niektóre wojownicze ludy przywieszają sobie swastykę i dziś. Myślisz, że tylko Germanie, Matt? Wy też, kolego.

—Bzdura!

—Żadna bzdura. Wasze wojskowe formacje podhalańskie noszą swastykę.

—Przy mundurze?!

—Przy mundurze.

—Nie wierzę ci!

—To sprawdź, przyjacielu. Póki nie sprawdzisz, nie zarzucaj mi kłamstwa. Owszem, ze strojami wojskowych wyrabia się różne głupoty, tutaj, u Niemców, również. Ślicznym przykładem jest choćby biografia waszego Piłsudskiego, pióra Friedricha Wilhelma von Oertzena, edycja lubecka, sprzed kilku lat. Na okładce Piłsudski konno, bez strzemion i bez siodła, w śmiesznej czapce z pomponem,

macha zakrzywioną szablą muzułmańską i nosi strój bałkański, chyba bośniacki lub... może czarnogórski, sam nie wiem. Ale wiem, iż wy, Polacy, używacie swastyki często, więc powtarzam: nie zarzucaj mi, że blaguję. To czysta prawda. I chyba nie sądzisz, że to ja wydrukowałem te nuty, co? Tu jest adres wydawniczy, spójrz: „Nakład i własność Księgarni oraz składu nut S. A. Krzyżanowskiego Kraków i M. Arcta Warszawa”.

—Skąd to wytrzasnąłeś? Z antykwariatu Burgera?

—Ale to nie jego robota, Matt, nie fałszywka, lecz oryginalny polski druk. Führerek naszych hitlerowskich kolegów, Klaus Handke, bardzo by się ucieszył, gdybyś pokazał mu to...

—Niczego nie zamierzam pokazywać temu dupkowi! Chyba że zgięty łokieć!

—Tu się zgadzamy, Matt. To dupek, po francusku „as pik”.

Przeszedł mnie prąd skojarzenia, lecz udałem, że nie bardzo rozumiem:

—As pik?

—Tak, as pik.

—I tylko po francusku?

—Owszem, wyłącznie we Francji. Inne narody zawsze szanowały asa pikowego, bo to karta najwyższa, wygrywająca. Tymczasem we Francji to była kiedyś ciężka obelga, epitet, szyderstwo — Francuzi tak nazywali patentowanych dupków.

—Skąd wiesz?

—Powiedział mi „Old Nick”, mój dziadek, bo on nie lubi „Żabojadów”, nazywa ich „talią samych asów pik”.

Zrozumiałem od kogo stryj Gabriel dostał słownik paryzjanizmów Villate'a. To wszystko robiło się coraz bardziej klarowne, układanka powoli się zapelniała, nie tylko mocno mnie intrygując tudzież irytując, lecz i serdecznie czasami bawiąc.

## Ukłucia podejrzeń, plus literacka wampiriada jako sekwencja oboczna

W kolejnym semestrze nie było już Bleiberga. Jego zniknięcie tłumaczono studentom postęпами ciężkiej choroby, i wszyscy wierzyli, że taka jest prawda, bo u schyłku marca przysłała wiadomość o jego gwałtownej śmierci wskutek apopleksji czy też zawału. Dostał ataku przed wizerunkiem „danse macabre” na drewnianym lucerneńskim moście z wieku XV. Zastąpił go profesor Wolfgang Heller.

W połowie kwietnia wstrząsnął mną inny śmiertelny dramat: przy ogrodzeniu pomiędzy parkiem a kurortem Germanshaven II znaleziono wykrwawione ciało Marty Moering, kuzynki barona, ślubnej druhny Frau Zurfurst. Niezbyt dobrze znałem Martę Moering, widziałem ją ledwie kilka razy, i to przelotnie, lecz ostatnio Bettina coraz częściej wspominała kuzynkę męża a propos budowy ośrodka rządowego blisko kurortu i parku. Frau Moering zgodziła się zostać kierowniczką hotelu dla władzy, jednak już po tygodniu, a może po dwóch tygodniach, w każdym razie rychło, zerwała kontrakt. Bettinie tłumaczyła, że doszło do wściekłych awantur, gdy zorientowała się, że niektóre pokoje są faszzerowane aparaturą podsłuchową i ukrytymi fotoaparatami. Nie byłem tym zaskoczony ani trochę. Kilka tygodni wcześniej drobiazgowo przeszukałem mieszkanie Frau Moering, w którym spotykałem się amoroso z Bettiną, lecz nie udało mi się wykryć żadnych podejrzanych kotar, ruchomych ścianek, zasłon, dziur czy mini-otworów do robienia sekretnych fotografii. Co wcale nie znaczy, iż „pluskiew” bądź kamer nie było — może ich perfekcyjne maskowanie nie dawało laikowi

szansy znalezienia, a może zostały wycofane po tym jak zapytałem Satina kto figurował na drugim zdjęciu. Tak czy owak — nie martwiłem się, kiedy spadkobiercy zmarłej odebrali Bettinie klucze do tego lokum. Martwiłem się o Bettinę, gdyż kurortowa plotka głosiła, że krewną Zurfursta zagryzł wampir grasujący w parku. Na szyi miała głębokie ślady po kłach. Specjaliści orzekli, iż żaden pies nie ma tak dużych (zwłaszcza tak długich) kłów.

Gdy dzisiaj myślę o tym — puka do mojej głowy znowu Byron. I znowu jego przyjaciele, małżeństwo Shelleyów. Oraz jego lekarz, mister Polidori. Pierwsza dekada XXI wieku zrodziła w literaturze popularnej silny trend wampiryczny (w filmie funkcjonujący już kilkadziesiąt lat). Symbolem tego stała się długa dominacja na światowych listach bestsellerów ciągu głupawych książek Stephenie Meyer, kupowanych przez miliony pań i pań (czyżby atawistyczny gen perwersji motywował płęć żeńską?). Ale mało kto zdaje sobie sprawę, iż wampiryczny nurt literatury urodził się dwieście lat wcześniej dzięki inicjatywie lorda Byrona. Pierwszym tego rodzaju czytałem był wysmażony przez Polidoriego „Wampir”, który nie powstałby bez zachęty Byrona (1816). I bez wcześniejszego „Giaura” Byrona (1813), gdzie figuruje taki fragment:

*„Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem  
I trup twój z grobu wylażąc wieczorem,  
Pójdzie nawiedzać krainę rodzinną,  
Powinowatych spijać krew niewinną.  
Tam na rodzeństwo własne zajuszony,  
Wyssiesz krew swojej siostry, córki, żony”<sup>6</sup>.*

Ktoś mógłby kwestionować pierwszeństwo Byrona twierdząc, iż wyprzedził go Goethe, który w „Narzeczonej z Koryntu” (1797) dał

---

6 Tłum. Adam Mickiewicz

formę literacką ponurym ilyryjskim baśniom o wampirach, klechdom z wieku XVIII. Jednak tekst Niemca byłby tylko ewenementem bez spuścizny literackiej, gdy inicjatywa Byrona spowodowała łańcuch kolejnych literackich emanacji wampiryzmu. Miała ona zresztą ciekawe zaplecze literackie. Smutny i złowrogi upadły anioł Giambattisty Marino („Pogrom niewińniętek”, 1633) jest „ojcem” buntowniczego szatana w „Raju utraconym” (1667) Johna Milтона, bez którego — i bez łotrzyka z powieści „Mnich” (1795) Matthew G. Lewisa — pani Ann Radcliffe nie napisałaby „romansu grozy” „Włoch, albo Konfesjonał Czarnych Pokutników” (1797), a bohater tej powieści, Schedoni, zainspirował Byrona, gdyż miał fascynujące przywary tudzież imponującą przebiegłość. Wypisz wymaluj Satin:

*„Nie dbał o prawdę ani jej nie szukał za pomocą śmiałych i obszernych wywodów; lubił natomiast posługiwać się zdradliwą przebiegłością swego usposobienia, dochodząc jej na drodze sztucznych niejasności. W rezultacie przywykł tak dalece do intryg i podejrzeń, że jego spaczony umysł nie przyjmował za prawdziwe nic prostego i łatwo zrozumiałego (...) Pomimo właściwej mu surowości i smutku, zdarzało się niekiedy, że zainteresowanie wzbudzone pewnymi wypadkami nadawało jego twarzy zupełnie inny wygląd; potrafił też z zadziwiającą łatwością – i zazwyczaj z pełnym powodzeniem – dostosowywać się do nastrojów i do namiętności ludzi, których pragnął sobie zjednać”.*

Paru demonicznych/buntowniczych bohaterów Byrona to charakterologiczne echa Schedoniego. Stąd już było blisko do literackiego wampiryzmu. Decydujące okazało się lato 1816, które Byron spędzał z Shelleyami i kilkoma innymi druhami w Szwajcarii. Shelley natchnął go tam panteizmem (umiłowaniem przyrody), zaś Byron natchnął dwa pióra demonizmem. W Genewie czytali

niemieckie opowiadania o duchach, i wówczas Byron rzucił myśl, aby każdy obecny spłodził piórem postać demoniczną. Matthew Gregory Lewis się wykręcił, bo miał już na koncie taką postać — „Mnicha”. Percy Bysshe Shelley też się wykręcił, choć wkrótce stworzył buntownika „Prometeusza” (wydanego 1820). Prawidłowo wykonali zadanie: żona Shelleya, Mary Wollstonecraft (tworząc głośnego „Frankensteina”, 1818) i medyk Polidori (tworząc „Wampira”, 1819). Natomiast Byron skreślił krótki „Urywek” („A Fragment”, 1819), gdzie brzęczą mi melodie Satinowskiej „teorii czaszek much”:

*„ Czy ci mieszkańcy podziemia są zatem  
Tylko milionem zwłok, próchnicy płatem?  
Prochem stuleci rozsypanym wszędzie,  
Gdziekolwiek człowiek szedł albo iść będzie?”.*

Doktor John William Polidori, Londyńczyk, był synem włoskiego uchodźcy i bratem matki słynnego później rodzeństwa poetyckiego Rossettich. Byron, wyjeżdżając na kontynent (kwiecień 1816), wziął go ze sobą, gdyż chciał tam mieć przybocznego lekarza. Makabryczne opowiadanie Polidoriego „The Vampire” zostało wydrukowane przez „New Monthly Magazine” w roku 1819, jednak wydawcy omyłkowo dali Byrona jako autora (notabene: sam wielki Goethe nie tylko się nabrał, lecz uznał „Wampira” za czołowe dzieło Byrona!).

Ciekawsze jest wszelako: skąd Polidori wziął nazwisko bohatera swego utworu? Otóż tego samego roku (1816), kiedy penetrujący Szwajcarię lord Byron namówił przyjaciół do tworzenia piórem figur demonicznych — jego eks-kochanka, rzucona przezeń lady Caroline Lamb, wydała mściwą autobiograficzną powieść „Glenarvon”, której perfidny bohater, Ruthven Glenarvon, to alter

ego Byrona. Polidori uczynił swoim bohaterem (wampirem) lorda... Ruthwena, który, zginawszy w Grecji (Byron kochał Grecję), staje się wampirem, uwodzi siostrę swego przyjaciela i dusi ją podczas nocy poślubnej. Takie miłosne zbrodnie wampirów będą później standardem wampirycznej literatury. I to szybko, dowodem „Tułacz Melmoth” (1820) Charlesa Roberta Maturina, „Smarra” (1821) Charlesa Nodiera, tudzież „Wampir” (w zbiorze rzekomych ballad ilyryjskich „La Guzla”, 1827) Prospera Merimee. Od lat 20-ych XIX wieku legion autorów (m.in. Adam Mickiewicz w „Dziadach”) parał się tematyką wampiryczną. Głośny „Dracula” (1897) Brama Stokera jest „prawnikiem” lorda Ruthwena, czego Stoker nie ukrywał, przyznając, iż wzorował się na „Wampirze” Polidoriego i na wampirzej tradycji Byronowskiej. Rumuni słowem „dracul” określają diabła...

—Gdzie teraz będziesz bawił się w ośmiornicę? — zapytał mnie Satin.

—W co?!

—W ośmiornicę. Cztery nogi i cztery ręce, które falują wspólnie, to ośmiornica, nieprawdaż?

—Sam wymyśliłeś ten wątpliwy dowcip?

—Sam, nie brakuje mi wyobraźni erotycznej.

—Zupełnie jak Byronowi, co?

—Czemu akurat Byronowi, czego ty chcesz od Byrona, Matt?

—Tylko tego, żeby nie przyfruwał do Bettiny na skrzydłach kurierskich, w pudełkach ze świeżą różą, nic więcej!

—Już ci mówiłem, że to nie ja, daj mi spokój!

—Ty mi też daj spokój!

—Chciałem cię jedynie poinformować, że mam dla was dwojga fajne mieszkanie, bo odkąd wywalono was z mieszkania świętej pamięci Frau Moering, staliście się bezdomnymi kochankami, jak w tanim romansie, Matt.



— Dziękuję, ale poradzimy sobie sami, znajdziemy coś — mruknąłem zimno, niczym do wroga.

Odparł równie zimno:

— Sehr gut, życzę ci sukcesu. Lokalowego i lowelasowskiego, Czartoryski.

— Lowelasem jestem nie bardziej aniżeli księciem Czartoryskim, Sat! Wkrótce wyjawię Bettinie swą prawdziwą tożsamość.

— Słowo wkrótce jest bardzo pojemne, radzę ci naciągać tę gumkę długo, dużo trwalej niż gumkę majtek Frau Zurfurst, mój rozamorowany przyjacielu.

Uśmiechnął się szelmowsko i dodał:

— Czy wiesz, Matt, że łacińskie imię bożka miłości, Amora, wzięło się od terminu „amoralny”?...

#### 47.

### **Ptaki uwiązuje się za nogę, cokolwiek to znaczy**

Buńczuczna deklaracja, że „wkrótce wyjawię Bettinie swoją prawdziwą tożsamość”, była, zaiste, marnym blefem (Satina mogło tylko śmieszyć takie puste chojractwo, bo wiedział, że strach przed utratą Bettiny klinčuje moją wolę likwidacji kompromitującego „haka”), lecz gdy mówiłem: „— Daj mi spokój!”, artykułowałem moją prawdziwą chęć uwolnienia się spod jego wpływu. Życie w Germanshaven przy boku Satina jako kumpla i sui generis mentora było dużo ciekawsze niż byłoby życie w Germanshaven bez Satina jako kumpla oraz mentora — to nie podlega dyskusji. Swoją bliskością, zmysłnością, wesołością, szalbierczością, kreatywnością, buntowniczością, swym rozumem i szelmostwem — całą swoją

osobowością — zapewnił mi fascynującą młodość studencką, to prawda. Dzięki niemu każdy miesiąc tam był jak z przygodowego filmu lub z rozrywkowego teatrzyku, i chyba tylko długa podróż egzotyczna (do „ciepłych krajów”) mogłaby przelicytować tę około-Satinową codzienność w Germanshaven na mojej skali atrakcyjności egzystowania. Jednak każdy medal ma dwie strony; prędzej czy później mroczny (nieubłagane mroczniejący) rewers naszej przyjaźni musiał zacząć dominować, niby cień, który tym bardziej się pogłębia, im rozległej rzeczywistość (czy choćby tylko suma urojeń, podejrzeń, strachu, niesmaku etc.) zasłania światło.

Kiedy patrzymy w daleką przeszłość, jesteśmy bogatsi o doświadczenie życiowe, co wszakże nie znaczy, iż jesteśmy bardziej odporni na własną łatwowierność czy autodestrukcyjność (vulgo: że praktycznie, nie zaś tylko teoretycznie mądrzejemy), bo z życiem bywa jak z podróżami wedle starego porzekadła („Podróże kształcą tylko wykształconych”) — życie urosądnia jedynie rozumnych. Łebscy doświadczeni (sparzeni) przez życie minimalizują recydywę (powtarzają mniej błędów) i lepiej kojarzą jakich rzeczy nie powinni byli swego czasu robić. Nie powinienem był zabiegać o względy Frau Zurfurst, ale moje ówczesne zdesperowanie, którego przyczynę stanowił męczący karciany dług, nakłoniło mnie do przyjęcia propozycji Satina. Później moje wygłodzone zmysły (które tak często mylimy z porywami serca, gdyż nic nie jest bardziej ludzkie aniżeli synonimowanie żądz z miłością) nabroiły solidnie — dałem się ponieść cielesnemu obłąkaniu wskutek cudownej biegłości Frau Zurfurst, która swymi paluszkami przemieniała moją anatomię w harfę lub pianino, a wargami wirtuozowskiej fletnistki dobywała ze mnie melodie rozpustnych olimpijskich bogów, mitologicznych satyrów i antycznych Priapów. Różnica między ludźmi wolnymi a półwolnymi zawiera się chyba w sile słabości człowieka: kto lepiej umie kielznać swą słabość, ten jest bardziej wolny (ale czy bardziej

szczęśliwy?), kogo zaś kielzna własna słabość, ten nie jest wolny wcale bądź jest wolny tylko częściowo. Pamiętam rozmowę z Satinem na ów temat — na temat duchowej, wewnętrznej siły ludzkiej, i na temat metod, zjawisk oraz przypadłości, które wspomagają człowieczą siłę działania, dając fory manipulującemu. Było to nocą, u „Cygana”, kiedy opijaliśmy jakieś pokerowe zwycięstwo. Satin i „Herr Doktor” puścili bez grosza dwóch urzędników portowego kapitanatu, a ja zapytałem, gdy już „Filozof” wypełził, by „kimać”:

—Nie boisz się, Sat, że kiedyś... ktoś przyłapie cię na szulerce, znajdzie ci karty w rękawie lub rozpozna talię znaczoną?

—Nie, mój drogi, nie boję się nic a nic. Fakt, umiem to robić, i czasami robię, choć jedynie po to, by nie wyjść z wprawy iluzjonisty, lecz zapewniam cię, iż na ogół łykam pulę bez tego, bez jakichkolwiek nieczystych trików.

—Samą siłą blefu, czy... no... psychologicznie?

Dopił wino, odstawił szkło i pokiwał głową przecząco, a później pochylił się nad blatem, zbliżając swoją twarz ku mojej, i zrobił mi krótki, lekko pijacki (zważywszy artykulację) wykład:

—Mateuszkule, siłą pana Retea, tak w pokerze, jak również w życiu, czyli w pokerze szerszym, codziennym, nie jest, wbrew temu co myślisz, dziecino, umiejętność oszukiwania, kuglowania, błaznowania, zgadywania, kręcenia czy biegłego praktykowania sztuczek iluzjonistycznych vel magicznych. Moją siłą jest... nie zgadłbyś... jest, misiu, najpopularniejsze zjawisko optyczne — powszechny syndrom ślepoty, syndrom swoistego bielma.

—Jakiego bielma?

—Ludzie patrzą, ale nie widzą. Można to również nazwać brakiem rozumu, lecz ja wolę to diagnozować jako kurzą ślepotę. Ludzie patrzą, ale nie widzą, Matt.

—O mnie też tak myślisz?

—Też.

—Żebyś się nie zdziwił, Sat...

—Czym? Iż do patrzenia na mnie zakładasz coraz częściej czarne okulary miast różowych, kolego?

—To nie tak... —bąknąłem.

—A jak? Gdy zginęła Frau Moering, nie pomyślałeś, że to ma związek ze mną?

—Nie! —skłamałem jeszcze raz. —Owszem, to mnie bolało, Marta Moering była przecież kuzynką męża Frau Zurfurst...

—Wy, katolicy, jesteście dziwnymi ludźmi. Gdy tylko ktoś z waszych bliskich umrze — martwicie się, zamiast się cieszyć, że poszedł do waszego lepszego świata! A ja, według ciebie, należę do świata złych duchów. Wiem, że tak myślisz, i wcale mnie to nie trapi, choć czuję pewien niesmak, bo zawdzięczasz mi swój łóżkowy raj, bez którego pod koniec życia byłbyś w sferze zmysłów równie biegły, jak ci renomowani seksuolodzy, co wiedzą wszystko o seksie prócz tego, jak samemu robić seks. A propos: znasz książkę Wilhelma Reicha „Masowa psychologia faszystów”?

—Nie.

—Więc powinieneś przeczytać, stary. Ten Żyd tam twierdzi, że faszyzm rozwinął się na bazie seksualnych kompleksów. Wydał to pięć lat temu, akurat wtedy, kiedy NSDAP chapnęła władzę, i od razu zwał do Norwegii, bo urwaliby mu łeb i jaja...

Nie byłem pewien dla jakiego celu gada o tym, czy to może parabola aluzyjna w jego stylu, więc zapytałem:

—Dlaczego mi to mówisz?

—Bo wcześniej rozmawialiśmy na temat kurzej ślepoty, iż ludzie patrzą, ale nie widzą. Powszechny germański entuzjazm wobec hitleryzmu jest dowodem, lepszych dowodów nie trzeba. Niemcy miłują Hitlera jako geniusza, zbawcę, chociaż to ćwierćinteligent i oprych. Dla cudzoziemców to niespodzianka, czy nawet

potworność. Szukają swymi inteligenckimi mózdkami źródeł zbiorowego zauroczenia-zaczadzenia Niemców. Francuzi, wzorem Reicha, wskazują tu wygłodzoną seksualność mas, bo oni u źródeł każdej niespodzianki, każdego spisku i kłopotu, zawsze widzą kobiecość: „cherchez la femme”. Anglicy wskazują raczej pieniądze: „follow the money!”. Rosjanie typują inne motywy, głównie ideologiczne, czyli polityczne, zwłaszcza geopolityczne, terytorialne. A Niemcy? Niemcy są prawnukami swych romantycznych wierszokletów i okultystów, ich wiara w Führera jest mistyczna tout court. Z mistyką trudno walczyć...

Moja nienawiść do swastyki przerwała mu:

—Prędej czy później ci Niemcy, którym spadnie bielmo, zaczną walczyć!

—Tak sądzisz? Moim zdaniem, ponownie się mylisz, to właśnie ta kurza ślepotą. Owszem, jest trochę Niemców, którzy gardzą Hitlerem jako prostacką kreaturą, lecz miast straceńczego heroizmu wybierają bezpieczną mimikrę — udają, że się dobrowolnie przystosowali. Co jest bardzo rozsądne, polecam ci, Matt. To kontrkatastroficzna strategia Eskimosów. „Zgaga” pewnie ci o niej mówił...

—Nie, nie mówił.

—Wiesz co robi Eskimos kiedy zgubi się podczas burzy śnieżnej? Buduje prowizoryczne igloo, by przeczekać, lub, jeśli nie może budować, siada plecami do wiatru i śpi, wstając co pewien czas gwoli rozruszania członków. Przeczeka. A co robi w takiej sytuacji człowiek Zachodu? Instynktownie się miota, próbuje szybko dotrzeć do jakiejś siedziby, biegnie spocony jak mysz, póki się zmęczy krańcowo, jego pot zamienia się błyskawicznie w lód, i umiera.

—Więc Niemcy, twoim zdaniem, nie są ludźmi Zachodu, bo się przystosowali? —parsknąłem szyderczo.

Było to pytanie zgodne z logiką, lecz wobec Satina logika nader

często okazywała się kiepskim instrumentem. Czknął pijacko i wymamrotał:

—Germanów nie tyle dotknęła erupcja zbiorowego amoku, ile maksymalna erupcja narodowej przypadłości genetycznej — pruskiego drylu. W tym sensie Niemcy są paradoksalnie ludźmi Wschodu, kolego, są podobni do Rosjan z ich odwieczną naturą rabów ślepo miłujących cara. Dzisiejszym Rosjanom nie trzeba było zaszczeniać tego siłą, trzeba było jedynie wyregulować, urytmiczyć nerw dyscypliny wewnętrznej. Chodzi o mechanizm myślenia kierowany codziennym strachem, permanentną obawą. Ruski woła dzisiaj podcierać sobie dupę gołymi rękami niż gazetą, bo podcierając gazetą podcieraliby prawie zawsze Stalinem. I masowo donoszą na krewnych, przyjaciół, sąsiadów, już automatycznie, wskutek wdrożenia. Pruski, bawarski czy szwabski prohitlerowski konformizm i oportunizm ewoluuje teraz ku takiemu samemu wdrożeniu. Kiedy i tu zabraknie papieru toaletowego, miliony Niemców ogarnie strach przed podcieraniem się gazetami.

Wyrzuciłem z gardła:

—Dlatego brzydzę się Rzeszą i jej swastyką!

—Więc czemu studiujesz na niemieckiej uczelni?

—To wola mojego stryja. Muszę tu studiować, ale nie muszę robić tego co mi przed chwilą „polecałeś” — nie muszę się do tego swastykowego gówna „wdrażać”!

Jeszcze raz sarkastycznie się uśmiechnął:

—Zwłaszcza że gdybyś chciał rzucić te studia, musiałbyś wyjechać bez niej, bo ona nie pofrunie z tobą do Galicji...

Kiedy to cedził, jego zimne ślepie drwiły milcząco: „Rzucono ci haczyk, i teraz dyndasz na lince jak ptak uwiązany za nogę, przyjacielu...”.

**Hydraulika jest władzą, mein Freund!**

Perfidia Satina, jasna dla mnie od pewnego czasu, i bardziej mnie frapująca niżli denerwująca (za każdym razem boczyłem się krótko) — nie dałaby się naukowo udowodnić. Ilekroć bowiem próbowałem zbadać prawdziwość jakichś jego tez czy argumentów, tylekroć okazywało się, że akurat nie łągał. Zdarzało mu się coś celowo pominąć, drobiazgi (przykładem: gryziony ogon Eskulapowego węża), lecz generalnie każdorazowo miał słuszność. Tak było z sędziwymi podlotkami, i tak było również ze swastyką funkcjonującą od dawna wśród Polaków. Bez trudu identyfikowałem (dzięki rejestrom i kooperacjom międzybibliotecznym) książki polskie mające swastykę na okładkach, jak choćby tatrzański albumik Mieczysława Tretera, wydany 1910 roku (swastyka była tu jedynym zdobnictwem okładki, miała zagięcia w prawo), lub wydane tegoż roku „Gody życia” Adolfa Dygasińskiego (dwie swastyki na obwolucie rysowanej przez Antoniego Gawińskiego miały również zagięcia w prawo), lub tom Jana J. Kowalczyka „Pategia czyli droga do niezawisłości ekonomicznej” wydany 1919 roku (swastyka okładkowa widniała tam pośrodku żagła statku, miała zagięcia w lewo). Te kwerendy i konstatacje nie produkowały wszelako mojej sympatii wobec badanych/sprawdzanych/weryfikowanych obiektów — nie zamierzałem sypiać ze stuletnimi ślicznotkami, ani nosić swastyki, czy choćby gardzić nią mniej.

Swastyka coraz częściej razila mój wzrok, obwieszono bowiem „Hakenkreuzami” całe Germanshaven — głównie deptaki, frontony gmachów publicznych (nawet stadion czy teatr) i urzędów. Droge zagroziła mi w maju roku 1938. Poszliśmy z Bettiną do miejskiej

Hali Wystawowej, gdzie była ekspozycja sprzętu radiowego, radiologicznego i radiolokacyjnego nowej generacji; Bettina chciała zobaczyć prześwietlające płuca aparaty doktora Roentgena. Kłębił się tam tłum zainteresowany głównie nowymi modelami radiodbiorników i gramofonów. Gdy jednak skręciliśmy ku bocznej salce z radiolokacją, zatarasował nam wejście przyszczaty osilek, mający na rękawie czerwoną opaskę, w której tkwiło białe kółko, a w nim czarna prawoskrętna swastyka. Wyburczał:

—Proszę się cofnąć, już!

—Do tej sali nie ma wstępu? —spytałem.

—Jest, ale nie dla wszystkich —odrzekł, i równocześnie przepuścił starszego okularnika z towarzyszącą babą.

Bettina próbowała tłumaczyć:

— Kieruję terapię i sferą laboratoryjno-diagnostyczną tutejszego kurortu, chcę zobaczyć aparaturę...

Pyszczaty jakby nie słuchał; powtórzył dublując tembr głosu:

—Proszę się cofnąć, raus!

—Tak, kolego, musisz się cofnąć —usłyszałem zza pleców.

I ku swemu zdziwieniu zobaczyłem Klausa Handke, „Führerka” Młodzieży Hitlerowskiej na uczelni.

—A ty kim tu jesteś?! —zapytałem wojowniczo.

—Szefem filtratorów, mój drogi. Filtrujemy wchodzących do tej sali, bo tam elity przemysłowe i geszeftowe ustalają szczegóły ważnych kontraktów, więc nie chcą, żeby się im szwendał byle łachmyta. Rozumiesz, serwis dla zagranicznych klientów, bar, drinki, eleganckie maniery, brązowość... No to filtrujemy.

—Według jakich reguł?

—Estetycznych. Z estetyki zaliczyłem celująco u docenta Krausego, więc się znam. Żadnych obdartusów, ochlapusów, ciapciaków, tuzinkowych gapowiczów...

Miałem już ściśnięte pięści, ale bez wątpienia bym nie rąbnał (na to



byłem zbyt bojaźliwy wówczas), dlatego poczułem dużą ulgę, gdy mnie wybawiono od skonfundowania. Rozległ się przy nas cienki, władczy głos:

—Herr Handke, proszę trochę grzeczniej, bo zostanie pan ukarany! Ci państwo są ze mną!

Człowiek, który to powiedział, skinął nam serdecznie, niby starym znajomym, i uśmiechnął się do Bettiny, wyciągając rękę gestem drogowskazu:

—Bitte, Frau Zurfurst.

—Pan mnie zna?

—Któżby w Germanshaven nie znał królowej kurortu?... Jestem Johann Daumer, szanowna pani.

Miał urzędniczą twarz, urzędniczy strój, tudzież maniery urzędnicze. Oprowadził nas, i to fachowo — znał demonstrowany sprzęt. Kiedy wychodziliśmy, powiedział:

—Większość to prototypy lub egzemplarze sygnałne, lecz gdyby pani chciała kupić coś dla swego zakładu, mogę ułatwić duży rabat i wcześniejszą dostawę aparatury...

—Jest pan przedstawicielem handlowym którejś z tych firm, panie Daumer?

—Ależ nie, skądże, jestem tylko życzliwym konsultantem, Frau Zurfurst.

—Zupełnie bezinteresownym?

—Niezupełnie, Madame.

—Czego pan oczekuje?

—Że pani przyjmie funkcję dyrektorską w ośrodku budowanym koło Germanshaven II.

—Mogłam się domyślić! —westchnęła Bettina gniewnie. —Sto razy już wam odmówiłam, a wy wciąż to samo!

—Odmówiła pani dyrektorowania w hotelu dla elity rządzącej, a ja proponuję szefostwo Centrum Eugeniki, które będzie budowane

niedaleko hotelu, po drugiej stronie bulwaru, w głębi lasu... Przed tygodniem zapadła decyzja na szczelbu kanclerskim...

—Centrum czego?

—Eugeniki, Madame. Eugenika to, najkrócej mówiąc, selektywne rozmnażanie ludzi dla poprawienia cech dziedzicznych, czyli genetyczne, tak fizyczne, jak i umysłowe, doskonalenie gatunku ludzkiego.

—Chcecie się szulersko bawić w Boga?

—Ależ, Madame, eugenika ma bardzo silne fundamenty naukowe! Rok temu dyrektorem Brytyjskiego Towarzystwa Eugeniki został John Maynard Keynes, wybitny ekonomista, sława światowa, uznany geniusz. Notabene jest on sobowtórem pani męża, bo ożenił się z rosyjską primabaleriną tylko po to, by maskować swoją homoseksualną pedofilię, tak, tak...

—Proszę się odczepić od moich spraw rodzinnych! — syknęła Bettina, rozglądając się płochliwie wokół.

—Nie mogę.

—To jest obrzydliwy szantaż!

—Droga pani, każdy szantaż jest obrzydliwy, czy szantaż może nie być obrzydliwy? A poza tym to jeszcze nie szantaż, tylko preludeum szantażu. Szantaż byłby wtedy, gdybym groził upublicznieniem pani romansu z prawie nieletnim studentem tutejszego uniwersytetu, lub ujawnieniem faktu, że w pani zakładzie są wywiercane otwory dla podglądania gołych kuracjuszy i kąpielowiczów.

— To uczyniły pielęgniarki, bez mojej zgody, dwie karnie wyrzuciłam i zakazałam surowo...

—Zakazy motywują do ich obchodzenia lub łamania, pielęgniarki znowu wywierciły kilka dziurek, proszę sprawdzić, Frau Zurfurst. Zresztą, droga pani, przeszłości się łatwo nie wymazuje. Gdyby pewne wpływowe figury... Myślę o dygnitarzach będących klientami

pani zakładu. Gdyby się dowiedzieli, że swego czasu regularnie podglądano ich kiedy byli na golasa, dostaliby takiej samej furii jak księżęca rodzina pana Alexa, gdyby się dowiedziała o waszym gorącym związku...

Spojrzał na mnie drwiąco, i uśmiechnął się leciutko, też drwiąco. Kiedy minęło kilka sekund niezręcznej ciszy, rzekł:

—Proszę spokojnie przemyśleć tę propozycję, Madame...

Uklonił się i odszedł, a ja nazajutrz dorwałem Satina:

—Czemu im tak zależy, by tę posadę wzięła właśnie ona, co?! Zresztą nie im, tylko wam, bo ty jesteś tu ewidentnie zaangażowany! Przecież możecie dać to stanowisko komuś innemu, zaufanemu, swojemu, czyli lepszemu!

—Nie ma lepszej od twojej Bettiny. Taka jest prawda, nie ma. Kuracjuszami tego nowego ośrodka będą ci sami ważni ludzie, którzy przyjeżdżali do jej zakładu, oraz nowi, jeszcze ważniejsi, którzy przyjadą namówieni przez tamtych, a Bettina Zurfurst to ikona, wszyscy kuracjusze ją lubią jako szefową. Z samej góry nadeszła dyspozycja, że ma być właśnie ona, baronowa Zurfurst, bezdyskusyjnie. Myśleli, że gdy podejmie się tego kuzynka jej męża, ta nieszczęsna Marta, wówczas obie stworzą tandem rodzinny gwarantujący właściwą atmosferę, no ale nie wyszło, została więc tylko twoja flama, przyjacielu...

Klepnął mnie serdecznie w bark i zaczął się wymądrzać, co było jego rutynowym sposobem rozbrajania pól minowych, pacyfikowania :

— Ona jest carycą sławnej ozdrowieńczej „balneologii Germanshaven”, a balneologia to hydraulika, wszelkie terapie wodne funkcjonują dzięki hydraulicce. Czymże zaś jest hydraulika? Jest kolebką państwowości, nawet imperialności. Wiesz jak powstały pierwsze państwa, pierwsze monarchie? Powstały w dolinach olbrzymich rzek, Eufratu i Tygrysu. Ze względu na plony, bez

których życie by umarło, i wylewy, które zagrażały plonom — ktoś musiał kontrolować te wielkie zasoby wodne, budować groble, kanały, system hydrotechniczny o skali ponadlokalnej, ponadplemiennej. Tak narodziła się władza centralna, dla mobilizowania mas ludzkich. Pierwsze imperia były władzą hydrauliczną. W dalekiej przyszłości ostatnie imperia też będą władzą hydrauliczną, z braku pitnej wody dla wszystkich ludów. Germanshaven nic się nie różni. Kurort to balneologia, czyli hydraulika, a hydraulika to zawsze władza. Uzmysłów kobitce ten fakt, wyklaruj!

Raptem roześmiał się głośno do jakiejś swojej myśli, i mruknął:

—Dzisiejsze imperia również! Hitler i Stalin leją hektolitry wody w mózg masy ludzkiej, aby hydraulikę H<sub>2</sub>O zastąpić hydrauliką krwi. Herrlich, mein Freund!

#### 49.

### „Honeytrap czy jak tam

Hydraulika balneologiczna kurortu w Germanshaven mało mnie obchodziła; byłem zainteresowany wyłącznie hydrauliką fizjologiczną uprawianą w Betty Zurfurst. Zagęszczanie się sytuacji wokół mojej metresy, wszystkie te naciski, groźby, szantaże — to stanowiło realny powód do stresu. Śmierć Frau Moering mówiła, iż nie ma tu żartów, sytuacja robi się groźna naprawdę. I żeby było jeszcze trudniej — objawił się wreszcie „ten człowiek”, emisariusz zapowiedziany przez stryjka Gabriela.

Semestr wiosenno-letni 1938 przyniósł ciekawą inicjatywę profesora Harlunda (belfer od architektury, któremu studenci dali ksywkę „«Kolumna» Harlund”) i profesora Hellera (belfer od

malarstwa, który nastąpił po Bleibergu). Dwaj panowie H. wymyślili wspólny temat pracy semestralnej dla obu przedmiotów: „Kolumna w malarstwie europejskim”. Ja wybrałem do roztrząsania wielkie płótno włoskiego Akademika, Antonia Ciseriego, „Ecce Homo” z 1871 roku, gdzie między dwiema rzymskimi kolumnami tarasu prokurator Piłat demonstruje ludowi jerozolimskiemu ubiczowanego Jezusa, mówiąc: „—Oto Człowiek”. Gdy zwierzyłem się Satinowi, że biorę do analizy to malowidło, poradził mi wizytę u pułkownika:

—Odwiedź antykwariat naszego przyjaciela Burgera, ten grzyb da ci parę książek a propos, czyli gotową ściągawkę, dzięki której nie będziesz musiał tracić w bibliotece uniwersyteckiej ani chwili czasu. Wpadnij też do mnie, dam ci monografię rzymskiej architektury wczesnego cesarstwa, od Augusta po Nerona. Pierwsi cesarze bardzo mnie zajmują, głównie Neron, był monarchą wielce rozrywkowym, ludycznym...

Gdy go odwiedziłem, spostrzegłem w westybulu nowość: na postumencie pod szklaną kopułką tkwiła mizerna czaszka.

—Co to jest? —spytałem.

—To czaszka młodego Nerona, kiedy miał szesnaście lat, kolego.

Kupiłem ją u Burgera.

—Dla głupiego żartu, czy gwoli kultu absurdu?

—To drugie. Dla zabawy. Ja też jestem typ ludyczny, o czym ci dobrze wiadomo. Byłeś już u Burgera?

—Będę dzisiaj wieczorem.

—Powodzenia, Matt, nie trać fasonu!

—Fasonu? O co ci chodzi?

—O nic, zwyczajnie życzę ci szczęścia, kolego.

Była w jego głosie jakaś dziwna, trochę złowieszczą nuta, ale puściłem ją mimo uszu, bo Satin przyzwyczaił mnie już do dziwnych gład, bezsensownych żarcików i odzywek „ni z gruchy,

ni z pietruchy".

Na szkłe drzwi wejściowych antykwariatu wisiał kartonik z hasłem „Zamknięte”, ale wewnątrz paliło się blade światło. Byłem telefonicznie umówiony, więc przycisnąłem guzik dzwonka. Burger uklonił się inaczej niż zawsze, trochę szorstko, i rzekł ze zwięzłością wojskowego, bez żadnych wstępów:

—Ma pan pozdrowienia od stryjka Gabriela, panie Mateuszu, przyniósł je ważny kurier.

—Dlaczego ważny?

—To Herr Daumer, jest tam, w saloniku, za kotarą.

Za kotarą siedział przy stole i pił kawę ów typ, z którym ja i Bettina mieliśmy nieprzyjemność na wystawie radiologicznej. Nie ruszył tyłka, nie wstał, nie podał mi ręki, nie przywitał się choćby mruknięciem, tylko wskazał mi krzesło i burknął tonem rozkazującym:

—Siadaj, młody człowieku!

Budził mój tak silny wstręt, że odważyłem się warknąć:

—A jak nie, to co, gburze?!...

—A jak nie... to twój stryj też się okaże skończonym gburem, utraci wobec ciebie całą sympatię, gnojku! On mnie zapowiedział, wysyłając cię tutaj, i nie krył, że masz mnie słuchać we wszystkim. Taką formę rewanzu ustaliliście, prawda?... Odmów, jeśli możesz płacić czesne i komorne z własnej kieszeni, za siebie i za młodszego braciszka, lub zrezygnuj ze studiów, swoich i braciszkowych, bo stryj was nie wesprze...

Podniosłem głos:

—Co ma do tego mój brat?!

Daumer, uśmiechnął się wrogo (wzajemnie się niezbyt lubiliśmy) i rzekł:

—Twój brat ma tu studiować od przyszłego roku akademickiego, od września czy października. Stryj chce znowu płacić.

—Też za jakąś uległość?

—Nie wiem, nie moja sprawa, ja zostałem wyznaczony do ciebie. Siadaj!

Klapnąłem na krzesło półprzytomny, myśląc o Romku i o stryju.

Tymczasem Daumerg wykładał karty:

—Tutaj, do nowego ośrodka, będzie przyjeżdżało wielu dygnitarzy z Berlina, Hamburga, Lipska, Drezna, zewsząd. Towarzyszyć im będą żony. Ty będziesz uwodził te żony, będziesz je rznął, będziesz ssał od nich informacje i sekrety, słowem: będziesz trybikiem kontroli, którą my musimy sprawować nad tą rządową i okolorządową elitą. Zostałeś łózkowo wyszkolony przez dwie mistrzynie, jesteś przystojny, posiadasz kutasa dużego rozmiaru, słowem: masz wszystko czego trzeba. Nie grozi ci harówka, tylko utuli cię jej odwrotność: zabawa plus satysfakcja, więc narzekać nie powinieneś. Szczegółowe instrukcje dotyczące każdej konkretnej damy będziesz dostawał ode mnie, i mnie będziesz składał raporty, chyba że góra zechce wyznaczyć na moje miejsce kogoś innego. Obowiązywać cię będzie przysięga, czyli ścisła tajemnica służbowa, której złamanie ukaramy śmiercią, chłopczyku. Twój stryj zastrzegł, że nie można ci zlecać obowiązków siłowych, jak szantaż, tortura czy likwidacja, co będziemy respektować, takich poleceń nie dostaniesz. Masz tylko rznąć dupy i brać łupy, informacyjne łupy.

Mówił kilkanaście minut, rzucając detale, zapytał czy chcę spytać o coś, i wybył bez słowa pożegnania. Siedziałem zmartwiały, jakby mi przywalono obuchem, i myślałem tylko o Romku. Wszedł Burger z butelką brandy i kieliszkami, zajął krzesło Daumerga, nalał i milczał, czekając. Wychyliłem haustem. Nalał drugi, prawie pełny, który też golnąłem od jednego zamachu. Wreszcie spytał:

—Dobrze się pan czuje?

—Świetnie, panie pułkowniku! Złożono mi taką propozycję, że czuję się wybrańcem bogów, mam robić w pornografii. I zarazem w

polityce, ale to chyba wszystko jedno.

—Fakt, to się nie różni —przytaknął Burger.

—Pan się nie napije ze mną, pułkowniku?

Teraz wychyliliśmy obaj, stukając szkłem o szkło niczym kumple.

—Mam kopulować szacowne damy, dla jakichś waszych służb, a więc uprawiać czysty germański patriotyzm, chociaż, zważywszy, że jestem Polakiem, to czysty idiotyzm, jednak nie mogę o tym gadać, bo mnie zabijają. Zabijecie mnie, pułkowniku?

—Tylko wtedy, gdy pan zdradzi.

—No to jeszcze na czwartą nogę, lej pan!

Znowu wypiliśmy, i Burger popisał się angielszczyzną:

—Anglicy zwą to: „honeytrap”, słodka pułapka, ergo: inwigilowanie łóżkowe, panie Mateuszu.

—To zwykle szpiegostwo! Chamskie szpiegostwo!

—Dlaczego zaraz chamskie? Wie pan, że w angielskim słowo „intelligence” ma dwa znaczenia? To inteligencja oraz dyskretne pozyskiwanie wiadomości. Trzeba do tego bystrych zawodników...

Bystrość opuszczała mnie w miarę picia. Alkohol szumiał mi pod czaszką coraz mocniej, plątał mi się język:

—Czci... czcigodne... niewiasty... ha, ha!

—Przyjeżdżają tu ze swymi wysoko postawionymi mężulkami co jakiś czas, napatrzyłem się, panie Mateuszu... Są to wszystko, jeżeli wolno tak powiedzieć, szanujące się dziwki. Pierdolą się cichcem z kim tylko można, z szoferami, kamerdynerami, kelnerami, kucharzami, ogrodnikami, sąsiadami, przygodnymi żigolakami, współużytkownikami kortów i kurortów. Lecz zewnętrznie, na forum publicznym i rodzinnym, grają teatr pełen dyscypliny, etykiety, kurtuazji, bon tonów i rytuałów, zachowując kanony nienagannego prowadzenia się, zgodne z tradycyjną moralnością mieszczańską. Daumerg dobrze wie...

Przerwałem mu:



—To cham... to prostak, brutal i cham!

Burger wzruszył ramionami: —Też mnie razi jego gruboskórność, ale to wyborny fachowiec. Pana nie lubi, bo w ogóle nie lubi Polaków. A ja odwrotnie, ja lubię Polaków.

Byłem już wstawiony, lecz pamięć zadziałała:

—Tak, pa... pamiętam... to sza... szacunek wobec króla fałszerzy, Polaka Jó... Józefa Majnerta, co?...

—Nie tylko, kochany, nie tylko. Ceniłem waszego marszałka, Piłsudskiego, za to, że stłukł bolszewików kiedy chcieli opanować całą Europę. Wielki wódz! Nasz wielki wódz, Adolf Hitler, też go podziwia, mimo iż doniesiono mu, że Piłsudski pragnął, by Polacy, Francuzi i Anglicy zdusili Rzeszę metodą tak zwanej „wojny przewencyjnej przeciw Hitlerowi”. Po śmierci Piłsudskiego wziął udział w nabożeństwie żałobnym odprawianym rękami papieskiego nuncjusza, klęczał u stóp krzyża, panie Mateuszu! Wyobraża pan sobie? Adolf Hitler klęczący w kościele przed ukrzyżowanym Żydem, królem świata, czyż to nie cudowny cyrk?

Byłem tego samego zdania, lejąc do gardła kolejną porcję trunku.

—Babski tyłek to gniazdo ważnych spraw — kontynuował Burger, gestykulując ręką wolną od kieliszka z brandy. — Nawet generalnych spraw. Czyż pańskiej ojczyzny nie rozdziera silny wewnętrzny konflikt między piłsudczyzną a endecją, trwający już ćwierć wieku? Jego źródłem i fundamentem była wzajemna nienawiść między Dmowskim a Piłsudskim. Skąd się ta wrogość wzięła? Z tyłka żeńskiego. Obaj przez trzy lata rywalizowali o względy tej samej kobiety, miała imię Maria, nazwiska nie pomnę. Zwano ją „piękną panią”. Spotykała się z jednym i z drugim, ale nie mogło to trwać bez końca, musiała wybrać. Dmowski nigdy nie przebaczył Piłsudskiemu zawładnięcia dyferencjałem „pięknej pani”. Robiąc w damskich pupach, może pan mieć duży wpływ nie tylko na politykę, ale i na historię, panie Mateuszu...

**– Heil, Schickelgrubber!**

*We „Wspomnieniach” głośnej przedwojennej aktorki, Poli Negri (kupiła tę książkę moja druga żona, Barbara), jest taki passus: „Od wielu lat nie byłam w Niemczech i zdumiała mnie niewiarygodna wprost zmiana postawy ludzi i całej atmosfery. W Trzeciej Rzeszy niewątpliwie dokonano bardzo wiele w bardzo krótkim czasie. Jednakże pod jawnym optymizmem wyczuwało się utajony niepokój, a narzucony, manifestacyjny i bezwzględny militarizm dawał znać o sobie na każdym kroku. Flagi zwieszały się z domów, marsze wojskowe rozbrzmiewały na każdym placu przy lada okazji. Ze wszystkich stron bezustannie dolatywało głośne trzaskanie obcasami i ryk, niby kłaśnięcie z biczem: «Heil, Hitler!». Hitleryzm stał się nową religią i prawie wszyscy ślepo ją przyjęli, okazując wrogość tym nielicznym, którzy śmiało odrzucali doktryny nazizmu, i tym, których uważano za niegodnych siebie”.*

Militarne marsze tudzież flagi stanowią zawsze preludium wojny; ci, którzy tej prostej prawdy nie pojmują, są jak krety, co nie rozumieją, że tylko melodia, którą da się nucić, ma jakąś wartość, reszta to hałas udający muzykę. W Germanshaven flag swastykowych było już mnóstwo, lecz marszów militarnych (prowojennych) zero, a „heilowaniem” popisywali się tylko gnoje (Handke i jego czereda). Nawet funkcjonariusz Daumerg nie wygłupiał się machaniem sztywną łapą „po rzymsku”, widać dystygowana atmosfera kurortu hamowała gestapowski zapal, ostrzegając, iż ten rodzaj reżimowej gimnastyki byłby tutaj pantomimą groteskową.

Wieczorem tamtego dnia, kiedy Daumerg mnie straszyl, wybralem sie do knajpy „Cygana”, by przepytac „Zgagę”. Sądziłem bowiem, że podobne (lub analogiczne) co ja zadanie otrzymał każdy erotyczny „kursant” ze „stajni” Satina. Idąc wzdłuż portowych nabrzeży studziłem rozpalone czoło wiatrem wiejącym od morza, na którego falach tańczyły latarnie cumujących statków. Wewnątrz knajpy nie zobaczyłem mnicha. Usiadłem przy barze, gdzie służbę pełnił akurat „Filozof”.

—Cześć, „Filozof”. Jest „Dupa biskupa”!

—Nie ma, był rano.

—Psiakrew! Jak jest potrzebny, to nigdy go nie ma!

—Chcesz się wypowiadać, „Student”!

—Chcę jego wypowiadać, i to szybko!

—Po pijaku?

Tym pytaniem mnie rozgniewał:

—Dlaczego tak mówisz?!

—Zionie od ciebie gorzała...

—Nie gorzała, tylko brandy! Kiepski z ciebie barman, jeśli nie rozpoznajesz.

—Nie rozpoznałem, bo nie piłeś przed chwilą, więc żołądek trawi już wszystko, i alkohol, i żarcie, bardzo trudno wyczuć... „Student”, z tobą jest coś nie tak...

—Nie twój interes!... Daj pić!

—Chodź, pogadamy w kącie, będziesz się mógł wypowiadać.

—Nie chcę się spowiadać!

—To wypłakać.

Krzyknął do kolegi:

—Zastąp mnie przez parę minut!

Arnold, czyli „Wygibus”, skinął głową, a „Herr Doktor” vel „Filozof” pchnął mnie do stolika w kącie knajpy, usadził na pleconym krzeselku i zapytał:

—Co oni ci zrobili, „Student”!

—Jeszcze nic, ale chcą mnie zrobić męską kurwą. No to... no to ja im... ja im...

Zachrypiałem zbyt głośno, ślina wściekłości weszła gdzie nie trzeba, i zacząłem się krztusić, właściwie dusić, „Filozof” musiał mnie walnąć w kark kilka razy; waląc, krzyczał do Arnolda:

—Dawaj wodę lub lemoniadę, piorunem, „Wygibus”!

Gdy opłukiwałem gardło, wszedł Satin. Usiadł przy naszym stoliku, pytając:

—Już ci lepiej?

—Trochę lepiej, chociaż ostatnio zawsze mi gorzej kiedy ciebie widzę! —odparłem pełen gniewu.

—Skąd wiesz, że coś mu dolegało, Satin? —zdumiał się „Filozof”. — Nie siedziałeś tutaj!

—Kasłał tak głośno, że słyszać było na ulicy. Zastanawiałem się tylko czy krztusi się alkoholem, czy żarciem, czy też własną śliną, nieborak. To jeden z głównych anatomicznych błędów Stworzyciela, kimkolwiek on był, moi drodzy. Przełyk i krtań są zbyt blisko siebie, fizjologicznie to bez sensu...

—Tak dziwacznie rozstrzygnęła pani ewolucja — oświecił go „Filozof”.

—Wiesz co, trudno mi uwierzyć, że pani ewolucja wpadła na tak kretyński pomysł, by po drodze do żołądka każdy kęs jedzenia mijał tchawicę. To musiał wymyślić ktoś inny, jakiś pijany demiurg. Ale masz rację, „Filozof”, cierpimy też przez usterki będące skutkiem ewolucji. Nasz kręgosłup, łamliwy, doskwierający, mający dyski ścierające się i wypadające, stał się bublek, bo został zaprojektowany dla zwierząt czworonożnych, a nie do postawy wyprostowanej. Lub weź jelita... To samo, dla czworonogów! U wyprostowanych grozą śmiertelną niedrożnością... Albo zderzenie zbyt wąskiej miednicy ze zbyt dużym mózgiem noworodka,

skutkujące cierpieniami rodzących mamusi! Ewolucja wykształciła nam zbyt wielkie mózgi, panowie. Na czele, oczywiście, z mózgiem ukochanego wodza, Adolfa Hitlera, Sieg heil!

Stojący niedaleko „Cygana” dostał szału:

—Zamknij mordę, Satin, i przestań mi tu pajacować, bo dostaniesz szlaban, zero wstępu! Mówilem, żadnej polityki na pokładzie!

—Jawohl, Herr Schiffskapitan und GruppenFührer! — szczeknął Satin po wojskowemu, stuknął obcasami i rozprostował rękę z płaską dłonią. —Heil, Hitler!

„Cygana” nie żartował, ryknął do Czugi:

—Wywal go za próg!

Rumun siedział na beczce blisko kotary oddzielającej strefę sanitarną. Usłyszawszy rozkaz, kiwnął kwadratowym łbem i sprężył się, by dźwignąć dwumetrowe cielsko, lecz, ku swemu zdumieniu, nie mógł się ruszyć, jakby był przyklejony do tej beczki. Starał się, ale bez skutku, niby związany sznurem. Pojmowałem, że to dlatego, iż Satin wbił swój wzrok w twarz biedaka i zaaplikował mu rodzaj hipnotycznego paraliżu. „Filozof” zorientował się również, więc krzyknął do „Cygana”:

—Szfefie, wszystko w porządku, Satin już nie będzie się wygłupiał, przepraszamy, wszystko w porządku!

„Cygana”, klnąc pod nosem, kiwnął paluchem kilka razy tak, jak się grozi lub czegoś wzbrania dziecku, i poszedł zerknąć na komnatę hazardową.

„Filozof” zapytał Satina:

—A propos... co z moimi aryjskimi papierami i paszportem?

—Wkrótce będą, przyjacielu, już niedługo.

—Niedługo to tutaj może być gorąco dla Żydów... — westchnął barman.

— Pogromów jeszcze nie ma, ale słyszę co się dzieje choćby w Wiedniu, tam już nęka się Żydów, bije się Żydów, wyrzuca się

Żydów!...

—Pogromy wkrótce będą —zapewnił go Satin.

—W Wiedniu?

—W Berlinie, w całych Niemczech, wkrótce, nim skończy się ten rok. Ale nie w Germanshaven, dlatego ciebie to nie dotyczy...

—Czemu nie w Germanshaven?

—Bo ja tutaj mieszkam! — roześmiał się Satin. — Urok, który emanuję, działa na palpitanie społeczne łągdująco. A mówiąc serio: dojdzie tu do bardzo ważnych negocjacji międzypaństwowych, więc władza pragnie, aby w Germanshaven panował letarg.

—I tak się składa, że ty znasz ciche pragnienia władzy...

—To przywilej jasnowidzów —kpił dalej Sat.

Barman zniżył głos do szeptu:

—Więc wyjaw mi czego pragnie diabeł numer jeden, zagłady Żydów niemieckich?

—Zagłady wszystkich Żydów, przeczytaj „Mein Kampf”. Spodoba ci się, jeśli istotnie lubisz satyrę, „Filozof”. Wtedy, na skwerku, reklamowałeś się jako wielbiciel komedianctwa. Pomyślałem sobie: bratnia dusza! Przeczytaj Hitleriadę. Mnie ta grafomańska cegła rozśmiesza bardzo.

—Ciebie wszystko co złe rozśmiesza, Satin!

—Fakt. Trudno zatem, by nie rozśmieszała mnie wrogość wobec Żydów u Adolfa Schickelgrubbera, który wołał przybrać sobie nazwisko matki, bo: — „ Heil, Schickelgrubber!” brzmiałoby komicznie, prawda, „Doktoru”! Od czasów Poncjusza Piłata nie było większego wroga Żydów, nawet inkwizytorzy i Ukraińcy przegrywają tę rywalizację, zapytaj Mateusza, który właśnie zgłębia Piłata akademicko. Tylko że antysemityzm Piłata nie był równie śmieszny jak ten Hitlera.

—A niby co jest takiego śmiesznego w jego antysemityzmie, Satin?!

—zezłościł się „Herr Doktor”.

—To, że Hitlerowi bliżej do Żydów niż mógłby sobie wyobrazić, lecz nie wyobrazi sobie, bo jest idiotą.

—Jak to: bliżej do Żydów? O czym ty mówisz, Satin?!

—Mówię o tym dualizmie Pisma Świętego chrześcijan, który sprawia, że chrześcijanie też są idiotami, chociaż na swój sposób. „Nowy Testament” głosi wszechmiłosierdzie, totalne wybaczenie, właściwie bezwarunkowe, gdy „Stary Testament” lansuje coś dokładnie przeciwnego — zero miłosierdzia, totalną karalność, całkowitą zemstę, niewybaczalność bezwarunkową, bezwzględna. I to przeciwieństwo, zupełnie ekstremalne, jakoś chrześcijanom nie wadzi. Można rzec, iż „Stary Testament” jest czysto żydowski, gdy „Nowy” jest antyżydowski, choć był pisany przez Żydów. Hitler wyznaje ideologię mordy, czyli doktrynę „Starego Testamentu”, ergo: koncepcję żydowską — krwawą, agresywną, represyjną, brutalną. Teraz rozumiesz jak blisko mu do Żydów? Za to go zresztą kocham —uwielbiam kłownów podpalających świat. Mam ludyczną duszę, „Doktorku”, rozrywkową, przyznałem się wam już tyle razy...

Nie chciałem dalej słuchać tych pierdoł. Wstałem, aby opuścić „Pod wesołym trampem” z myślami raczej mało wesołymi, nie żegnając się nawet, lecz nim stąpnąłem przez próg, smagnął moje uszy chichotliwy głos Satina:

—Zauważyłeś, przyjacielu, że ludzki noworodek, mimo iż posiada wielki mózg, jest bezradny, kompletnie niezdolny do życia samodzielnego?...

Noc jeszcze raz owinęła moją głowę kojącym bandażem chłodu.

**Aż do otwarcia oczu, czyli do wybudzenia...**

Podłe dyrektywy Daumerga, groźba, że nie będę mógł kontynuować studiów, zmuszanie Bettiny, by przyjęła kierownictwo ośrodka wczasowo-leczniczego dla elit, wreszcie moja fałszywa książęca tożsamość —wszystkie te historie rozstroiły moją psychikę. Stałem się kłębkiem nerwów. Drażliwość, bezsenność, brak skupienia i regularnego stolca. Myśli wytryskujące z głowy niby dzikie ptactwo z klatki otwartej przez psotników...

Bezsenność nie była dosłowna, polegała na zasypianiu trudniejszym niż wcześniej. Normalnie zasypiałem łatwo jak niemowlak, od przyłożenia głowy do płótna poduszkowego. Teraz męczyłem się parę godzin, by zasnąć, przewracałem się z boku na bok, liczyłem barany lub próbowałem zmęczyć się czytaniem różnych tekstów. Farmacji przyspieszającej sen nie chciałem brać, bo mi powiedziano, że to rodzi uzależnienie. Cowieczorna męka.

I zaczął do mnie wracać mój stary kumpel — ów dziwny pejzaż senny. Gdy wreszcie udawało mi się zasnąć —rozchyłała się kurtyna Morfeusza i ten krajobraz się pojawiał, cicho, bez żadnego dźwięku. Jakby rozwierała się zapraszająco szczelina ciemności. Na pierwszym planie kusiała scenografia arkadyjska: puste, kruszące się delikatnie i oplatane młodą winoroślą świątynie greckie czy rzymskie, ze swymi bóstwami, którym co roku przybywa kolejny słój kurzu, czyli patyny od deszczów i od mokrych liści klejących się jesienią. Resztki wielkiego tympanonu z helleńskimi płaskorzeźbami i obok kamienne podium, dźwigające fortepian. To również był dawny znajomy, notoryczny eksponat tego snu. Białe, lśniące, sprawiający wrażenie nagrobka. Widywałem go albo o bladym świetle, kiedy stawał czoło zefirom, albo o zmierzchu, gdy



deszcze chłostały mu klawiaturę. Kłapa była ciągle uchylona, jakby klawisze czekały na kogoś. Miewałem chętkę trącić je dla rozerwania ciszy, lecz zawsze coś mnie powstrzymywało i mijałem fortepian. Dalej, po prawej stronie, jak okiem sięgnąć falowały torfowiska brązowiejące dzięki słońcu, po lewej zaś zieleniły się płaskowyże i rosły samotne drzewa, między którymi pasło się bydło. Jeszcze dalej lśniły poszarpane niebieskie linie tajemniczych gór, w których żyją duchy. Jutrzenka dobywała z półmroku kontury tych masywów, niczym widma wyłaniające się z mgły, wieczór zaś gasił ich skalne refleksy, przykrywając kapą nocnego cienia. Budziłem się przed południem i spóźniałem na wykłady, ryzykując gniew profesorów.

Rozmowa z Daumergiem pchnęła mnie do szukania mnicha, a że wieczorem był w knajpie nieobecny — kolejnego dnia zawitałem tam nim dzień upłynął, pomiędzy jednym a drugim seminarium. Tak wcześniej lokal był pustawy. Dwóch klientów klepało bilard, dwóch majtków sączyło piwo przy barze, ani śladu „Cygana”, „Rondla”, „Gitary”, „Mamy Klary” czy dziewcząt. Za blatem szynkwasu „Filozof” pucował serwetą kieliszki, lustrując je pod światło niby uczony badający klarowność kryształu lub rozszczepialność pryzmatu, natomiast „Wygibus” siedział z Czugą przy stoliku koło dużego okna. Gadali o czymś. Podszedłem.

—... więc mam kupić ten amulet i tę bransoletę? — zapytał Czuga, pewnie któryś raz z rzędu.

—Musowo! — mruknął barman, przytykając szklanekę do warg i lękając coś zielonego.

—Czemu tak myślisz, Arnoldzie?

—Bo ci dobrze życzę, głupku.

—Ja też sobie dobrze życzę, tylko mam stracha, nie chcę być oskubany.

Babsztyl mi wmawia, że dzięki tej bransolecie i temu poświęconemu kamykowi znikną mi krosty, i wągry, i opuchlizna

nosa, i włosy się trochę wyprostują, i „Pyza”... no, kapujesz?...

—Kapuje, Czuga, kapuję — przytaknął „Wygibus”. — „Pyza” nie będzie dłużej cię odpychać, wskoczy ci do łóżka piorunem.

—Więc mam uwierzyć, mam kupić?

—Jasne, robaczku. Wierzyć trzeba nie tylko w siebie, ale i w zaklęcia oraz amulety. Kup ten magiczny kamyk i tę bransoletę, i wygłoś tekst zaklęcia magicznego. Później stań przed lustrem, przymknij oczy i powtórz dwanaście razy: „ — Jestem pięknym, młodym i bogatym Rumunem! Jestem pięknym, młodym i bogatym Rumunem! Jestem pięknym, młodym i bogatym Rumunem!...”.

—Aż do skutku?

—Aż do otwarcia oczu, baranie, do wybudzenia ze skretynienia, Czuga.

Myślałem, że Rumun dzieli kpiarza swoją maczetą podręczną, więc wkroczyłem pytaniem pacyfikującym:

—Nie wiecie gdzie jest „Zgaga”!

Wykidajło siedział skulony, zaciskając pięści, i nawet nie podniósł wzroku, a barman machnął ręką:

—Nie widziałem dziś wielebnej „Dupy biskupa”, zapytaj Józefa, „Student”.

Ruszyłem do baru, gdzie dwóch cudzoziemskich marynarzy perorowało radośnie, bez wątpienia o Hitlerze, gdyż ciągle wymieniali nazwisko „Führera”.

—Po jakiemu oni gadają? —zapytałem.

—Po łotewsku —wyjaśnił mi „Filozof”, zgrzytając zębami.

—Nie denerwuj się, może plują na Adolfa...

Przynajmniej jeden znał niemiecki, bo krzyknął:

—Kameraden, dajcie spokój, my kochamy waszego Adolfa!

Drugi wtórował wyprostowaną ręką i rozwartą japą:

—Heil, Hitler!

Splunąłem im pod nogi (a konkretnie pod „gwoździe”, na których

siedzieli), czym wzbudziłem ich złość. Pierwszy zawarczał:

—Jesteś komunistą?!

—Jestem antykomunistą, Łotyszu!

—Więc co ci się nie podoba u waszego Führera? My, Łotysze, cały naród, kochamy go jak swojego!

—Za co?

—Jak to: za co?! Przecież ten geniusz, ten wódz, ten mistrz...

—Nie ma ludzi doskonałych — burknąłem, ale już miękko, czując, że ta wymiana zdań grozi mi brzydkimi konsekwencjami, bo ci dwaj mogą pójść na Gestapo i kablować.

—Jak to nie jest doskonały? Czego mu brakuje?!

Zapadła cisza, którą zgasił „Filozof”, cedząc przez zęby:

—Po wodzie nie umie chodzić, meine Herren. Jeszcze piwa?

Rzucili dwie monety na blat i wyszli, burcząc jakieś łotewskie złe sylaby o naszym braku entuzjazmu. „Filozof” miał niewyraźną minę:

—Szef by mnie wykopał, gdyby wiedział. Muszę się wziąć za pysk i nie kłapać dziobem, tobie też radzę, „Student”, bo dostaniesz szlaban, Satin jest już bardzo blisko tego.

—Wódz zbyt lubi Satina.

—Lubi nie lubi, a wypieprzy, gdy Satin dalej będzie się produkował politycznie metodą śmichów-chichów.

Politykowali wówczas ozorami prawie wszyscy Germanie; wchłonięcie Austrii („Anschluss”) tak bardzo ich uskrzydliło, że tęsknili do wojny, lub przynajmniej wojenki, dla dalszego rozszerzenia granic. Wczesnym latem 1938 roku ów smród pachniał już nie tylko jesiennym Traktatem Monachijskim i zagarnięciem Czechosłowacji, lecz i przyszlórocznym atakiem na Polskę. Wśród cudzoziemców też nie brakowało wielbicieli drapieżnego Adolfa, duet łotewskich majtków nie stanowił wyjątku. Fanem „Führera” był pewien klient „Pod wesołym trampem”, midshipman Jego Królewskiej Mości, rudy Walińczyk lub Irlandczyk, o którym

mówiliśmy: „Szkot”, bo sam się kpiarsko podawał za Szkota, by usprawiedliwić fakt niedawania napiwków. Kwasime, której nigdy nie brakowało bezczelności, jako jedyna przygadała mu, pytając:

—Ty, rudy pan oficer! Czemu ty nie dawać napiwków?!

Uśmiechnął się do niej ciepło i rozbroił wszystkich żartem:

—Czarnulko, wiesz kto wynalazł drut miedziany? Szkoci, gdy wyrwali sobie jednego pensa.

Mniej skąpy był może wobec „Pyzy”, którą emablował poza lokalem, a „Cygan” udawał, że nic o tym nie wie, chociaż wiedzieli wszyscy, gdyż Kwasime rozpowiedziała sekret tamtej całemu światu. „Zgaga” któregoś dnia czepił się „Szkota” a propos, rzecz jasna po kilku głębszych:

—W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, miarkuj żądze swoje nieczyste wobec siostry naszej tu obecnej, byś nie trafił do otchłani piekielnych, czerwonołoso grzeszniku!

—Co ty bredzisz, klecho?! —zdenerwował się midshipman.

—To naciągacz — objaśnił „Szkota” barman Arnold. — Chce, moczymorda, wyludzić flaszkę lub choćby kielonek, więc ci grozi.

—Grozi? —zdziwił się „Szkot”. —Czym?

—Że pójdziesz do piekła, bo sabotujesz przynależną Brytolom „moralność wiktoriańską”, konkretnie: rypiesz „Pyzę”.

„Szkota” zatkało, a rozbawiony Satin przyszedł mu w sukurs:

— Panowie, to zupełne nieporozumienie! Sądy o brytyjskiej moralności ery królowej Wiktorii są mitologią! Według danych policyjnych sam Londyn miał wówczas 2119 burdeli, zaś liczba stołecznych prostytutek sięgała 50 tysięcy chętnych pań.

—Bidujących pań! —krzyknęła „Mama Klara”. —Robiły to z głodu!

—Właśnie mówię — przytaknął Satin. — Z głodu seksu, czyli z nieodzowności karmienia chuci, prawda?

—Nieprawda, łajdaku! —ryknęła „Mama Klara”, wspomagana przez piszczącą gniewnie „Gitarę”.

—Piękna liczba, 2119, ho, ho! — zauważył „Wygibus”. — Skąd ty znasz tak precyzyjne dane, Satin?

— Wczoraj czytałem rozprawkę socjologiczną o materii publicznego zepsucia, przyjacielu.

—Akurat wczoraj?... Jak znalazł!

—No.

— I gdybym cię spytał ilu jeńców wziął Macedończyk pod Gaugamelą, wymieniłbyś liczbę co do jednego brańca, panie magik...

Satin wzniosł oczy ku drewnianemu sufitowi, milczał kilka sekund i kiwnął głową:

—Wiesz, sceptyku, to nie jest wykluczone, ale bądź tak uprzejmy i nie pytaj.

## 52.

### **Pochwała głupoty**

#### **i - *“Mój królu złoty”***

Żydzi twierdzą, iż Hitler był największym zbrodniarzem ziemskiego padołu — największym ludobójcą — bo mają w tym interes. Ale to wątpliwe, chociażby liczbowo. Jednak czy cyfry to właściwe kryterium do typowania „naj”? Jako globtroter, znawca krain egzotycznych, mogę twierdzić, że wśród drzew największą powierzchnię korony (1,2 hektara) ma figowiec bengalski, a największą grubość pnia (obwód przy ziemi: 50 metrów) — cypryśnik meksykański. Że największym kwiatem (1 metr średnicy, 9 kilogramów wagi) jest sumatrzańska „*rafflesia arnoldi*”, a najwyższym kaktusem (19,2 metra) meksykański „*pachycereus pringlei*”. Lub że rekordowe nasiono (90 centymetrów obwodu, 25 kilo wagi) daje seszelska „*lodoicea maldivica*”. Jednak przy

oceniu urody kobiet, czy też urobku morderców, nie pasuje żadne liczbowe „naj”. Dla większości Niemców czwartej dekady stulecia XX Hitler był „naj” pod każdym względem, zwłaszcza pod względem geniuszu.

Dzisiaj, kiedy piszę te słowa, socjologicznie i politycznie (choćby partyjnie) wszystko zmierza lub dryfuje do centrum, a w rozwiniętych państwach tak zwana „klasa średnia” objęła już 60% ludzi, gdy za czasów moich studiów nie było jej nawet 30% (w pierwszych latach XX wieku —20%). Już kilkadziesiąt lat temu uwzględniła ową ewolucję socjologia, wprowadzając jako model stratyfikacji społecznej cebulę miast piramidy. Hitler jeszcze nie zaokrąglił piramidy, lecz mocno ją ociosał, zwiększając liczebność „klasy średniej” i poprawiając wyraźnie byt „dołów”. Proletariat niemiecki, ogromny, miał się „klawo” pod każdym względem (pensje, wczasy, opieka medyczna, bezpieczeństwo itp.), tedy wielbił „Führera” niczym boga. Gdyby ten kretyn nie rzucił się zbrojnie na cały świat i nie wytoczył totalnej wojny Żydom, czyniąc swą drogę urzeczywistnieniem szyderczej parafrazy tytułu jego gniotą literackiego („Mein Kampf gegen Juden”<sup>\*\*\*</sup> — „Moja walka przeciwko Żydom”) — byłby dziś wielbiony przez opinię publiczną, akademicką, historiograficzną i salonową całego globu jako jeden z największych „mężów stanu”, chluba ludzkości.

Właśnie wtedy, kiedy hitlerowska безпеka zaczęła mnie szantażować, by zmusić do kolaboracji erotycznej — zniknęły ostatnie hamulce powstrzymujące Hitlera przed rozpętanem wojennego pandemium. Siłą realnie powstrzymującą mogły być wyższe sfery wojskowe — korpus oficerski. Tak, te same pułkownicy i generały, które miały się relaksować w elitarnym ośrodku kurortu Germanshaven, i których żony ja miałem rznąć gwoli inwigilacji mężów, ergo: dla kontrolowania ich przez reżim. Wśród tych armijnych kręgów dowódczych nie brakowało hierarchów

rozumiejących, iż „Führer” to „austriacki kapral”, nawiedzony parweniusz, szaleniec, i że jego militarne ambicje mogą wykopać grób Niemcom. Jednak pyszałków ogarniętych agresywnym (ekspansywnym) patriotyzmem było dużo więcej, dlatego nieśmiałe próby tonowania bestii przez rozsądnych sztabowców nic nie dały. Dopiero kilka lat później, gdy na wszystkich frontach wojna przybrała zły obrót — wyższe sfery militarne chciały usunąć Hitlera siłą (Rommel, Stauffenberg e tutti quanti), co się jednak nie powiodło, hitlerowcy utopili przewrót we krwi spiskowców. Amerykańskim generałom taka gra wyszła lepiej, gdy playboyowaty prezydent Kennedy i jego równie „liberalny” braciszek odrzucili sztabowy plan „Trinidad” (militarne wyzwolenie Kuby spod czerwonego terroru Castrowskiego), by realizować głupią, nieodpowiedzialną, amatorską koncepcję, która zakończyła się szybką klęską w Zatoce Świń — obu braci cicho skazano i głośno zastrzelono. Niemieccy generałowie, którzy obawiali się amatorszczyzny Hitlera, nie umieli „posprzątać” dyletanta i całego problemu. Ich słabość zwiększał fakt klakierowania Hitlerowi przez niemieckie sfery dyplomatyczne. Właśnie w roku 1938 dymisję dostał szef Ministerstwa Spraw Zagranicznych Konstantin von Neurath, cierpliwie ostrzegający Hitlera przed rozpętywaniem pożogi światowej. Zastąpił go jako szef MSZ-u fanatyczny nazista, który tęsknił do wojny — Joachim von Ribbentrop.

Gdy idzie o politykę wewnętrzną — Hitler był zrazu zaprzeczeniem kretyna. Cudownie porywał masy megaspektaklami, które tumaniały tłum, wlepiając Niemcom poczucie bycia „wybranym narodem”, mistrzowsko czynił z demokracji prostytutkę, i fenomenalnie — jak nikt przed nim (a równolegle tylko Stalin) — realizował nauki geniusza strategii politycznej, Machiavellego. Wszystkie: że racja stanu ma absolutne pierwszeństwo przed moralnością, więc polityk albo jest niemoralny, albo nieudolny; że sprawując władzę, trzeba

bezwzględnie odrzucać Boga, skrupuły, prawdę i poczciwość, gdyż tylko zły człowiek może skutecznie prowadzić naród; że nie tylko interes państwa, lecz i własny interes rządzącego uświęca wszelakie środki, choćby najwstrętniejsze, gdyż polityka to brudna robota, a brudnej roboty nie wykonuje się w białych rękawiczkach; że patetyczne brednie o prawie i bezprawiu, humanitaryzmie i bestialstwie, honorze i dyshonorze, godności i wredności, są wyzbyte sensu, bo główną wartością stałą jest ludzka, lepiej czy gorzej skrywana podłość, więc swobodnie można się odwoływać do najniższych instynktów i kryptouczuć szerzeniem kłamstw, judzeniem, stosowaniem nikczemnych metod. Ten mechanizm — uświęcony przez Machiavellego haselkami „ragione di stato” i „necessita” — działał perfekcyjnie. Rozsypał się dopiero pod bombami aliantów.

Tak więc, summa summarum: Hitler, przez swój kaprański kompleks wojenny, nie został dla potomności wybitną jednostką, świetlistą gwiazdą, herosem, zbawcą narodu, tylko psychopata, ludobójcą, idiotą. Diabłem wcielonym. Kiedy Betty zaciągnęła mnie do kina na komedię z braćmi Mara, poznałem frażę Graucho Marxa bardzo adekwatną wobec Hitlera: „On może wyglądać jak idiota, i mówić jak idiota, lecz niech cię to nie zmyli. On naprawdę jest idiotą”. Dlatego nie dziwiło mnie, że chociaż Satin — mający przecież, co już widziałem nader jasno, tyle powiązań z tajną bezpieczniacką agenturą hitlerowców — gardzi Hitlerem, jednak równocześnie fascynuje go osobowość „Führera” kryptogłupca. Było to zgodne z jego pasją badawczą, tak silną, że wręcz hobbystyczną, tycząca głupoty. Swoją miłość do tej bogini wyłożył nam któregoś dnia w „Pod wesołym trampem”, przy kieliszku:

— Jestem wielbicielem głupoty ludzkiej, bracia! Każdy ma swojego idola, faceci jakieś figury historyczne, baby jakieś gwiazdki filmowe, gówniarze jakichś kowbojów i muszkietierów, a smarkule jakichś



wyjców estradowych. Moją miłością zawsze będzie ludzka głupota. Kocham jej niewyczerpaną pomysłowość. Niby wynalazła już wszystko przez minione tysiące lat — biliony i tryliony kretynizmów, i to we wszystkich wariantach niuansowych — a jednak nie, wciąż jest zdolna do nowych, oryginalnych produktów. Tkwi we mnie chętką, lub coś więcej, pasja obserwowania jak moja ukochana wynajduje nowości, świeże kreacje debilizmu ludzkiego. Patrząc na nie, cmokam z zachwytem, biję oklaski i szepczę czule, niby kochanek swej hołubionej dziwce: brawo, mała, spisałaś się znowu, jesteś cudowną kurwą, wartą szczerozłotego pomnika, platynowego medalu, diamentowej korony i multikolorowej tęczy. Ave, caryco!

Kiedy się dzisiaj przyglądam światu — trudno mi nie dać racji Sarinowi. Rządy tej bogini (Głupoty przez duże G), trwające od jaskiniowych czasów, nabierają już cech groteskowych i form gnilnych w takim stopniu, że jedyną trafną paralelę wydaje się wesoło rozhuśtane szambo. Jest w tym zresztą jakaś dziwna metafizyka — ideologiczna kolebkowość włoska: dwie główne doktryny zupełnego sparszywienia gatunku, doktryna polityczna (totalny cynizm) i doktryna kulturowa (totalny permissywizm), wyszły z Włoch. Machiavelli i Gramsci. Zdumiewające. Choć może nie tak bardzo — ci Włosi zawsze mieli jakichś Leonardów od wynalazków.

Satin nie popełnił błędu również wtedy, gdy przekonywał „Filozofa”, że Hitlerowi, wrogowi Chrystusa i „Nowego Testamentu”, blisko do „Starego Testamentu”, czyli do okrutnego gromowładcy Jahwe. Uświadomiłem to sobie, kiedy historyk z Uniwersytetu Halle, Henrik Eberle, znalazł w Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojskowym (RGWA) listy będące fragmentem łupu, jaki krasnoarmiejcy wywieźli A.D. 1945 z kancelarii Hitlera. Prawie 150 tysięcy pełnych uwielbienia listów, które Niemcy ślali „Führerowi” aż po 1944 rok. Gdy je opublikowano

(„Briefe an Hitler. Ein Volk schreibt seinem Führer“), wielu czytelników przeżyło szok, ponieważ wielu piszących łączyło kult „Przewodnika”, czyli Wodza, z kultem Boga-Ojca, czyli Stworzyciela. Hitleryzm negował i rugował Chrystusa (jako Żyda), lecz nie dyskredytował Przedwiecznego, traktując go jako Aryjczyka — echo tej koncepcji rasowej brzmiało we frazach opublikowanych listów. Wskrzeszam teraz zdarzenia z roku 1938, więc dla przykładu zacytuję list z tamtego właśnie roku, pisany do „Führera” przez Wiedeńczyka Karla Jorde: „Wierzę w Boga-Ojca, wszechmogącego Stwórcę nieba i ziemi, tudzież w Adolfa Hitlera, syna Jego wybranego, by wybawić naród niemiecki od zmijowego pomiotu Żydów i klechów (...) Amen”.

Jakkolwiek Satin, gdy go dziś wspominam, budzi mój nieugaszony gniew — przyznać muszę, iż miał wiele racji tokując mentorsko, choć wtedy co druga jego perora wydawała mi się stekiem popisowackich błazeństw lub pseodo-filozoficznych bzdur, i tylko jego zdumiewająca erudycja nie budziła moich wątpliwości. Ze wstydem wyznaję, że nawet rady, które dawał względem kobiet (głównie jeśli idzie o Bettinę Zurfurst), nie miały się z sensem i z rzeczywistością, aczkolwiek wówczas drażniły mój słuch niby mądralski bełkot, stąd nie traktowałem ich tak serio, jak na to zasługiwały. Uczyl mnie:

—Strzeż się bezwzględności bab, przyjacielu. Znaczymy dla nich niezbyt wiele, wbrew pozorom. Facet to jest to coś przyczepione do członka. Tylko fiut się liczy, rozumiesz?

Nie rozumiałem. Ani nie brałem poważnie takich jego „treserskich” nauk:

—Kobietą trzeba się stale zajmować, jak psem, inaczej dziczeje, chce zwiać, więc rozgląda się, bo jeszcze nie wie do kogo, brachu. Prędzej czy później się tobą znudzi.

Puszczałem te gadki mimo uszu, bo padały przy kieliszku, w

knajpie „Cygana”, ale jeszcze bardziej dlatego, że ile razy spocony wyciągałem sflaczałe berło z ciała pani Zurfurst i osuwałem się na plecy przy jej boku, szeptała mi słodko, głaszcząc czule włochatą pierś:

—Mój królu złoty!...

### 53.

#### **Do Ewy Braun bez zdejmowania gaci, czyli narastanie konfliktu**

Tyczący Hitlera, kontrrasistowski dowcip z czasów wojny (że jest stuprocentowym blond Aryjczykiem o błękitnych oczach) nigdy nie przywoływał mi komicznej wizji a la żart, którym „Wygibus” ukłukł Czugę — nie wyobrażałem sobie Hitlera stojącego przed lustrem, zamykającego oczy i powtarzającego bez końca: „ —Jestem rosłym i pięknym blondynem! Jestem rosłym i pięknym blondynem! Jestem rosłym i pięknym blondynem!”. Również późniejsze dywagacje niektórych historyków, że Zagładę Żydów realizował szef SS Heinrich Himmler bez wiedzy swego „Führera” (gdyż nigdy nie znaleziono żadnego rozkazu czy innego dokumentu o Holokauście podpisanego przez Hitlera) — nie przywoływały mi sylwetki Piłata umywającego dłonie, chociaż „adwokaci” Hitlera lansowali takie właśnie jego emploi, dla zdjęcia zeń części odium.

A propos Piłata: chciałem skonsultować u Hellera pewne problemy pracy semestralnej, to jest detale obrazu Ciseriego, lecz nim przestąpiłem próg gabinetu profesora, on akurat wyszedł stamtąd razem z Satinem, któremu mówił:

—... I będzie pan łaskaw nie zapomnieć, panie Retea, że pracę trzeba złożyć najpóźniej w czerwcu, a to już mało czasu. Zmiana

tematu nie powoduje przedłużenia terminu, jasne?

—Całkowicie, panie profesorze —odparł uprzejmie Satin.

—I jeszcze jedno, panie Retea... —rzekł Heller, zatrzymując się przy wejściu na klatkę schodową. — To sprawa trochę mnie krępująca, jednak muszę zapytać...

—Proszę bardzo.

—Doszły mnie słuchy... to znaczy... mówiono mi w dziekanacie, że pan wykończył mojego poprzednika, profesora Bleiberga... Czy to prawda?

—Nieprawda, panie profesorze.

—Więc to tylko plotka?

—Zaistniał między nami drobny konflikt, małe nieporozumienie, to wszystko.

—Konflikt o co? O sztukę?

—Między innymi o sztukę, a ściślej mówiąc: o metodę wykładania sztuki.

Heller zrobił minę wielce zdziwioną:

—Profesor Bleiberg był uznanym autorytetem, kochał malarstwo i grafikę, zwłaszcza drzeworyty, zebrał dużo średniowiecznych drzeworytów...

—Panie profesorze, ja nie mam i nigdy nie miałem nic przeciwko temu, by imbecyl kochał sztukę. Żądam tylko, by robił to nie zabierając głosu.

Hellerowi „opadła szczęka”, mruknął coś i pobiegł schodami na piętro, z czego skorzystałem, by zapytać Satina o „duszpasterza”:

—Gdzie jest „Zgaga”? Szukam go już drugi dzień!

—Słyszałem, że go szukasz, i wiem dlaczego ci się nie udaje, bo znam melinę gdzie „Dupa biskupa” ma akurat trans pijacki kilkudniowy, natomiast nie bardzo wiem po co ten pijak jest ci konieczny, przyjacielu?

—„Cug” kilkudniowy? On nie pił już tyle czasu, nie brał do ust ani

kropli, tak jak mu kazałeś...

—Ale teraz ma pewien kłopot, i wymyślił, że jak zafunduje sobie delirium tremens, to pewni ludzie się od niego odczepią.

—Sądzę, że wzmiankujesz tych samych ludzi, tych samych drani, którzy przyczepiają się do mnie, Sat! — warknąłem przez wyszczerzone zęby. —Moglibyście się odpieprzyć, kolego!

Satin „udał Greka”:

—Jakich drani?

—Daumerga i jego zbirów! Masz z nimi ścisły związek, prawda?

—Dużo ściślejszy ma twój stryj Gabriel, stypendysto. Jeśli dobrze pamiętam —on cię utrzymuje, płacąc ci rodzinne stypendium...

—Przysięgnij, Satin, że ty nie masz związku z Gabrielem, Daumergiem tudzież ich agentami!

— Ooch, harcerzyku! Ja mam sentymentalny związek ze wszystkimi, kocham całą ludzkość.

—Nie, Satin, ty kochasz wyłącznie jedną osobę, tę z lustra!

Roześmiał się szeroko:

—Matt, przyjacielu, gadasz brednie! Jestem jak Alicja, zawsze byłem bardziej ciekaw co tkwi po drugiej stronie zwierciadła, wewnątrz ludzkiej duszy. Gdy już o tym mówimy, kłaniaj się ode mnie swojej Alicji, książę, mam nadzieję, że u niej wszystko gra...

—Identycznie jak u mnie, czyli jak w rozklekotanej katarynce, łajdaku! — wywaliłem wprost. — Oboje jesteśmy co i rusz szantażowani!

—Mówiłem już, twój kumpel Daumerg.

—To nie jest mój kumpel, tylko znajomy. I czego chce od ciebie ten pan?

—Żebym rznął oraz inwigilował połowice hierarchów, którzy będą wypoczywać w nowym ośrodku kierowanym przez Bettinę, słowem: abym robił to, do czego przygotował mnie Satin Retea.

—I gdzie tu problem?

—Problem polega na tym, że ja nie mam upodobań pana Retea, nie lubię rznąć białogłów sędziwych!

—A kto ci powiedział, że będziesz musiał rznąć staruszki, przyjacielu? Daumerg? Nie wierzę.

—Małżonki dostojników są zazwyczaj nie pierwszej młodości, prawda?

—Kompletna bzdura.

—Jak to bzdura?

—Zwyczajnie. Widzę, że nie masz bladego pojęcia o małżeństwach dygnitarzy, zresztą nie tylko dygnitarzy Rzeszy, lecz wszelkich dostojników na całym świecie, kolego. To jest rytualny płodozmian. Gość robiący karierę odmładza się rznąć sekretarki, a kiedy już solidnie awansuje po pięćdziesiątce —zmienia żonę na nowy model, młodszy o trzydzieści lat. Bonzowie będący blisko szóstego krzyżyka nieraz mają już trzecią żonę. Fakt, że bywają wyjątki i jakies staruchy też tutaj przyjadą, lecz tymi zajmie się „Filozof”, albo ktoś inny niedyskryminujący sędziwych białogłów.

—Jego również wciągnęliście w tę parszywą grę?

—Bez trudu. On nienawidzi dygnitarzy Rzeszy za ich antysemityzm, więc będzie rznął ich małżonki z rozkoszą, traktując to jako zemstę, najchętniej ciupciałby Ewę Braun. A one z rozkoszą się temu poddadzą, bo nienawidzą swoich mężów za ich niewierność. Wyciągać od tych starych kwok informacje czy cenne papiery będzie łatwiej niż filatelistom przychodzi kupowanie cennych znaczków.

—Te młodsze, te poślubione sekretarki, również nienawidzą mężów, mądralo?

—One nimi gardzą, wyszły za nich nie dla prestiżu, głównie dla forsy. Według tych lalek, mąż to nawet nie jest to coś przyczepione do fiuta, lecz to coś przyczepione do portfela, liczy się pugilares. Lubią się cichcem rznąć z młodziakami, bo panowie mężowie mają

już kiepską wydajność, taki los, każdy jebur pierniczeje wskutek upływu czasu. Zaś pogarda, o której wspomniałem, ułatwiać ci będzie wyluskiwanie informacji, Matt, laleczki kochają bruździć swoim panom i władcom, to swoista awersja samic do męskiego małżeńskiego terroru i monopolu. Odwieczny bunt aniołów, rozumiesz?

Nie wszystko zrozumiałem, tedy zapytałem, prawem człowieka nierozumiejącego:

—Jaka jest przyczyna, Satin? Przyczyna werbunku akurat mojej osoby, szczerze!

—Przyczyna? Jedna? Mój dziadek, chociaż jest tylko historykiem amatorem, słusznie twierdzi, że historykowi, który gada o przyczynie, a nie o przyczynach, należałoby skasować dyplom i wzbronąć uprawiania zawodu. Przyczyn jest kilka, to normalne.

—A główna?

—Duży fiut. Taki gruby penis rozkleja baby do imentu, lepiej niż kliwie romansidła czy łzawe filmy. Zupełnie miękna. Jesteś wybrańcem bogów, Matt, i dlatego zostałeś wybrany przez szczwanych poddanych wielkiego impotentu, który czasami, nie zdejmując spodni, pieści dłonią Ewę Braun. Ewę nazistowskiego Raju, która Adamowi tego Raju również robi przyjemność dłonią.

—Wyśmiewasz się z nich i służysz im?! —krzyknąłem.

—Wszystko gwoli ubawu, przyjacielu. To mój Kościół — zabawa! Bez niej umarłbym z nudów, czyli najgorszą śmiercią, wołałbym żywcem się palić niż nudzić.

Zapadła cisza, ale on wiedział, że jeszcze nie wyartykułowałem ostatniej kwestii, czekał na nią, patrząc mi ciepło w twarz. Szukałem właściwych słów, aby dobrze to sformułować. Gdy znalazłem (szczególnie słowo: „piramidalny”), powiedziałem krótko:

—Nikt tam u was jeszcze nie zauważył, że to piramidalny nonsens?

—Czemu?

—Zmuszanie do roboty szpiegowskiej Polaka, i to nie lubiącego hitlerowców, czyli wroga, jest chyba wbrew elementarnym regułom bezpieczeństwa tajnych służb, nie mam racji?

—Nie masz, logiku —wygłosił Satin, dalej czarując uśmiechkiem. — Mówiłem ci przed chwilą, że nigdy nie istnieje jedna przyczyna, zawsze kilka, twoja polskość była kolejną z przyczyn. Bo łózkowa działalność grozi wpadką łatwiejszą niż gdzie indziej, to jak taniec w hamaku. A tu wpadka może wywołać furię rogaczy-dygnitarzy, czyli skończyć się prawdziwą burzą, ergo: chłopcy ze „służb" mogą dostać dymisje, lub mogą ich nawet spotkać gorsze represje, jak obóz Dachau. Tymczasem gdy wpadnie Polak, zwali się wszystko na tego szalonego Polaczka bawidamka, na żigolaka kłusującego po kurortach, któż nie zna tych kurortowych pasożytów? Bezczelny Polaczek to cudowne alibi, i choćby gadał jakieś niestworzone rzeczy o tajnych służbach, o misji, o szantażu, nikt nie uwierzy w takie kłamstwa, uwierzy się funkcjonariuszom Rzeszy, którzy są służbistami, a nie mitomanami, „—Heil, Hitler!".

—Czyli zostanę aresztowany, a ci, którzy mnie pchnęli do tej roboty, Daumerg i spółka, zamiast mnie ratować, będą mnie oskarżać, lub przynajmniej umyją ręce niczym Piłat, i szlus!

—Nie bądź krańcowym pesymistą, twoja głowa, byś nie wpadł, tylko osiągnął sukces. Góra trzy lata, zyskowe lata, oni będą ci ładnie płacić. Skończysz studia i wyjedziesz bogaty jak krezus.

Gdy wszedłem na klatkę schodową, dobiegł mnie głos Satina:

—Pamiętaj, że jestem po twojej stronie! Inaczej nie wyjawilibym ci aż tyle, chyba zbyt dużo!



**Święty Piłat Poncjusz**  
**wyklucza wszelką niemożliwość**

Tak jak zapowiedział Satin — od antykwariusza Burgera dostałem całe pudło tekstów dotyczących Piłata. Wręczając mi je, pułkownik pozwolił sobie na żart:

— Prawie wszystkie to dzieci wdowy, mojej bogini, młody człowieku.

— Dzieci masońskiej wdowy?

— Nie, dzieci bogini fałszerstwa. To głównie teksty apokryficzne. Dobre apokryfy pseudo-ewangeliczne i pseudo-historyczne bardzo trudno odróżnić od autentyków. Podobnie jak genialne fałszerstwa. Moich gemm, lub rzekomo starych map, nie sposób demaskować, są wykonane mistrzowsko.

Wertowanie tekstów z biblioteki Burgera uświadomiło mi, że Satin miał słuszność mówiąc, iż przed Hitlerem nikt nie był większym antysemitą aniżeli Piłat. No, może tylko jego protektor, Sejan, lecz Sejana dzisiaj nikt nie pamięta, a Piłat to powszechnie symbol, godło, logo. Sejan (Seianus Lucius Aelius) był faworytem, ministrem, prawą ręką cesarza Tyberiusza, wszechwładnym wodzem straży pretorskiej, czyli żandarmerii reżimu. Jak nienawidzący Żydów Himmler (Reichsführer SS und Chef der deutschen Polizei) u Hitlera. Nienawidząc Żydów — Sejan mianował prokuratorem okupowanej przez Rzymian Judei wyznającego tę samą wiarę Piłata. Im bardziej wgłębiałem się w teksty pożyczone z antykwariatu, tym słabiej interesowały mnie kolumny, które namalował Ciseri, i malarski temat pracy semestralnej, gdyż coraz mocniej absorbował mnie sam Piłat Poncjusz i jego los. Zacząłem sobie uświadamiać, że ten dygnitarz imperium stanowi swoisty

zwornik wszechświatowego sklepienia antysemityzmu, niejako klucz do zrozumienia tradycyjnego antagonizmu między judaizmem a chrześcijaństwem.

Łacińskie mię Pilatus (Pontius Pilatus), które ma źródłosłów „pilum” (włócznia), świadczy, że wywodził się ze stanu rycerskiego. Swój prokuratorski urząd w Judei sprawował przez dekadę (26-36 rok). Od chwili powitania rozsierzdzą! Żydów bez pardonu. Nawet wyżsi rangą Rzymianie, zwierzchnicy gubernatorów i prokuratorów Judei — prokonsulowie Syrii — nie ośmielali się wprowadzać rzymskich insygniów w mury świętej dla Żydów Jerozolimy, a Piłat bezzwłocznie wszedł tam ze sztandarami i godłami cesarza, co pchnęło Żydów do tumultu. Nie przejął się i spacyfikował wyjących żelazem. Później zagarnął żydowskie fundusze świątynne (tzw. „skarb Świątyni”), by budować dzięki nim akwedukt; protesty surowo tłumił. Uprawiał tę kontrżydowską grę każdego roku. Aż przesadził. Dokonał rzezi Samarytanów zebranych religijnie na górze Garizim. Zwierzchność uznała to za wyborny pretekst, by go odwołać — legat Syrii, Vitellius, kazał Piłatowi wrócić do Rzymu i tłumaczyć się z nadmiernego okrucieństwa. Autentycznym powodem był wcześniejszy (31 rok) krwawy upadek Sejana, któremu władza przewróciła klepki: pragnął osobiście zastąpić Tyberiusza jako cesarza, lecz Tyberiusz się zorientował i pierwszy uderzył. Bez „parasola”, który daje mocarny protektor, Piłat stał się figurą słabą. Historiografia pogańska starorzymska nie chciała się nim zajmować odkąd dano mu dymisję — zniknął z jej kart. Tę lukę wypełniły historiografia chrześcijańska tudzież literatura apokryficzna, i to jak szczerze! Szczerze, bo w ramach walki krzyża przeciwko gwieździe Dawida, walki trwającej kilkanaście wieków.

Prócz historiografii starorzymskiej (tej scjencycznej, jakkolwiek względnie ergo nieufnie należałoby traktować ów przymiotnik) oraz historiografii chrześcijańskiej, m.in. apokryficznej (nieufność

wobec której jest obowiązkowa regulaminowo) — mamy jeszcze trzecie źródło do biografii Piłata Poncjusza: historiografię ewangeliczną. Ta trzecia (cztery Ewangelie aprobowane przez Kościół) relacjonuje nam wicie się Piłata, od którego Żydzi żądają, aby zatwierdził werdykt Sanhedrynu, czyli wyrok śmierci na Jezusa. Piłat się wzbrania, sprzeciwia („ — Nie znajduję winy w tym człowieku!"), kombinuje, próbuje ułagodzić Żydów kaźnią, sądząc, iż okrutne biczowanie Jezusa zaspokoi ich mściwość, słowem: robi wszystko, by Chrystus przeżył. Tamci wszelako dostrzegają sposób, by złamać opór Piłata. Przypominają, że Jezus mienił się królem, i to w znaczeniu: król nad królami, tak więc każdy, kto go broni, ubliża godności cesarza. Dygnitarzowi nie wolno lekceważyć takich argumentów — Piłat ze strachu cofa swój sprzeciw, symbolicznie umywając ręce („ — Nie jestem winien śmierci tego sprawiedliwego"). Alibi przerażeniu (być może i sumieniu) wielkorządcy daje fakt, że tłum żydowski wybrał do uwolnienia kryminalistę Barabasza.

Z kolei historiografia starorzzymska przedchrześcijańska nie zajmuje się kłopotami Piłata pragnącego oszczędzić Chrystusowi Golgoty, tylko wzmiankuje bądź relacjonuje jego kadencję dygnitarską. Mamy tu dwóch historyków (Tacyt i Józef Flawiusz) oraz jednego filozofa (Filon zwany Filonem Żydowskim — Philo Judaeus — dla odróżnienia, bo kilku piszących nosiło nazwisko Filon). Tacyt ledwie wzmiankuje Piłata, ale dwaj pozostali rozpisują się, dając wizerunek nikkczemnika/okrutnika, pełnego wszelkich przywar ludzkich. Z tych dwóch źródeł płynie cała nasza (pozaewangeliczna) wiedza o Piłacie historycznym. Została ona już dawno temu wyśmiana przez historiografię chrześcijańską jako stek żydowskich kalumni (bo Józef Flawiusz był również Żydem). Autorzy chrześcijańscy zapytali: czy można traktować pisaną przez Żydów biografię antysemitę jako wiarygodną? I stworzyli zupełnie

odmienną biografię, tak mocno hagiografującą Piłata Poncjusza, że dała mu w końcu formalną aureolę świętego! Notabene: ten nurt historiografii, rehabilitujący Piłata — za pierwszych dziejopisów, którzy oddają mu sprawiedliwość, uważa właśnie Ewangelistów pokazujących jego walkę, by uratować Jezusa. Adwersarze takiej tezy niezmiennie uważali, że to czysty idiotyzm, bo cała walka Piłata o Jezusa była droczeniem się prokuratora z Faryzeuszami (elitą żydowską), których nienawidził szczególnie, więc bruździł im gdzie tylko mógł.

Pierwszym chrześcijańskim autorem, który głosił na temat Piłata rewolucyjne tezy (że Piłat został chrześcijaninem), był pisarz, prawnik i filozof Tertulian (II/III wiek), drugim zaś historyk Kościoła, Euzebiusz z Cezarei (III/IV wiek), według którego imperator Tyberiusz pod wpływem Piłata chciał włączyć Jezusa do panteonu bogów, lecz następca Tyberiusza, Kaligula, zdecydował inaczej, a Piłata skazał na śmierć samobójczą w roku 39. Tak też (samobójstwo) twierdził inny dziejopis Kościoła, Rufin z Akwilei (IV/V wiek), chodziło mu wszakże o dobrowolne samobójstwo, wskutek wyrzutów sumienia. Z kolei św. Augustyn (IV/V wiek) napomyka, że Piłat uwierzył w boskość Chrystusa i porównywał go do mędrców Wschodu.

Średniowiecze przyniosło zalew tekstów apokryficznych dających rozmaite, często kuriozalne informacje o Piłacie. Razem się zwie tę literaturę „Cyklem Piłata” bądź „Aktami Piłata” („Acta Pilati”, „Acta et citationes ad Tiberium”, itp.), a składają się na ów „serial” rzeczy, którym dano tytuły: „Dzieje Piłata”, „Raport Piłata”, „Korespondencja Piłata i Heroda”, „Wydanie Piłata”, „Męczeństwo Piłata”, „Śmierć Piłata”, „Ewangelia Nikodema”, itp., itd. „Śmierć Piłata” weszła nawet w skład głośnej „Złotej Legendy” dominikanina, arcybiskupa Genui, Jakuba de Voragine (1255/1260). Czytamy tam, iż skazany przez cesarza na egzekucję Piłat uprzedza ją

samobójstwem, a gdy jego ciało zostaje wrzucone do Tybru, złe duchy powodują straszną burzę i rzeka wypływa zwłoki. Rzymianie tedy wiozą je na północ i wrzucają do Rodanu, ale demony nie chcą ustąpić i historia się powtarza. Wreszcie jezioro koło Lozanny przyjmuje ciało, które rokrocznie wypływa w Wielki Piątek, by Piłat mógł obmyć sobie ręce rytualnym gestem, znanym ze skazania Chrystusa. Notabene: szwajcarska góra Pilatus (masyw Alp Berneńskich) jest według innej tradycji miejscem pochówku Piłata, choć Włosi twierdzą, że tym miejscem zawsze było Jezioro Piłata (Lago di Pilati, kotlina Apeninów, region Marche).

„Cykl Piłata” —jako się rzekło —serwuje bulwersujące historyjki. A to o ukrzyżowaniu Piłata na męczeńskim golgotowym krzyżu Chrystusa wskutek spisku Żydów (cesarz każe zdjąć ukrzyżowanego i kurować, więc Piłat żyje jeszcze długo, lecz ginie przez spiskowców); a to o skazaniu Piłata za ukrzyżowanie Chrystusa i o wzięciu jego głowy do Niebios przez anioły (gdy niebiański Głos wróży mu: „ — Będą cię błogosławić wszystkie pokolenia”), a to o sztandarach cesarskich kłaniających się cudownie Chrystusowi w obecności Piłata. Notabene: różne apokryfy różnie przedstawiają śmierć Piłata (trucizna, sztylet spiskowy, ukrzyżowanie, ścięcie, samobójstwo), i różnie ją datują (za Tyberiusza, za Kaliguli, za Klaudiusza, za Nerona). Sporo też mówią o małżonce Piłata, którą pisarz i teolog, Orygenes (II/III wiek), zwie chrześcijanką, i której „Ewangelia Nikodema” dała imię Klaudii Prokulii.

Już biskup Lyonu, apologeta, św. Ireneusz (II wiek), pisał, iż gnostycka sekta karpokracjan szczyliła się portretem Jezusa malowanym rzekomo ręką Piłata — konterfekt ten miał być obiektem kultu. Tymczasem w Kościołach Wschodnich (etiopski, koptyjski) obiektami kultu stali się później sam Piłat (św. Piłat!) i jego żona, która też miała ponieść śmierć męczeńską (stąd Klaudię Prokulię jako męczennicę widzimy nawet w liturgii Cerkwii

prawosławnej).

Obserwując dziś tępione lub przynajmniej marginalizowane przez władze różnych państw gangi neonazistów vel neohitlerowców, dla których Hitler jest bogiem, swastyka godłem, zaś „ — Heil, Hitler!” pozdrowieniem — nie mógłbym sobie wyobrazić św. Adolfa i jego kaplic czy kościołów. Lecz lustrując niewyobrażalnie dziwaczne dzieje ludzkości i tę niewyczerpywalną inwencję faworyty Satana (Głupoty ludzkiej) — zyskuje się pewność, że na świecie nigdy nie będzie aberracji nierealnych, niewykonalnych, niemożliwych, zdarzyć się może wszystko, do ostatniego idiotyzmu.

55.

### **Cztery kultury: picia, palenia, sikania i gadania**

Gdyby dureń Hitler nie pragnął zagłady Żydów i nie bombardował Europy, już dzisiaj byłby, może nie świętym, lecz z całą pewnością świętym patronem antynikotynowców — personifikującym zjawisko sztandarem zakazów palenia, które się teraz szerzą na świecie niby pożar na stepie. On — Adolf H. — był pierwszy. Hitlerowskie ustawy zakazujące palenia w miejscach publicznych wdrożono restrykcyjnie (karano bez litości), a towarzyszyła temu ofensywna propaganda (plakaty uliczne, inseraty gazetowe, kłątwy radiowe) porównująca palaczy („papierosiarzy”) do Żydów, Murzynów, Cyganów bądź innych „brudasów” tudzież „dzikusów”, czyli „podludzi”. Wszystko przez to, że Adolf H. nie lubił papierosowego dymu.

Goście lokalu „Cygana” uwielbiali dym fajek, cygar, cygaretek i papierosów, który się wtapiał w sumaryczną woń knajpy, pełną akcentów garmażeryjnych dobiegających z talerzy i z kuchennego

zapleczu, „bukietów” alkoholowych, dymu lamp oliwnych, potu niemieckich i cudzoziemskich marynarzy, piwnych oparów i beknięć, wreszcie perfum pań i panienek towarzyszących klientom. „Cygan” nie chciał się stawiać reżimowi, więc gdy ustawy antynikotynowe zaczęły obowiązywać, wywiesił napisy: „Rauchen verboten!”. Lecz jednocześnie, by nie tracić klientów, urządził palarnię na dziedzińcyku za knajpą. Każdy, kto pragnął „dyma”, mógł pójść tam i się „sztachać” dwie minuty lub dwie godziny. Wszelako kontroler, który odwiedził „Pod wesołym trampem” (bez wątpienia wskutek donosu), zobaczywszy dziedzińcyk pełen palaczy, uznał go za „miejsce publiczne” i przysolił ciężki mandat. Gdy „Gitara” (wypuszczona przez szefa) próbowała dyskretnie dać mu łapówkę, żeby przymknął oko, uniósł się służbowym honorem (a może wojskowym honorem, był weteranem I Wojny), sklął „Gitare”, zbeształ „Cygana”, tudzież dwukrotnie zwiększył wysokość mandatu. Raptem pojawił się obok Satin i zapytał kontrolera grzecznie:

—Dalej kupuje pan u Żydów?

—Cooo... co takiego?! —wykrztusił zapytany.

— Pańska srebrna dewizka od zegarka została kupiona u Rosenblatta, tylko on takie robi, a pańskie okulary wykonał Moshe Ginzmer, jego oprawki są nie do podrobienia. Chyba że i dewizkę, i okulary znalazł pan na ulicy, podczas spaceru, panie służbisto...

Kontroler szybko bladł, krew odpływała mu z twarzy, a podbródek trząsał się nerwowo, lecz nim usta zdołały coś wykrztusić, Satin punktował dalej:

—No i chyba krawca trzeba, drogi panie, zmienić. Ja wiem, że Izaak Zuckermann bierze tanio, ale szyć u Żydów, u pasożytów, którzy wysysają niemiecką gospodarke niczym semickie pijawki, u parchów, którzy tak denerwują naszego „Führera”...

Pięć minut później „Cygan” i Satin dogadali z kontrolerem

miesięczną, niezbyt dużą stawkę haraczu, i odtąd w „Pod wesołym trampem” palono wszędzie, a gdy czasami zaglądała (wskutek donosu) jakaś niezwykła kontrola, mówiło się, iż cudzoziemscy marynarze nie rozumieją germańskich napisów, lecz właśnie byli strofowani, przepędzani, pouczeni itp. Germanshaven, jako nadmorski salon, pełen międzynarodowej klienteli i kurortowych dygnitarzy, nie chciało awantur, więc brutalność reżimu była tutaj mniejsza niż gdzie indziej. Satin zaś, kiedy go pytaliśmy skąd tak celnie rozeznał gdzie kontroler kupuje, rzekł, nie bez typowego dlań uśmieszku:

— Czytujcie Conan Doyle'a, zgłębiajcie dedukcję Sherlocka Holmesa, to łatwiejsze aniżeli się wydaje, panowie — trzeba po prostu ćwiczyć spostrzegawczość.

—A „Mein Kampf” nie wystarczy? —zapytał zimno „Filozof”.

Wtedy się wtrąciłem:

— Lub coś pośrodku, na przykład „Moja walka z psem Baskerville'ów”?

—Oraz „Studium mojej walki w szkarłacie” —dodał Satin.

—Stulcie japy! —ryknął „Cygan”. —Mówiłem, żadnej polityki, albo wynocha stąd!

„Cygan” nie odpuszczał — hasło „żadnej polityki” stanowiło credo „Pod wesołym trampem”. Trudno było uniknąć tego zakazu, folgowano sobie tylko wówczas, gdy w pobliżu nie widziano szefa. Jak owego wieczoru, gdy do knajpy wtoczył się Satin z Rosjaninem, którego przedstawił mnie i „Filozofowi”:

—Panowie, przedstawiam towarzysza Mitię. Rosyjski matros!

„Towarzysz Mitia” był chudzielcem, łysielcem, okularnikiem, i zupełnie nie wyglądał na marynarza.

—Mitia szuka lokalu, gdzie jeszcze można kurzyć ich wstrętną machorkę —kontynuował Satin. —Więc przyprowadziłem go tutaj, do rajy nikotynowego. Siadaj, Mitia, łykniemy brandy.



W wargach Ruska tkwił tłący się pet, ale Mitia szybko wypluł go pod stół i zapalił świeżego skręta, cuchnącego sianem, suszonym końskim łajnem i cholera wie czym jeszcze. Niemieckim władał biegle, chociaż miał akcent moskiewski, leningradzki, a może ukraiński, nie wiem, nie rozpoznają akcentów.

—Gdzie tu się da odlać? —spytał gość.

—Tam, za tą koralikową kurtynką —wskazał mu Satin.

Kiedy „towarzysz Mitia” zniknął za koralikami, Satin nas przestrzegł:

—Chyba nie ma co próbować z nim rywalizacji w picciu. Rosjanie mają strasznie mocne łby do chłania bez żarcia. Tyle się mówi o tajemniczej duszy rosyjskiej. Jedyłą tajemnicą duszy rosyjskiej jest codzienna ilość wchłanianego alkoholu. Bardzo wysoka, aczkolwiek u różnych osobników różna, zależnie od możliwości nabywczycich i towarzyskich, trudno przewidzieć konkretnie, lecz ja przewiduję, że Mitia należy do czempionów.

—Grubasy mają mocne łby, chudzielcy szybko miękną — wyłożył swój sceptycyzm „Filozof”, który jako barman był ekspertem.

—Żebyś się nie zdziwił! —mruknął Satin, przypijając do „Filozofa”.

Rusek wrócił rozanielony, jęcząc:

—U was taka piękna... no, taka cudna kultura szczania!

—Fakt, sikamy poza gacie —zgodził się Satin.

—Ja nie o tym, towarzyszu! Ja o tym, że tak... no, tak bardzo schludnie! Salon! Kafelki, ręczniczki, mydełka, pachnie wszystko, chce się żyć! Żeby w knajpie, w marynarskiej spelunie, były takie burżuazyjne luksusy, nie dla proletariatu!... Trudno sobie wyobrazić, Sweta Preczysta!

„Filozof” zrozumiał te dwa słowa po rusku czy ukraińsku:

—Jesteś religijny, kolego!

—Gówno tam, religijny! —zaprzeczył Mitia. —Mój świętej pamięci ojciec, profesor patolog, był religijny, ale tylko trochę.

—Jak to: trochę?

—Mówił, że jest zbyt wykształcony, by klękać, lecz zbyt rozsądny, by się wyprostować. Tak mówił.

—Ty zaś mówisz, że wcale nie jesteś religijny, chociaż jesteś prawdziwym komunistą, a nawet stalinistą... — ukłął Satin, napełniając puste szkło alkoholem.

Rusek nie bardzo pojmował:

—Co ma jedno do drugiego?

—Ano to, że u was stalinizm, czyli dawny bolszewizm, to zupełna religia, korzycie się przed swym bóstwem już nawet nie klęcząc, ino leżąc, froterując brzuchami posadzki, podłogi, klepiska, chodniki, trawę i bruk. Wszyscy leżą i czołem biją.

—A u was jest inaczej?! —zgrzytnął Mitia.

Satin zignorował ten wtręt i dalej punktował religijny charakter stalinizmu:

—Jak każda doktrynerska religia macie też, prócz bezpieczniejszej inkwizycji, swoje pismo święte, które, ciekawostka, wzięliście od Marksów i Engelsów, czyli od Niemców. Dzięki temu komuniści to sekta, której ewangelicznym dogmatem jest „walka klas”. Tylko nie umiecie jeszcze właściwie rozróżniać klas.

Mitia zwęził oczy i syknął:

—A wy, gospodin Retea, umiecie rozróżniać lepiej?

—Owszem —przytaknął Satin. —Ja wiem, że dwie główne klasy to klasa inteligentów i klasa imbecylów.

—Job twoju mat', kłamstwo! —ryknął Mitia. —Dwie główne klasy antagonistyczne to postępowe masy ludowe i krwiopijcy kapitalistyczni, czyli awangarda i reakcja, wot szto, proszę panów!

Satin pokiwał głową ze zrozumieniem:

—No to przy tym stoliku mamy remis. Ja oraz kolega „Filozof” należymy do kapitalistów, ssiemy krew frajerów gdzie tylko można, a ty, Mitia, i mój tu obecny kumpel Mateusz, należycie do

postępowej czyli ssanej części ludzkości. Mateusza ssie jedna baronowa, straszna kapitalistka, współwłaścicielka kurortu, ponimajesz. Nie wiem tylko kto ciebie ssie, Mitia, ale to musi być kapitalistka jeszcze gorsza, wampirzyca, bo wychudłeś niby szczapa, na wiór...

Rusek przewiercił Satina żabim wzrokiem, jakby zobaczył egzotyczne monstrum, chwycił stojącą blisko niego butelkę brandy i wsadził szyjkę w gardło, lecz bez skutku, gdyż nie wyciągnął korka. Wreszcie się zorientował, wyrwał korek, połknął kilka bulgoczących haustów, do dna, odstawił szkło i chrypnął:

—Ty sobie żarty robisz?!

— Gdzie tam! — zaprzeczył Satin, szczerząc uzębienie sympatycznie.

—Widzisz stalinistów jako idiotów?!

—Nigdy! Macie duży potencjał intelektualny, chociaż leniniści rozumieli już to samo, Mitia.

—Znaczy co?!

—Że decydujące kampanie wygrywa się językiem. Pieprzeniem wiecowym, radiowym, plakatowym, gazetowym. Gdy się wmówi masom, iż bystry rolnik to „kułak”, przedsiębiorca to „wyzyskiwacz”, a ksiądz to „reakcyjny klecha”, ma się w garści „lud”. Cenię semantyczny geniusz wywracania kota do góry ogonem, Mitia. Tamci są „imperialistami”, nasze agresje są „walką o pokój”!

Rusek roześmiał się szeroko:

—Drugi raz cię pytam: tu jest inaczej?

—Tu włada taki sam geniusz — zgodził się Satin. — Wy toczycie walkę klasową, my walkę rasową.

Wyszedłem, bo miałem już dość tych głupot. Nie uwierzyłbym, gdyby mi wówczas ktoś powiedział, że w krótkim czasie jeszcze raz spotkam owego matrosa, i to nie przy kieliszku.

## Ceną wymarzonego rejsu będzie balast wstydu

Gdy mówię, że zostawiłem ich, bo „miałem już dość tych głupot” — nie mówię, iż Satin gadał głupoty. Gadał całkiem mądrze. Zwłaszcza o kluczowej roli propagandy — o haselkach tumaniących masę ludzką. Dzisiejszy terror „politycznej poprawności”, który barbarzyńsko waloryzuje formy kulturowe, pedofilię toleruje, zboczenia seksualne każe traktować jako normalność, a rozwiązłość mieni luźniejszą formą przyzwoitości — jest mechanizmem represyjnym podobnym propagandowemu terrorowi stalinizmu czy hitleryzmu. Ludzie masowo ulegają takim „zewnątrznym bodźcom”, dla behawiorystów to badawczy raj. Satin marzył o takim właśnie zepsuciu społeczeństw — o będącej karykaturą etyki pseodoteyce, wedle której homoseksualizm nie jest perwersją, tylko „odmiennością seksualną”, komunizm zaś nie jest despotią, tylko radosną „dyktaturą proletariatu”, czyli majstersztykiem demokracji. To nawet użyteczne — łatwiej przychodzi żegnać taki świat.

Mnicha spotkałem nazajutrz. Włóczył się promenadą, plotąc coś do siebie ciurkiem, jakby recytował wersety różańca. Zatrzymałem i zagadnąłem go:

— „Zgaga”, jesteś pijany?

— Tylko skacowany, bracie mój. Dubeltowo skacowany, gdyż pognębiła mnie i gorzalka, i ludzka przyziemna nikczemność. To znaczy w kolejności odwrotnej: najpierw złość ludzka, a później gorzalka, którą próbowałem ducha mojego wyzwolić. Zaprawdę, powiadam ci, bracie mój, Mateuszu...

— Przestań, chcę spytać o coś!

—Pytaj, bracie.

—Znasz niejakiego Daumerga?

—Pewnie, że znam, to łotr nad łotry, wszeteczny gad, co z czeluści piekielnej wychynał!

—Skłonił cię, żebyś pracował kutasem dla Gestapo w nowym ośrodku?

—Tak, zmusili mnie ci wysłannicy piekieł, bo mają moje grzeszne fotografie ze zbyt młodą niewiastą...

—Z uczennicą pensji pani Hessler, czy tak?

—Tak, bracie mój. Obludnicy wszeteczni, nie dane im będzie wejść do Królestwa Niebieskiego! W imię Ojca, i Syna, i Ducha, ta oblubienica moja nie była nawet dziewicą, przeto moje grzechy...

Wkurzyłem się słysząc ten bełkot:

—„Zgaga”, czy jak obracasz babę, to również używasz języka biblijnego, ancymonku!?

Wzruszył ramionami:

—One to bardzo lubią, zwłaszcza kiedy mówię: „—Święć się imię Twoje”, albo: „—Bądź błogosławiona”, albo: „—Pij słodki nektar z krynicy mojej, dziecino”. To je bardzo podnieca, zaś mnie to zdumiewa, bo nie znałem tej strony natury białogłów. A kto by rzekł...

Przerwało mu szczenięcie psa. Odwróciłem się i ujrzałem Asmodela warującego przy krawężniku.

—Co tu robi pies Satina, do cholery?!

—Idzie za mną — wyjaśnił „Zgaga”. — Pewnie mnie pilnuje, szpieguje, eskortuje. Jak każde stworzenie Boże czyni swoją powinność, a wola Boża świeci mu na wieki wieków.

Ruszyłem ku bestii, krzyżąc:

—Gdzie jest twój pan, gdzie Satin?! Szukaj, Asmodel, szukaj!

Uniósł się niechętnie, ociężale, i wyszczerzył milcząco kły, lecz kiedy krzyknąłem drugi raz — potruczał w dół promenady, wolno,

można rzec, iż nonszalancko. Za rogiem przecznicy zobaczyłem Satina studiującego afisz na bębnie ogłoszeniowym. Wrzasnąłem, ani się witając:

—Czemu każesz psu pilnować „Zgagę”

—Kazałem mu go wytropić. „Dupa biskupa” po kilku dobach chłania opuścił melinę i zniknął, więc trzeba go było znaleźć, żeby sobie nie zrobił jakiejś krzywdy na kacu.

—Żadna krzywda nie może być większa od tej, którą wy mu robicie, skurwysyny!

—Krzywda?... Mateuszu, zapewniam cię, że on lubi chędożyć, i to bardzo. Wydaje mi się natomiast, że ty mnie coraz mniej lubisz...

Patrzył mi w oczy spokojnie i uważnie, niby surowy, choć życzliwy, sędzia. Zrozumiałem, że to czas rozliczenia ostatecznego między nami. Myliłem się, lecz wówczas tak mi się wydawało. Chciałem, aby to zerwanie było godne. To znaczy: żebym ja zachował godność — żebym nie uległ presji nerwów. Odezwałem się niskim tembrem głosu, bez afektacji:

—Wiesz, Sat... Kiedyś, przez pierwsze miesiące naszej znajomości, cenilem cię dużo wyżej. Bardzo wysoko. Ale twój blask zgasł, ogień zmienił się w popiół.

—Co mi zarzucasz?

—Perfidię, wredność, tupet, te rzeczy.

—Trafna diagnoza, uprawiam każdą z tych sztuk. Wszelako nie myśl, że szanuję każdą. Weźmy choćby tupet. Mam pełną świadomość, że jest trywialny, lecz zauważyłem, iż cudownie zbija ludzi z pantaląku. A wiesz czemu? Bo tylko garstka twardzieli jest pewna swoich przekonań i wyborów, reszta to plastelina gnąca się pod siłą retoryki, demagogii, szyderczej błyskotliwości i rozmaitych dialektycznych lub dialogowych sztuczek. Natomiast moja amoralność, która cię tak razi... Zważ, przyjacielu, że praktykuję ją pośród tych dwunożnych zwierząt, które w przeciwieństwie do

innych dwunożnych członków fauny, choćby ptaków albo kangurów, wynalazły sobie etykę jako złotą maskę dla biologicznych żądz i psychicznych zbroczeń drzemających wewnątrz każdego osobnika. Wyczuwasz ten aspekt satysfakcji w moim rozumowaniu?

—Wyczuwam, Satin, że najgłębszy kryzys satysfakcji wlepi ci przegrana, klęska, jakieś, choćby i drobne, Waterloo.

—Zgadłeś.

—No to teraz cię zaboli.

—Co mnie zaboli?

—Przegrana. Mam dla ciebie złą wiadomość, przyjacielu: ze mną akurat przegraliście, do zera. Kiedy Daumerg znowu mnie odwiedzi, usłyszysz: goń się, szpiclu!... Stryj Gabriel usłyszysz to samo: wal się, stryjku, nie chcę już twojej łaski. Taką podjąłem decyzję, i nic już nie możesz w tej sprawie zrobić, kolego.

—Jesteś pewien?

—Uhhh.

—Ja pytam: czy jesteś pewien, że nie zabraknie ci hartu ducha kiedy oni się zjawią? Czy wytrwasz niezłomnie w swej decyzji?

—Zobaczymy kiedy się zjawią.

—Sprawdzić to możemy jeszcze dzisiaj, zaraz. Tym mnie zdziwił:

—W jaki sposób?

—Odwiedź ze mną mojego brydżowego partnera i zamieńcie kilka słów. Kilka zdań, wystarczy. Jeśli po tych kilku zdaniach nie cofniesz swojej heroicznej decyzji, uznam się za przegranego. Grasz?

Milczałem zdetonowany, więc spytał drugi raz o to samo:

—Grasz, czy dajesz dupy, sprawdzamy, czy może już tutaj wymiękasz?

—Teraz idziemy? —rzuciłem po chojracku.

—Tak, to bliźiutko.

Kilka minut później stanęliśmy przed drzwiami willowej rezydencji i Satin nacisnął dzwonek. Otworzyła pokojówka. Kazała

usiąść w westybulu i poczekać kilka chwil. Czekaliśmy prawie kwadrans, milcząc. Ściany westybulu były upstrzone wizerunkami żaglowców, wedutami portowymi oraz mapami egzotycznych wysp. Raptownie z komnaty do komnaty przebiegł blisko nas paroletni brzdąc. W połowie drogi zatrzymał się i obrzucił nas baczny spojrzeniem, jakby zobaczył dwa dziwadła, a następnie smyrgnął ku kotarze kryjącej drzwi. Usłyszeliśmy stamtąd kobiecy głos:

—Klaus, umyj ręczki, będziesz jadł deser.

Oraz pytanie smarkacza:

—Mogę umyć tylko jedną? Drugą mam czystą.

Satin roześmiał się, pochylił i szepnął mi do ucha:

—Zmyślny gnojek, lubi kombinować. Da sobie radę w życiu.

Gdy wreszcie poproszono nas do gospodarza, Satin przedstawił mnie i jego:

—Kapitan Lars Gustavson, to zaś mój kumpel, Mateusz. Kapitanie, proszę krótko, bardzo się spieszymy.

—Nie usiądziecie, panowie?

Usiedliśmy, a on powiedział:

—Mój stary był duńskim kaprem, zostawił mi solidny szkuner o imieniu mojej niemieckiej rodzicielki: „Helga”. Z początkiem lipca wyruszam w czteromiesięczną podróż badawczą dookoła globu. Przez Atlantyk na Wyspy Karaibskie, później przez Kanał Panamski na wyspy Pacyfiku, dalej Nowa Zelandia, Australia, Afryka Południowa, i do domu. Kilkadziesiąt osób załogi. Będziemy żeglować, i wszędzie będziemy penetrować ląd, robiąc pomiary plus geologiczne badania. Lecz to nie pańska działka, panie Mateuszu. Proponuję panu funkcję kronikarza wyprawy, czyli ciekawe wakacje, chociaż nie luksusowe. Nie poniesie pan żadnych kosztów, otrzyma pan jednoosobową kajutę, skromniutką, lecz własną...

Mówił dalej, a ja czulem potworny, przenikający całe moje ciało wstyd. Zadawał pytania, udzielałem mu odpowiedzi, niczym



manekin, bezwiednie. Myśli, gorzkie wobec siebie samego, napływały mi do głowy jak brzuchate hiszpańskie karawele i jak fruujące ryby z koralowego atolu. Zupełnie zatraciłem nie tylko godność, lecz i to, co Francuzi zwą „esprit de finesse”, czyli subtelność umysłu, którą nieskromnie przypisywałem sobie nim tam weszliśmy. Bałem się spojrzeć ku triumfującej gębie Satina.

Kapitan zakończył tłumacząc mi obowiązkowość szczepień antyepidemicznych. Miał siwiejącą brodę Wikingów, dzięki której i bez munduru wyglądał na kapitana statku, gdy ja bez hardej tożsamości sprzed pół godziny wyglądałem na dupka patentowanego.

Nicolas Gómez Davila pisze w swych „Scholiach”: „Człowiek jest nikczemnością zdolną czasami się zawstydzić”. Wstydzę się po dziś dzień.

## 57.

### **O istotnej różnicy między kabaretem a lazaretem**

Było zbyteczne mówić mi, że jeśli nie zostanę sługą Daumerga, to nie wejdę na pokład szkunera — rozumiałem to sam, są bowiem „rzeczy oczywiste”, które nie wymagają słów („Dzientelmeni nie mówią o pieniądzach” — głosi stare przekadło o ludziach korumpujących i korumpowanych). Przed zaokrętowaniem musiałem tylko wysłuchać wrzasków Bettiny, że znikam na kwartał (akurat wtedy, gdy ona ma kłopoty i potrzebuje wsparcia męskiego), wysłać list do ojca i wybronić pracę semestralną tyczącą malowidła z Piłatem wśród rzymskich kolumn.

Satin zrobił to samo — złożył panom H. semestralną dysertację. Bardzo po swojemu. Wziął bowiem jako temat dużą robótkę

Magnasca „Siedlisko zbójców”, gdzie banda opryszków biwakuje i hula wśród wielkich klasycystycznych ruin. Gwoli przyjemności profesora Harlunda było tam mnóstwo kolumn (całe walące się kolumnady) i portyków. Satin wybrał Magnasca właśnie dlatego, że wszelakie hultajstwo stanowiło u tego malarza główną tematykę. Cały Satin — inaczej nie mógł. Zaciekawiał mnie tym Magnaskiem, choć nie wówczas (wtedy miałem w głowie zupełnie inne sprawy), lecz dużo później, gdy po latach wspominałem naszą znajomość.

Alessandro Magnasco („Lissandrino”) był Genueńczykiem o niezwykle szybkiej i jakby smagającej płótna pędzłami ręce. Gdyby dało się udowodnić, że był kobieciarzem — historycy tłumaczyliby jego „rozchwianą” vel „cudaczną” manierę cytując głośny traktat Cennino Cenniniego „Rzecz o malarstwie”, z przełomu XIV i XV stulecia. Ów protorenesansowy teoretyk straszy bowiem malarzy niby trener straszący sportowców: iż seks przeszkadza w osiągnięciu zwycięstw. Dziwne, ale Cennini straszy wyłącznie seksem dam (czyżby dlatego tylu mistrzów Renesansu praktykowało homoseksualizm?): „Pewna rzecz może uczynić rękę malarza drżącą i chwiejną jak kartka papieru, którą szarpie wiatr, a mianowicie zbyt częste obcowanie z niewiastami”. Serio zaś mówiąc — nie tak łatwo wytłumaczyć nowoczesną, paraszkiową technikę Magnasca. Historycy sztuki używają tu rozmaitych porównań, zwąc go, na przykład, „fechmistrzem” (Eugenio Riccòmini pisze o „agresywnym, zawrotnym, improwizatorskim sposobie malowania”, puentując: „Jego dzieła są malowane jakby przez mistrza szpady”). Skąd się u Magnasca wziął ten fechtunek? Nauczyciel „Lissandrina”, Mediolańczyk Abbiati, stosować miał technikę zwaną przez Włochów: „tocchi sprezzanti” (nonszalanckie pacnięcia, lekceważące uderzenia) lub „dipingere di tocco” (malowanie uderzeniami, pacnięciami). Genueńczyk przejął ją od swego belfra, zmieszał z jakąś trudną do weryfikacji liczbą innych wpływów,

tudzież z własnym temperamentem, i na takiej bazie wyprodukował technikę swoją, oryginalną, w której „piano” pędzla jest rzadkie, a „fortissimo” ciągle i czasami sięgające poziomu ekstatycznej hysterii, co daje kapitalne pulsacje świateł i chromów.

Maniera „Lissandrina” to, rzecz jasna, nie tylko szkicowa, nerwowa technika pędzla, dająca rozmigotane światła i wibrujące chromy — to również ewoluująca paleta, to gwałtowna (nierzadko wsparta kontrastowym światłocieniem) ekspresja ujęć, to posępne, lub histeryczne, lub dziko-mistyczne nastroje, to bohaterowie plugawi, nawiedzeni, zezwierzęceni, obłąkani. Magnasco szerzył bunt. Uderzył w retorykę, w konwencjonalną dynamikę, w otyłość i sklerotyczną pompę Baroku, furiacką wprost ekspresją scen z figurami konwulsyjnie ruchliwymi niczym płomień świec szarpanych przez wiatr. Uderzył technicznie i tematycznie. Rzekomo odwołując się do Rokoka, ale jego Rokoko było wyłącznym Rokokiem autora — spazmatycznym Rokokiem Magnasca, gdzie klasyczny pejzaż traci klasyczny spokój pod wpływem dzikich żywiołów, a ludzie są od żywiołów dziksi — to przeróżne gatunki „les miserables”: łajdacy znający tylko fizjologię, farmazoni polujący na głupców, derwiszowaci mnisi wijący się w modlitewnych ekstazach, skręcenie bólem kajdaniarze, złoczyńcy falujący rozkoszą grzechu, ludzie drogi i wewnętrzznego niepokoju. Satin wręcz orgazmował się tym wszystkim.

Człowiecze bestiariusz Magnasca z niespotykaną wcześniej celnością zapowiadało — poprzez demoniczne nastroje jego ujęć — pewne aspekty Romantyzmu. Nikt przed „Lissandrinem” nie zebrał takiej trupy zdziczałych i zdziwaczałych komediantów (nawet Jacques Callot) i nikt nie wytworzył klimatów tak oniryczno-halucynacyjnych czy sztukmistrzowsko-pijanych. Świat „Lissandrina” to wędrowny teatr osobników „luźnych”, członków wszelakich marginesów i mniejszości, dwunożne robactwo

koczujące: kataryniarze i kuglarze, zbrodniarze i figlarze, żebracy i dezertery, zakonnicy i cyrulicy, komedianci i grajkowie, Żydzi i Cyganie, inkwizytorzy i treserzy, co do jednego nienormalni lub niezwykli — obłąkani, obmierzli, otumanieni, roztańczeni, rozmodleni, rozpasani, wyjący do siebie lub do Boga, żrący, chlejący, hazardujący lub kombinujący, wibrujący cielesnie i duchowo. Wściekły pędzel Magnasca rzucał ich na scenę chorą, trwożącą, pełną ciężkiej atmosfery lub gwałtu. Rozboje, mordobicia, ekstazy, tortury, narkotyczne transy, konwulsje i dewiacje w ruinach, w lochach, wśród upiornych pustkowi oraz tajemniczych dróg. Świat wariatów, abnegatów, desperatów i potępieńców, wirująca hałastra.

„Ale przecież to teatr!” — mówią niektórzy historycy — teatr, główne medium doby Rokoko. „Lissandrino” wielokrotnie budował kompozycję w sposób demonstracyjnie teatralny (proscenium, kulisy, scenografia głębi, etc.), by wywlec czeluść ludzkiego wnętrza na estradę. Model scenicznej psychoanalizy, tak jakby te rozdygotane figury, od pustelników do swawolników, były mrocznymi duszami, które wyrwały się ze śpiących ciał nocą, pragnąc na ugorach i w złowieszczych ostępach tańczyć swój „danse macabre”. Podobno kiedy dzieci śpią — ich zabawki prowadzą nocne życie. Aktorzy Magnasca to ludziki-zabawki dorosłych dzieci, mieszkające w bocznych płatach mózgu, tam, gdzie czai się Zło, i wypełzające na zewnątrz, gdy ogarnięte sennością sumienia przestają je pilnować. Cały ten rozbiegany i rozmigotany świat łotrzyków, grzeszników i nerwicowców Magnasca, całe to zbiorowe opętanie, nieustający sabat, świat halucynacyjny i konwulsyjny (tak konwulsyjny, że jak kpił Peter Meyer: u „Lissandrino” trudno pierwszym rzutem wzroku odróżnić kaźń od bachanalii) — cały ten spektakularny thriller przypomina sąd Pascala, iż suma Zła byłaby dużo mniejsza, gdyby ludzie nauczyli się grzecznie siedzieć wewnątrz swoich domów.

Poza murami domów króluje natura. Natura (przyroda) Magnasca demonstruje epilepsję lub furję, jakby chcąc akompaniować bliźniaczą nutą stanom bohaterów. Jest równie ekspresyjna, równie groźna albo równie złachmaniona. Drzewa gną się pod naporem wichru, a morzem targają sztormy. Czuje się w tym coś quasi-filmowego. Satin właśnie — wbrew wszelakim historykom sztuki — widział całe to oniryczne, demoniczne, opętańcze panoptikum Magnasca jako kino antycypujące „niemiecki ekspresjonizm filmowy”, który wybuchł po I Wojnie Światowej. Broniąc swej rozprawy, tłumaczył uniwersyteckiemu audytorium i profesorom:

— Francuzi lubią określać świat Magnasca terminem „fantomatique”, czyli widmowy, zjawiskowy, upiorny. Ja posłużyłbym się raczej terminem „cinematographique”, filmowy. Możemy bowiem dyskutować: co jest w tych obrazach silniejsze? Tajemniczość czy halucynacyjność, diabolizm czy mistycyzm, sfera surrealna czy też przyziemna, trauma czy może drwina. Ale zawsze będziemy zgodni, iż mamy do czynienia ze spektaklem, z widowiskiem — z czarnym snem, lub łotrzykowską draką, lub farmazońską zabawą, lub fanatyczną bigoterią, wyeksponowanymi na scenie. Wszyscy sugerują, że na scenie teatralnej. A czemu nie kinowej? Teatr przecież nigdy nie jest „fantomatique” — oniryczny rozbrat z rzeczywistością, z ziemią, z jawą, może dać tylko sztuka filmu.

Już chyba wspominałem, że mój rosnący chłód wobec Satina nie przeszkadzał mi akceptować (zazwyczaj) jego tez i argumentacji. I to się nie zmieniło — dalej sędzę, że wiele razy miał słuszość. Tak jest choćby w przypadku teatru oraz kina. Satin wolał kino od teatru scenicznego, i ja również. Dla tych samych przyczyn, które wyłożył współczesny amerykański pisarz/poeta John Updike: „ —Nie cierpię teatru, bo widok ludzi, którzy łażą na scenie i sztucznie się zachowują, deklamując kwestie te same od miesiąca — to ponad

moje siły". Inna sprawa, że nie kochając teatru, Satin każdą minutą swojej egzystencji uprawiał teatr — „teatr jednego aktora” par excellence. Tworzył kreację wirtuozowską. A propos Magnasca zwierzył mi się, gdy pisał dysertację o Genuieńczyku:

—Wolałbym wziąć coś innego z Magnasca, jego tresera, ale nie da rady.

—Ty byś nie dał rady, Satin? Wolne żarty, nie wierzę.

—Dałbym radę, lecz już wywaliłem Bleiberga, teraz musiałbym wykopać Harlunda, bo Harlund dostałby szału, nie chcę tu drugiej takiej wojny.

—Czemu Harlund miałby dostać szału?

—Z braku kolumniek, amigo.

—W tym obrazie, który preferujesz?

—Tak, u tresera. Temu farmazonowi Magnasco pakował jako tło bezkolumnową ruinę, notorycznie, w każdej replice, kolumn nie dał ni razu. Potrzaskane arkady, jednak łuki tkwią na ceglanych filarach kształtu prostokątnego bądź kwadratowego. Żadnej kolumny, psia krew! Harlund chce kolumn, nie sposób ominąć tego warunku...

—Faktycznie.

Pokiwał głową, rozejrzał się kwaśno wokół, i zapytał z głupia frant:

—Lubisz sroki?

Nie zrozumiałem:

—Co?

—Nic takiego, myślałem o biało-czarnym stroju wieczorowym, smoking, biała koszula et cetera.

—To raczej myślałeś o pingwinie, a nie o sroce, Satin.

—Wielka mi różnica! —prychnął.

—Duża! —uparłem się.

—Duża to jest między lazaretem a kabaretem, Matt. Muszę lecieć, czóółko!

Obu nas bawiły takie rymowanki, będące przedszkolem gry słów

(zamiast „Tam na polu rośnie kwiecie, stoi ułan na widecie” kumple w gimnazjum śpiewali: „ ... stoi ułan na bidecie”). Lecz jego bawiło także wodzenie mnie za nos. Dopiero dużo później zrozumiałem pytanko o srokę —gdy się dowiedziałem, że maestro „Lissandrino” notorycznie malował „Tresera sroki” vel „Tresowanie sroki”, był to jego ulubiony motyw, oczko w głowie. Siedzący na ziemi wagabunda (żołnierski łotrzyk lub Cygan) tresuje srokę siedzącą na beczce, tłem są arkadowe ceglane ruiny. Czasami sam, innym razem wśród hultajskich kompanów. Od Nowego Jorku po Sankt Petersburg wiszą dzisiaj te płótna z tresowaną sroką. Jakbym zobaczył taflę zwierciadła: stoję we wnętrzu kabaretu mych studenckich losów, tak jak później we wnętrzu lazaretu mych złudzeń...

58.

### **Żagle moich widm**

Kilkumiesięczny (prawie cztery i pół miesiąca) rejs „Helgą” stał się czymś najpiękniejszym w moim dotychczasowym życiu, co zresztą łatwo było przewidzieć —przewidując tę rozkosz, zgodziłbym się za nią na wszystko, podpisałbym każdy cyrograf. Moja głodna egzotyki dusza trampa nie mogła się już doczekać, by karmioną lekturami wyobraźnię zastąpiła karmiona tropikami rzeczywistość. Nic mnie nie uwierało przez pierwsze tygodnie wojażu. Ani nazwa szkunera (jędzowata Helga pracowała u Satina jako służąca), który prócz żagli miał motor i śrubę na wypadek awarii (sztormowe złamanie masztów) czy też długotrwałego sztilu; ani regularna harówka pokładowa (bo choć jako „kronikarz wyprawy” nie musiałem szorować desek, lecz sam rwałem się do wszystkich „czarnych robót”, by zakosztować losu marynarskiego); ani codzienna

monotonia pustego oceanu, gdy przemierzaliśmy Atlantykę; ani wyżerka okrętowa dużo gorsza niż w „Pod wesołym trampem”. Zniósłbym wszystko — każdą niedogodność, każdy wstyd, każdy trud, każdy złośliwy bluzg pijanego majtka i każde robaczywe mięso — by całą anatomią, całym jestestwem dotknąć przyrody Karaibów i wysp Pacyfiku obmywającej jaźń ze stęchłego, wrednego, upolityczniającego każdy oddech brudu zachodniej cywilizacji. Pluskając się w falach laguny i nurkując między rafy koralowe, obserwując igraszki spasionych delfinów, łowiąc homary i langusty, czy wspinając się na palmę po orzech wielki niczym piłka rugbystów — miałem orgazmy ducha i ciała, bo to był ten właśnie żywioł, do którego Bóg mnie stworzył, moje przeznaczenie. Jednak moje fatalistyczne przekleństwo i tym razem nie wzięło sobie urlopu...

Pierwsze podejrzenia ogarnęły mnie na rozpalonej Gwadelupie, w porcie Pointe-a-Pitre. Kiedy tam przyплыliśmy, czułem się już jak prawdziwy „wilk morski”, wszystkie bowiem fachowe (branżowe — od komend, po takielunek) i żargonowe terminy skutnicze, żeglugowe i marynarskie obkułem co do jednego. Umiałem też śpiewać szanty, tudzież kłać soczyście marynarską grypsersą, czego niezrównanym belfrem był bosman Wertz (ksywka: „Moby Dick”), co gardził wszelką łajbą wyzbytą żagli, a swą pogardę dla załóg parowców głosił rycząc pijacką melodię: „Ech wy, plemię z okrętów parowych, Tramwajarze od wodnych tramwajów! Nie wam pływać po drogach sztormowych, Nie wam frunąć na żaglach do rajów!”.

Pointe-a-Pitre leży między wzgórzami (z lewej groźne skały, natomiast z prawej zielone stoki), w zatokowym wcięciu, które rozcina wyspę nieomal połówkowo. Przybiliśmy do nędznego drewnianego mola. Cały porcik nędzny: kilka baraków portowych, magazyny, kiosk, trochę handlowych bud. Przez rdzewiejącą furtkę i żwirową alejką idzie się ku miasteczku. Uliczki pełne śmieci, jaskrawo dekorowane domki z odrapanymi tynkami, rynecek z



gęstwą straganów, bukiet kolorów i zapachów, czarne ciała, na których dużo potu i mało perkalu, kolczykowane uszy, kędzierzawe łby. Upał, susza, ciężko oddychać, zieleń przysypana starym kurzem. Dalej kabany (chaty murzyńskie) i biały kościółek, wokół którego tłum, lecz luźny, rozsypany grupkami, słuchający młodego kaznodziei, głoszącego Boże słowa. Podeszedłem bliżej. Kaznodzieja stał wysoko, zrobiono mu estradę czy podium z trzech rybnych beczek: dwie obok siebie na ziemi, trzecia na tamtych dwóch, na niej on. Jego słowa płonęły. Wyklinał szatana, który umie przybierać każdą postać, choćby słodką czy uprzejmą — postać dziewczynki, dziecka, urzędnika lub familianta — i kusi słabych do grzechu. W pewnej chwili uniósł ręce, palce zacisnął w kułak, i krzyknął:

— Gromię cię duchu ciemny a nieczysty!... Zgiń, przepadnij, strącony aniele, czarny siewco wszelakiego zła!... Obyś drugi raz runął i szczeź!

W tym momencie beczki — wszystkie trzy równocześnie — rozsypały się, i kaznodzieja, pikując ku ziemi, buchnął o stos klepek, z krzykiem boleściwym bardzo. Wtedy zobaczyłem te plecy. Co nie było trudne, gdyż wszyscy słuchacze rzucili się ratować swego księdza, i tylko jeden człowiek spokojnie odszedł ścieżką wzdłuż kościelnego parkanu, a to zwróciło moją uwagę natychmiast. Miał tropikalny jasny garnitur plus biały kapelusz (panamę) i w dłoni laseczkę, którą wywijał wesoło, niby Chaplin. Nie widziałem jego twarzy, ale znałem ten chód, ten balans ciała, tę sylwetkę — wydawało mi się, że to on, Satin! Rzuciłem się za nim, lecz rozgorączkowany tłum hamował mój bieg, a kiedy dotarłem do parkanu przy kościele, śladu tego człowieka już nie było.

Kilka dni później wpłynęliśmy, obok Colon (gdzie dostarczono nam zaopatrzenie, m.in. solone mięso, żywy drób, świeże warzywa i owoce), w zwężającą się zatokę, która kończyła się pierwszym betonowym korytem Kanału Panamskiego. Szynowe wagoniki

wzięły nas z obu stron na hol i pnać się po pochylni jak zębate kolejki górskie, ciągnęły ku trzem śluzom. Dalej było jezioro sztucznego zalewu, a dalej znów śluzy, lecz tym razem nie podnoszące, ino opuszczające szkuner. Blisko zmierzchu wylądowaliśmy w Balboa, gdzie architektura i atmosfera uliczna pachniały bardziej Ameryką Północną niż Południową. Stąd był już tylko krok do Panamy, a tam wciąż kwitła dawna Hiszpania, pełna przytulnych barów i równie przytulnych seniorit. Jedna z nich zaproponowała mi atrakcje bardzo perwersyjne, szepcząc: „ — Sado, hombre, sado!", dlatego odmówiłem i chciałem opuścić lokal. Wtem spoza pleców usłyszałem Satina, jego ciepły głos:

—Nie wiesz co tracisz, Matt! Tutejsze prostytutki są w tym naprawdę dobre, tabuny chętnych z Północy przyjeżdżają tu po seks sado-maso.

Wcześniej piłem mocne koktajle rumowe, lecz on nie był pijacką zjawą, białą myszką lub czymś tego rodzaju —był rzeczywisty, z krwi i kości, tudzież dziwacznie ubrany, nosił bowiem kwiecistą koszulę o krótkich rękawach, długie szorty, sandały, w zębach miał cygaro, łącznie: amerykański turysta. Objął mnie serdecznie i pociągnął bezwolnego ku niszy, gdzie czekały dwa plecione krzesła oraz niewielki trój nożny stół:

—Chodź, wypijemy po starej znajomości, takie spotkanie trzeba oblać, kolego.

Szok mnie замуrował, nie mogłem wydusić sylaby, co Satinowi wcale nie przeszkadzało, perorował w swoim stylu:

—Markiz de Sade to był geniusz, prawdziwy geniusz! Dokonywał eksperymentów psychoseksualnych klasy olimpijskiej. Zakonnice i tak zwane „przyzwoite kobiety" pod jego wpływem robiły chętnie wszystko, od flagellacji do sodomii, absolutnie wszystko! Orgie i seanse masturbacyjne, które urządzał, nie miały sobie równych. Czy wiesz, że masturbował się do kielicha mszalnego, a spółkował na

posłaniu z hostii? Wirtuoz, tytan, prawdziwy geniusz!... I taki prekursor „psychopatologii seksualnych”, które miliony ludzi wyznają dzisiaj wprost organicznie, biologicznie, taki monarcha obscenów i król-filozof, człowiek, co dowiódł, że rozum i racjonalność są śmiesznie słabe wobec żądz i chuci — zostaje przez purytańskich dupków, przez bigotów, okrzyknięty zbrodniarzem, wariatem, zakałą, kona w więzieniu, nosi piętno złej sławy! Nienawidzę Napoleona, który go uwięził dożywotnio! Wiesz jakie były zarzuty? Że czarami lub afrodyzjakami przyprawia kobiety o „szaleństwo macicy”, paradne! Szczyt idiotyzmu! To tak, jak głosić, że ktoś wskutek czarów regularnie się odżywia!

W „Pod wesołym trampem” nieraz widywałem Satina lekko zawianego, czasami nawet trochę bardziej, ale nigdy pijanego, tymczasem teraz zdawało mi się, że jest solidnie „nawalony”. Ślepie gorączkowały mu, gestykulował wzorem Neapolitańczyków, pluł drobinami śliny, zapalczywie tokując:

—Ciekawa rzecz, Matt, popatrz: wszyscy trzej główni prorocy tego tysiąclecia stworzyli swe doktryny w więzieniu! Zauważyłeś? De Sade, piewca rewolucji obyczajowej, pisał w Vincennes, w Bastylji i Charenton. Gramsci, piewca rewolucji kulturowej, też pisał „pod celą”. Machiavelli, piewca rewolucji politycznej, pisał co prawda na wiejskim wygnaniu, ale konczył swe dzieło tuż przed tym, gdy go uwięziono przy tłumieniu antymedycejskiej konspiracji duetu Capponi-Boscoli. Cała wielka trójka doznawała proroczej iluminacji za kratą! Czyż to nie syndrom, jak sądzisz?

Uszczypnąłem się w dłoń pod blatem stolika. To nie był koszmar senny, to była rzeczywistość — naprzeciwno mnie siedział Satin Retea we własnej osobie! Burknąłem:

—Skąd się tutaj wziąłeś, Satin?!

—Jak to skąd, żeglarzu?

—No skąd? Przybyłeś samolotem, cholera jasna?

—Czy to takie ważne? Może, kurwa, rowerem!... A mówiąc serio: może samolotem, może balonem, może sterowcem, może frachtowcem, może jachtem pełnomorskim, a może wplaw? Jestem dobrym pływakiem, zwłaszcza żabką idzie mi bez problemu...

—Po co?... Po jakie licho tu przybyłeś, śledzisz mnie, czy...

—Daj spokój, zgłupiałeś od tej słonej wody, Matt! — prychnął i mimowolnie trącił ręką szklankę, która spadła.

Wydawało mi się, iż ta szklanka się stłukła, słyszałem brzęk kruszonego szkła, lecz gdy ją podniosłem, zobaczyłem całą, bez żadnego uszczerbku.

—Jesteś pijany! —zgrzytnąłem.

—Nie tak bardzo jak myślisz, tylko trochę, rejsowiczu. I nie myśl, że cię śledzę, bo mi to zupełnie na nic, amigo. Niczego nie robię bezproduktywnie, mój cel jest zawsze pragmatyczny.

—Zwłaszcza ten, dla którego uwikłałeś mnie w Germanshaven wobec Gestapo!

—Źle ci z tym, Matt? —zapytał, dając szczerą upust zdumieniu. — Jeżeli ci źle, to się wywikłaj.

—Jak?

—Po prostu: sprzeciw się im, wystaw ich do wiatru, zrób im jakiś „numer”...

—Im? Czyli tobie również!

—Otóż to, mnie również! Zrób mnie w balona, okpij mnie, jeśli potrafisz. I nie dziw się, że ja ci to radzę. Ja tutaj jestem innym Satinem niż tam, kolego... Pardon, muszę się wysikać.

Poszedł do ubikacji i już nie wrócił, zniknął.

**Snów się nie wybiera; wybiera się pola roponośne**

„Helga” zacumowała na redzie Germanshaven w połowie października 1938 roku. Semestr zaczął się dwa tygodnie wcześniej, byłem więc spóźniony, lecz dziekanat przymknął oko. Myślałem, że będę musiał pisać usprawiedliwienia, tymczasem nie żądano ich, jakby już ktoś interweniował gwoli oszczędzenia mi kłopotów. Prawie nic wokół nie uległo zmianie, a jednak czuło się, że wszystko się zmienia. „Pyza” rzuciła knajpę — odeszła (według „Gitary” uciekła) ze szwajcarskim urzędnikiem, który wizytował liczne porty między Francją a Estonią, negocjując interesy szwajcarskiego ministerstwa marynarki. Widywałem go czasami w „Pod wesołym trampem” i zapamiętałem dzięki pięknej ripoście. Tego bowiem wieczoru, kiedy Satin ściągnął do knajpy „towarzysza Mitię”, Szwajcar przysiadł się i kilka minut pił razem z nami. Gdy się przedstawił, że jest pracownikiem szwajcarskiego Urzędu Marynarki, czyli właściwie ministerstwa, Rusek parsknął:

—Po co wam Ministerstwo Marynarki, towarzyszu? Przecież wy nie macie morza!

—A po co wam Ministerstwo Kultury? —spytał Szwajcar rezolutnie.

Był inteligentny, zaś „Pyza” była bardzo głupiutka, ale widocznie pasowali do siebie, gdyż nie trzeba mieć ni grama rozumu, żeby mieć seksapil, który jest najważniejszym ministerstwem kobiety. Wielbiący „Pyzę” Czuga próbował gonić parę „zbiegów”, by uciąć „kidnaperowi” jaja, łeb i co tam jeszcze, lecz mu się nie udało, bo kiedy minęły dwa tygodnie, wrócił bez sukcesu.

Jeśli idzie o politykę — też się wszystko zmieniło, świat stanął na głowie, nogami do góry. W Monachium 30 września, kilkanaście dni przed powrotem „Helgi” z rejsu wokół kuli ziemskiej. Zachodnia

Europa dała Hitlerowi co chciał (prawo wchłonięcia Czechosłowacji) — „dała ciała”, mówiąc kolokwialnym językiem dzisiejszych czasów. A „Führer” zinterpretował to prawidłowo: mogę wewnątrz Niemiec i na zewnątrz robić wszystko! Owszem, mógł niby mięśniak Franek Kimono, który śpiewa: „—Ja w klubie disco mogę robić wszystko!”. Cały klub starej prostytutki, Europy,gnił wenerycznie, i Żydzi niemieccy zrozumieli, że wskutek Układu Monachijskiego nikt im nie da parasola. Już nocą 9/10 listopada rozpoczęły się dzikie antyżydowskie pogromy; pretekstem było dokonane właśnie zabójstwo (w Paryżu) niemieckiego dyplomaty Ernsta Eduarda von Ratha przez polskiego Żyda Herszela Dawida Grynszpana, oraz wcześniejsze zabicie wysokiego dygnitarza NSDAP, Wilhelma Gustloffa, przez żydowskiego studenta Dawida Frankfurtera. Również wiedeńscy Żydzi czuli coraz większą presję, całkowicie barbarzyńską i zupełnie niemaskowaną: latem 1939 gazety wiedeńskie pisały spokojnie, niczym o komunikacji lub pogodzie, że gazownia przestała dostarczać gaz do żydowskich domów, bo Żydzi nie płacą za dostawy i używają gazu głównie w samobójczych celach. Rozmawiając z Satinem, wygarnąłem mu:

—Twoi przyjaciele to ohydni rasiści!

Zgodził się ze mną:

—Fakt. Moi wrogowie również.

—Czyli kto?

—Amerykanie, Angole, Francuzi, Włosi, wszyscy. Gdybyś ty wiedział jak Ameryka traktuje Negrów! Baaardzo brzydko. I to ma długą tradycję. „Ojciec założyciel” Stanów Zjednoczonych, Thomas Jefferson, posiadał 180 niewolników, a gdy przestał być prezydentem, radził odbierać „czarnuchom” potomstwo i wysyłać te dzieciaki na Haiti, żeby Haiti stało się całe czarne, a USA całe białe. Gnębienie Żydów w takim choćby Wiedniu, gdzie wzorowym rasistą jest twój stryj Gabriel, też ma tradycję solidną. W 1673

Habsburgowie wygnali z Wiednia całą wspólnotę żydowską, chodziło o duże długi dworu. A propos Haiti... podobno przygruchałeś sobie tam jakąś śliczną „vahine”, Bettina Zurfurst może być zazdrosna...

— Nie strasz donosem, bo mam to gdzieś! — warknąłem zniecierpliwiony. — A „vahine” są na Tahiti, a nie na Haiti, przegrałbyś grę w „Pod wesołym trampedem”, erudyto!

— Pardon, mylą mi się te wyspy, pewnie dlatego, że nie miałem takiego szczęścia jak ty, drogi książę, by móc je zwiedzać wycieczkowo...

— Co ty powiesz! Na Gwadelupie też nie byłeś, a z Panamy wróciłeś prosto do domu!

Otworzył ślepie szeroko:

— Z jakiej Panamy?

— Z tej, na której nosiłeś kwiciastą koszulkę plus szorty, na której judziłeś mnie do buntu, i na której schlałeś się mocno.

Wzruszył ramionami i zaprzeczył:

— Nigdy nie byłem w Panamie, nigdy nie nosiłem szortów, i nigdy się nie schlałem, coś ci się pomyliło!

— Rozmawialiśmy tam!

— Matt... mylisz mnie z kimś, lub ugotowało cię tropikalne słońce, albo sam się schlałeś rumem bądź tequilą i miałeś przywidzenia. Teraz daruj, muszę biec na spotkanie, czeka Doris.

Tym mnie zdumiał jeszcze bardziej, ale umiałem odwinąć, czyli przykopać mu, czyli nie ulec syndromowi spóźnionego szyderstwa, który Francuzi zwą „esprit d'escalier”:

— Doris chce cię zapoznać ze swoją podlotkową babcią?

Spśród wszystkich nowości tej jesieni główną było, rzecz prosta, pojawienie się Romka na studiach (filozoficznych) w Germanshaven. Stryj przywiózł go u schyłku lipca i wynajął mu stacyjne lokum. Roman przez ostatnie kilkanaście miesięcy bardzo

zmężniał — nie był już dryblasowatym gówniarzem, lecz szybko dorodziejącym młodzieńcem, i — co ciekawe — miał zarost silniejszy od mojego!

—Dziwnie wyglądasz z tym wąsikiem... — powiedziałem, gdy się uściskaliśmy.

—To ci przeszkadza?

—Nie, skąd. Mogliśmy zamieszkać razem.

—Nie chciałem... nie chciałem cię krępować, a sam również będę swobodniejszy mieszkając osobno — rzekł z przeproszającym grymasem warg.

—Poderwałeś tu dziewczynę?

—Tak się zdarzyło, Mateuszu.

—Co u ojca?

—Bardzo schudł, nie czuje się najlepiej.

—Co mu dolega? Pytał lekarzy?

—Nie lubi „konowałów”. Stryj, kiedy po mnie przyjechał i zobaczył „starego”, chciał go wziąć do znanego medyka, ale tato odmówił.

Trwało chwilę nim przełamałem się, by powiedzieć:

—Braciszku... Gabriel to zły człowiek, kanalia.

Zaskoczył mnie odpowiedzią:

— Wiem. Skorumpował tatę, lecz inaczej bylibyśmy rzemieślnikami, a nie studiowali na uczelni dla ważniaków.

Gdy to usłyszałem, poraziło mnie echo sprzed roku czy dwóch lat. Echo dialogu z Satinem, który bronił czci pułkownika Burgera jako fałszerza:

—Prawda, jest fałszerzem, lecz to profesja, taki zawód, falsyfikator reliktyw sztuki, a poza tym jest człowiekiem szlachetnym, ma sumienie i humanistyczną wrażliwość.

—Gówno prawda — odparłem. — Albo się jest humanistą, albo kryminalistą. To już „Zgaga” jest człowiekiem bardziej przyzwoitym, choć alkoholikiem-naciągaczem, i „Filozof”, i „Wygibus”...



—Ale żaden nie jest bez wad. Znasz człowieka bezgrzesznego, zupełnie cnotliwego, prawego stuprocentowo, bez skazy?

—Znam.

—Kto to jest?

—Mój ojciec.

Satin zmrużył wzrok, jakby patrzył ku tarczy słońca, i pokiwał wąpiąco głową:

—Nie... nie wierzę, naiwniaku... W każdym społeczeństwie ludzie przyzwoici są bardzo mizerną liczebnie mniejszością, a ludzie zupełnie cnotliwi, czyli kryształowo bezgrzeszni, to wynaturzenie, uboczny produkt gatunku. Być może twój ojciec jest takim dziwadłem, nie znam go, ale śmiem wątpić...

Zapytałem brata:

—Czym Gabriel skorumpował „starego”!

—Naszymi studiami.

—A co wziął?

—Podpis. Jeden podpis, braciszku. Tato jako burmistrz sprzedał mu tereny naftowe będące własnością miasta i obiecane pewnej spółce z Warszawy. Tam już była wstępna umowa, należało ją złamać, łącznie duży szwindel, Mateuszu.

—A ty skąd wiesz o tym wszystkim?

—Skąd? Podśledzałem... Ty jechałeś sam do Wiednia, a mnie przyjechał zabrać stryj, jakbym był nieletni. Przyjechał, żeby zapiąć szczegóły tego interesu, bo warszawska spółka, ta okpiona, awanturuje się sądowno. Przypadkiem podśledzałem, jak Gabriel nakłania ojca do pewnych ruchów. Nie chciałbyś wiedzieć.

—I to cię nie boli?

—To mnie bardzo boli, bracie... —odpowiedział. —I ten ból mnie męczy. Ale chcę studiować, Mateuszu.

Milczeliśmy długą chwilę. Przypomniałem sobie manuskrypt, jaki poczta dostarczyła kiedyś Bettinie Zurfurst, o którego autorstwo

podejrzewałem Satina, lecz bez dowodów. To ostatnie zdanie — tę dziwną frazę wpisaną na końcu, na środku pustej karty. Szepnąłem:

—Wir sind die Roboter...

—Co mówisz? —spytał brat.

—Że jesteśmy marionetkami, braciszku. Czy Gabriel skierował cię tu do kogoś, kogo masz słuchać jak pies?

—Powiedział, że ktoś się do mnie zgłosi.

—Do mnie zgłosiło się Gestapo. Chce mi się kłać, wyć, rzygać!

—Zobaczmy kto się zgłosi do mnie —mruknął bez emocji.

—Grywasz jeszcze na fortepianie?

—Tak. Stryj wynajął mi stancję z pianinem. Czemu pytasz?

—Bo twój biały fortepian śni mi się często. Sam, w pustym pejzażu, smagany przez ulewy. Nie lubię tego koszmaru, ale snów się nie wybiera...

## 60.

### Restauracja „Cesarz Leopold” (1)

Najelegantszą restauracją w Germanshaven była knajpa „Kaiser Leopold”, bardzo elitarna, gdyż bardzo kosztowna, ceny odstraszały nawet średniozamożnych. Towarzystwo z „Pod wesołym trampem” przezywało ją: „Leo”, jednak niezbyt długo, bo imię Leo miał czekoladowy synek „Neski”, więc „Cygan” — nie chcąc, by ewentualnym szpiclom Gestapo coś się kojarzyło — zabronił ksywkować nazwę lokalu bonzów. Ja i Bettina chętnie byśmy tam wpadali, przynajmniej na kawę z ciasteczkami, demonstrując — baronowa i książątko — swą arystokratyczność (zwłaszcza ona się tym grzała), lecz nie mogliśmy pokazywać się publicznie razem, gdyż plotki wykończyłyby Frau Zurfurst. Jedyne raz odwiedziłem

„Cesarza” dzięki stryjowi Gabrielowi, kiedy w trakcie wakacji po pierwszym roku studiów wracaliśmy z Berlina do Wiednia okreśną drogą, przez Germanshaven, bo stryj miał tam polityczne interesy. Wziął mnie i Margot na „cesarski” obiad, ale kuchnia tego lokalu wydała mi się zbyt orientalna, pieprzno-paprykowa, czego nie lubię, tylko lodowy deser smakował mi bardzo. Zapamiętałem z owej biesiady dwie rzeczy: nogę Margot i papierowego ptaszka (łamana odpowiednio kartka papieru), który wylądował w mojej kawie. Uniosłem głowę i przy balustradzie wyższego tarasu ogrodowego restauracji zobaczyłem kilkuletnią dziewczynkę, sprawczynię filizankowego lądowania, zażenowaną, ale niezbyt mocno. Miała piękne blond warkocze i patrząc ku mnie rozkładała ręce gestem nie tyle przepraszającym, ile tłumaczącym bezpremedytacyjność niefortunnego lotu. Gabriel się odezwał:

—To Gudrun Himmler, córka szefa SS.

—Jest tu z ojcem? —zapytała Margot.

—Tak, Heinrich wszędzie bierze ją ze sobą, nawet na partyjne zjazdy, na każdy z mitingów. Do Germanshaven przyjeżdża, kiedy musi tu spotkać jakieś ważne figury, by uprawiać knowania strategiczne. To polityka, moja droga, a polityka rządzi się...

Ważna figura perorowała dalej, lecz nie łapałem sensu tych wywodów, gdyż Margot zsuła pantofelek, wyciągnęła swą kilometrowo długą nogę pod blatem stołu, wbiła piętę między moje uda, namacała krocze i zaczęła masować je palcami tak sprawnie, że doznałem wzdruć i wytrysku piorunująco. Męczyłem się hamując szybszy oddech, płonęły mi policzki, ale stryj, zajęty zuciem i gadaniem, niczego nie spostrzegł, jego wzrok krążył wyżej, jakby czekał, iż przy balustradzie stanie kolega „Heinrich”. Jeden ptak (papierowy) moczył się kawą, drugi (żyłasty) moczył mi gacie spermą; wcale nie czułem się uradowany tym wybrykiem stryjenki, obrugalem ją później jak sukę, którą zresztą była. A Gudrun

Himmler zobaczyłem niedawno na gazetowym zdjęciu. Starucha ma tyle samo zmarszczek co lat i ciągle kieruje wspomagającą hitlerowskich emerytów organizacją Stille Hilfe (Cicha Pomoc).

Taras ogrodowe „Cesarza Leopolda” zachwycały wszystkich. Puszyły się między chodnikiem ulicy a budynkiem lokalu, lecz tylko ciepłą jesienią, ciepłą wiosną i latem, gdy stawiano donicowe palmy, i gdy zielone lub rudawe pnącza pięły się po treliach. Taras wyższy był restauracyjny (obiadowy), taras niższy był kawiarnią/herbaciarnią, ale i tu dawano obiady kiedy brakowało miejsca wyżej. Tamtego listopadowego dnia, przedostatniego ciepłego dnia jesieni 1938 roku, wędrowałem z uniwersytetu do domu mając duszę spokojną, gdyż budowa kurortu rządowego opóźniała się, więc Daumerg mnie nie nachodził (nie miał jeszcze konkretnych zleceń, bo nie było jeszcze faszerowanych podsłuchami nowych komnat dla świecznikowych kuracjuszy). Droga do domu wiodła obok „Leo” — mijałem ten lokal codziennie. Tym razem nie minąłem, ino stanąłem jak wryty, a mój fajny humor uleciał momentalnie, niby kłębek dymu. Na niższym tarasie zobaczyłem bowiem przy stoliku... mego brata, Romka! Kiedy podający herbatę kelner odłonił figurę Romkowi towarzyszącą — ujrzałem Satina! Gawędzili sobie!

Nie wiedziałem co robić. Nie mogłem zabronić bratu spotkania się z kim chciał, nie mogłem opieprzyć Satina, że uwodzi mego brata po swojemu, nie mogłem wkroczyć na taras warcząc lub wrzeszcząc — niedużo mogłem! Wszedłem więc tam, robiąc minę wesołą, i przywitałem się jak gdyby nigdy nic:

—Cześć, chłopaki, widzę, że już się znacie... i już przeciwko mnie konspirujecie!

—Ktoś musi! —rzucił równie wesoło Roman.

—Konspirujemy dla ciebie, Matt, właśnie ujawniłem Romkowi, iż jesteś Alex Czartoryski, książę, żeby się nie wygadał gdzieś

przypadkowo —oznajmił Satin. —Kelner, trzecie krzeselko dla pana!  
Co pijesz?

—Chwilowo nic. Jak się poznaliście, ujawniciele?

—Trudno się nie poznać, studiując na tej samej uczelni. Patrząc, godność rodzinna ta sama, znaczy przedczartoryska, więc zagadałem, i właśnie przyszliśmy opić nową znajomość. Gwarantowałem Romkowi, że dołączysz nim minie kwadrans.

—Istotnie, tak mówił, tak było! — potwierdził Roman, lekko zdziwiony.

— A mówił ci, że jest magikiem, prorokiem, szulerem, jasnowidzem, iluzjonistą...

—Hola, zastopuj! — krzyknął Satin. — Bo się rozpędzisz i przewiesz mnie także sadystą, nazystą, marksistą, progresistą, kapitalistą, finansistą, federalistą, pederastą, niewiastą i kim tam jeszcze, Matt! Nie przyklepaj mi do czoła szyldzików!

— To masz jeszcze czoło?... — zapytałem, nie mogąc się powstrzymać.

Zgromił mnie wzrokiem i prychnął:

—Bardzo dowcipne, przyjacielu!... Zostawiam was, bracia Polacy, muszę się wysikać.

—Tylko nie repetuj Panamy, wróć —zakpiłem.

—Jakiej Panamy! Mówiłem ci już, że nie byłem tam, kolego!

I udał się w kierunku toalety, a wówczas Roman — widząc mój wzrok —spytał:

—Czy to jest ten typ, o którym stryj Gabriel mówił, że się zgłosi do mnie?

—Nie, nie sądzę, braciszku. Ale to ktoś z tej samej paczki, tylko ważniejszy, fiska, czy raczej szara eminencja, bardzo wpływowa. Studencika udaje. Ciebie na razie bada rozpoznawczo. Wkrótce pewnie zaprosi cię do szynku portowego, gdzie ja bywam. Odmów!

—Dlaczego mam odmówić?

—Bo nie lubisz portowych knajp.

—Nie wiem czy nie lubię...

—Roman, proszę, odmów! I uważaj na paplaninę tego demagoga, bo zrobi ci gulasz z mózgownicy!

—Jaki gulasz, węgierski? —parsknął Romek.

—Gadam serio! Zachwalać ci będzie wszelkie draństwa, od bredni, że w seksie nic nie jest perwersją, do głęd, że masakra i ludobójstwo to zjawiska nader zabawne, których kontemplowanie jest „wąchaniem czasu”.

Roman skrzywił cierpko wargi:

—Ty go bardzo nie lubisz, a on cię zwie przyjacielem, kumplem, braciszku...

Naszą „kłótnię” przerwał powrót Satina z toalety. Nim wznowiliśmy trójstronną rozmowę —na wyższym tarasie zjawilo się większe towarzystwo. Dwie damy i kilku facetów. Nie bez zdumienia zobaczyłem wśród nich koleżankę ze studiów, Doris, i „towarzysza Mitie”.

—Zobacz, Sat, tam jest Doris!

—Widzę. Jest tam, bo wetknąłem ją tam.

—Wetknąłeś? Po co?

—Jako rajfur, przyjacielu. Doris ma zabawiać pułkownika Gałkina.

—To Kacapy?! —zdumiał się Romek.

—To mieszana kompania, ludzie „służb” z obydwu stron. Ruskie GRU i NKWD, plus nasi. Ruscy przyjechali zaklepać tajny pakt. Nie międzypaństwowy, tylko między służbowy, czyli ponadpartyjny, a może ponadpaństwowy, szczyt sekretu. Ale tutaj, do knajpy, przyszli po prostu zjeść. Ta druga baba to Greta Lörcke, łączniczka między berlińskim Biurem Spraw Żydowskich a Moskwą. Ten szczerzący zęby to jej mąż, pisarz Adam Kuckhoff, a ten łysiejący, ten obok, to pułkownik Gałkin. Przy nim jego „goryl”, nasz znajomy, Mitia, a dalej pułkownik Nikolai, pułkownik Schröder i major Gurcew.

—Co ma z tym wspólnego Biuro Spraw Żydowskich? — zapytał Roman.

— Jego szef, Walter Nikolai, jest kierownikiem niemieckich negocjatorów, sprężyną tego konszachtu, bez niego wizyty by nie było. As wywiadu już przed wojną, i notoryczny Rusofil. Trzy lata temu Canaris usunął go z Abwehry, gdyż dowiedział się, że Nikolai i antysemicka frakcja u boku Stalina toczą tajny dialog, ale rok temu szef SD, Heydrich, zrobił Nikolaia szefem Biura Spraw Żydowskich. Najnowszy sukces Nikolaia to prowokacja, dzięki której Stalin wyrznął żydowską hierarchię Armii Czerwonej, między innymi marszałka Tuchaczewskiego. Z tamtej strony kręciło tę intrygę kilku bonzów GRU, między innymi Gałkin. Teraz dopinają sojusz głębiej, żeby nie pękł nawet wtedy, kiedy wybuchnie wojna niemiecko-sowiecka. A ona wkrótce wybuchnie, i wówczas to będzie cudowny cyrk: reżimy będą walczyły ze sobą na śmierć i życie, a ich tajne służby będą mimo tego współpracowały! Świat jeszcze nie widział podobnego komediodramatu.

—Skąd ty to wszystko wiesz? —zaciekawiał się Roman.

Nim Satin odpowiedział, ja spytałem:

—Dużo ciekawsze jest: czemu nam to wszystko mówisz. Czemu ujawniasz profanom tajne konszachty, będące „szczytem sekretu”?

—Bo nie składałem tym ludziom przysięg... —uśmiechnął się Satin.  
— Przysięgę złożyłem tylko sobie, że będę się bawił wszystkim, wszędzie i zawsze, kosztem każdego, zwłaszcza kosztem cwaniaczków. Im większy cwaniak, tym większa satysfakcja... Romuś jeszcze nie wie, że moje imię, Sat, bierze się od Satysfakcji!

—Który jest większym cwaniakiem, Gałkin czy Nikolai? — spytał Romek.

—Obaj są mistrzami tego kunsztu. W 1917 Nikolai wysłał Lenina do Petersburga zaplombowanym wagonem, żeby super bolszewik wzniecił rewolucję czerwoną i zmiotł carat. Genialny chwyt! Chociaż

pomysłodawcą był nie on, tylko Żyd Izrael Łazarewicz Helphand pseudo Parvus, wirtuoz intrygowania. A Gałkin... Czy uwierzycie, że w Akademii Marksizmu-Leninizmu studiował nie zaglądając do literatury? Na egzaminach wymyślał rzekome cytaty z Marksa i Lenina, i nikt nie zauważył, iż te pompatyczne brednie to wymysły. Stawiano mu noty celujące. Później, robiąc karierę aparaczyka, blefował tak samo... Romeczku, to coś dla ciebie, fdozofię można zaliczać identyczną metodą bez problemu.

—Kupuję! —krzyknął ubawiony Roman.

Krzyknął zbyt głośno —zostaliśmy zauważeni przez tamtych.

## 61.

### Restauracja „Cesarz Leopold” (2)

Zauważył nas siedzący przy balustradzie „towarzysz Mitia”. Spojrzał w dół, rozpoznał i zbiegł po schodkach, wrzeszcząc:

—Cześć, Satin! Witajcie, towarzysze! Co, tylko winko i herbatka?...

Proszę do nas, na górę, są dziewczyny!

—Ale tylko dwie —mruknął Satin bez entuzjazmu.

—Czasem i jeden żeński zad całemu eszelonowi starczy! —huknął Mitia. —No, chodźcie, chodźcie!

Wyciągnął nas na górę, przedstawił i dostawiono drugi stolik tudzież krzesła dla trzech osób. Zrobiło się krótkie zamieszanie, lecz po chwili towarzystwo odzyskało dialogowy rytm. Satin żartował sobie z Mitią, Doris plotkowała z Gretą, Nikolai perswadował coś Gałkinowi, a Gurcew objaśniał Schröderowi sekrety tatuaży sowieckich więźniów:

—... no i często godła cerkiewne, religijne. Ale klasztor, krzyż czy Matka Boska nie są symbolem religijności, to tylko szyfr, kod.



Nosiciel krucyfiksu to „książę złodziei”, Boża Rodzicielka z Dzieciątkiem oznacza, że gość kradł już jako dziecko, a katedra z wieżyczkami mówi ile lat odsiadki ma za sobą —tyle, ile wieżyczek.

—U naszych widywałem czaszki — popisał się Schröder, pijąc koniak.

—Nasi też je dziargają, to symbol wysokiego statusu, oficerski stopień w więziennej hierarchii, ale jeśli któryś bezprawnie go sobie wydziarga, zetną mu brzytwą lub nożem. Tam kary są straszne, pułkownika. Gwałcicielom dzieci dziargane jest siłą serduszko wewnątrz białego trójkąta, co oznacza, że gość to parias i można go dymać do woli...

—A wie pan, majorze, iż nasi pakują sobie swastykę na wrażliwe części ciała, żeby strażnicy nie tłukli tych miejsc? Czy wasi dziargają sobie sierp i młot?

—Nie.

— A propos: zauważył pan podobieństwo Hakenkreuza i zygzakowatego skrzyżowania młota z sierpem, czyli podobieństwo naszego godła i waszego godła?

—Nie.

—Cóż... szkoda... Więc co u was sobie ochronnie tatuują?

—U nas swastyka jest dziargana jako symbol oporu przeciwko władzy radzieckiej, natomiast jako tarcze chroniące od ciosów strażników chłopcy dziargają sobie podobizny Lenina lub Stalina. Jednak wątpię czy...

Nie miałem tak podzielnego słuchu, by absorbować treść rozmów z dwóch stron. Znudzony „dziargami”, przerzuciłem uwagę na Nikołaia i Gałkina. Rosjanin perorował chrapliwym szeptem:

—Stalin chce współpracy, nie chce wojny...

—Nie chce, bo jest chwilowo zbyt słaby — odparł Nikolai, też ścisząc głos. —Ale zbroicie się na potęgę, pułkownika.

—A wy to nie?! —spytał ze złością Gałkin.

—Cóż, gdyby nie wielkie zamówienia wojskowe, świat trochę dłużej wychodziłby z kryzysu. Wojna mogłaby jeszcze przyspieszyć ten ekonomiczny wzrost, gospodarka wojenna bywa fenomenalnym motorem rozwoju koniunktury...

Raptownie Gałkin spostrzegł, że ktoś patrzy na nich świdrująco. Nie ja — ja ukrywałem wzrok — lecz Satin, który akurat zabawiał Mitię, jednak zezował ku pułkownikom przez cały czas. Rosjanin wbił w niego swoje straszliwe ślepia (nigdy nie widziałem tak groźnych oczu — zimnych, bezlitosnych, morderczych) i wygłosił chrypiącym głosem:

—Mitia mówi mi czasami o panu, panie Satin. Koledzy z mojej fabryki mówili mi również.

—Pewnie tylko miłe rzeczy — domyślił się Satin. — Pan jest fabrykantem, pułkowniku? Co produkujecie dla nas?

—Zboża, ropę, węgiel. Ale chcemy też produkować dobre stosunki między Moskwą a Rzeszą...

—Świetny wybór, pójdzie wam jak z płatka.

—Czemu pan tak sądzi, panie Satin?

—Bo wiem ile łączy Niemców i Rosjan, to są właściwie narody bratnie. Tyle rzeczy mamy identycznych. Choćby systemową teodyceę, panie pułkowniku.

Zapadła niezręczna cisza, lecz z kłopotu wybawił Gałkina Gurcew, pytając:

—Co to jest teodycea, panie Satin?

—W teologii i w niektórych systemach filozoficznych jest to dział zajmujący się usprawiedliwianiem sprzeczności między istnieniem zła na świecie a wszechmocą i wszechdobrocią Boga — objaśnił grzecznie Satin.

—U nas Leibniz się tym zajmował, u was paru duchownych i paru akademików.

—Co to ma wspólnego z sowiecką Rosją? —spytał Gurcew.

—Bardzo dużo, tak z dzisiejszą sowiecką Rosją, jak i z dzisiejszą Rzeszą. Chodzi o kultową bezgrzeszność Stalina i Hitlera.

—Co jeszcze, według pana, łączy Rosjan i Niemców?! — spytał groźnie major.

Satin się nie wystraszył:

—Rosjan i Niemców łączy to, panie majorze, iż oba narody na tyranie zasługują. To zadawniona tradycja naszych plemion, Fryderyk Wielki, Iwan Groźny, czyli wyciory i knuty. Wasz rymopis Puszkina mówił o tym celnie, mogę zacytować, i to po rusku.

—Pażałujsta! — wycedził po rusku Gałkin. Więc Satin wyrecytował:

*„Pokornie paście się, narody!  
Na nic wolności dar dla trzody.  
Trzoda jest na to, żeby strzyc ją  
Albo jej sprawić rzeź czasami,  
A jej dziedzictwem i tradycją  
Jest bicz i jarzmo z dzwoneczkami”.*

—Tytuł: „Siewca wolności”, zatem winno się przy deklamacji gromko krzyknąć: „ — Heil, Hitler!” lub „ — Sława tawariszczu Stalinu!” — uzupełnił Satin kpiącym tonem. — A co do Puszkina... on też pękł, i dawał haniebnie dupy carowi Mikołajowi, tak to już jest z wieszczami...

Cisza zrobiła się ciężka jak ołów, umilkły nawet panie. Lecz jakoś musieli wybrnąć. Gałkin skrzywił się i rzekł, mając usta pełne przeżuwanego mięsa:

— Gaspadin Retea, my jesteśmy tutaj zwykłymi pacjentami kurortu...

— Polecam bicze wodne, specjalność Germanshaven, inaczej mówiąc: knuty wodne, i w ogóle terapię hydrauliczną, a precyzyjniej: balneologiczną.

—Nu, da... Mnie moi mówili, że z was duży jajcarz jest, że śmichy-chichy wam we łbie bez ustanku...

—To prawda, panie pułkowniku, święta prawda —przyznał Satin. — Ale miałem dobrych belfrów. Czarownik Merlin, ten od rycerzy Okrągłego Stołu, śmiał się ciągle, naśmiewał się ze wszystkiego. To była jego cecha charakterystyczna. Każde swoje jasnowidzenie poprzedzał wybuchem śmiechu. Swoją główną czarnoksięską robotę, przeniesienie menhirowego kamiennego giganta, Stonehenge, z Irlandii do Salisbury, wykonał śmiejąc się cały czas.

—Podobno pan również umie przepowiadać przyszłość — rzekł Schröder.

—Gdzie tam! —zaprzeczył rozbawiony Satin. —A już na pewno nie tak długodystansowo jak Herr Hitler, który przepowiada tysiącletnią Rzeszę, i jak towarzysz Stalin, który przepowiada globalne zwycięstwo komunizmu.

—Czemu pan nie lubi towarzysza Stalina?! — zapytał agresywnie Gurcew.

Nim Satin wymyślił ripostę (co trwałoby pół sekundy), przypomniałem sobie żart „Filozofa” i jedyny wtedy raz włączyłem się do dialogu:

—On lubi towarzysza Stalina, tylko cierpi, że towarzysz Stalin nie jest doskonały, bo czegoś towarzyszowi Stalinowi brakuje...

—Czego konkretnie?

—Po wodzie nie umie chodzić.

—„Führer” także! — krzyknął Nikolai, rozładowując napięcie i detonując gremialny wybuch śmiechu.

Przywołanie Merlina, czarownika z arturiańskich klechd, zmieniło dalszy tok rozmowy, bo Gałkin zagadnął Nikolai'a między jednym a drugim kęsem:

—Wciąż nie macie szczęścia do swoich Merlinów.

—Do kogo? —zdziwił się Nikolai.

—Do nadwornych czarnoksiężników i jasnowidzów. Zbyt szybko ulegają dematerializacji. Wpierw Hanussen, czyli Herschel Steinschneider, przyboczny jasnowidz „Führera”, Żydek, którego SA wysłało w ciemną czeluść krainy duchów, a po nim kolejny nadworny magik, Wolf Messing, też gudłaj.

—Co u niego słyhać? —zapytał Nikolai, odkładając sztucce.

To pytanie skonsternowało Ruskich. Gurcew przełknął grudę śliny i „udał Greka”:

—Czemu pan nas o to pyta, pułkowniku?

—Bo Messing zwiął, przez Polskę, do was, więc możecie, panowie, lyknać 200 tysięcy marek nagrody, które władze Rzeszy wyznaczyły za jego głowę.

—Nic mi o tym nie wiadomo! — prychnął Gurcew, zerkając ku Gałkinowi z ukosa.

—Widocznie jest pan daleko od towarzysza Stalina i towarzysza Berii. Messing jednemu i drugiemu przepowiedział w zeszłym roku przyszłość.

—To ciekawe, bardzo ciekawe... — westchnął Gałkin, wycierając usta skrawkiem obrusa, choć serwetka tkwiła blisko talerza w pojemniczku. —I co przepowiedział naszym wodzom?

—Świetlaną przyszłość, oczywiście. Ale i rychłą wojnę między naszymi państwami...

—Zwycięską dla nas, rzecz prosta?

— W Berlinie przepowiedziałyby zwycięską dla Niemców, pułkowniku —uśmiechnął się Nikolai, zapalając Gałkinowi cygaro.

—Ciekawe gdzie by się pomylił?

Kolejną chwilę niezręcznego milczenia rozładował Satin dowcipem:

—A propos słowa „pomylić”, proszę panów... Jest taki żart, iż „Żyd mówi prawdę tylko wtedy, kiedy się pomyli”.

Gałkina to nie rozbawiło:

—My wiemy, gaspadin Retea, że u was tak się mówi nie tylko o Żydach, również o Rosjanach, ciekawe o których częściej...

—I ciekawe co pan, panie Satin, myśli o prorocत्वach Messinga dotyczących rezultatu ewentualnej wojny pomiędzy nami — dodał Gurcew. —Proszę już nie wypierać się daru prognozowania... No więc, gdzie Messing powiedziałby prawdę, w Berlinie czy na Kremlu?

—Być może i tu, i tam —rzekł Satin.

—I tu, i tam? Przecież jedno wyklucza drugie...

—Niekoniecznie, zależy kto liczy zyski oraz straty. Czyż to nie Stalin powiedział, że nie jest ważne kto i jakie wrzuca głosy do urn, ważne jest kto te głosy liczy, proszę panów? Tu może być tak samo.

—Co pan przez to rozumie, gaspadin Retea?

—Że historia może każdemu policzyć coś zupełnie innego, panie pułkowniku.

## 62.

### Po wyjściu z restauracji

Wyszliśmy z restauracji chwilę przed tamtymi —Satin, ja i Romek. Dreptaliśmy ku centrum miasta. Satin czarował mojego brata swym kuglarskim trelem, a ja pomyślałem, iż przy całym wrodzonym łajdactwie jest to człowiek szczerzy do bólu. Zaimponował mi na wyższym tarasie „Cesarza Leopolda”: był przecież trybikiem maszyny tajnych służb — kółkiem zębatym ich sekretnego, negocjowanego właśnie konszachtu — a szydził sobie z nich dezynwolturowo. To mi się podobało, i zazdrościłem mu, że jest wolny jak ptak. Czarny ptasior, drapieżne skrzydlate bydlę, unoszące się nad mrowiskiem ludzkim i nie klękające (czy choćby

gnące) przed żadnym z autorytetów, nawet przed swoimi zwierzchnikami. Okazywał tę bezczelną niezależność już wobec uniwersyteckich profesorów, lecz wobec zwierzchników ze „służb” była to hardość bardziej ryzykowna, dlatego budziła większy szacunek. Satina można było przestać lubić, ale nie można było przestać cenić.

Nim doszliśmy do drugiego narożnika ulic, Satin mruknął:

—Za chwilę zostaną zbesztani, lecz nie oddalajcie się, choćby pułkownik tego żądał.

Nim dotarliśmy do narożnika trzeciego, przy krawężniku zatrzymała się limuzyna Daimler i wychylił się z niej senior restauracyjnego towarzystwa, pułkownik Walter Nikolai. Powiedział Satinowi:

—Chcę zamienić słówko, proszę do samochodu.

—Wszyscy trzej? —spytał Satin.

—Nie, tylko pan!

—Można mnie opieprzać przy nich, proszę bardzo, panie pułkowniku.

Nikolai skrzywił wargi i zgrzytnął:

—To był ostatni raz, zgrywusie! Ostatni raz drażnił pan naszych gości ze Wschodu! Żeby mi się takie zuchwalstwo więcej nie powtórzyło, zrozumiałeś, Satin?!

—Z azjatyckiego Wschodu, panie pułkowniku, chcąc być ścisłym, bo europejski Wschód to Polska. Ci Azjaci są piekielnie przebiegli, myślą, że wszystkich da się wykołować koncertowo. Jeśli czasami oberwą po paluchach i jęzorach, będą mniej butni, mniej pewni siebie. Tylko o to mi chodziło, panie pułkowniku.

—Nie mieszaj się do polityki!

—Ich wyższość, panie pułkowniku, leży właśnie w głębszym rozumieniu mechanizmów polityki. My stosujemy podręcznik Machiavellego i wydaje się nam, że „cel uświęcający środki” to

polityczne „nec plus ultra”. Tymczasem przy azjatyckich podręcznikach tego typu, „Książę”, z całą swą apologią cynizmu, podłości, kręactwa i okrucieństwa, to bajeczka dla grzecznych dzieci. U Machiavellego bowiem pewne hamulce etyczne istnieją, i te hamulce Zachód ma we krwi, gdy Azjaci mają we krwi całkowitą eliminację jakichkolwiek etycznych względów. Niech pan weźmie do ręki „Arthasiastkę”, regulamin polityki pisany 2200 lat temu przez ministra Canakę Kautilja, którego zwano „hinduskim Makiawelem”, i którego imię, rodowe imię, porzekadło zmieniło na Kautilja, czyli Krętość. Ujrzy pan, pułkowniku, różnicę między wrednością Zachodu a wrednością Wschodu; ta pierwsza jest jak Maria Antonina kradnąca ludowi ciastko, ta druga jest przy niej jak ludobójcza lady Macbeth. Więc niech pan raczej pilnuje swoich pleców, kiedy się pan z nimi układa, miast denerwować się, że oberwali od szydery kilka kłapsów.

Nikołai słuchał tego wykładu nie przerywając, i zanim domknął szybkę okna samochodu, rzekł:

—Ostrzegłem pana, Herr Retea! Proszę wyrobić sobie większą wstrzeźliwość!

Po czym samochód ruszył i zostaliśmy we trzech — Romek zachwycony, Satin ukontentowany, a ja dumający nad tym, że to był kolejny występ Satina przed moim bratem, którego Satin chce uwieść tak, jak mnie uwiódł dwa lata temu. Ledwie to pomyślałem, spytał Romka:

—Wiesz czym twój szanowny brat karmi właśnie swoje głębokie myśli?

—Nie wiem.

—Złością, że popisuję się przed tobą, by cię oczarować. Że tam, w restauracji, i tutaj, przy pułkowniku, zimno grałem rolę uwodziciela, szpanując odwagą, imponując ci.

—I ma rację? —spytał trzeźwo Roman.



—Owszem, ma rację.

Był genialny. Zagrał teraz nutę pyszną — potwierdzeniem, które jest właściwie przeczeniem, wedle chwytu, że maksymalną szczerłość określa przyznanie się do nieszczerłości. Jestem tak prawdomówny, że wyznaję nawet to, iż czasami kłamię. Roman nie zdążył jeszcze ochłoniąć, gdy zalał go złotousty potok głądzeń:

—Cóż, mam aktorstwo we krwi. Zupełnie jak pewien mój kumpel, barman, który nosi miano „Filozofa”. Urodził się do aktorstwa, lecz kazano mu studiować filozofię, minął się, biedak, z powołaniem, taki los. Ja zaś lubię i komedianctwo, i pseudo filozofowanie dla bawienia współtowarzyszy. Mam nadzieję, że cię nie znudził mój występ, pierwszoroczniaku...

—Nie nudzi mnie nic co się wiąże z polityką — odparł, ku mojemu zaskoczeniu, Romek.

—Lubisz politykę?

—Tak.

Wtrąciłem się, pytając:

—Czemu?

—Nie wiem czemu... W gazecie ojca zawsze szukałem wiadomości politycznych, gdy moi kumple tylko kinowych i sportowych.

—Jeśli lubisz politykę, to się tego trzymaj, idź w tym kierunku — rzekł Satin. — Człowiek winien nie krępować swych talentów i pragnień, uwierz mi, Roman. Studiujesz to samo co studiował „Filozof”, i tak samo jak on marzysz o graniu, tylko że on śnił o scenie lokalnego teatryku, a ty śnisz o teatrze międzynarodowym. Od razu widać, że ty i Mateusz nie jesteście bliźniakami.

—Po tym widać?

—Właśnie po tym. Twój czcigodny starszy brat zupełnie nie interesuje się polityką. Wiesz kiedy to spostrzegłem? Od razu, dwa lata temu, kiedy tylko zaczął tu studiować. Wtedy hitlerowcy wypuścili Ossietzky'ego z obozu. Coś ci mówi to nazwisko?

— Tak, von Ossietzky jest Noblistą pokojowym, pacyfistą, hitlerowcy wsadzili go za antymilitaryzm do Dachau.

— No właśnie. W 1936 wypuścili go, pod naciskiem opinii międzynarodowej, bo była olimpiada, i wszyscy na uczelni gadali o tym, jedynie Mateusz się tym nie interesował, zupełnie, null!

— Pół roku temu von Ossietzky zmarł, lecz czy śmiercią naturalną?  
— zapytał Romek.

Satin uśmiechnął się i wzruszył ramionami:

— Chłopczyku, dobrzy spece powodują bez kłopotów „śmierć naturalną” u każdego wytypowanego śmiertelnika.

— Więc został zamordowany?

— Tego nie powiedziałem. Nie wiem. Powiedziałem tylko, że śmierć naturalna to równie łatwa gra jak samozapłon, tajemnicze zniknięcie, obrotowi świadkowie, kolizja samochodu, wybuch gazu czy spontaniczny pogrom Żydów przez masy ludowe ogarnięte patriotyczną gorączką. Winienieś to rozumieć, jeśli urodziłeś się do polityki. Mateusz urodził się do etyki i w lot łapie wszystko co tyczy seksu.

— Zejdź ze mnie, Satin! — warknąłem. — Opowiedz mu raczej jak łapiesz w lot seks z emerytkami, będący quasi-nekrofilią!

Romek wytrzeszczył oczy. Na temat miny zdziwionej mówiło się wtedy: „okrągłe oczy” lub „okrągły wzrok”, dzisiaj mówi się: „kwadratowe oczy” lub „kwadratowy wzrok”. I spytał:

— To prawda, Satin, emerytki?!

— Prawda, Romeczku, seniorki, seniorki, święta prawda — przytaknął Satin. — Jak mogłaby to być nieprawda, jeśli mówi to twój braciszek, człowiek, który nigdy nie kłamie...

— Ale czemu?

— Bo cierpi na prawdomówność, to rodzaj zboczenia.

— Pytam: czemu emerytki, seniorki!

— Aaa... No cóż... ja, w przeciwieństwie do pedofilów, półpedofilów

i ćwierćpedofilów...

Urwał, patrząc na mnie wymownym wzrokiem, więc zapytałem:

—O mnie mówisz?

—A o kim? Półpedofile to ci, co muszą mieć dziewczynkę, która nie ukończyła dwudziestego roku, ćwierćpedofile stawiają granicę użyteczności przy trzydziestym roku życia kobiety, i tylko prawdziwi mężczyźni nie dyskryminują żadnego wieku niewiast, gdyż byłoby to antyhumanitarne barbarzyństwo, samczy szowinizm. Ładnie zabrzmiało, proszę panów?

Romek począł klaskać, a ja, miast też bić brawo, wygłupiłem się tłumaczeniem:

—Bzdurna klasyfikacja, lecz nawet gdyby się ją przyjęło, to ja nie należę ani do półpedofilów, ani do ćwierćpedofilów, bo sypiam z damami, które ukończyły trzydzieści lat. Więc czepiasz się mnie bez sensu, Satin!

—Sypiasz akurat z nimi, bo tak przypadkowo zrządziły gwiazdy, wyroki losu, fata, wpędziło cię w to życie, baranku —odparł Satin. — Jednak marzą ci się panienki młodsze o kilkanaście wiosen. Nie zaprzeczaj, bo kłamać jest brzydko!

—I kto to mówi! —prychnąłem. —Król kłamców!

Miał, jak zawsze, słuszność. Bettina — chyba nie tylko przez biologiczne starzenie, lecz także przez szantażowanie jej, zmuszanie do objęcia kierownictwa rządowego kurortu — postarzała się mocno w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Margot — chyba przez nadmiar likieru i cudzołóstwa —też traciła apetyczność. Coraz częściej śniły mi się koleżanki ze studiów. Przy stoliku „Cesarza Leopolda” wzroku nie mogłem oderwać od złotowłosej Doris, którą Satin, niczym sutener, podsunął, niczym kurwiszona, sowieckiemu oficerowi. Żeglując między wyspami tropików, brałem czekoladowoskóre nastoletnie dziewczęta jak erotoman nienasyceniec; cud, że nie złapałem choroby wenerycznej, zwanej

wtedy „francą”.

Jednak do tego, że Satin zazwyczaj ma słuszość, zdążyłem się już przyzwycząić, zero zdziwienia. Natomiast do Satina nie mogłem się już ponownie przyzwycząić, znając jego charakter maskowany tzw. sympatycznością, czyli ujmującą gadką, serdecznością i totumfackością. Widziałem jak błysnęły mu ślepia kiedy Romek wygadał swój nerw polityczny. Bałem się, że Satin wciągnie go w gry polityczne, ale nie mogłem niczego Romkowi zabraniać, gdyż był młodzieńczo buntowniczy, hardy, a moje ostrzeżenia przed Satinem tłumaczył sobie nurtującą mnie zazdrością.

### 63.

#### **Mój brat słucha fletu czarodziejskiego**

Najsłynniejszym polskim plakatem filmowym czasów okupacji komunistycznej (epoka PRL-u) jest wykonany przez grafika Górkę plakat do filmu Boba Fosse'a „Kabaret”, z roku 1973. Gdy wiele lat później licytowano jeden egzemplarz podczas warszawskiej aukcji antykwarycznej — był reklamowany niby peerelowska „Mona Lisa”: „Najsłynniejszy w świecie polski plakat filmowy”. Cudowna jest tam koncepcja — genialny pomysł graficzny, zdejmujący kapelusze komentatorom: cztery razy ukazana zgięta w kolanie noga estradowej tancerki tworzy cztery zygzaki swastyki (łędźwiowy fragment uda goły, czarne pończochy, szpilki też czarne), a centrum swastyki wypełnia rozśpiewana gęba Joela Greya. Na tej aukcji to ja wylicytowałem ów plakat (za duże pieniądze) i powiesiłem sobie w przedpokoju, do wspominków. Ta mająca wygląd pudrowanej maski gęba Greya przypomina mi twarz Satina, te zgięte kankanowo nogi przypominają mi elitarny kurortowy hitleryzm Germanshaven (u

antykwarium Burgera kupiłem wtedy XIX-wieczną szklaną nóżkę damską tego rodzaju, bo mówił, że polscy, rosyjscy i pruscy oficerowie pili wino z owych szklanych nóżek i trzewików, lecz stłukła mi się niechcący), zaś tytuł plakatu przypomina mi nasze wizyty w dwóch kabaretach Germanshaven. Ostatnia z nich miała miejsce 13 listopada (niedziela), cztery dni po straszliwej „Nocy kryształowej”, będącej pierwszą niemiecką hekatombą Żydów.

Arcyrasistowskie Ustawy Norymberskie, przyjęte przez Reichstag III Rzeszy (w 1935 roku) „ku ochronie czci i krwi niemieckiej” — dyskryminowały Żydów bardzo, jako podludzi. Lecz dopiero „Kristallnacht” vel „Reichskristallnacht” (noc 9/10 listopada 1938) rozpoczęła rzeź niemieckich Żydów. Wielu ich wówczas zamordowano, spalono 171 synagog, zdemolowano 7500 żydowskich firm i sklepów, a wywózka Żydów do łagrów koncentracyjnych bezzwłocznie objęła 26 000 ludzi. SS, SA i Hitlerjugend szalały, tropiąc Żydów gdzie się dało. „Filozof” umierał ze strachu, lecz już nazajutrz po „Nocy kryształowej” (która w Germanshaven była bardzo łagodna: kilka wybitych szyb sklepowych) Satin przyniósł mu do knajpy „Cygana” obiecane papiery, konkretnie „Zaświadczenie o niemieckości krwi” („Deutschblütigkeitserklärung”), mówiąc:

— Teraz już nikt nie może cię sekować, jesteś bezpieczny, dawaj szkocką „lufę”, Aryjczyku.

„Filozof” wyjął dokumenty z koperty, przyjrzał się im, powąchał i mruknął:

— Zawsze chciałem grać w komedii...

— To nie jest komedia, tylko tragikomedie, przyjacielu, czyli coś, co zawsze było moją ulubioną formą spektaklu — wyjaśnił mu Satin. — I nie myśl, że to nazistowska tragikomedie numer jeden, znam lepsze. Czy uwierzysz, że w Wehrmachcie służy ponad sześć tysięcy Żydów, a w SS kilkudziesięciu, i niektórzy mają wysokie stopnie, są hierarchami? Będą gorliwie mordować dla Hitlera.

Raptem zauważył, że sterczę obok, przy kontuarze baru, więc wydobyl z rękawa asa polskiego:

— Cześć, Matt!... Jak słyszysz, mówimy o tragikomiach hitlerowskich, które się tu dzieją, a trzeba ci wiedzieć, że niektóre brzmią po polsku. Rok przed twoim przybyciem do Germanshaven Niemcy i Polska podpisały pakt o nieagresji, i wtedy w Dreźnie odsłonięto biust Chopina na budynku gdzie mieszkał wasz półfrancuski kompozytor. Hitlerowscy dygnitarze machali wyprostowanymi łapkami, rycząc: „— Heil, Chopin!”. Mówię serio, aczkolwiek można się z tego tylko śmiać. Tak jak i z faktu, że wówczas główna nazistowska gazeta, „Volkischer Beobachter”, pisała o Matejce per: „geniusz”. Geniusz, co malując „Batorego pod Pskowem”, „stworzył wybitne arcydzieło”. Dokładnie tak napisali. Z czego również można się tylko śmiać.

—A ja myślałem, że śmiać się można wyłącznie z masakr, hekatomb i ludobójstw, czyli z trupów...

Mówiąc to patrzyłem Satinowi prosto w oczy, on jednak ich nie odwrócił i ani trochę się nie speszył. Chwilę milczał; później udzielił mi riposty swym popisowym sarkastycznym tonem:

—Czemu tak głupio mylisz mnie i towarzysza Lenina, półkałmuka, o którym ci opowiedziałem, że krwawe zbrodnie pobudzały go do homerycznego śmiechu? Ja nie wyśmiewam ludobójstw, tylko głupotę ludzką, która prowadzi do ludobójstw. Cała wojna światowa była jednym kretyńskim bezsensownym ludobójstwem, miliony, miliony trupów. Wkrótce nastąpi powtórka, przy której tamta wojenka wyda się detalistką nie mającą pojęcia o hurcie rzeźniczym. Świat musiał u progu tego stulecia stłuc jakieś magiczne lustro, więc wywołany tym pech sprawi, że to stulecie wejdzie jako „saeculum horribile” do annałów.

—Nie tylko przez hakatomby, również przez obozy koncentracyjne — przytaknął „Filozof”. — Mój kuzyn Klaus został uwięziony w

Sachsenhausen...

—Z jakiego paragrafu? —spytał Satin.

—„O ochronie narodu i państwa”.

—Zobaczę, może uda mi się go wyciągnąć. A ciebie, „Filozof”, trzeba wyciągnąć z ignorancji. Hitler nie wynalazł koncentracyjnych obozów. Zrobili to Hiszpanie. Gdy w 1895 eksplodowała na Kubie rebelia antyhiszpańska, jej zwolenników Hiszpanie pakowali za druty „reconcentrados”, czyli właśnie obozów koncentracyjnych. Brytyjczykom ten pomysł bardzo się spodobał, więc podczas Wojny Burskiej tworzyli obozy koncentracyjne dla Burów. Również bolszewicy wyprzedzili Hitlera, pierwsze swoje łagry koncentracyjne stawiali w 1918 roku...

—Gadasz jak obrońca Hitlera, Satin! —westchnął „Filozof”.

—Eee tam! — fuknął Satin. — Gdybym, będąc jego adwokatem, musiał bronić go przed sądem, wskazywałbym raczej na psychiczną niewydolność, niepoczytalność, paranoiczną zakompleksiałość, te rzeczy. To krypto idiota, który myśli, że posiadał „arcanum imperii”, tajemnicę władzy, jej sekretny klucz.

—Czyli co? —spytał „Filozof”, wycierając szklankę.

—Czyli zastępowanie religii szerzeniem świeckiego kultu superwodka.

— To chyba nie jest aż tak głupi jak niektórzy sądzą. Z Monteskiusza, którego musiałem wkuwać podczas studiów, pamiętam, że wyłącznie świadomość religijna umie stawiać despotyzmowi bardzo silny, trudny do przewyciężenia opór. Niemiecki protestantyzm okazał się zbyt słaby, podobnie jak niemiecka demokracja, wszystkie te instytucje...

— Demokracja?! — przerwał mu Satin. — Hitler, twórca „narodowego socjalizmu”, jest, jak ta nazwa wskazuje, socjalistą. Nie wkuwałeś Tocqueville'a podczas studiów?

—Owszem, ale nie kojarzę do czego pije...

—Do tezy Tocqueville'a, że „demokracja i socjalizm nie mogą iść razem”, czyli nie mogą utworzyć tandemu. Tocqueville jasno mówi: „Nie możesz wybrać obu tych dróg jednocześnie”. Tutaj demokrację zastąpił właśnie socjalizm, czyli terror. A laicyzacja będąca bazą fanatyzmu wodzowskiego zastępuje fanatyzm religijny.

Wtrąciłem się do ich dialogu:

—Czyż to nie on wzbudza ciągle twoją agresję, Sat?

—Tak, lecz ja chcę go zastąpić nie wodzowskim socjalizmem, tylko demokratyczną wszech tolerancją kulturową według Gramsciego i obyczajową według markiza de Sade, przyjacielu. Zupełnie różne cele, zupełnie różne priorytety. Dobrobyt zamiast paciorka. Jestem humanistą, a nie fideistą czy troglodytą...

Chciał tokować dalej, lecz raptem pojawił się „Cygan”, a to oznaczało kres wszelkiego dialogu na polityczne tematy. „Cygan” się pojawił, bo dwóch szyprów, duński i belgijski, wszczęło pijacką burdę, zaczęli tłuc szkło oraz krzesła, więc Czuga zdzielił jednego i drugiego płazem maczety przez łeb, a później chwycił dwie fryzury i tłukł czaszką o czaszkę aż obaj utracili przytomność. „Cygan” kazał ich cucić kubłem wody i wyrzucić, ale najpierw wyegzekwować zapłacenie rachunku i pokrycie szkód. Były to w jego knajpie codzienne rozrywki, można rzec: rytualne, niczym obrzędowe tańce Papuasów lub Indian. Satin nacieszył wzrok tym spektaklem i raptownie zaproponował pójście do kabaretu:

—Panowie, przyjeżdża wiedeński kabaret, podobno dają skecze pierwszego gatunku, rewelacja! Winienesz być zainteresowany, Matt, bo kilkanaście lat temu w tym właśnie kabarecie grał Fryderyk Jarosy, dzisiaj pierwszy konferansjer Rzeczypospolitej, chluba grodu stołecznego nad Wisłą!

Nie byłem zainteresowany towarzyszeniem Satinowi do kabaretu, ale poszedłem, gdyż Roman mi wyznał, że tam idzie, więc chciałem pilnować szczeniaka, którego zbytnio rozluźniał alkohol.



Przedstawienie było niezłe, piosenki melodyjne, sam Jarosy nie wstydziłby się zapowiadać skeczów. To mi przypomina, że kilka lat później Jarosy opublikował wiersz „Szczury”, o Niemcach, których szczurołap Hitler wprowadził w stan hipnotycznej bezwolności melodią fletu swastykowego. Wtedy jednak bałem się innego szczurołapa —bałem się melodii fletu Satina, który bez trudu owijał sobie Romka wokół palca, a wszystkie moje perswazje, niczym krople deszczu po przysłowiowej kacze, spływały po moim braciszku. Analogicznie bezradne okazały się słowa piosenki, które Romek usłyszał w tym kabarecie. Mała, czerwonowłosa wokalistka, o twarzy trochę dzikiej, całej umalowanej zielonkawo-fioletową szminką, lekko fosforyzującą dzięki światłu reflektorów —śpiewając wędrowała między stolikami. Przy nas się zatrzymała i pochyliła się nad Romkiem, wskazując Satina dłonią oraz tekstem refrenu:

*„Il joue avec ton coeur!  
Il triche avec ta vie!...”.*

—Co ona śpiewa? —spytał Roman.

—Że gram twoim sercem i kręcę twoim życiem —odparł Satin.

—A to prawda?

—To tylko piosenka, głupi szlagierek... Na czym to stanęliśmy, noworoczniku?

—Na inicjatywie Mussoliniego.

Ciągle (także w restauracji, kawiarni bądź kabarecie!) dyskutowali o polityce i ojej aktualnych piruetach. Zauważyłem, iż Satin przebiegle ustawia kwestie i prowadzi wątki tak, by junior mógł rościć sobie merytoryczną fachowość. Gówniarz wbijał się w dumę, i to go przybliżało do Satina. Mieli już swoje sekrety, więc gdy się zbliżałem, zmieniali temat lub ściszczyli głos. Błękitne oczy Romka pały; stając się upolitycznionym mieszkańcem Germanshaven i

bliskim kumplem Satina — pływał wewnątrz swego naturalnego żywiołu, czuł się tak, jak ja się czułem podczas rejsu tropikalnego. Budziło to mój strach, lecz nie sądziłem, że ten właśnie rok straszego stulecia („saeculum horrible”) — rok 1938 — okaże się dla mnie rokiem najstraszniejszym („annus horribilis”), makabrą. Fata bywają przeraźliwie barbarzyńskie...

#### 64.

### Czas śmierci

Tamtego dnia spadł pierwszy śnieg. Od razu duży, ciężkie, szerokie płatki. Wtedy w Polsce — gdy padał taki śnieg — bezrobotni mówili, że złotówki lecą z nieba, bo rankiem dawano im łopaty do odśnieżania i zarabiali dniówkę złotówkową. Złotówka równała się dwóm sutym (trzydaniowym) obiadom, to był „kawał grosza”. Noc spędziłem na Bettinie, pod Bettiną i w niecce między biustem a biodrem Bettiny, praktykując seksualne fikołki; usnąłem przed świtem; spałem prawie do południa; resztę dnia zaciskałem kurczowo palce i zęby, czekając aż nadejdzie godzina odjazdu pociągu. Stryj Gabriel przysłał telegram o samobójstwie ojca.

To było bardzo sprytnie samobójstwo. Ojciec już w 1936 roku wysoko ubezpieczył się na życie, pewnie dzięki łapówce, którą dał mu stryj. Specjalna klauzula precyzowała, że aby rodzinie wypłacono sumę ubezpieczenia, śmierć nie może być efektem samobójczego aktu. Więc ojciec poszedł łowić ryby, wszedł do zimnej październikowej wody boso, i nie zrobił błędu — przeziębził się, markował, że łyka lekarstwa, wywiązało się zapalenie płuc, konał trzy tygodnie, towarzystwo ubezpieczeniowe było bezradne, musiało płacić. Inspektorzy mieli pewne podejrzenia, próbowali się

migać, ale ojciec zbyt dobrze zagrał tę rolę — udawał perfekcyjnie. Stojąc nad trumną przypomniałem sobie słowa Satina o udawaniu jako kluczu do szczęścia, swoistym remedium wygładzającym fałdy losu. Gdy „Pyza” zastanawiała się czyjej związek ze Szwajcarem (tym pracującym dla Urzędu Marynarki emisariuszem, z którym później uciekła) będzie trwały, Satin powiedział mentorsko:

— Sekretem każdego trwałego związku jest szczerłość oraz uczciwość, wystarczy dobrze udawać.

Mówiąc to, zerknął na księcia Czartoryskiego, czyli na mnie, ale nikt nie dostrzegł moich rumieńców, bo obiektem wszystkich spojrzeń była akurat martwiąca się „Pyza”, której serduszko pałało.

Wirtuozowskie udawanie naturalnej śmierci, życiowa kreacja „starego”, zostało mi wyjawione przez medyka, przyjaciela rodziny, który swymi zeznaniami zapewnił jej ubezpieczeniowy „spadek”, i szedł w pogrzebie niosąc trumnę na własnym barku. Obok niego dźwigałem ja, zaś z tyłu Romek i Gabriel. Stryj był serdeczny wobec Romka, a wobec mnie oschły i mrukliwy, co mi wszakże wisiąło. Margot nie przyjechała. Zmarzniętą ziemię kopano kilofami, by zrobić ojcu grób.

Kiedy wróciłem do Germanshaven, zobaczyłem w kronice kryminalnej „Germanshaven Zeitung” reportaż o gwałtownej śmierci pułkownika Burgera. Włamywacze zmiażdżyli mu czaszkę brązową klasycystyczną figurką, gdy siedział nad książką dla dzieci, przy biurku. Konkretnie: nad finałowym fragmentem baśni Andersena o „dzielnym cynowym żołnierzu i tancerzce”. Gazety robiły paralele między jednonogim żołnierzem a jednonogim oficerem antykwariuszem, okazało się bowiem, że Burger też nie miał jednego golenia i jednej stopy; nosił rewelacyjną protezę, skonstruowaną przez siebie samego, w czym bez wątpienia pomógł mu jego fałszerski kunszt.

—Brakuje tylko tancerzki —rzekłem do Satina.

—Nie brakuje, tutejsza eksbaletnica była jego metresą — rzekł Satin. —Świetna dziewczyna, młoda, ale emerytka, rozwalila kolano jadąc rowerem. Już jako nastolatka miała ksywkę „płonące krocze”, co jej zresztą specjalnie nie wyróżnia, przecież wszystkie baby płoną w tym miejscu, taki jest wyrok biologii. Szczęśliwie gazety nie dowiedziały się o niej niczego.

—Gazety są pełne głupców lub celowych ślepców, więc o niczym nie dowiedziały się niczego! Jakoś ich nie dziwi, że dał się zaskoczyć przy blacie biurka! I że nie bronił się, choć ten antykwariat to istny arsenał, wszędzie biała i palna broń! Stara broń, lecz wiele pistoletów gotowych do strzału. Oficerowie potrafią strzelać i fechtować. Nie wierzę we włamanie, ani w wizytę obcych, jakichś bandziorów udających klientów. Ci, którzy to zrobili, byli kumplami pułkownika.

Satin popatrzył na mnie świdrująco i burknął:

—Watsonie, jesteś urodzonym detektywem, Kripo przyjmie cię z otwartymi ramionami, brakuje im śledczych analityków.

Niemal dekadę później, gdy już minęła nowa wielka wojna, zacząłem bibliofilsko zbierać wszystkie rodzime tłumaczenia bajek Andersena, XIX-wieczne oraz XX-wieczne. Uzbierałem prawie setkę woluminów. Kilkudziesięciu lepszych i gorszych tłumaczy, na ogół gorszych, nieporadnych, kaleczących przekaz genialnego Duńczyka. Wygrała ten konkurs Stefania Beylin — nie było u nas lepszej tłumaczki Andersenowskiej. Widoczne jest to szczególnie jaskrawo tam, gdzie próbowano jej tłumaczenia poprawiać, modernizować, nowelizować, dając przekłady duetowe: Beylin z Iwaszkiewiczem, czy Beylin z Sawickim. Starczy położyć obok siebie różne wersje edytorskie „Dzielnego cynowego żołnierza” (są tłumacze, co zwań go ołowianym, wbrew oryginałowi Andersenowskiemu), choćby to zakończenie, nad którym umarł Burger:

„ Wówczas jeden z chłopców schwycił żołnierza i, nie mówiąc dlaczego właściwie to robi, rzucił go wprost do pieca; była to na pewno wina diabełka z tabakierki.

Żołnierz stał w jasnym blasku płomienia i było mu niestychanie gorąco, ale nie wiedział czy grzeje go zwykły ogień, czy też ogień miłości. Stracił swe kolory, ale czy stało się to w czasie długiej podróży, czy też ze zmartwienia – tego nikt nie mógł powiedzieć. Patrzył na małą panią i ona patrzyła na niego; czuł, że topnieje; lecz wciąż jeszcze stał dzielnie z bronią na ramieniu.

Nagle ktoś otworzył drzwi, wiatr owionął małą tancerkę i pofrunęła wprost do pieca, do cynowego żołnierza, zamigotała w płomieniach, i już było po niej.

Żołnierz roztopił się na bezkształtną masę, i kiedy nazajutrz służąca wyjęła popiół, znalazła tylko małe cynowe serduszek. Z tancerki zaś pozostały jedynie cekiny, a i te poczerniały na węgiel".

Ów „diabełek z tabakierki", występujący w pierwszej frazie cytatu (przez niektórych tłumaczy zwany „trollem" lub „małym czarodziejem") — wcześniej gra tutaj rolę nocą, kiedy dzieci śpią, a zabawki toczą własne sekretne życie:

„ Teraz zabawki zaczęły się bawić (...) Jedynie cynowy żołnierz i mała tancerka nie ruszyli się ze swych miejsc – ona unosiła się na palcach jednej nóżki z rękami wyciągniętymi przed siebie; on stał na jednej nodze i ani na chwilę nie odrywał od niej oczu. Dwunasta godzina wybiła na zegarze i... trrach! odskoczyła pokrywka od tabakierki, ale w środku nie było tabaki, tylko małe, czarne diabełki; była to naprawdę czarodziejska sztuka.

– Żołnierzu! – powiedział diabełek. – Czy nie chciałbyś lepiej popatrzeć na siebie samego!

Żołnierz jednak udawał, że nie słyszy".

Byłem pewien, iż Burger „ogłuchł" — nie usłyszał, że robi się zbyt

gorąco — i został zamordowany przez tajne służby, dla których pracował w Germanshaven. Tajne służby, odkąd istnieją, mają nieprzyjemny zwyczaj mordowania, prócz wrogów, także swoich agentów, swoich zwierzchników, ba! —nawet dostojników państwa, któremu służą. Carska Ochrana zezwalała socjalistom i anarchistom zabijać ministrów lub innych dygnitarzy, gwoli chronienia swych „agents provocateur” wewnątrz podziemia rewolucyjnego, takich jak Azef, Malinowski i reszta Judaszów. Gestapo i NKWD robiły identyczne rzeczy. Prezydent John Kennedy (USA, 1963), prokuratorzy generalni Robert Kennedy (USA, 1968) i Siegfried Buback (Niemcy Zachodnie, 1977), premier Aldo Moro (Włochy, 1978) tudzież inni podobnej rangi — zostali odstrzeleni za cichą zgodą tajnych służb, które miały ich chronić. A Burger, fałszerz, który zbyt dużo wiedział o swych falsyfikatach —był tylko pionkiem w porównaniu z głowami państw czy szefami prokuratur.

Dziś pojmuję, że w mrocznym cieniu oficjalnej dyplomacji Niemiec toczyły się wówczas (1936-1938) dwie duże zakulisowe gry. Hitler i Stalin rozumieli, że musi dojść między Germanią a Bolszewią do militarnego starcia, lecz każdy pragnął uwikłać rywala wcześniej w wojnę na dwa fronty. Stalin pragnął wojny Hitlera z Polską i Francją oraz Anglią, gdy Hitler chciał wojny Stalina z Polską i Japonią. Dlatego robił co mógł, by uczynić Polskę aliantem Rzeszy. W 1938 zdawał się bliski sukcesu: japońska Armia Kwantung zaatakowała armie sowieckie strzegące granicy Mandżuko (co rozpętało tam największe bitwy powietrzne w dotychczasowej historii: walczyło ze sobą 400 samolotów!), a proberlińskie „zmiękczenie” Warszawy podjęły również Rzym i Tokio. Hitler deklarował sympatię dla Polaków (była ona częściowo autentyczna, bo podczas I Wojny struty gazem kapral Hitler leżał w szpitalu obok polskiego oficera, z którym się zaprzyjaźnił). Dawał tego dowody (m.in. szczerze opłacał złotem niemiecki transport przez Pomorze

ku Prusom Wschodnim), i ciągle wyciągał serdeczną rękę, proponując Polakom przystąpienie do Paktu Antykominternowskiego, a ściślej: wspólny atak na sowiecką Rosję. Chciał 50 polskich dywizji (później tych 50 dywizji zabrakło mu pod Moskwą), suponując, iż razem, Rzesza plus Polska, bez trudu unicestwiłyby Sowietów. Dzisiaj co poważniejsi historycy przebąkują, iż należało się zgodzić, bo Rosja by padła, a równocześnie Polska jako aliant Rzeszy mogłaby powstrzymać Hitlera od realizacji Holokaustu. Wtedy jednak nasi politycy wiernie realizowali dyrektywę umierającego Marszałka; Piłsudski kazał im:

—Lawirujcie pomiędzy Niemcami a Rosją póki będzie można, a jak już dłużej się nie da, podpalcie cały świat, wciągając go do boju!

Tak czynili. W 1938 roku koleś Hitlera, minister Hermann Göring, kilkakrotnie przyjeżdżał do Polski, rzekomo na polowania białowieskie (odstrzeliwanie żubrów), lecz cel prawdziwy stanowiło agitowanie Polaków, by sprzymierzili się wojskowo z Rzeszą gwoli wspólnego zaatakowania Rosji. Równocześnie — tajne służby Berlina i Moskwy negocjowały ze sobą w Germanshaven sekretny sojusz ponad głowami państwowych przywódców. Zębate tryby tych dwóch konkurencyjnych machin ocierały się o siebie, zgniatając pionki uwikłane pechowo. Pierwszym był pułkownik Burger. Czwartym okazał się mój brat...

Jedni i drudzy —stalinowcy i hitlerowcy —mówili do mikrofonów, że chodzi im o pokój, ład i sprawiedliwość. Kolumbijski myśliciel, Nicolas Gómez Davila, trafnie wykipił taki przywódczy bełkot, pisząc kolejny fragment „Nowych scholiów”: „Rozum, prawda czy sprawiedliwość nie są zazwyczaj celami człowieka; są nazwami, które człowiek nadaje swoim celom”<sup>\*</sup>.

Roman wierzył w nazwy. Śmiertelnie.

**A materia zawiodła...**

Uczył się tak pilnie, garnął do polityki tak chętnie, snuł plany tak odważnie, jakby miał przed sobą przyszłość. Wszyscy podobnie robimy — rzucamy swe nadzieje w nieprzewidywalną pustkę, niby papierowe stateczki na fale oceanu. Kim był? Robotem z kosmicznego planetarium wyrokujących o ludzkim życiu gwiazd („Wir sind die Roboter”), skazańcem losu, graczem w „rosyjską ruletkę”, który nacisnął spust nie do pustej komory bębena? Tym pianistą, który zostawił wilgotny od deszczu fortepian, milczący klejnot moich nocnych pejzaży? Dwa dni wcześniej wyłowiono z basenu portowego złotowłosą Doris i jej rudowłosą koleżankę. Tę rudą widziałem jak towarzyszyła Romkowi na schodach operetki. Było rano, a oni wchodzili do neorokokowego gmachu, pewnie ją odprowadzał. Prasa pisała, iż utonęły „wskutek alkoholizmu, którym Żydzi zatruwają niemiecką młodzież”. O Romku pisano, że to degenerat samobójca. Wyskoczył przez okno trzeciego lub może czwartego piętra kamienicy, właściwie pomiędzy piętrami, bo przez okno klatki schodowej. Był, i raptem już go nie było. Umarł i zniknął, jak przechodzień za rogiem ulicy czy za drzewami parku...

Wywołano mnie z seminarium profesora Gnaucka, do dziekanatu, a tam czekali dwaj żandarmi.

—Pański brat się zabił, stwierdzono zgon.

I wokół robi się bardzo cicho, chociaż lufciki otwarte, na zewnątrz hałas samochodów i tramwajów. Jakby ktoś wyłączył wszystkie szумы zewnętrzne dookoła twej anatomii, cały rozgwar świata, i włączył wewnętrzną projekcję głębokiego dystansu wobec codzienności, materialności, okoliczności, sekwencję myśli zmuszonych do sztucznego spokoju, lodowatą kontemplację bestii



planującej morderstwa. Własna czaszka staje się więzieniem, jak u Byrona, w jednym z tych fragmentów, które Satin przepisał niby dla Bettiny i przysłał je razem z różą — we fragmencie poematu „The Prisoner of Chillon” („Więzień Chillonu”):

*„I had no thought, no feeling – none –  
Among the stones I stood a stone...  
For all was blank, and bleak, and gray –  
It was not night – it was not day.  
There were no stars – no earth – no time –  
No check – no change – no good – no crime –  
But silence, and a stirless breath  
Which neither was of life nor death”<sup>7</sup>.*

Ani bym przypuszczał, że ucieszę się, kiedy usłyszę głos Daumerga. Zadzwonił, a ja zaprosiłem łobuza do mnie, co jego ucieszyło. Musiałem odwiedzić kostnicę, by „zidentyfikować zwłoki”. Roman był cały pokrzywiony, połamany, pokiereszowany, jakby go rozdeptano lub rozjechano, włosy i mózg zlepily się, tworząc paskudny „hełm”, tylko piękne błękitne oczy nie doznały uszczerbku i lustrowały wielką lampę sufitową. Następnie w „Pod wesołym trampem” poprosiłem „Cygana” o rozmowę bez świadków. Właśnie „Cygana”, chociaż nigdy nie byliśmy sobie bliscy. Dzielił nas pewien dystans — nie dystans braku sympatii, raczej bariera braku

---

7— „Brak myśli, zmysłów, uczuć – nic –

*Jak pośród glazów glazem być...*

*Wszystko owionął grozy cień,*

*Umarła noc, i umarł dzień.*

*Zniknęły niebo, ziemia, czas,*

*Kanony dobra, rygle zła.*

*Oddech to ból, cisza to kir,*

*Życia i śmierci jeden wir”.*

zainteresowania, wzajemna obojętność. Sądziłem jednak, iż jest to właściwy człowiek. Powiedziałem mu:

—Szefie... chcę wiać.

Zapytał spokojnie:

—Kiedy?

—Jutro. Sprawa śmiertelna.

—Wierzę ci, twój brat już zginął... Przyjdź przed świtem, pójdziemy do portu, wsiądziesz na statek mojego kumpla, jutro płyną ku Szwecji.

Uścisnąłem mu dłoń i odszukałem Czugę:

— Czuga, zabili mi brata. Rodzonego. Potrzebuję spluwy z tłumikiem, i trzech magazynków. Wiem, że kolekcjonujesz takie zabawki...

Przyniósł parabelkę, i nawet nie wziął pieniędzy, tylko klepnął mnie po ramieniu:

—Rozpierdol ich, „Student”.

Tuż za drzwiami knajpy zderzyłem się ze „Zgagą”.

—Zegnaj, „Duszpasterzu”. Opuszczam Germanshaven.

—Sam, baranku Boży? —spytał.

—Wezmę kilka trupów...

—Mówił nasz Pan, by nie zabijać bliźniego swego, pomnisz, synu, to przykazanie?

—Przypomnę sobie jutro, wielebny.

—Czyń tedy co masz czynić, i niech ci Bóg Wszechmogący sprzyja.

Daumerg zjawił się punktualnie. Jego twarz ułatwiała mój czyn. Była to gęba funkcjonariusza skrupulatnie wykonującego nikczemne rozkazy, jednego z tych, którzy już niecały rok później realizowali wojenną dyrektywę Hitlera wściekłego, że Polska odrzuciła wielkoduszne propozycje aliansu: „ — Wydałem rozkaz zabijania bez litości (...) mężczyzn, kobiet i dzieci polskiej mowy

oraz polskiego pochodzenia! Tylko w ten sposób zdobędziemy niezbędną nam (...) przestrzeń życiową! Polska będzie wyludniona i zasiedlona Niemcami!". Daumerg nie wyludniał. Przystawiłem mu tłumik do szkła okularów i krótką chwilę czekałem, żeby zobaczyć strach, to jest: żeby umierał nie raptownie, lecz ze świadomością za co. Różnica między „frajerami" a profesjonalistami leży — u tych pierwszych — w drzeniu ręki trzymającej broń. Jednak nienawiść i determinacja mogą uspokoić (usztywnić) rękę początkującego. Gestapowiec dałby chyba radę wytrącić mi żelazo, ale znieruchomiał wskutek szoku. Wolno przycisnąłem spust i gnom runął martwy, robiąc lekki hałas, bo potracił fotel.

W domu Satina mogłem zastać lub nie zastać gospodarza, co nie robiło mi różnicy — gdybym nie zastał, poczekałbym tam na niego. Otworzyła mi Helga, wokół której kręcił się Asmodel. I od strony salonu wkroczył do hallu Klaus Handke, szef hitlerowskich aktywistów uniwersytetu; wychodził po wizycie u gospodarza (z audiencji?), to zaś znaczyło, że mam szczęście.

Kiedy skierowałem ku niemu parabellum, zapytał głupio:

—Co chcesz zrobić?!

—Filtruję, kolego „filtratorze", filtruję „filtratorów".

Strzeliłem mu w czoło, druga kula rąbnęła plecy uciekającej już Helgi, a trzecia zabiła wilczura szarpiącego osłaniający mnie but.

Rozejrzałem się. Kolejny pocisk wałnął „czaszkę szesnastoletniego Nerona", następny figurkę Belfegara z „fiutem do wieszania parasoli". Przekroczyłem ciało Handkego, mówiąc: „ — Sieg, heil!, dupku", zmieniłem magazynek i ruszyłem ku salonowi, bardzo czujnie, bez pośpiechu. Okazał się pusty, lecz tarasowe drzwi były uchylone, firanka falowała. Pomyślałem, że Satin czmychnął. Myliłem się, lepił bałwana obok zaśnieżonych krzewów, blisko starej fontanny. Rzekł:

—Robię twój pełnfigurowy portret, Matt.

Ruszyłem ku niemu, ale drogę zastąpił mi mąż Helgi, ogrodnik Hans, który pojawił się nie wiadomo skąd. Trzymał metalową szufłę do odgarniania śniegu. Strzeliłem mu w łeb dwa razy. Satin się uśmiechnął:

—Widzisz, przyjacielu, jak łatwo zabija się ludzi hurtem? Religia, kindersztuba, pacyfizm nie hamują morderczego instynktu. Wystarczy szczerza determinacja karmiona przez wściekłość. To atawizm, echo jaskiniowe, Matt.

—Jestem z rodu białych jaskiniowych bałwanów — odparłem spokojnie. — A ty z rodu czarnych jaskiniowych demonów. Zobaczmy kto będzie górą.

—Uważasz, że pistolet będzie górą?

—Uważam, że mieścisz się w średniej statystycznej. Statystycznie wypada jedna śmierć na jednego skurwysyna.

—Plagiatujesz, czy raczej pastiszujesz mnie, kolego, próbuj być bardziej oryginalny. To mój bon mot.

—Nigdy go nie słyszałem.

—Słyszałeś. Pochodzi ze snu, który dopiero będziesz miał, zabrzmi później, gdy miną całe dekady. A propos: czy pamiętasz, że mordowanie to grzech śmiertelny, katoliku? Tak mówi twoja religia. Lecz ja nie podzielam tej opinii, jestem heroldem kultu bezgrzeszności, mój główny cel to uniewinnienie grzechu. Każdego grzechu. Znasz postawę bardziej humanistyczną? Jestem wielkim humanistą, niczym twój Chrystus, on też uniewinnił na prawo i lewo, wszystkich, od złoczyńców do prostytutek. Tak, tak, wiem co myślisz. Zawsze wiedziałem co myślisz, czytam myśli bez trudu. Teraz myślisz, że to typowe dla mnie „reductio ad absurdum”, prawda?

—Prawda — burknąłem, cały czas mierząc w niego. — Masz tyle z Chrystusa, ile ja z piszącego genialne poezje księcia, bliżej ci do Szatana, bydlaku!

Rzucił ręce gestem patriarchy, który chce objąć i przytulić cały glob:

—To fakt. Jestem bowiem ponad moralnością Dekalogu, kontestuję bierność strzyżonych baranów, i mam ducha szatańsko buntowniczego, największym świętym nie jest dla mnie „święty spokój”, podobnie jak dla Lucyfera, który swą autonomicznością i samodzielnym myśleniem zyskał status symbolu rebelii. Cenię sobie nonkonformizm i wolność, czy to wada?... Matt, durniu, przyszłość nie należy do ciebie i do podobnych tobie. Kiedyś każdy z was umrze, czarni i biali, chudzi i grubi, niscy i wysocy, bogaci i biedni, homoseksualni i heteroseksualni, prawicowcy i lewicowcy, konserwatyści i awangardiści, gołębie i jastrzębie, a cały świat pokryje wielka woda. I czyje oblicze odbije się wówczas w lustrze wielkiej wody —Boga czy Szatana, kolego?

Zimny wiatr musnął mi policzki i zaszumiał wśród drzew. Uświadomiłem sobie, że stoję jak jakiś idiota na scenie, grożąc bronią drugiemu pajacowi, który wygłasza pseudo filozoficzny monolog. Musiałem jeszcze spytać o Romka:

—Dlaczego Romek zginął?

—Bo był głupi, głupszy od ciebie. Dał się zwerbować, zbyt dużo usłyszał, Doris mu powiedziała, wysłał list na adres waszej berlińskiej placówki przy Kurfurstenstrasse, wielka nieostrożność. Ciebie spotka to samo, jeśli spóźnisz się jutro i statek kumpli „Cygana” odpłynie bez „Studenta”. Żyjesz tylko dzięki mojemu wstawiennictwu, jak to mówią: dzięki starej przyjaźni, Matt, ale to już jej kres. Daję ci czas do ósmej rano, wiej stąd, głupku. A teraz wybacz, muszę iść, jestem umówiony.

Wtedy nacisnąłem spust. Lub raczej próbowałem, bo coś się zacięło.

—To się zdarza —rzekł Satin. —Pistolety się zacinają, rewolwery są mniej zawodne. Trzeba było poprosić Czugę o bębenkowca, choć nie

wiem czy tutaj by również nie nawalił, w końcu to tylko materia, a jak wiesz: duch góruje nad materią.

Gdy gadał, szarpałem się z ową materią, chcąc odblokować parabellum, a kiedy mnie mijał, próbowałem uderzyć go kolbą, lecz był szybszy, jednym fachowym kopnięciem zważył mnie na ziemię niczym kukłę krawiecką, i maszerował dalej, ku furtce, wzdłuż parkanu. Klęcząc odbezpieczyłem jeszcze raz, przeładowałem, i broń raptownie wypaliła, dziurawiąc śnieg, ale Satin był już za furtką. Biegłem przeskakując przysmy śniegu. Zobaczyłem go jak skręca boczną uliczką ku głównej ulicy Germanshaven, i tuż przy niej dogoniłem go. Wtedy stanął, obrócił się i rzekł drwiącym głosem:

—Chcesz strzelać wśród tłumu, Matt?... Przecież nie chodzi ci o to, by pozabijać ich wszystkich. Schowaj broń, nie rób publicznego skandalu. Publiczne skandale robiłem na uniwersytecie, dyscyplinując pedagogów, ale tam to były harce niesfornego żaka. Generalnie nie o to mi chodzi, by wszystkich wykpić, skurwić czy zabić. Chodzi mi tylko o to, by wszyscy potrzebowali egzorcyzmów. Tak niewiele, prawda?

Odwrócił się i odszedł ulicą. Mijał ludzi idących w przeciwnym kierunku, jakieś matki z wózkami, urzędasów, zakupowiczki i lafiryndy, wtapiając się coraz bardziej w ten tłum, ten ludzki anonimowy strumień, coraz bardziej malejąc, ledwie jeszcze można było wyłowić jego sylwetkę, później tylko głowę, aż zniknął, jakby zapadł się pod ziemię bez śladu. Na wzór wszystkich tych ważnych wydarzeń z przemijającego życia, które android Ridleya Scotta ujął funeralną frazą: „—Ali those moments will be lost in time, like tears in the rain...”. Prawie wszystkie, bo jednak coś zachowałem w głęboko skaleczonym sercu: puste błękitne oczy...



— Wydawnictwo *Nobilis* —

WALDEMAR ŁYSIAK  
*KOLEBKA*



Wydawnictwo *Nobilis*

WALDEMAR ŁYSIAK



*KIELICH*



Wydawnictwo *Nobilis*

Wydawnictwo Nobilis

Waldemar  
**Łysiak**



**Najgorszy**

Wydawnictwo Nobilis

Waldemar  
**Łysiak**

4



Wydawnictwo Nobilis

Waldemar  
**Łysiak**



**LIDER**

Wydawnictwo Nobilis

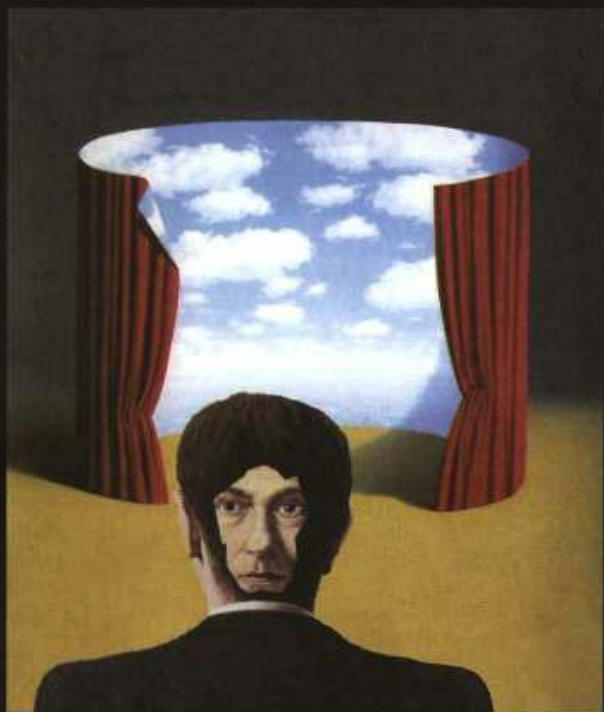
Waldemar Łysiak



OSTATNIA  
KOHORTA  
tom II

Wydawnictwo Nobilis







ISBN 978-83-60297-52-0



9

788360

297520

Wydawnictwo *Nobilis*